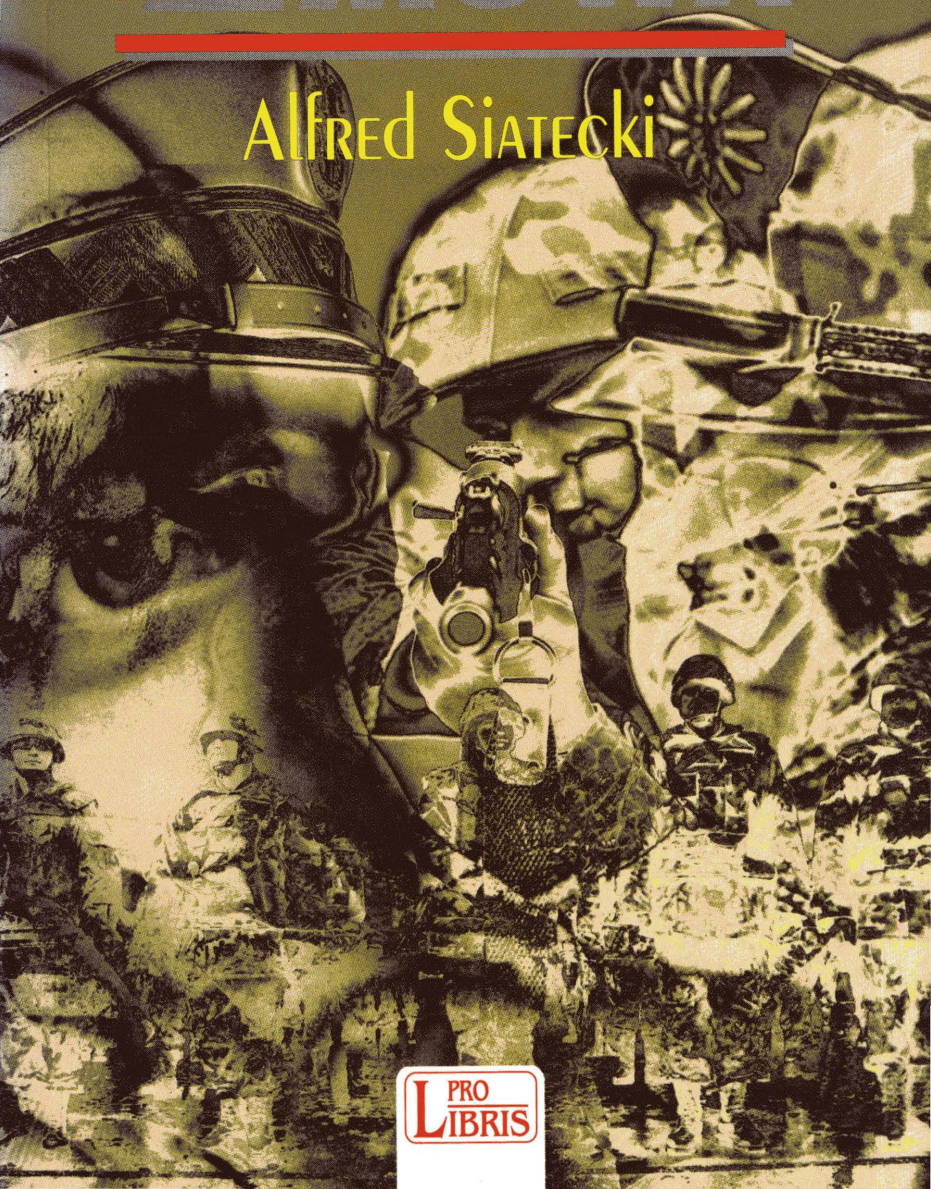


ZPUŁKOWNIKÓW **MOWA**

Alfred Siatecki



PRO
LIBRIS

ZPUŁKOWNIKÓW **ZMOWA**

Alfred Siatecki

ZPUŁKOWNIKÓW **ZMOWA**

Alfred Siatecki

Pro Libris • Zielona Góra

Projekt okładki
Paweł Janczaruk

Skład komputerowy
Barbara Fijałkowska

© Copyright by Alfred Siatecki, Zielona Góra 2000

ISBN 83-88336-05-3

Wydano przy pomocy finansowej
Urzędu Marszałkowskiego w Zielonej Górze
Lubpressu, wydawcy „Gazety Lubuskiej”

Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej
im. C. Norwida, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra
Wydanie I; ark. wyd. 12,25; ark. druk. 15,75

Druk: IMAR Druk, ul. Krakusa 33, 65-073 Zielona Góra

Przedmowa

Czy najwyższy budynek w centrum Frankfurtu nad Odrą, zwany Oderturmem, ma aż dwadzieścia trzy piętra, tego nie wiem, bo nigdy nie liczyłem, ale przekonałem się, że z jego dachu doskonale widać Collegium Polonicum w Słubicach. Za wieżowcem rozsiadły się gmachy Uniwersytetu Europejskiego „Viadrina”, a bliżej brzegu Odry stoi nowy hotel Central. Pokonanie drogi spod Oderturmu do Collegium Polonicum zajmuje najwyżej dziesięć minut. W Zielonej Górze, oddalonej od Frankfurtu o 86 kilometrów, jest dość dobry hotel Polan, jest też ekskluzywna restauracja Sambuca, a komenda policji mieści się w potężnym gmazysku przy ulicy Partyzantów. Ulicą Wrocławską na pewno dojedzie się do zajazdu Creator, a ulicą Sulechowską do hotelu Leśnego. Są także w tej książce opisy miejsc, których czytelnik nie znajdzie nawet na najdokładniejszej mapie wojskowej - nie dlatego, że korzystałem z tajnych dokumentów, lecz dlatego, iż miejsca te po prostu wymyśliłem.

Podobnie rzecz ma się z akcją powieści i jej bohaterami. Część została przeniesiona na kartki książki wprost z życia, część jest fantazją. Ile jest fikcji, a ile z życia - wiem tylko ja i być może, rozmaite służby specjalne, które głowiły się pewnie nad tym, których agentów przedstawiłem i kto był moim doradcą.

Nareszcie Polaków i Niemców mniej dzieli - z całą pewnością jest to w znacznej mierze zasługa ekskanclerza Helmuta Kohla i obecnego szefa rządu federalnego Gerharda Schrödera oraz kolejnych prezesów Rady Ministrów Trzeciej Rzeczypospolitej - ale po obu stronach granicy są osoby i organizacje, które robią wszystko, żeby te coraz lepsze stosunki zepsuć. Im wypowiedziałem prywatną wojnę.

Jeśli gazety nie chcą ujawnić swoich informatorów, to piszą: nazwisko i adres do wiadomości redakcji. Podobnie i ja muszę się zachować, choć wolałbym podziękować moim współpracownikom z imienia i nazwiska, bo zająłem im wiele godzin i zdaje się cennego czasu.

Rozdział I

- Przeciągasz strunę, skurwielu - powiedział półgłosem do siebie Jungingen. Ze skrytki pod fotelem wyciągnął nóż gazowy, chusteczką do pucowania okularów długo i starannie ścierał zaschniętą krew z wąskiego ostrza. - Zrozum, Joachim, że już nie jesteś tym, który nie zadaje pytań, tylko z zimną krwią wypycha majcher między zębra. Gdy popuszczałeś iglicę, ręka ci lekko zadrżała. - Przypomniawszy sobie, że na ulicy miał wilgotną dłoń. - Z restauracji wychodziłeś za szybko i dwa razy się obejrzałeś. Szatniarz mógł zapamiętać twoją twarz. Nie przypięłeś się pasem do fotela, zapomniawszy o światłach mijania, kierunkowskaz włączyłeś dopiero na środku skrzyżowania... Capną cię i któregoś dnia będziesz musiał przegryźć fiolkę z arsenikiem, którą doktor Loebel ukrył pod koronką zęba trzonowego... Już nie nadajesz się do mokrej roboty. Za późno się urodziłeś, żeby jeszcze być kimś - stwierdził z zalem. - Czas twój i twojego miotu skończył się jesienią dziewięćdziesiątego roku.

Jak zawsze wieczorem nakręcił zegar urzędnika do wysyłania niskich dźwięków, później nastawił czujnik mikrofalowy i jednocześnie uruchomił zwyczajną fotokomórkę, po czym ostrożnie zamknął wrota garażu. Z ręką utopioną w kieszeni kurtki powoli ruszył w stronę ulicy, przy której stał jego blok. Wykonam tę robotę i komu będę potrzebny? - pomyślał.

Coraz częściej zastanawiał się nad swoją przyszłością. Miał małe mieszkanie z ciemną kuchnią w dość dobrej dzielnicy, zużytego forda focusa, cztery dni w tygodniu uczył dzieci matematyki, za co dostawał prawie dwa i pół tysiąca marek miesięcznie; drugie tyle przekazywał mu pułkownik Maller. Gdzie jest ten podstarzały blondas o ponurej gębie i kogo teraz obrabia? Pewnie zmienił życiorys, zwał na Sylt albo w Alpy, jak Schalck-Goladkowski, i żyje sobie spokojnie w zacisznej rezydencji nad jeziorem Tegern. A może czmychnął do Ameryki Południowej i mieszka gdzieś na peryferiach wielkiego miasta pod przybranym nazwiskiem?

Od maja Joachim nie widział swego mocodawcy; forse przynosi mu prosto do pokoju nauczycielskiego mrukliwy konus z głową wielką jak jesienna dynia. Gargulec w mocnych okularach na rozpląszczonym

nochalę zawsze w środę o 20.30 czeka przy barze w hotelu Kongress, gdzie przekazuje mu zadania do wykonania. Inny kurdupel już drugi miesiąc wyznacza mu spotkania w knajpce przy moście, stawia piwo i wypytuje o sytuację po tamtej stronie granicy. Dlaczego teraz oni nagle zaczęli interesować się Polską?

Przez wiele lat co dwa tygodnie, zawsze w piątek wieczorem, Joachim jeździł do Berlina, zatrzymywał się w luksusowym hotelu Palast, nigdy nie wydał marki na jedzenie ani na pokój - kto płacił, nie wiedział - i dorabiał sobie do pensji. Polegało to na tym, że w przytulnej kawiarence Kleines Café, w pobliżu alei ambasad przy Unter den Linden albo w barze Berliner Ensemble siadał z kolegami przy stoliku i udając gościa z Polski, krzykliwie dyskutował o polityce i czekał na reakcję tych, którzy zwracali uwagę na jego zachowanie. Nigdy nie spytał kolegów, skąd pochodzą, co robili wcześniej, czy też byli w Stasi jak on - i tak nie powiedzieliby mu prawdy - znał ich oficjalne imiona i biografie, domyślał się, że są wydumane na potrzeby organizacji. Wcale mu to nie przeszkadzało, wszak był jednym spośród wielu wychowanków pułkownika Mallera, biele znających polską mowę. Wtedy współpracę z grupą uważał za nie byle jakie wyróżnienie. Czuł się potrzebny i ważny. Dokładnie trzy lata temu, gdy w hotelu przygotowywał meldunek o rozmowie z pewnym profesorem z Krakowa, do jego pokoju wszedł obcy mężczyzna w ciemnych okularach i oznajmił, że organizacja przestała istnieć. Poradził, aby Joachim zapomniał o pułkowniku Mallerze i o tym, co było, w przeciwnym razie jemu czy Angelice może się przytrafić jakieś nieszczęście. W ubiegłym roku ten sam mężczyzna zaprosił go do kawiarni hotelu Palast.

- Z upoważnienia pułkownika Mallera proponuję ci, Jungingen, współpracę - rzekł przyjaznym głosem, po czym klepnął go w ramię.

- Co będzie, jeśli odmówię ...? - spytał Joachim.

- Szkoda Angeliki. Ma taką miłą buzię - powiedział okularnik zuchwale i głową wskazał stół za swoimi plecami, przy którym siedziało dwóch drabów w skórzanych kurtkach. - Organizacja potrzebuje twojej pomocy, a tobie są potrzebne pieniądze.

- Jaka organizacja?

- Twoja, moja, nasza. Słowem: Karlshorst.

- Przecież ona się rozwiązała.

- Nie, Jungingen. Karlshorst będzie istniała zawsze. A kto raz został jej członkiem, ten nie może się wycofać, chyba że już ma dość przyjemności na ziemskim padole. - Okularnik się uśmiechnął i znowu pokazał na drabów za swoimi plecami. - Karlshorst jest wieczna jak tatuaż na twojej ręce, którego nie potrafisz się pozbyć.

Latem Angelika przyniosła z redakcji dwa numery tygodnika „Focus” i poprosiła Joachima, aby przeczytał sobie - jej zdaniem - rewelacyjny artykuł o byłych agentach Stasi, którzy utworzyli tajną organizację Karlshorst. Czyżby czegoś się domyślała? Zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem i powiedział, że od dawna nie interesuje go безпе-ka, a sensacją polityczną gardzi, lecz Angelika uparcie nalegała. Przebiegł więc wzrokiem kilka pierwszych linijek artykułu i z udawaną obojętnością stwierdził, że to żadna sensacja. We wszystkich krajach są mniej lub bardziej zakonspirowane grupy opozycyjne. W czasach Honeckera państwo wschodnioniemieckie miało najlepiej wyszkolone służby specjalne, które przecież nie zapadły się pod ziemię w dniu zjednoczenia obu republik. Praca w Stasi dla wielu była awansem, nagrodą za posłuszeństwo czy okazją do potwierdzenia swego talentu. Przecież sporo młodych ludzi wierzyło w socjalistyczną sprawiedliwość czy rację partyjnych bonzów. Wraz ze zjednoczeniem Niemiec ci ludzie stracili nie tylko wiarę, lecz i miejsca pracy. Czy to takie dziwne, że zdrowi, silni, wykształceni, inteligentni, ale deportowani na ubocze życia publicznego, skazani na niebyt polityczny nawet po latach jednoczą się do walki o swoje sprawy? Robotnicy mają związki zawodowe, chrześcijanie są członkami CDU, socjaldemokraci należą do SPD, a postkomuniści i socjaliści do PDS. Ale taka odpowiedź nie zadowoliła Angeliki, spytała więc wprost, czy i on był kiedykolwiek związany ze Stasi. Joachim zaprzeczył natychmiast i umknął oczyma na ekran telefunkena. Nigdy więcej nie wracali do rozmowy o przeszłości, a on starał się nie stwarzać powodów do podejrzeń.

- Dobry wieczór, panie Jungingen - pozdrowił go sąsiad, który wyszedł na podwórko z koszem pełnym śmieci. - Będzie ładna noc - ni to stwierdził, ni spytał.

- Oczywiście, panie Vogel - odparł wyrwany z zamyślenia Joachim.

Vogel na pewno ma do czynienia z bezpieczeńką od dawna, pomyślał, oglądając się za sąsiadem. W tym bloku co drugi lokator był na liście konfidentów Stasi. Kto w tamtym czasie kupił wartburga czy ładę, urządził mieszkanie, wyjeżdżał z rodziną na wakacje do Jugosławii, Bułgarii lub Rumunii, a pracował w szkole, domu kultury, restauracji, redakcji, musiał kablować.

Zgasił papierosa, wilgotne od potu dłonie wytarł o spodnie. Nie wjechał windą, lecz wspiał się po schodach na trzecie piętro. Angelika w kusej koszulce z jedwabiu żółtego jak kwiaty lubczyku leżała w poprzek łóżka i przeglądała kolorowe czasopisma.

- Cześć! - zawołał od drzwi i stanął jak wryty, ale zaraz rzucił na nią pożądliwe spojrzenie. - Jaki jestem głodny...

Angelika przewróciła się na lewy bok, prawą rękę położyła na poduszce, dając Joachimowi do zrozumienia, że nie po kolacji, lecz już teraz chce go mieć przy sobie. Wymyta i wypachniona od godziny przecież na niego czeka. Nagle postanowiła nie przyznać się Joachimowi, ile zapłaciła za koszulkę. Sto czterdzieści pięć marek wydawało się jej o wiele za dużo, ale czegoż nie zrobiłaby, żeby cieszyć jego oczy? Zresztą dostała te pieniądze za drobną przysługę i nie musi mu tłumaczyć, kto ją czasem odwiedza w redakcji.

- Podobna ci się? - spytała, dwoma palcami unosząc rąbek koszulki w desenie jak mgiełka. - Zawsze marzyłam o czymś takim. Śliczna, prawda?

Joachim przytaknął. Nawet gdyby w tej koszulce Angelika wyglądała odpychająco, powiedziałby, że jest najpiękniejszą spośród wszystkich Niemek. W jej obecności wszelkie sprawy wydawały mu się proste i przejrzyste, zapominał o problemach i całym dookolnym świecie, w którym był coraz bardziej obcy, zagubiony. Mógł się z nią kochać o każdej porze nocy i dnia, w łazience, w kuchni, w pokoju na podłodze i nigdy nie czuł znużenia. Podobnie twierdziła Angelika. Joachim wielbił ją nie tylko dlatego, że wlewała mu balsam do duszy i była inna niż te Niemki, z którymi uczył dzieci, lecz przede wszystkim za to, że umiała dyskretnie podkreślić swoją kobiecość. Wiele razy zastanawiał się, dlaczego niemieckie dziewczyny, w przeciwieństwie do Polek, nie ubierają się nęcąco ani w inny sposób nie potrafią zwrócić na siebie uwagi mężczyzn. Aby napaść oczy urodą naprawdę

zgrabnych, zadbanych, pociągających kobiet, trzeba przejść na drugi brzeg rzeki. Dziwna i niesprawiedliwa wydawała mu się granica na Odrze, która jest nie tylko granicą państw, lecz i urody kobiecej. W młodości, jeszcze nawet jako student uniwersytetu, miał ojcu za złe, że ożenił się z Polką, potem go zrozumiał. Gdyby Joachim nie spotkał Angeliki na swojej drodze, poszedłby tropem ojca. Jego matka, mimo zbliżającej się pięćdziesiątki, wygląda atrakcyjniej niż niemieckie trzydziestolatki, a gdy idzie ulicą, przyciąga wzrok wielu mężczyzn.

- Jak się ma babcia? - spytała Angelika. - Kiepska pogoda, to pewnie znowu bolą ją nogi albo skarży się na lekarza?

Uśmiechnął się do niej zachłannie i nie wiadomo który raz pomyślał, że Angelika musi mieć w sobie trochę słowiańskiej krwi, bo kiedy spogląda spod gęstych rzęs, przypomina mu matkę, ciotkę i wszystkie kobiety z tamtej strony rzeki.

- Życzę ci takiego zdrowia, jakie ma moja babka - rzucił, śmiejąc się dwuznacznie. - To twarda kobieta, zahartowana na Ukrainie.

- Pewnie znowu zapomniałeś ją ode mnie pozdrowić?

- Przesyła ci całuska - powiedział z zamkniętymi oczami. Mogłem choć na kilka minut zatrzymać się u babki, skarcił się w duchu. Jeśli w niedzielę staruszka wybierze się do nas w gościnę i spyta, dlaczego tak rzadko ją odwiedzam, wpadłem jak doktor Sorge. - Babka przypomniała mi, że w połowie listopada kończy siedemdziesiąty rok życia. Ma nadzieję piastować prawnuka.

- A czy choć troszkę była zadowolona z prezentu?

- E... Oczywiście. Bardzo się wzruszyła. - Dopiero teraz przypomniał sobie, że Angelika prosiła go, aby zawiózł babce kordonek do haftowania makatek. Ma go w kieszeni kurtki.

- Tęskniłam - powiedziała Angelika tonem rozkapryśzonej jędnaczki. - Proszę, Achim, abyś następnym razem poczekał, aż wrócę z redakcji. Do kochanej babuni powinniśmy jeździć we dwoje.

- Wezmę prysznic i... - Wskazał głową miejsce przy niej.

- Właśnie na to czekam - mrugnęła kusząco.

*

Angelika dużo wiedziała o Joachimie, lecz nie wszystko, a niektórych jego spraw nawet się nie domyślała. Gdy kierowniczką domu

dziecka, którą i w tym roku odwiedziła w pierwszą niedzielę września, spytała ją troskliwie, dlaczego jeszcze nie ma dzieci, odpowiedziała, że póki Joachim nie obroni rozprawy doktorskiej, co zajmie mu najwyżej dwa lata, o dzieciach nie może być mowy. Nie orientowała się, na czym polega obrona doktoratu, Joachim natomiast nie starał się cokolwiek jej wyjaśniać. Rzekł zdecydowanie, że zostanie doktorem, jednak najpierw musi skończyć specjalistyczne studia na Wydziale Informatycznym Uniwersytetu im. Humboldta i dlatego co dwa tygodnie, właśnie zawsze w piątek, wyjeżdża do Berlina.

Nawet matce nigdy nie powiedział prawdy. Taką złożył przysięgę, gdy pułkownik Maller za pośrednictwem sekretarza uczelnianej organizacji FDJ zaprosił go do berlińskiej siedziby Stasi i położył przed nim na stoliku pierwszy tysiąc marek. Byłby głupi, gdyby nie wziął pieniędzy. Akurat potrzebował trzysta marek na katanę i dwieście na dzinsy. I tak się zaczęła jego współpraca z pułkownikiem. Nie powinien o nic się obwiniać, bo, jak tłumaczył mu Maller, nikogo nie wydał, nie oskarżył, nie zdradził, a że napisał kilka lakonicznych zdań o kolegach, z którymi przebywał na praktyce zagranicznej, to przecież nic złego. Powtórzył jedynie to, o czym rozmawiali przed snem, przy stole, w świetlicy. Z tego powodu nikomu włos nie spadł z głowy, wszyscy skończyli studia w terminie, dostali dyplomy nauczycielskie i teraz wbijają do dziecięcych łepetyn zadania z niewiadomymi, całki, sinusoidy i inne nudne zagwozдки matematyczne. Jedni w byłych Niemczech Wschodnich, a jest ich większość, cieszą się z tego, że mają pracę, budują nowe domy, kupują szybkie samochody, jeżdżą na wczasy do Hiszpanii, inni przeklinają ekskanclerza Kohla, dzień zjednoczenia i cały ten system federalny, który uważają za niesprawiedliwy lub nie mogą go zrozumieć. A Joachim należy do mniejszości dlatego, że ledwie zdobył patent rasowego agenta, już stał się zbyteczny.

Setki razy przechodził na polską stronę; z babką zaglądał do sklepów, kupował warzywa na bazarze - i nigdy nie zdarzyło się, aby jakkolwiek Polak wziął go za Niemca. W rzeczywistości Joachim Jungin-gen jest pół-Niemcem, pół-Polakiem, ma niemieckie obywatelstwo w przeciwieństwie do swojej matki, która mimo nalegań ojca nie wyrzekła się polskiego paszportu. Rodzice Joachima poznali się na obozie młodzieżowym w Bad Saarow. Obliczył, że tam również został

poczęty. W domu ojciec rozmawiał z matką wyłącznie po niemiecku, a gdy czegoś nie rozumiała, szukał rosyjskich określeń w słowniku. Na wszystkie wakacje Joachim wyjeżdżał do Słubic i musiał mówić tylko po polsku. Każdej niedzieli babka zabierała go na mszę do kościoła, a on tego nie lubił. Nikomu w szkole nie przyznał się, że babka nauczyła go pacierza i kilku psalmów, które często śpiewał na nieszpórach. Po studiach mógł zamieszkać u babki, pracować w słubickim magistracie, bo miasto potrzebowało niezawodnego tłumacza, ale wtedy był już po przysiędze i bał się pułkownika Mallera. Od drugiego semestru często podróżował z rozmaitymi delegacjami FDJ do Polski, a po każdym powrocie pisał drobiazgowo sprawozdanie, za co pułkownik dawał mu do tysiąca marek. Zdobył dowody na to, że jest jednym z wielu studenckich współpracowników Stasi. Polska Służba Bezpieczeństwa także miała konfidentów wśród młodych Niemców, dlatego podczas pobytu w ojczyźnie matki Joachim niczego nie notował, jego pamięć matematyczna była tak wyćwiczona, że po powrocie do akademika wszelkie spostrzeżenia potrafił przenieść na papier z idealną precyzją, jakby spisywał je na gorąco. Pewnie dlatego Maller osobiście odbierał jego raporty i wyznaczał kolejne zadania.

- Towarzyszu Jungingen, po studiach otrzymacie pracę we Frankfurcie nad Odrą jako nauczyciel matematyki - oznajmił mu pułkownik, gdy dwa miesiące przed końcem ostatniego semestru poprosił o rozmowę na temat swojej przyszłości. - Szkoła zapewni wam dwupokojowe mieszkanie. Od nas odbierzecie talon na wartburga i długoterminową pożyczkę na urządzenie mieszkania. A jak będziecie się dobrze sprawowali, pomyślimy o szkole dyplomacji i awansie do naszej ambasady w Warszawie.

Koledzy Joachima dostali skierowania do wiejskich szkółek, zagubionych pośród brandenburskich lasów czy łużyckich bagien, a on, jako jedyny absolwent uniwersyteckiej matematyki, miał pracę w prawie stutysięcznym mieście na granicy niemiecko-polskiej, zaledwie godzinę jazdy pociągiem pospiesznym do Berlina.

Podczas wakacji, na rok przed ukończeniem studiów, odbył sześciotygodniowy kurs w Ośrodku Medycyny Sądowej Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie nauczył się nie tylko samoobrony, lecz i błyskawicznego trafiania nożem w serce od tyłu. Później dwa

miesiące spędził w leśniczówce wywiadu koło Briesen i na poligonie w Storkowie; tam w mundurze porucznika Narodowej Armii Ludowej szkolił się razem z terrorystami, którzy mieli przedostać się do zachodnich Niemiec, żeby, jak to określała ściśle tajna instrukcja, budzić niepokój w kościołach, salach koncertowych, teatrach, na stadionach, lotniskach. On został wyznaczony do deptania po piętach Polakom.

*

- Długo jeszcze będziesz się moczył, Achim? - dobiegło go zza drzwi łazienki. - Jakąż to zbrodnię popełniłeś, że tak dokładnie się szorujesz? Aha, te swoje głupie tatuaże chcesz zmyć?

Nabrał powietrza do płuc i wolno je wypuszczał.

- Już wychodzę! - Chwilę zastanawiał się, czy na mokre ciało narzucić płaszcz kąpielowy, czy wytrzeć plecy ręcznikiem i pokazać się dziewczynie tak jak go Pan Bóg stworzył. Wybrał to drugie, tym chętniej, że Angelika lubiła patrzeć, jak nabiera powietrza w płuca, napina mięśnie rąk, unosi zaciśnięte pięści i pyta ją, czy kiedykolwiek spotkała lepiej zbudowanego mężczyznę. Zadowolony z siebie wtarł w policzki kilka kropel wody toaletowej, spryskał zarośnięte piersi i uda dezodorantem, przygładził włosy.

- Jesteś taki męski, jak... Harrison Ford z filmu „Podwójna osobowość” - pochwaliła go Angelika, gdy nagi stał na dywanie i zgiąwszy rękę w łokciu, demonstrował przed nią biceps.

Nie widział tego filmu, ale porównanie z Fordem mu się spodobało, zawsze uważał, że jedynie wielcy artyści potrafią zwrócić uwagę kobiet na swoją płeć. Bywając w ich towarzystwie w barze Berliner Ensemble, słyszał, jak reżyserzy filmów wykorzystują różnicę między psychiką mężczyzn i kobiet. Później wiele razy sprawdzał nabytą wiedzę, zawsze ku uciesze Angeliki.

Najpierw zapalił lampkę stojącą na szafce, potem podszedł do kontaktu przy drzwiach, przygasił światło u sufitu i stanąwszy w cieniu patrzył, jak Angelika z gracją tancerki zdejmuje koszulkę. Usiadł na brzegu łóżka niby lekarz domowy, pociągnął nosem i dopiero wówczas poczuł zapach dobrych perfum. Angelika spoglądała na jego muskularny tors z lekko rozchylonymi ustami, ukazując naprawdę perliste zęby, jak modelki w czasopiśmie. Joachim pochylił się nad

kopczykami jej nie za dużych, lecz twardych, nabitych piersi i delikatnie objął sutek wargami. Dotknął jej dłoni, ramienia, szyi, opuszkami palców wędrował wypukłościami bioder coraz bardziej kulistych i napiętych. Angelika przymknęła oczy, głowę odchyliła aż na skraj poduszki, westchnęła proszalnie i pociągnęła go na siebie.

- Bez ciebie jestem nikim.

*

Dietrich Vogel syknął niecierpliwie przez sztuczne zęby i zatarł szorstkie dłonie po słowach, które jak bzyczenie komarów docierały do jego uszu. Lubił podsłuchiwać rozmowy młodych w mieszkaniu obok, jednak wolałby leżeć na miejscu Joachima przy tej kokietce Angelice i pieścić jej młodziutkie, aksamitne ciało. Żadna kobieta z bloku przy Gartenstrasse nie umie tak zachwycająco się ubrać i żadna nie stawia nóg tak prosto, gdy przechodzi z chodnika do przystanku autobusowego po drugiej stronie ulicy. Codziennie Vogel waruje przy oknie w kuchni, żeby napaść oczy widokiem wychodzącej i wracającej sąsiadki.

Wyregulował odbiornik, notes rozłożył na stole, wziął długopis między palce i pochylony nasłuchiwał uważnie, o czym ci młodzi za ścianą będą rozmawiali, gdy nasycą się sobą wzajemnie.

Od maja wieczór w wieczór, zamiast oglądać telewizję, Vogel podsłuchuje rozmowy Angeliki i Joachima; nawet nie wie, jaki to ma sens, skoro zawsze składa meldunki o tej samej treści: ona opowiadała o swojej redakcji, on pytał, czy go kocha albo skarżył się na nadmiar pracy. Kogo dziś interesują takie informacje? Gdyby oni rozmawiali o polityce, naśmiewali się z kanclerza Schrödera czy prezydenta Raua, Vogel nie miałby najmniejszych wątpliwości, że spełnia swój obywatelski obowiązek... A może jednak te meldunki są komuś potrzebne?

Vogel od dziecka był posłuszny. Kazali zapisać się do Hitlerjugend, nie stawał okoniem jak jego starszy brat, który w końcu też wziął karabin i bił się w Afryce o przestrzeń dla wielkiej Trzeciej Rzeszy. Powiedzieli, że pojedzie na front wschodni, to pożegnał się z żoną, chłopcami, i poprosił Boga, aby nie oddawał go Iwanowi, który miał być bezlitosny; tak powiadali ci, którzy wracali z Rosji na urlop i leczyli odmrożone palce. Oni mieli rację. Sześć lat mordował

się Vogel na budowie kanału Białomorskiego, później w kopalni nad Zatoką Nogajewa, przestał wierzyć, że wróci do domu, gdzie czekała Sigi i dorastający chłopcy. Gdy w 1957 roku wysiadł z wagonu towarowego na stacji granicznej we Frankfurcie, a było to w połowie lipca, postanowił, że zostanie kucharzem. Dlaczego, nad tym się nie zastanawiał. I był nim aż do lipca tego roku, do emerytury. Zaraz po powrocie, kiedy odurzony swobodą nie mógł napchać żołądka białym chlebem, dwaj jegomościowie kazali mu wypełnić deklarację członkowską Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, ale nie wytłumaczyli, co ma tam robić. Potem ci sami polecili, nie tylko jemu, bo także Sigi i synom, głosować na kandydatów Frontu Narodowego. Bez pytania o zgodę zapisali go do Towarzystwa Przyjaźni Niemiecko-Radzieckiej, co oznaczało, że każdego miesiąca musiał oddać jedną markę ze swej niewielkiej pensyjki. Za to miał prawo starać się o skierowanie na wycieczkę do Moskwy, Woroneża, Leningradu, ale bał się tam jechać. Aha, co cztery lata mógł wybierać delegatów na zjazd krajowy Towarzystwa. Jednak najczęściej w godzinach zebrzań wyborczych przygotowywał wystawne kolacje dla tych, którzy przyjeżdżali z Berlina.

Jednego mu zabronili: przyznawać się, że ma cokolwiek wspólnego ze służbą bezpieczeństwa. To i nie wiedział o tym żaden z ośmiu dowódców pułku ani nawet kochana Sigi. W maju tego roku przypomnieli sobie o nim, przyszli w samo południe, założyli w pokoju małeńki odbiornik światłowodowy, wytłumaczyli, co robić i jak pisać meldunki. Z pisanem ma największy kłopot, bo odwykł od trzymania długopisu, lecz nie potrafi sprzeciwić się ich poleceniu. Od dziecka wie, że wszędzie musi być porządek.

Okrzyk Angeliki, pełen rozkoszy, wyrwał Vogla z rozpamiętywania; szybko poprawił regulator fonii, notes przycisnął do kolana i czekał zgarbiony na słowa, ale niczego nie usłyszał. Zamiast tego popisującego aparatu w cudacznej skrzynce z łamaną anteną mogli zamontować mikrokamerę, rzekł w myślach, przynajmniej popatrzyłbym sobie, jak ci dwoje za ścianą figlują w łóżku.

Znowu zapadł głęboko w fotel. Sigi też była urokliwa, zgrabna, umiała kochać się z nim jak Angelika z Joachimem, czasem nie zdążył zjeść kolacji, bo Sigi wołała go do łazienki, żeby umył jej plecy albo podał ręcznik, który zawsze wisiał nad wanną. Przecież mogła wyciągnąć rękę...

- Proszę cię, Achim, mój święty mężczyzno, skończ te studia, pomyśl o nas... żeby nie było za późno... - usłyszał urywany głos Angeliki. - Czegoś bym się napiła. W lodówce powinna być pepsi-cola.

Łóżko zaskrzypiało. Joachim wstał niechętnie, dudniąc bosymi piętami po linoleum poszedł do kuchni, otworzył lodówkę, człapiąc wrócił do sypialni. Angelika zaniósła się serdecznym chichotem, jakby zobaczyła coś niezwykłego. Po chwili odbiornik Vogla wypełniła ta nowoczesna muzyka, której tak nie lubi, nadawana przez radio i telewizję, zagłuszająca rozmowy w knajpach, sklepach, autobusach, nawet podczas festynów i targów.

Vogel starał się wyłowić choćby strzępy zdań, lecz było to niemożliwe, bo przesłaniało je szczekanie gitar i postękiwanie perkusji. Ze złością wyłączył odbiornik. Zdecydował, że przepisze wczorajszy meldunek, powtórzenie meldunku przedwczorajszego. Jutro po śniadaniu zanieś go do knajpy przy moście, dostanie za to dwadzieścia marek i duży kufel schultheissa. Ale najpierw będzie czatował w oknie na Angelikę, popatrzy na jej plecy, biodra, nogi, przymknie oczy i wyobrazi sobie, że to Sigi idzie po sprawunki do sklepu.

*

Pułkownik Maller zawsze w piątek przed południem wchodził do siedziby firmy konsultingowej Deutschlandbild 2000 GmbH; w rzeczywistości była to willa, w której czekali na niego ludzie z rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego. SWR pod kierownictwem Jewgienija Primakowa, późniejszego premiera rządu Federacji Rosyjskiej, przejęła wszystkie zadania dawnego Pierwszego Zarządu Głównego KGB. Tak naprawdę to niewiele się zmieniło, stwierdził w myślach Maller. Kiedyś spytał pułkownika Pticzkina vel doktora Grubera, dlaczego wywiad rosyjski wynajmuje pomieszczenia w pobliżu dawnego dowództwa Zachodniej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej w dzielnicy Karlshorst. Przecież większość berlińczyków pamięta, kto zdewastował wille, pałacyki i parki w tej części stolicy Niemiec.

- Owszem, pamięta, ale nie podejrzewa, że wróciliśmy na stare śmieci - odparł Pticzkin nie bez racji. - Zresztą, drogi pułkowniku, jaka to różnica, gdzie jesteśmy? Liczy się skuteczność naszego działania, a tej, jak pan zapewne dobrze się orientuje, od czasów Dzierżyńskiego można nam zazdrościć.

O godzinie 11.50 Maller zatrzymał swoje audi przed budynkiem dawnej szkoły inżynierskiej, w którym 9 maja 1945 roku został powtórzony akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. Od tamtego dnia przez 45 lat Sowietci byli panami Karlshorstu, wschodni berlińczycy zaś udawali, że niczego nie widzą. Jeszcze dziesięć lat temu pułkownik Maller wjeżdżał aż na podwórze dowództwa Zachodniej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, nigdy nie przekręcał kluczyka w drzwiach samochodu, nikogo się nie obawiał, a czuł się pewnie i bezpiecznie. Teraz musiał przykleić sobie brodę i wąsy, włożyć perukę na głowę, choć to nie ma sensu, bo z jednego okna obserwuje go *maładiec* z SWR, z drugiego lornetuje *boy* z CIA albo z MI6, piętro wyżej wypatruje agent francuskiego wywiadu DGSE, a każdy ma stymulator elektroniczny i słyszy nawet bicie serca Mallera. Berlin jest nafaszerowany agentami, szpiclami, wywiadowcami, konfidentami, tajniakami, kapusiami i innym sprzedażnym tałatajstwem. Choć dawno skończyła się zimna wojna, wywiady nie urlopują, przeciwnie, w archiwach i na ulicach szukają dowodów kompromitacji wschodnich Niemców, ośmieszają ich, ujawniają stare powiązania z Kadafim i Arabami, obwiniają komunistów, skrajnych socjalistów, liberałów, narodowców. Ta epoka skończy się za ćwierć wieku. Do tego czasu niemiecka centrala służb specjalnych zdąży wyszkolić nowe zastępy asów wywiadu, aby za jakiś czas także ich ujawnić i ośmieszyć.

- Jestem umówiony na spotkanie z doktorem Gruberem - rzekł Maller wyniośle.

- Pańskie nazwisko?

Portier, mężczyzna w błękitnej koszuli pod granatową marynarką, zmierzył go z wyraźną wyższością. Był to ktoś nowy w firmie, kogo Maller widział pierwszy raz.

- Nigdy mnie tak nie traktowano - udał oburzonego.

- Proszę pana o nazwisko.

- Maller. Profesor ekonomii uniwersyteckiej Maller.

Staruch zgiał się w kabłąk nad sitkiem mikrofonu wbudowanego w niepokąźny pulpit, wcisnął zielony klawisz i tkwił tak nieruchomo. Po chwili uchylił okienko i kategorycznym tonem oznajmił:

- Proszę czekać w holu. Zaraz ktoś po pana przyjdzie.

- Sam trafię do doktora Grubera.

- Takie mam polecenie, panie profesorze.

Maller, wściekły jak sto diabłów, zapalił papierosa i oparty plecami o fotel z ukosa lustrował portiera. Postanowił, że nie daruje Pticzkinowi tej zniewagi. Nigdy się nie zdarzyło, aby ktokolwiek zatrzymał go już na parterze i kazał czekać jak byle komu.

- Proszę wybaczyć, panie profesorze. - Gruber vel Pticzkin powiedział to głosem donośnym i jakby ze wstydem. - Ze względu na konkurencję musimy być coraz bardziej ostrożni.

- Rozumiem - odrzekł szorstko Maller.

Pticzkin kazał sekretarce podać dwie filiżanki kawy ze śmietanką, wyjął napoczętą butelkę rasputina z barku, rozlał wódkę do kieliszków na wysokich nóżkach i dopiero wtedy usiadł w fotelu na wprost swego gościa. Założywszy nogę na nogę, przymrużył powieki, jakby nie wiedział, od czego zacząć rozmowę. Jeszcze dziesięć lat temu mówił tylko po rosyjsku; jedynie niektóre, trudniejsze zwroty przekładał na niemiecki.

- Jeseniewo potwierdza, że zadanie musi zostać wykonane dwiętego listopada po południu. Może pan przygotować szczegółowy plan akcji najpóźniej do końca tego miesiąca? - Podniósł się i nie czekając na odpowiedź dodał: - Będzie pan, pułkowniku, osobiście odpowiedzialny za jej przeprowadzenie... i powodzenie.

- A jaką rolę wyznaczył pan Neiberowi?

- On już panu nie pomoże.

- Dlaczego? - spytał, choć zawsze tłumaczył swoim podwładnym, że agent służby bezpieczeństwa nigdy nie zadaje pytań. - Neiber osobiście...

- Proszę nie pytać. Szczegóły pozna pan jutro z gazet.

Nie podobał mu się Pticzkin, nie lubił tych młodych pułkowników, co to sprawniej władają angielskim czy niemieckim niż językiem ojczystym. Tacy jak Pticzkin wszystko wiedzą najlepiej. Pokonczyli zagraniczne uniwersytety, popraczykowali w ambasadach, posmakowali w najdroższych restauracjach świata, potrafią dyskutować o literaturze, bywają na koncertach symfonicznych, odpoczywają w sławnych kurortach, ubierają się modnie. Starzy agenci KGB jedli łyżkami kartofle, a kotlety brali palcami, lecz nigdy nie wywyższali się, chociaż powinni nosić głowy wysoko, skoro byli panami wschodnich Niemiec.

Rosjanin wypił wódkę, wziął z biurka paczkę stuyvesantów, Mal-
lera nie poczęstował, nawet go nie spytał, czy nadal pali.

- Do rzeczy - ponaglił pułkownika, zaciągając się dymem. - Co
jeszcze pan przyniósł?

Maller rozłożył na stoliku poranne wydanie „Frankfurter Zeitung”
i wskazał palcem notatkę na pierwszej stronie gazety, tuż pod komen-
tarzem redakcyjnym, opasanym niebieską ramką.

*Wczoraj późnym wieczorem, w toalecie restauracji Sambuca w Zie-
lonej Górze, nieznany osobnik zamordował przedstawiciela browaru
z miejscowości Rendsburg koło Hanoweru. Polska policja podejrze-
wa, że zbrodni dokonał młody mężczyzna przy użyciu noża sprężyno-
wego. Niestety, nie udało się ująć zabójcy ani trafić na jego ślad.
Szatniarz zapamiętał około trzydziestoletniego blondyna w skórzanej
kurtce, który miał szramę na policzku. Jest to już trzeci mord w tym
miesiącu na osobie obywatela niemieckiego w Polsce. Jak się dowia-
dujemy ze źródeł dobrze poinformowanych, Helmut Riese przebywał
w Zielonej Górze w celu kupienia połowy akcji tamtejszego browaru
i zawiązania mieszanej spółki.*

Rosjanin odłożył gazetę, pokiwał głową, wydał usta i milczał, jak-
by analizował treść notatki, a Maller oczekiwał pochwały.

Rozległ się telefon, Pticzkin bez ociągania podszedł do biurka,
podniósł słuchawkę.

- Zrozumiałem - rzucił po niemiecku, do Mallera zaś powiedział: -
Niezgorsza robota, lecz za wcześnie. Pospieszyliscie się...

- Takie były uzgodnienia - przypomniał mu Niemiec.

- Pamiętam, jeszcze nie cierpię na Alzheimera. Pospieszyliscie się
z poinformowaniem gazety. Nie uważam tego za poważny błąd, nie -
uspokoił go Rosjanin. - Jakie są głosy czytelników?

Tego Maller nie wiedział.

- Nadal obowiązuje stara, sprawdzona w naszym fachu zasada: im
więcej podobnych informacji w prasie, tym łatwiej trafić do celu -
oświadczył Niemiec. - Liczy się wyłącznie sukces. Wam i nam chodzi
o to samo. O paradę zwycięstwa, prawda?

- Co ma pan na myśli? Jaką paradę? Kto tu jest zwycięzcą? - po-
wiedział Pticzkin ze śmiechem. - No, już dobrze, żartowałem.
„I Czyczykowowie na kilka chwil stają się poetami.” To nie ja wymy-
śliłem, to Gogol napisał.

Skurwysyn, pomyślał Maller i westchnął przeciągle. Nie lubił pewnych siebie facetów.

- Nam też jest coraz trudniej. Jeden Rosjanin rozpieprzył cały system, drugi dał dupy „Niedźwiedziowi”, trzeci bohater na Kremlu nie odróżnia imperium od imperializmu - powiedział Pticzkin, szczerząc zęby, jakby obciążnięte dobrze wykrochmalonym płótnem.

Maller zazdrościł mu zębów. Ilekroć rozmawiał z Rosjanami, zawsze wpatrywał się w ich mocne uzębienie i pytał siebie, dlaczego ludzie ze wschodu są tak zdrowi.

- Za nami miała pójść Europa, za nią reszta świata, a staliśmy się pośmiewiskiem Kosmosu.

- Musimy więc wspólnie zrobić wszystko, żebyście odzyskali dawną pozycję. To nie będzie takie trudne, pod warunkiem...

- Do rzeczy, profesorze. Przygotował pan wstępny plan akcji?

- W zasadzie tak.

Pticzkin zeszytnął na moment.

- Co to znaczy: w zasadzie?

- Jeżeli rozmowy zaczną się i skończą po naszej stronie, trzeba opracować dwa warianty akcji. A jeśli spotkanie zostanie dokończzone w Słubicach, jak sobie życzą Polacy, plan nie wymaga...

- Ma pan jakieś wątpliwości? - przerwał mu Pticzkin. - Czyżby uważał pan naszych ludzi za amatorów? Po wojnie wasze służby uczyły się od nas, później przerośliście nauczycieli, a teraz nauczyciele wykorzystują doświadczenia swoich uczniów.

Gówniarz, pomyślał o nim Maller i wyciągnął rękę po kieliszek.

- Za twórcze współdziałanie, panie profesorze. - Pticzkin roześmiał się zadowolony. - A swoją drogą współczuję wam. Nie panu osobiście, lecz pańskim przyjaciółom. Pan dostaje emeryturę, ma jakiś kapitał na koncie w banku szwajcarskim... Niech pan nie zaprzecza, SWR i to sprawdziła... Żal mi tych młodych, odważnych chłopaków, którzy już na starcie przegrali swoje życie. Dobrze się zapowiadali.

- Dlatego teraz SWR wykorzystuje ich do swoich sprawek - zachnął się Maller. - A może pan zaprzeczy, pułkowniku?

Pticzkin chodził po gabinecie z rękami po łokcie utopionymi w kieszeniach spodni. Zatrzymawszy się przy oknie, rozchylił żaluzje i kiwając głową, wpatrywał się w alejki parkowe pełne starców chro-

niących wzrok przed jeszcze mocnym słońcem. Lubił obserwować ruch podmiejski na trasie poczdamskiej. Po drugiej stronie parku stoi secesyjna kamienica, na pierwszym piętrze jest czteropokojowe mieszkanie z ogromną łazienką i widną kuchnią. Kiedyś będzie musiał je opuścić. Przeciętny pułkownik Federalnej Służby Bezpieczeństwa w Moskwie nie ma takiego mieszkania, powinien więc Pticzkin starać się o to, żeby być nieprzeciętnym, a to zależy tak samo od Bielewa, jak i od Maller. Ale gdyby Maller wiedział, że jest tylko pionkiem na szachownicy ustawionej przez SWR, nigdy nie zgodziłby się na współpracę z Rosjanami. Cóż, żyjemy w czasach, kiedy nie każdy, kto miał dystynkcje pułkownika, pozostał prawdziwym pułkownikiem.

- Gdybyśmy spartolili robotę ...?

- Przypadek z Schaublem nie może się powtórzyć. - Całe szczęście mojego poprzednika, myślał Pticzkin, że był zięciem Primakowa i nie interesował się polityką. - Wiele zależy od pana, profesorze Maller. - Chciał jeszcze coś dodać, ale tylko machnął ręką i zrobił krok w stronę biurka, w którym trzymał PSM kaliber 5,45 milimetra. Jednak po chwili powiedział stanowczo: - Musicie powstrzymać „Niedźwiadka”. Najlepiej na zawsze. Nie wolno zrobić następnego kroku. Jasne?

- Jeśli to się nam uda, w co nie wątpię, znajdą się inni, jego wzorowi uczniowie. Czy pan myśli, że Bruksela zmieni zdanie? Ona już dawno postanowiła, kto i kiedy zostanie przyjęty do Unii Europejskiej. Rosja, choćby Pana Boga wezwała na pomoc, i tak jest na pozycji straconej. Czy inaczej było z poszerzaniem NATO? Pomogły wasze protesty? Psu na budę zdały się wszelkie akcje SWR, panie pułkowniku.

Pticzkin zmarszczył brwi. Myślał identycznie, mimo to rzekł surowo:

- Nic panu do naszych spraw. Nikomu nie płacimy za doradztwo polityczne. To przecież my jesteśmy firmą konsultingową - dodał ironicznie.

- Przepraszam. - Maller wstał. - Będzie tak, jak pan tego oczekuje. Proszę zapewnić swoich mocodawców, że moja grupa przeprowadzi akcję „Niedźwiadek” zgodnie z zasadami sztuki zмовy.

*

Członkowie kolegium dziennika „Frankfurter Zeitung” już drugą godzinę zastanawiali się, kogo posłać do Zielonej Góry. Polska policja nie zechce rozmawiać z niemieckim dziennikarzem bez oficjalnej zgody ministra spraw zagranicznych, a na taką zgodę trzeba czekać kilka dni. Na początku ubiegłego tygodnia w barze hotelu Qubus został zadżgany pastor z Berlina, w sobotę nieznany sprawca zamordował kupca monachijskiego, który na noc zatrzymał się w zajeździe Pod Lipą, wczoraj w Sambuce zginął przemysławiec z Rendsburga. Redaktor naczelny był przekonany, że te trzy zabójstwa nie są zwykłymi napadami kryminalnymi, jakie mogą się zdarzyć na obrzeżach państw, skoro miały miejsce na miesiąc przed spotkaniem kanclerza Schrödera z szefem polskiego rządu we Frankfurcie. Hipotezę łatwo postawić, trudniej ją udowodnić.

- Wychowałem się w Stuttgarcie i chyba dlatego nie rozumiem wielu spraw na niemiecko-polskim pograniczu - przyznał się samokrytycznie redaktor naczelny. - Czasem irytują mnie polskie oceny sytuacji, ta ich nonszalancja, ale pewnie Polaków też coś razi w naszym postępowaniu.

- Tego, co się ostatnio dzieje w Zielonej Górze, niczym nie można wytłumaczyć. Trzy zabójstwa Niemców w ciągu dekady... - powiedział pierwszy zastępca redaktora naczelnego, także wychowany w Stuttgarcie. - Czy oni nie uświadamiają sobie, że w ten sposób oddalają swoje szanse rychłego wejścia do wspólnoty europejskiej? Czy nie wiedzą, że od poparcia kanclerza Niemiec zależy dużo, ba! najwięcej? Przecież nikt nie był tak zdecydowanym orędownikiem Polski jak Kohl i jak jest jego następca Schröder.

- Pan Kohl nigdy nie sprzyjałby Polakom, Czechom i Węgrom, gdyby nie czuł, że ma szansę zostać pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych Europy dzięki poparciu tych państw. On chciał zjednoczyć Europę pod kierownictwem Niemiec. Cóż, nie przewidział, że rodacy wbiją mu nóż w plecy. Teraz pan Schröder chce być cesarzem - powiedział Wolfmann, najstarszy spośród członków kolegium. - Poczynając od Karolingów, przez Ottona III, Habsburgów, Hohenzollernów, na Hitlerze kończąc, szanowni panowie, nasz naród zawsze dążył do tego, żeby sobie podporządkować najpierw Europę, później cały świat. My to mamy we krwi. Zapominamy jednak, że są inne narody, które stawiają przed sobą podobne cele.

- Wschodniackie myślenie - wtrącił redaktor naczelny.

- A Amerykanie? A Rosjanie? - bronił swojej tezy Wolfmann. - Panowie, Rosja straciła swoją pozycję militarną w świecie, ale nie pozwala, żeby jej miejsce zajęły Niemcy. Mimo utraty rangi stawia warunki, których Waszyngton nie odrzuca zdecydowanie i nie akceptuje. Schröder kroczy drogą wytyczoną przez Kohla i też zachowuje się dwuznacznie. To jest niemiecka gra na zmęczenie.

- Dość tej polityki. Trzeba się dowiedzieć, o co chodzi w Zielonej Górze. Czekam na propozycje.

- Mam znajomego w redakcji „Gazety Lubuskiej” - przyznał się Wolfmann. - U jednego z redaktorów bywałem w domu...

- ... i piłeś z nim wódkę wyborową - dokończył zgryźliwie sekretarz redakcji. - To za mało. Potrzebny jest nam ktoś obcy w tamtym środowisku, najlepiej zaufany Niemiec, który bezbłędnie włada polskim językiem.

- Kogoś takiego też znam - pochwalił się Wolfmann.

- Niemiec?

- Nie jestem pewien, ale ma niemieckie obywatelstwo.

- Mieszka we Frankfurcie? - zainteresował się sekretarz, bez którego opinii redaktor naczelny nie podjął żadnej poważniejszej decyzji. Wolfmann wyglądał na zmieszanego.

- Mam na myśli Joachima Jungingena - powiedział cicho.

- Tego, z którym mieszka Angelika? - dociekał sekretarz, mierząc do Wolfmanna z długopisu.

Rozdział II

Późnym wieczorem redaktor Daniel Sateck wracał z Gorzowa swoim nowym fiatem punto, zebrawszy trochę materiału do reportażu o zabójstwie smarkatej prostytutki nad brzegiem Warty. Był cholernie wściekły, bo nikt, wyłączając gromadkę pijusów, nie chciał z nim rozmawiać, policja odsyłała go do prokuratury, prokuratura zaś czekała, aż policja przedstawi jej wyniki śledztwa, które prowadzi jakiś schorowany sierżant z Komendy Miejskiej. Nie pierwszy raz Daniel miał do czynienia z opryskliwymi służbistami, ale to, co go spotkało w prokuraturze miejskiej, oznaczało lekceważenie niezależnej prasy przez urząd państwowy. Gdyby nawet złożył skargę w prokuraturze wojewódzkiej, to na oficjalną odpowiedź będzie czekał miesiąc z górą. Za długo. Musi więc w inny sposób dowiedzieć się, ile prawdy tkwi w tym, że zabójcą prostytutki jest syn zastępcy prezydenta miasta.

Elektroniczny zegarek w radioodtwarzaczu wskazywał 20.48; najpóźniej za kwadrans Daniel będzie w domu. Rano, kiedy wychodził z mieszkania, Miśka mu obiecała, że na kolację przyrządzi sałatkę szopską z kozim serem, co mógłby jeść trzy razy dziennie. Pomyślał też, że zaraz po kolacji zadzwoni do prokuratora wojewódzkiego, bo może tą drogą zdobędzie jakieś wyjaśnienia.

Gdy przekroczył granicę miasta, oznaczoną białą tablicą z czarnym napisem *Zielona Góra*, zdjął nogę z pedału gazu i wtedy usłyszał wyraźne wycie syreny; wydawało mu się, że od strony wiaduktu pędzi kilka karetek pogotowia ratunkowego. Wypadek? Jeśli zaraz w dole ulicy Sulechowskiej zobaczą radiowóz policyjny, pomyślał, to coś poważnego wydarzyło się w hotelu Leśnym. Miał rację: dwa volkswageny policyjne gnały z jękiem opon prosto do hotelu. Daniel też tam pojechał. Przed Leśnym nic się jednak nie działo. Na parkingu stał brudny autokar, kilka okurzonych samochodów osobowych, karetka pogotowia ratunkowego i radiowozy policyjne. Daniel pomyślał, że pewnie odbywają się jakieś ćwiczenia sanitarne albo policjanci sprawdzają działanie nowego systemu łączności, mimo to wysiadł z fiata, niespiesznie podszedł do drzwi, przed którymi sterczał portier w znożonej liberii.

- Wejście wyłącznie dla gości hotelowych.

- A to dlaczego?

- Takie zarządzenie - odparł zdecydowanie portier i uniósł głowę, posyłając spojrzenie aż za stadion.

Daniel wyjął legitymację prasową z torby, z którą nigdy się nie rozstawał - miał w niej magnetofon, mapy, spis telefonów, dwa notatniki - lecz portier nadal stał w rozkroku na sztywnych nogach, z rękoma splecionymi i zasłaniał sobą drzwi do hotelu.

- Ja pana znam, redaktorze - powiedział tym samym zdecydowanym głosem.

- Nareszcie przyjazna dusza - ucieszył się Daniel. - Pozwoli pan?

- Zabronione osobom nieupoważnionym.

- Wejście do hotelu zabronione? Przez kogo, jeśli można wiedzieć?

- Taż nie ja... Dyrektor zabronił, ot co - odrzekł stary.

- Wobec powyższego chcę rozmawiać z dyrektorem.

- Pan redaktor usiądzie na ławeczce, poczeka, wyjdzie dyrektor...

- Chociaż niech mi pan powie, co tu się stało? - naparł na niego Daniel.

- Nic. Co się miało stać? Hotel jak hotel.

- Nic?

- Nic - powtórzył portier i uciekł wzrokiem na stadion.

- A policja? A karetka pogotowia? A pan, zachowujący się jak wartownik przed prochownią w stanie wojennym?

Portierowi musiało spodobać się to porównanie, bo uśmiechnął się i pokręcił głową z zadowoleniem.

- Panie redaktorze, dyrektor mnie tu postawił i zabronił cokolwiek mówić. Ja chcę spokojnie doczekać do emerytury, ot co.

- Niech pan wezwie dyrektora albo kogoś z recepcji.

- Mam tu stać i nikogo nie wpuszczać do hotelu.

Daniel wyciągnął portfel z torby, wyjął z niego dwa dolary. W oczach portiera natychmiast pojawił się blask.

- Na dole, jak restauracja, w ubikacji znaleziono nieboszczyka.

- Morderstwo czy zgon naturalny?

Portier rozpostarł ręce, wydał usta, przekrzywił głowę. Tego nie wiedział.

Z bocznej alejki, łączącej przyhotelowy parking z drogą między-

narodową, wytoczyła się biała mazda i z piskiem hamulców zatrzymała się przed schodami Leśnego. Kiedy wysiadł z niej prokurator, Daniel rzucił niby od niechcenia:

- Znowu byłem pierwszy. Zasluguje na wartościową nagrodę.

Portier otworzył drzwi przed prawnikiem, lecz gdy Daniel usiłował dostać się do hotelu tuż za jego plecami, cieć zagroził mu drogę.

- Panie, złożę skargę.

- I po co? - spytał prokurator, przytrzymując drzwi ramieniem. W holu rzekł do Daniela: - Umawiamy się, że bez uzgodnienia ze mną nie napisze pan ani słowa o tym, co tu się wydarzyło.

- Nie mam innego wyjścia. - Daniel spojrzał pytająco na prokuratora: - A co tu się wydarzyło?

Przy recepcji stało może z dziesięć osób, wpatrzonych w drzwi ubikacji. Kobieta w atłasowym szlafroku i kapciach z pomponikami przekonywała statecznego mężczyznę, że natychmiast powinni wyjechać z Leśnego. Jeśli decyzji nie podejmą w tej chwili, to jak wszyscy goście hotelowi zostaną zatrzymani przez policję i będą przesłuchiвани, a jej się bardzo spieszy do syna, z którym się umówiła w kawiarni Terzo Mondo w Berlinie.

- Przykro mi to państwu komunikować, lecz bez zgody odpowiedniej służby dochodzeniowo-śledczej nikt nie opuści hotelu - oznajmiła recepcjonistka. Było widać, że należycie została przeszkolona przez dyrektora.

- Ależ to oburzające! Żyję w wolnym kraju! - wykrzykiwała kobieta w atłasowym szlafroku. - Jak oni nas traktują?! Zrób coś! - atakowała towarzyszącego jej mężczyznę, pewnie męża.

- Drodzy państwo, proszę wrócić do swoich pokoi i nie utrudniać pracy policji - nakazała krótko recepcjonistka.

Z toalety dla mężczyzn wyszedł zdenerwowany dyrektor hotelu. Dostrzegłszy prokuratora, powiedział jakby się usprawiedliwiając:

- Nigdy dotąd w Leśnym nie popełniono morderstwa.

W ciasnej, dopiero co odmalowanej toalecie nie było miejsca dla Daniela, przywarł więc plecami do ściany przy rozwartych na oścież drzwiach i starał się zrekonstruować zdarzenia ze strzępów zdań, jakie do niego docierały. Po dłuższym wsłuchiowaniu się w urywaną rozmowę między prokuratorem, lekarzem i policjantami wiedział, że w dru-

giej części toalety, przy pisuarze leży na posadzce ubrany w garnitur w paski może czterdziestoletni mężczyzna, który wprowadził się do Leśnego zaraz po obiedzie. Razem z nim przyjechał dyrektor tutejszej fabryki mebli giętych i tłumacz. Łamaną polszczyzną mężczyzna wyjaśnił recepcjonistce, że jest przedstawicielem niemieckiej firmy meblowej, zainteresowanej utworzeniem spółki joint venture z przedsiębiorstwem zielonogórskim. Ostatnią informację przekazał Danielowi sierżant z wydziału dochodzeniowego policji, którego znał od lat.

- Czy już kogoś podejrzewacie?

- Sierżant klepnął Daniela w ramię i pokręcił głową przecząco.

Przybyły na wezwanie policji prezes zarządu fabryki mebli najpierw nie chciał rozmawiać nawet z prokuratorem, później oznajmił nie wiadomo po co, że jego firma może wynajmować pokoje w każdym hotelu, jednak gość z Niemiec, który przygotowuje projekt statutu spółki z kapitałem międzynarodowym, mieszanym, dodał, uznał Leśny za najbezpieczniejszy hotel w mieście.

Prezes zachowywał się dziwnie, jakby był chory psychicznie albo podpity czy skacowany, jękał się, bez przerwy to wycierał nos, to składał chusteczkę w cegielkę. Dopiero gdy policjant zaprowadził go do toalety i pokazał nieboszczyka, prezes zbłądł i po namyśle potwierdził, że są to zwłoki Franza Ehrspurgera.

- Zawał? Atak serca? Wylew? - zgadywał, łypiąc oczyma to na lekarza, to na policjanta, to na prokuratora.

- Wykluczone - odezwał się zbytecznie dyrektor hotelu. - Morderstwo.

- Morderstwo? Znaczy, że został... Pan w to wierzy? - pytał prezes, wspinając się na palce obu nóg, jakby chciał zajrzeć lekarzowi w oczy.

- Bzdura!

Prokurator zmierzył go nieufnym spojrzeniem.

- A co pan, prezesie, może na ten temat powiedzieć?

- Po obiedzie, kiedy doktor Ehrspurger zajął apartament, spotkaliśmy się w salce bankietowej przy restauracji. Nie zaprzeczam, wypiliśmy troszkę i około szóstej tłumacz odwiózł mnie do mojego gabinetu na terenie przedsiębiorstwa, gdzie miałem zamiar przygotować dodatkowe materiały. Jutro z samego rana zamierzałem przystąpić do rozmów konkretyzujących umowę. Proszę pana - prezes wyciągnął palec

w stronę prokuratora - czy na pewno doktor Ehrasperger został zamordowany z premedytacją? Ten fakt skomplikuje utworzenie spółki. Załoga liczyła na podwyżkę płac. Może to jednak był niezwyklejszy zawal?

- Wszystko się wyjaśni po sekcji zwłok.

Daniel przypomniał sobie, że przed tygodniem, w toalecie męskiej restauracji Sambuca i w hotelu Pod Lipą, za pomocą noża zostali zamordowani dwaj Niemcy. Wtedy aspirant policji, prowadzący śledztwo w zastępstwie nadkomisarza Syskiego, powiązał zabójstwa z napadami rabunkowymi, jakie miały miejsce wieczorami na parkingu przed domem towarowym Hermes. Jego hipotezy nikt nie podważał, a materiały zebrane w toku dochodzenia nie wykluczały rabunku. Skąd w dotąd spokojnym mieście aż trzy zabójstwa?

Gdy w przedsionku toalety zrobiło się troszkę luźniej, Daniel przepchał się do drugiego pomieszczenia. Pod pisuarami, twarzą do posadzki, leżały zwłoki mężczyzny w garniturze. Policyjny fotograf robił zdjęcia, aspirant w cywilnym ubraniu sprawdzał zamki okien i kabin. Morderca mógł dostać się do toalety tylko przez drzwi. Pewnie siedział w holu i obserwował Niemca, pomyślał Daniel. Jeśli mam rację, to dlaczego recepcjonistka nie zapamiętała jego twarzy. A może Niemca zaciukał zawodowy morderca, wynajęty przez konkurencyjną fabrykę mebli?

- Czy ofiara została ograbiona z kosztowności? - spytał prokurator, wracając z korytarza do toalety.

- W portfelu znaleźliśmy prawie tysiąc marek, dokumenty na nazwisko Franza Ehraspergera i kilka wizytówek. W kieszeni marynarki miał polskie pieniądze oraz kartę hotelową.

Sierżant podciągnął mankiet koszuli nieboszczyka - ukazał się duży złoty albo pozłacany zegarek. Przegub prawej ręki opasywała gruba bransoleta, wysadzana przezroczystymi kamieniami.

Prokurator westchnął tylko i odwrócił się do stojącego za jego plecami Daniela.

- A co pan, kolego, o tym sądzi? Gdzie szukać punktu zaczepienia?

- Widzę związek między napadem w Sambuce, jeżeli wtedy był napad i tym, co się wydarzyło dziś w Leśnym.

- Nie wiązałbym tamtej sprawy z nim - prokurator wskazał głową

zwłoki na posadzce. - Chociaż słusznie pan zauważył, są jakieś podobieństwa.

- To kopia tamtego zdarzenia - wtrącił sierżant.

- Znalazł pan coś w jego pokoju, w samochodzie ...?

- Na razie nic istotnego. Zabezpieczamy ślady, a kiedy przyjedzie komisarz Syski, będziemy je analizowali.

- Panu pewnie się spieszy do redakcji? I chciałby pan umieścić informację w jutrzejszej gazecie?

Daniel przytaknął, choć zdawał sobie sprawę z tego, że prokurator niewiele mu pomoże. O tej porze Miśka jest w domu, więc wyniki sekcji zwłok mogą być znane najwcześniej jutro około południa, a bez opinii jego żony, nikt nie poda nawet domniemanej przyczyny śmierci Niemca. W gruncie rzeczy ma dwa wyjścia: albo powołać się na obserwacje własne i przypuszczenia sierżanta, albo poczekać na Syskiego, który na pewno powie mu więcej niż prokurator. Spojrzał na zegarek: minęła dziesiąta. A jeśli komisarz przyjedzie za godzinę? Redaktor prowadzący tak długo nie będzie czekał z zamknięciem jutrzejszego numeru „Gazety Lubuskiej”. O północy drukarze muszą włączyć maszyny, żeby o czwartej, kiedy odlatuje pierwszy samolot z lotniska w Babimocie do Warszawy, pasażerowie mieli czym się ekscytować.

*

Sekretarka, pani Ala, bardzo dobrze знаła przyzwyczajenia swego szefa, człowieka jeszcze młodego, lecz już dostatecznie obytego z zawodem dziennikarskim i polityką. Podała mu mocną herbatę w szklance i spytała, czy będzie mogła wyjść wcześniej do domu. Naczelny spojrzał na nią z ukosa, syknął przez zaciśnięte zęby i wzrok przeniósł za okno, jakby o czymś zapomniał. Pani Ala wycofała się, w rozwartych drzwiach czekała na odpowiedź.

- Tak... Poradzę sobie. Nim pani wyjdzie, proszę zawiadomić redaktora Satecka, aby wpadł do mnie za piętnaście minut. A teraz niech pani połączy mnie z drukarnią.

Polecenie wydane ostrym tonem zawsze oznaczało, że naczelny jeszcze nie jest wściekły, ale z byle powodu może trzasnąć pięścią w blat biurka.

Sekretarka wybrała numer wewnętrzny 129 i gdy usłyszała głos Daniela w słuchawce, powiedziała śpiewnie:

- Szef ma wisielczy humor.
- Czyżby z mojego powodu?
- Od powrotu z Frankfurtu jest jakiś taki, że lepiej do niego nie podchodzić i o nic nie pytać.
- Nie mam zamiaru...
- Ale będzie pan musiał. Za kwadrans niech pan wejdzie do pokoju szefa.

Rano redaktor naczelny był umówiony z wydawcą „Frankfurter Zeitung”; chodziło o wymianę dziennikarzy zajmujących się problemami społecznymi i politycznymi. Od wielu lat zielonogórskie i frankfurckie gazety zamieszczały na swoich łamach materiały z pogranicza. Na prawym brzegu Odry zmieniło się dużo, ale po tamtej stronie jeszcze więcej i w błyskawicznym tempie. Ludzie już nie pamiętają, kiedy runął najwyższy mur świata, upadła republika wschodnia Niemiec, odeszła epoka rozbieranego ustroju socjalistycznego, wymyślonego w dziewiętnastym wieku przy zastawionym stole. We Frankfurcie przestał się ukazywać dziennik partyjny „Neuer Tag”, starzy redaktorzy, wyszkoleni na wakacyjnych kursach w Berlinie i Moskwie, odeszli na emerytury, ich miejsca zajęli nowi. Zmienił się nie tylko wydawca frankfurckiej gazety, lecz i jej tytuł, winieta oraz format, nawet siedziba redakcji. „Frankfurter Zeitung” zaprzeczała, że jest ona spadkobierczynią dziennika „Neuer Tag”, mimo to utrzymywała kontakty z „Gazetą Lubuską”, która miała w Zielonej Górze konkurentkę w postaci „Echa Zachodniego”.

- Co o tym myślisz? - Naczelny podał Danielowi najświeższy numer frankfurckiego dziennika.

- Solidne łamanie bloczkowe, perfekcyjnie wykonane zdjęcia, druk offsetowy. Ten poziom edytorski osiągnęliśmy już dawno. Nie ma czym się zachwycać.

- Na pewno?

- Chyba że chcemy przejść na druk wielokolorowy każdej strony.

- Przejdziemy, przejdziemy, ale najpierw musimy nauczyć się zbierać informacje - rzucił wściekle naczelny. I nie czekając, aż Daniel przeczyta tytuły na pierwszej stronie, wskazał palcem notatkę pod

komentarzem redakcyjnym: *W Zielonej Górze znowu zginął obywatel Niemiec.*

A więc o to ci chodzi? Tu jest źródło twego rozdrażnienia, szefie? Daniel wbił się w fotel, zagryzł usta, ręce położył na poręczach, bo czuł, że pocał mu się dłonie. Nogi miał jak wypchane watą. Zrobiło mu się gorąco.

- Oni lepiej się orientują w tym, co się u nas dzieje. Potrafisz mi to wyjaśnić?

- Nie.

- Może ktoś spośród nas dla nich pracuje, co?

- Nie wiem.

- Ty nie wiesz. Ja nie wiem. To kto, do cholery, ma wiedzieć?!

Daniel pochylił głowę nad gazetą. Nieznany mu redaktor donosił, że wczoraj późnym wieczorem w hotelu Leśnym został przeбитý długim i cienkim narzędziem, najprawdopodobniej nożem sprężynowym, Franz Ehrasperger, lat trzydzieści osiem, reprezentujący interesy firmy meblowej Barbel Lazar. Redaktor twierdził, powołując się na zaufanego informatora, że Ehrasperger zmarł przed przybyciem lekarza do hotelu.

- Kłamstwo czy prawda? Zmyślają, żeby jutro przeprosić czytelników? Jaki to by miało sens?

- Bardzo dziwne.

- Dziwne, dziwne. Z niemieckiej gazety dowiaduję się więcej o tym, co się u nas wydarzyło, niż z własnego dziennika, którego jestem...

- Szefie, akurat tam byłem - przerwał mu Daniel. - Przed północą wyszedłem z Leśnego. Mogłem napisać kilka zdań o tym zdarzeniu, ale prokurator i Syski mnie prosili, abym się wstrzymał, póki lekarz nie potwierdzi, że Niemiec został naprawdę zaciachany. Bo może zmarł na zawał w kiblu albo jeszcze coś innego mu się przytrafiło. Posłuchałem ich, zresztą musiałem, gdyż innym razem miałbym problemy ze zdobyciem o wiele ważniejszych informacji. Ja muszę dobrze żyć z prokuratorami, policjantami, lekarzami sądowymi, nawet z cieciami i dziewczynami.

- Czytelników nie obchodzą twoje zmartwienia. Oni muszą mieć informacje szybko. Po to kupują gazetę.

Daniel zgadzał się z uwagami szefa redakcji, który rzadko formułował takie zdania, ale kiedy je wygłaszał, to tonem nie uznającym najmniejszego sprzeciwu. Przyznawszy mu rację w myślach, zastanawiał się, w jaki sposób redakcja „Frankfurter Zeitung” zdobyła aż tak wiarygodne wiadomości. Przecież wśród gości hotelowych nie było żadnego dziennikarza zagranicznego. Czyżby baba w atlasowym szlafroku i papuciach z pomponikami współpracowała z frankfurckim dziennikiem? Jedyne ona spieszyła się do Niemiec.

- Nic nie rozumiem. Zabójstwo, jeśli to zabójstwo, miało miejsce około ósmej wieczorem. Prowizoryczne wyniki dochodzenia były znane dwie godziny później. Ty wiesz, ja wiem, że akurat o tej porze są zamykane wszystkie dzienniki. Jak wiadomość dotarła do Frankfurtu, jeśli policja zablokowała wszystkie połączenia telefoniczne hotelu ze światem?

- Z Zielonej Góry do Frankfurtu jedzie się nieco ponad godzinę - stwierdził naczelny nieco łagodniejąc. - Wystarczy, żeby zdążyć przed zamknięciem pierwszej strony gazety.

- To by znaczyło, że ktoś spodziewał się morderstwa - dedukował Daniel, zmarszczywszy czoło. - Czyżby zabójca miał coś wspólnego z „Frankfurter Zeitung”?

- Morderstwa na polecenie gazety, żeby miała o czym pisać? Wykluczone.

- A czy potrafisz inaczej to wyjaśnić?

Zapadła dłuższa cisza. Naczelny wyciągnął się w fotelu, przyklnął oczy i oddychał tylko przez nos; postępował tak zawsze, gdy nie potrafił udzielić odpowiedzi na rzeczowe pytania swoich dziennikarzy. Daniel jeszcze jakiś czas mu się przypatrywał, wstał dopiero wtedy, kiedy naczelny sięgnął po papierosa.

- Znowu czegoś się nauczyłem - stwierdził niby zawstydzony.

- To bardzo dobrze - powiedział naczelny spokojnie, lecz z trudem kontrolowanym tonem.

- Przepraszam cię. Postaram się naprawić błąd. Na razie nie mam najmniejszego pojęcia, jak to zrobić.

Podszedł do obciągniętych czarną skórą drzwi, ale nie nacisnął klamki, coś go zatrzymywało.

- Nie jesteś stażystą - usłyszał i zrobiło mu się głupio.

- Gdybyś spytał, przy okazji najbliższego pobytu we Frankfurcie, w jaki sposób zdobyli akurat tę informację...

- Sam spytasz. W przyszłym miesiącu ktoś powinien jechać na praktykę do „Frankfurter Zeitung”, pomyślałem o tobie.

- W ten sposób chcesz mnie ukarać? Jesteś szefem, a ja jako podwładny mam obowiązek wykonywać twoje polecenia. Wolałbym praktykować u Włochów w Abruzzji, a jeśli w Niemczech, to dalej od Frankfurtu.

Od dawna naczelny był przekonany, że kilkudniowe pobyty w niemieckiej redakcji odrywają dziennikarzy od pracy i niewiele dają, toteż kierował na nie tych podwładnych, którzy zazwyczaj mieli inne niż on zdanie. W ten sposób karał swoich przeciwników. Redaktorzy zaś traktowali pobyty za granicą jak wczasy i z ochotą jechali do Frankfurtu.

*

Minęła godzina 12.38. Daniel nie mógł porozmawiać z Syskim, choć od dziesięciu minut trzymał słuchawkę w lewej ręce, palcem wskazującym prawej wykręcał numer centrali policji, telefonistka przyjmowała zgłoszenie, lecz po kilku sekundach sygnał zamierał.

- Chcemy wydawać nowoczesną gazetę, cholera, a nie mamy sprawnych telefonów. - Rozdrażniony grzmotnął dłonią w biurko, aż kufel z długopisami zadrżał.

Postanowił połączyć się z prokuratorem, nadzorującym sprawę morderstwa w Leśnym, lecz i to nie było możliwe. Sekretarka uprzejmie go poinformowała, że wszyscy prokuratorzy od rana są na cotygodniowej odprawie. Jak długo będzie trwała narada w gabinecie szefa, nie wiedziała.

Miał tylko jedno wyjście: wsiąść do fiata i jechać do budynku policji, znajdującego się na drugim końcu miasta.

Syski porządkował papiery na swoim biurku i wcale się nie zdziwił, że Daniel wybrał tę drogę kontaktu z policją. Od dwóch dni jego telefon wewnętrzny jest nieczynny, monter już wymienił kabel, naprawił gniazdko, a mimo to aparat nadal milczy.

- Zwariuję. Z byle głównem muszę schodzić dwa piętra, do centrali na parterze. Śni się nam członkostwo w Unii Europejskiej. Mamy

ochotę dorównać zachodniej Europie. W jaki sposób, skoro brakuje nam najprostszych urządzeń? Z każdej pipidówki w Holandii można się dodzwonić na Manhattan.

- Przesadzasz jak zwykle. - Daniel starał się go uspokoić, ale i jego trafiał szlag.

- A ty jesteś urodzonym optymistą. Nie wściekasz się, nie krytykujesz, nie masz pretensji do nikogo?

- Staram się dopasować do warunków, w których muszę żyć.

- I dlatego zamiast pisać artykuły utkane z morałów, pędzisz do policji po duperele kryminalne?

Nie zaprzeczył. Akurat w tej sprawie zgadzał się z nadkomisarzem.

- Szef mnie obsztorcował - przyznał się. - Pierwszy raz.

- Dawno powinien to zrobić.

- Czy dociera do was „Frankfurter Zeitung”?

- Co takiego?

- Gazeta codzienna wydawana we Frankfurcie nad Odrą.

- Kto by to czytał? Trzeba znać język. Na naszą prasę zawodową brakuje pieniędzy. W czerwcu prosiłem bibliotekarkę, żeby mi zaprenumerowała biuletyn kryminalny. Bez zgody szefa nie mogę, powiedział. Poszedłem do komendanta, a on kazał mi napisać podanie z uzasadnieniem i czekać na decyzję centrali.

Do pokoju wszedł aspirant i nie zwracając uwagi na Daniela, podał Syskiemu protokół oględzin sądowych. Komisarz pośpiesznie przejrzał dokument i odłożył go na skraj biurka, gdzie leżały inne papiery dotyczące zabójstwa w hotelu.

- Tego się spodziewałem - powiedział do aspiranta i dał mu znak głową, że może wyjść z pokoju. - Nic nowego. Ciebie pewnie także interesuje ten... jak mu... - zerknął do notesu - Fritz Ehrspenger?

- Po to tu jestem.

- Przebicie mięśnia sercowego przy pomocy ostrego narzędzia, prawdopodobnie noża sprężynowego lub gazowego. Robota bez pułdła. Ciach i po facecie. Dzieło zawodowca.

- Tyle już wiem.

- Skąd? Kto ci powiedział? A, byłeś w prokuraturze.

- Byłem, ale tam radzą nad tym, co zrobić, żeby dużo mówić i niczego nie wyjaśnić.

Syski podniósł brwi.

- Może, bratku, mnie zastąpisz? Ta sprawa wyjątkowo mi nie leży. Nie lubię dreptania w miejscu i po omacku.

Komisarz uchodził do niedawna za najlepszego w okręgu policjanta kryminalnego, radził sobie w sytuacjach beznadziejnych, mimo to wolał mieć do czynienia z przestępcami zawodowymi. Zawodowcy raczej nie popełniają błędów, w przeciwieństwie do amatorów postępują schematycznie, ale starannie zacierają wszelkie ślady.

- W dzisiejszej „Frankfurter Zeitung” jest wyczerpująca notatka o zabójstwie Ehrspurgera. Moja gazeta milczy, a Niemcy trąbią na całą Brandenburgię i pół Berlina. To cię nie dziwi?

- Mają lepszych szpicli - stwierdził Syski, nie zastanawiając się nad sensem pytania Daniela.

- Pewnie twoi podwładni z nimi współpracują.

Policjant lekceważąco przeciął ręką powietrze.

- O zabitym mogę oficjalnie powiedzieć tyle: przyjechał do Zielonej Góry na zaproszenie fabryki mebli. Zamieszkał w hotelu na koszt strony polskiej. Podobno miał zapoznać się z sytuacją ekonomiczną przedsiębiorstwa i zaproponować utworzenie spółki handlowej.

- Tyle wiedziałem wczoraj wieczorem. Wiedziałem w dodatku, że został zażdżany w męskiej toalecie.

- Nożem sprężynowym albo gazowym - mruknął Syski. - Nie wiesz jednak, że identycznym zarzynadłem został przeбитy Niemiec w Sambuce, Qubusie i Pod Lipą.

- Prawdę mówiąc, we wszystkich sprawach wężę tego samego zabójcę. Wcale się nie zdziwię, jeśli okaże się nim chory na umyśle rodak zamordowanych.

Syski odłożył zapalki, znieruchomiał na chwilę.

- Rozmawiałeś z prokuratorem - powiedział, patrząc Danielowi badawczo w oczy. - Pamiętaj, że jest to tylko jedna z kilku hipotez, najbardziej prawdopodobna, ale nie do zaakceptowania wprost. Mój szef głosi odmienny pogląd.

- Twój szef ma takie pojęcie o kryminalistyce jak ja o muzyce organowej w Wielką Sobotę po południu - stwierdził Sateck. - Ważniej jest, co ty o tym sądzisz.

- Ja? - spytał Syski i dalej bawił się zapalkami. - Cóż ja... Ty też jesteś fachowcem w branży kryminalnej.

- Z tą różnicą, że ja próbuję dociekać motywów zabójstwa, ty zaś szukasz mordercy.

- A wracając do tego, co powiedziałeś, to zastanawia mnie, dlaczego jeden Niemiec miałby dźgać nożem drugiego Niemca w obcym kraju. Po co?

Na tak sformułowane pytanie Daniel nie umiał odpowiedzieć. Jego zdaniem należało się zgodzić z hipotezą prokuratora. Być może istnieją jakieś powiązania między ofiarami i ich mordercą?

Syski wyjął z szuflady trzy zdjęcia, wykonane przez fotografa policyjnego w miejscach zbrodni, ułożył je na blacie obok siebie.

- Zauważ, że każdy nieboszczyk ma nóż wbity dokładnie w to samo miejsce: skosem pod lewą łopatkę. To potrafią wyłącznie najzdolniejsi zawodowcy po przeszkoleniu w poliklinicznych prosektoriami. Nie znam nikogo w Zielonej Górze ani w Polsce, kto posługiwałby się nożem z taką precyzją, wyłączając mikrochirurgów. Nasi nożownicy, jest takich kilku, najwyżej rozbabrzają robotę. Ten natomiast najpierw uderzał ofiarę w kark, zapewne kantem dłoni, a później wbijał nóż. Zgon następował natychmiast.

- Czyżbyśmy mieli do czynienia nie tylko z zawodowcem, lecz i z osobą obcą w naszym regionie? Jest to ktoś młody, stary...? Może pojawił się u nas rasowy bandzior? Terrorysta? - spytał Daniel, nie licząc na odpowiedź.

- Młody i silny, wyszkolony, inteligentny. Zastanawia mnie, dlaczego nie ograbia swoich ofiar. Czyżby wykonywał zadania zlecone? I dlaczego morduje wyłącznie ludzi przedsiębiorczych, przybyłych do miasta w interesach?

Było jeszcze coś. Coś, czego policjant nie mógł zrozumieć. Zabójstwa miały miejsce w najlepszych restauracjach, jakby morderca obserwował konsumentów i czekał, kiedy wyjdą do toalety. Nie ma mowy o przypadku. To wszystko musiało być zaplanowane precyzyjnie. Dlaczego zabójca napada tylko na Niemców? Chodzi o zemstę czy odwrócenie uwagi policji? Może jest ktoś, komu ofiary wyrządziły krzywdę?

- Wolałbym ścigać naszych pólamatorów, ci popełniają tyle błędów, że wpadają w moje ręce wcześniej niż myślą. - Syski zawsze, gdy nie wiedział, od czego zacząć dochodzenie, w ten sposób się usprawiedliwiał. - Za naszymi nawet nie muszą długo węszyć.

- Kiedy już będziesz na tropie, dasz mi znać - bardziej polecił niż poprosił Daniel, zbierając się do wyjścia. - Tymczasem pędzę do redakcji pisać notatkę bez podawania szczegółów. Naczelnicy nie będzie zadowolony. Czytelnicy też. Ja również.

- Przede wszystkim właściciele restauracji. Nie daj Boże, żeby po twojej notatce padła kolejna ofiara. A wszystkiego można się spodziewać.

*

Codziennie wieczorem redaktor Sateck telefonował do oficera dyżurnego Komendy Wojewódzkiej Policji, pytał, co interesującego wydarzyło się w regionie i uzyskanymi informacjami wypełniał rubryczkę „Od dwudziestej do dwudziestej”. Zazwyczaj wybierał kilka zdarzeń, skupiając się na wypadkach śmiertelnych lub napadach chuliganów na kobiety. Inny dziennikarz może miałby utrudniony dostęp do tego rodzaju informacji, ale nie Daniel, stale współpracujący z Syskim, prokuratorem i kilkoma donosicielami, uchodzący za prasowego eksperta kryminalnego. Na swoim koncie miał także kilka udanych dochodzeń, a nawet wykrycie zabójcy kobiet w pobliżu ogrodów działkowych leśników.

- Dzień bez ciekawostek - stwierdził oficer, doskonale wiedząc, czego oczekuje Daniel, mimo to zajrzał do książki wypadków. - Mężczyzna pod kołami mercedesa. Bójka przed sklepem monopolowym na przedmieściu Gorzowa. Dwa włamania do kiosków z gazetami. O, może to pana zainteresuje. W parku Tysiąclecia w Zielonej Górze dokonano napadu na mężczyznę, lat trzydzieści dwa, zajmującego się handlem złotem i rodzimymi narkotykami. Mężczyzna jest narodowości cygańskiej.

- Żyje?

- Odwieziony na oddział intensywnej terapii - usłyszał w odpowiedzi. - Jak to się u nas mówi: jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, panie redaktorze.

- Ujęliście sprawcę czy sprawców napadu?

- Skąd pan wie, że to był napad?

- Pan mi przed chwilą powiedział.

- Racja. W meldunku stoi jak daltonista przed skrzyżowaniem.

Czasem człowiekowi wydaje się co innego. Niech pan poczeka, dzwonię się z dyżurnym miasta.

Po pięciu minutach oczekiwania Daniel znał pełniejszą odpowiedź. Handlarz nie był narodowości cygańskiej, lecz nazywał się Cygański i został ugodzony nożem w okolicę serca.

- Jaki to ma związek z zabójstwami Niemców?

- Nie mam pojęcia - przyznał się oficer. - O ile spałem, tamci byli atakowani od tyłu i po snajpersku. Cygański, tak przynajmniej wynika z meldunku, ma ranę kłutą po prawej stronie mostka. Wygląda na to, że chodziło o zadawniony porachunek.

Daniel był ciekaw, czy policja zatrzymała winowajcę, niestety, oficer nic o tym nie wiedział, zaproponował rozmowę z Syskim. Daniel podziękował za pomoc, robił to zawsze, czym zyskiwał zaufanie policjantów. Natychmiast zatelefonował do komisarza, na swoje szczęście zastał go w domu.

- Uspokój się. Gdybym potrafił cokolwiek więcej wydedukować, już wiedziałbyś o tym. Owszem, byłem na miejscu zdarzenia, widziałem ofiarę, nawet zadałem gościowi dwa pytania. Nie chciał gadać. Wcale mu się nie dziwię. Co to znaczy, sam wiesz - rzekł z zakłopotaniem Syski. - Moim zdaniem, mamy do czynienia z różnymi sprawami.

- Jesteś tego pewien?

- Tym razem tak.

- A... nie mylisz się? Ja mam nieco inne informacje - naciskał Daniel. Bywało, że nawet Syski go zwodził, później przeproszał i prosił o zrozumienie, bo niby nie mógł postąpić inaczej. Ujawnienie pewnych szczegółów czasem utrudnia prowadzenie śledztwa.

- Zaufaj mi. Napad na handlarza w parku Tysiąclecia nie ma nic wspólnego ze zbrodniami w restauracjach i hotelach. Tak możesz napisać w swojej gazecie. Czytelnicy powinni uwierzyć, choć nie muszą.

Rozdział III

Jesień Ludów, jak nazwano wydarzenia 1989 roku w krajach Środkowej i Wschodniej Europy, zaczęła się w Polsce co najmniej dziewięć lat wcześniej. Niewielu dyplomatów wierzyło, że zakończy się ona zburzeniem muru berlińskiego i zjednoczeniem obu państw niemieckich, rozwiązaniem Jugosławii, podziałem Czechosłowacji i przede wszystkim rozpadem Związku Radzieckiego. Wszędzie komuniści oddali władzę prędzej, niż się tego spodziewali politycy na Kremlu. Ich nagły upadek oznaczał nie tylko przegraną, lecz i początek wyrównywania krzywd.

Wyłoniony po raz pierwszy po konferencji poczdamskiej w demokratycznych wyborach polski parlament nie zastanawiał się długo nad zmianą większości instytucji publicznych. Milicja Obywatelska z dnia na dzień stała się Policją Państwową. Służba Bezpieczeństwa przestała istnieć, a jej miejsce zajął apolityczny Urząd Ochrony Państwa. Oznaczało to przeprowadzenie weryfikacji wszystkich pracowników SB. Zajęli się nią skrupulatnie pełnomocnicy największych nowych ugrupowań politycznych. Zasada weryfikacji była prosta, jeśli nie wręcz prymitywna: w UOP nie ma miejsca dla wyróżniających się funkcjonariuszy SB. Z tego powodu często młodzi i ambitni agenci, wykształceni za granicą, znaleźli się na bruku. Ci, którzy uważali się za pokrzywdzonych, mieli prawo wnieść odwołanie do komisji centralnej, co w kilku wypadkach okazało się skuteczne.

Ale byli także tacy, jak na przykład pułkownik Koper, którzy unieśli się honorem. Koper uważał, że w SB wykonywał jedynie rozkazy swoich przełożonych. Należał do partii robotniczej, nie zdając sobie sprawy z tego, iż jest komunistą, przynajmniej formalnie; zresztą każdy oficer SB musiał być członkiem tej partii, jak prawie każdy dyrektor fabryki, dyplomata, zawodowy żołnierz. Członkiem partii Koper został jeszcze podczas studiów na Uniwersytecie Warszawskim, nie tyle na własną prośbę, co z polecenia promotora pracy magisterskiej, który, sam szantażowany, wciągnął go do współpracy z SB. Później już wszystko toczyło się bez jego udziału. Dostał skierowanie do Zielonej Góry, gdzie czekało na niego mieszkanie i biurko w gabinecie na drugim piętrze przy ulicy Partyzantów. A że należał do grona

najsolidniej wykształconych esbeków, awansował szybko i ku zaskoczeniu swoich podwładnych. Przed rozwiązaniem SB kierował wydziałem przypatrującym się artystom i naukowcom. Znaczących osiągnięć nie miał, ponieważ te środowiska, niezbyt liczne w Zielonej Górze, były raczej spokojne i zajęte twórczością albo wspinaniem się po drabinie kariery akademickiej. Zacinający się aktor, wiecznie mający pretensje o to, że gra ogony, kolportował bibułę wydawaną we Wrocławiu czy Poznaniu przez jego stękających kolegów, jeden malarzyna częściej buntował się w knajpce niż na płótnie, a pyskаты brat kolegi Daniela pisał odezwy i rozlepił je na murach w centrum miasta. Zdarzało się, że szef wojewódzkiej bezpieki wzywał Kopera do siebie, zwracał uwagę, aby się sprężył, bo centrala jest zaniepokojona brakiem meldunków z Zielonej Góry.

- Wszędzie mają jakieś podziemie, Koper. Jak to możliwe, żeby u nas nie było przeciwników ustroju?

- Tak jest, towarzyszu komendancie. Będę ściślej współdziałał z podległymi mi środowiskami - obiecywał raczej dla świętego spokoju. - Jesteśmy, że tak powiem, na dobrej drodze.

Toteż kiedy komisja weryfikacyjna umieściła go na liście szczególnie gorliwie wykonujących polecenia zwierzchnika, zamknął się w sobie i wybrał wcześniejszą emeryturę. Jego miejsce w UOP zajął kapitan Swendra, odpowiedzialny w SB za dobór współpracowników spośród młodych uczonych i studentów pedagogiki.

Kilka razy Swendra usiłował namówić Kopera do powrotu, obiecywał mu nawet ważne stanowisko w swoim wydziale, pułkownik jednak się zaparł. Wolał dnie spędzać w ogródku i czytać książki. Ale nie potrafił odmówić Makarence, z którym wypił morze wódki i którego po prostu lubił. Czy SB wiedziała, że Koper jest współpracownikiem KGB, nigdy się nie zastanawiał. W tamtym czasie wielu oficerów bezpieczeństwa nosiło płaszcz na dwóch ramionach.

- Masz dużo czasu, jołki-pałki - usłyszał któregoś dnia za sobą nieobcy głos. Wyprostował się i ze zdziwieniem w oczach stwierdził, że za płotem stoi Makarenko. - Nie nudzisz się na emeryturze, Koper.

- Kto ci powiedział, gdzie mnie szukać? Nigdy nie byłeś na mojej działce.

- Za kogo mnie masz? - parsknął śmiechem Makarenko.

Usiedli w altance, Koper postawił na stoliku dwie butelki piwa, które zawsze trzymał w piwniczce dla niespodziewanych gości, Makarenko zaś wyjął z teczki flaszkę żytniej i poprosił o szklanki. Nigdy nie pił wódki z kieliszków.

- Dawno nie gawędziliśmy tak od serca. Jak się czujesz?

- Dziękuję, odpoczywam, że tak powiem - odrzekł, udając zadowolonego, Koper. Nie przyszedłeś tylko porozmawiać, dedukował chytrze. Ciekawe, co tym razem proponujesz? - Zobacz - pokazał na tyczki oceniające altanę - jaką fasolę wyhodowałem.

- Nie nudzisz się.

- Lubię przebywać na dworze i robić coś z korzyścią dla rodziny.

- Szkoda takiego fachowca.

- Kogo masz na myśli?

- Ciebie, Koper, ciebie.

- Dlaczego? - niby się zaciekawił. Jeżeli zaraz coś mi poleci, odmówię, zdecydował. - Pracuję, wypoczywam i się cieszę.

- Wypijmy. - Makarenko rozlał wódkę do szklanek. - Za nasze spotkanie, jołki-pałki.

Ostatni raz Koper rozmawiał z Makarenką ponad dziesięć lat temu, dostał wtedy pod opiekę literatów z Ukrainy, uczestników sympozjum rusycystycznego na temat wolności wypowiedzi w literaturze. Nie obchodziło go, z kim spotykali się wieczorami w hotelu Śródmiejskim i o czym rozmawiali. Nigdy nie powiedział Makarenko, że w ich walizkach pełnych książek z dedykacjami wyjechały biuletyny monachijskiego oddziału organizacji zwolenników samodzielnej Ukrainy, którzy co roku akurat w czasie trwania sympozjum zjawiali się w Zielonej Górze. Zwierzchnicy Makarenki byli zadowoleni z efektów inwigilacji pisarzy, a to oznaczało, że Koper należycie wywiązał się z niezbyt dobrowolnie przyjętego na siebie obowiązku. Oczywiście dostał za to pewną sumkę dolarów, akurat na zakupy antyków, których od lat jest poważnym kolekcjonerem.

- Myślę, że nie zamierzasz odnowić ze mną współpracy. Ja do niczego już się nie nadaję.

- Do rzeczy - rzucił Makarenko, nie zwracając uwagi na to, co powiedział Koper. - Znowu jesteś potrzebny. Sądzę, że staremu przyjacielowi nie odmówisz.

- Dawno z tym skończyłem.

- To jeszcze po jednej. - Makarenko znowu rozlał wódkę do szklanek. - W krytycznym położeniu trzeba się chwytać ryzykownych środków.

Jeśli wypiję drugą szklankę żytniej, nie odważę się wrócić do domu samochodem, pomyślał Koper. Od czasu odejścia z bezpieki robił wszystko, aby nigdy nie mieć do czynienia nawet z policją drogową.

- Jestem na emeryturze - przypomniał. Oczy mu się zwęziły.

- Tym lepiej. Maśz więcej czasu.

- Chcesz się napić, proszę. Chcesz porozmawiać, siedź i pytaj, opowiadaj, pleć bzdury. Wszystko pozostałe mnie nie interesuje. Najlepiej byłoby, gdybyś dał mi święty spokój.

- Ostatni raz, jołki-pałki.

- Nie. Już nigdy. Mnie nie ma.

- Co powiem naszym, Koper? Że postawiłem nie na tego dżentelmena? Człowieku, nie bądź samolubem. Pomóż przyjacielowi, kiedy cię błaga o pomoc.

- Nie - powtórzył zdecydowanie Koper.

- Na twoim miejscu nie udzielałbym natychmiastowej odpowiedzi. Trzeba się dobrze zastanowić i rozważyć, co się bardziej opłaca. Pomyśleć o żonie. O córce i wnukach. Dużo znaczy człowiek bez rodziny? Starzejesz się, będziesz potrzebował opieki.

- Grozisz? - spytał podniesionym głosem Koper, ale zaraz złagodniał. - Kiedy musiałem, byłem na twoje zawołanie.

Makarenko strzyknął śliną przez zaciśnięte zęby, przymrużył oczy i pokiwał głową, udając niezadowolonego z odpowiedzi. Koper świetnie wiedział, co oznacza ta mina. Kiedyś również próbował odmówić - ledwie wsiadł do swojej łady, pękła dętka. Gdy zmienił koło, wyciekła woda z chłodnicy. Przed domem czekał na niego Makarenko - nie groził, nie prosił, tylko tłumaczył, że Koper nie może się wycofać, bo został wybrany. Ten, któremu rezydent KGB w Warszawie zaufał, czyje nazwisko znalazło się w niezniszczalnym rejestrze ludzi Moskwy, nie ma odwrotu.

- Komu tym razem każesz przetrącić kulasy?

- Rozerwiesz się troszkę. - Makarenko wyjął z portfela sto dolarów, położył je na stole obok szklanki i powiedział: - Na duże piwo.

Powinno ci wystarczyć do Polanu. Emerytury u was jeszcze socjalistyczne, a ceny już kapitalistyczne. - Roześmiał się uszczypliwie. - Na dwa radebergery i napiwek nie zabraknie, pułkowniku.

- Jesteś kawał skurwysyna. - Teraz Koper udał niezadowolonego, ale klepnął Rosjanina familiarnie w ramię i wlał w siebie szklankę wódki. - Odmówię, nie dasz mi spokoju.

- A nie dam. Gdyby to ode mnie zależało, poszukałbym innego, młodszego i tańszego. Dostałem zadanie nie od byle kogo. - Zrobił taką minę, że Koper postawił oczy w ślup. - I trzeba je odrobić. Od tego jestem.

Pułkownik zdawał sobie sprawę ze znaczenia tych słów. Jeśli odmówi - bo przecież może stanąć dęba - Makarenko tak długo będzie go namawiał, przekonywał, męczył, nawet straszył, że dla spokoju własnego i żony zgodzi się na wszystko. Do końca życia będzie na usługach jak nie KGB, to SWR albo jeszcze innego wywiadu prorosyjskiego. Ich agenci nie umierają z powodu nagłej choroby lub ze starości i z gromnicą w dłoni. Ale czy teraz chodzi o wywiad rosyjski?

Wydawało mu się, że mimo zmian na Kremlu władający wszystkimi językami środkowoeuropejskimi Makarenko pozostał człowiekiem Moskwy. Chciał go spytać o dawne powiązania z wywiadem zachodnoniemieckim i Mossadem, lecz się bał ujawnienia tego, o czym wiedziała polska bezpieka. Makarenko pewnie nie przyznałby się do zdrady Rosji. Rasowy agent nie ma przyjaciół i nikomu nie ufa.

- Wciąż działasz w Gwardii? - Makarenko nagle zmienił temat, czym jeszcze bardziej zaskoczył Kopera. Dotąd nigdy nie interesował się sportem.

- Tam też nastąpiła wymiana kadr.
- Ale czasem spotykasz się ze swoimi chłopakami?
- Los sprawia, że tak powiem...
- Zaprosiłbyś któregoś boksera na piwo. Do Polanu.
- W co ty chcesz mnie wrobić?

Makarenko zignorował pytanie. Przechylił głowę do tyłu, już zaczerwienionymi oczami wodził po gałęziach jabłoni, co oznaczało, że za chwilę czymś sensacyjnym uraczy Kopera. Splunął za siebie, ale jeszcze nie powiedział tego, co miał na końcu języka.

- Wynocha! - krzyknął Koper i rzucił mu pod nogi sto dolarów.

- Dziś przed szóstą. Będziesz w kawiarni Polanu. Nie sam. Z bokserem. Najlepiej z którymś z bliźniaków. Postawisz mu piwo. I wspominasz swoje najlepsze lata. Nic więcej. Istotne, pamiętaj: spotkanie ma być w ka-wiar-ni. A nie w restauracji.

Koper poczuł się tak, jakby dostał pięścią między oczy.

- Jednak jesteś skurwysynem - powiedział głosem złamanego człowieka.

- Dlatego żyję, jołki-pałki. I nawet nie najgorzej mi się powodzi.

*

Bokser siedział na ławce przed hotelem i jak chłopczyk wymachiwał krótkimi nogami, kreśląc koła w powietrzu. Ostatni raz Koper widział go jeszcze przed weryfikacją, spytał więc, czym się zajmuje. Pytanie zadał na chybił-trafił, od czegoś neutralnego chciał zacząć rozmowę, aby cały czas mieć przewagę. Kiedyś chodził na wszystkie mecze drugoligowe; później Gwardia spadła do rozgrywek regionalnych, zabrakło pieniędzy na szkolenie bokserów i z ogromnym wysiłkiem sklecona drużyna przestała być oczkiem w głowie nowego szefa komendy. W Gwardii wiodli prym strzelcy, wśród których było kilku mistrzów świata, a Staszek Rumacha uchodził za wzór sportowca. Młodzi bokserzy mieli serce do walki, brakowało im jednak nie tyle umiejętności, co sprzętu. Rutynowani zawodnicy przeszli do innych klubów gwardyjskich, niektórzy zbijali baki w wydziale ruchu drogowego albo siedzieli za biurkami jako dzielnicowi. Koperowi było żal chłopaków, ale jak on, zdegradowany esbek, mógł im pomóc?

- Miło spotkać tak znakomitego sportowca - rzucił do boksera, czym sprawił mu radość. Każdy lubi pochwały. - Chodź, porozmawiamy w kawiarni jak kulturalni ludzie.

Wspięli się po wyszczerbionych stopniach do holu, gdzie trzy osoby drzemały w fotelach w pobliżu wejścia do restauracji, a portier stał oparty o kontuar i gawędził z kioskarką, nie zwracając uwagi na gości. Podstarzała recepcjonistka rozmawiała przez telefon, sprzątaczką zaś z papierosem przyklejonym do dolnej wargi wycierała popielniczkę. Koper dawno nie był w Polanie; zastanawiał się, czy udawać gościa, czy zachowywać się zwyczajnie, jakby przyszedł z przyjacielem napić się dobrego piwa. W końcu wybrał drugie wyjście, zawsze siedział za głosem rozsądku.

- Wejdziemy do kawiarni czy do restauracji? - spytał boksera i nie czekając na jego odpowiedź, popchnął drzwi kawiarni. - Tu będzie przyjemniej.

Zajęli miejsca przy stoliku w samym rogu, skąd mieli wspaniały widok na przyhotelowy parking i schody. Na prawo od nich siedziało czterech mężczyzn w nienagannie skrojonych garniturach, śnieżno-białych koszulach, modnych krawatach. Koper domyślał się, że są obcokrajowcami, a facet w jaśniejszej marynarce występuje w roli tłumacza.

- *Womit kann ich Ihnen dienen?* - spytał kelner, patrząc za okno na zagraniczny autokar, z którego wysiadały podstarzałe kobiety.

- *Sprechen Sie polnisch?* - zwrócił się do niego również po niemiecku pułkownik.

- *Ja, natürlich.*

- W takim razie proszę o piwo.

- Jakie? - zapytał kelner już po polsku, a dostrzegając zagubienie w oczach Kopera, dodał: - Mamy piwo poznańskie, elbląskie, koszalińskie, wrocławskie...

- Dla mnie może być lubusz - wyrwał się bokser.

- Ja również wypiję lubusz.

- Piwo, panie pułkowniku, to ja mogę chlać do usranego.

Boże, o czym z nim rozmawiać? Podciągnął rękaw koszuli, była 18.50. Jeszcze tyle minut. Zapadła dłuższa cisza, w czasie której Koper błdził oczyma po podłodze, dostrzegając wiele plam i dziur w czerwonej wykładzinie. Bokser lustrował facetów siedzących przy sąsiednim stoliku. Spoglądał na nich tak, jakby nie byli mu obcy.

- Co pan pułkownik porabia?

- Mam ogródek, trochę jeżdżę na rybki, łowię, zdarza się, szczupaki - kłamał. Nigdy nie był wędkarzem, nie lubił przesiadywać nad rzeką i marnotrawić czas, wolał czytać książki albo majstrować przy samochodzie. Najbardziej lubił przeglądać swoje zbiory starej broni, miał bowiem ogromną kolekcję noży.

- Wczoraj złapałem na ciasto dziesięć płoci, o takich - wyprostował palce obu dłoni. - Kiedyś Odra była zapaskudzona olejami, smarami, trutkami z pól, lasów, fabryk, to i ryby śmierdziały. Dziś rzeka jest czyściutka, a ryby jak z akwarium.

- Ja troszkę handluję - pochwalił się bokser. - Tam kupię, tu sprzedam i idzie żyć. Gdyby pan pułkownik chciał komputer albo coś z elektroniki, załatwię. Za pół ceny. Może być philips, fisher, blaupunkt. Koreańskich gówien nie polecam.

- Mam odtwarzacz. Sprawilem sobie telewizor najlepszej firmy na świecie, Sony i antenę satelitarną. Żona namawia mnie, żeby jeszcze kupić dekoder telewizji cyfrowej.

- Dobra rzecz - stwierdził bokser jak rasowy znawca. - Zdecyduje się pan pułkownik, to załatwię staringa, co bez konserwacji wytrzyma i dziesięć lat.

Koper nie słuchał boksera, choć oczy miał zwrócone w jego stronę; łowił uszami rozmowę mężczyzn siedzących przy stoliku na prawo od niego. Domyślał się, że jeden spośród nich, pewnie ten w granatowym garniturze i miedzianym krawacie, jest Niemcem, lecz nie był tego pewien. Pozostali również odzywali się po niemiecku, tylko czasem do ich rozmowy włączał się tłumacz. Po dłuższym podsłuchiwaniu zrozumiał, iż mówią o handlu samochodami. Gdyby znał język lepiej, już po minucie zorientowałby się, że rozmowa dotyczy uruchomienia w zachodniej części Polski hurtowni części zamiennych do wszystkich modeli volkswagonów.

- Eleganci z firmy Polauhur - poinformował go przyciszonym głosem bokser, jakby się ich obawiał. - Ten w przyciemnionych goglach jest szefem, a ryza morda nakręca interes po tamtej stronie. Od razu widać, że lepszy klient. Niech pan zgadnie, który jest kuzynem komendanta.

- Nie mam pojęcia - przyznał się pułkownik, uciekając wzrokiem aż do restauracji. Już nie nadaje się do безпеکی, stwierdził z żalem. Byle bokser jest lepszy ode mnie. A może on też pracuje na dwie ręce? - Znasz ich?

- Z widzenia. Raz nadepnęli mi na odciski, to znaczy próbowali. Wystarczy spojrzeć na moją klukę, żeby dać mi spokój - rozgniół czubek nosa pięścią i roześmiał się, zadowolony.

Aha, to dlatego Makarenko kazał mi dziś zaprosić boksera na piwo, domyślił się Koper. Bezpieka Rosji ciągle jest najlepiej informowana. Ich agenci niby zamknęli się w koszarach, zwinęli siatkę... Wszystko to pic na wodę. KGB zmieniła nazwę na Federalną Służbę

Bezpieczeństwa, wynajęła nowych i młodszych współpracowników, ale sama się nie zmieniła i nic jej nie zastąpi. Ona była, jest i pozostanie potężna. Nie Amerykanie, nie Żydzi, lecz Rosja przy pomocy służb specjalnych rządzi światem. Na czyj rozkaz Hruby zastrzelił Johna Kennedy'ego? Kto podłożył bombę na Kapitolu? A te ogniska wojny w Palestynie, Afganistanie, Serbii, Kosowie, Czeczenii i dziesiątkach miejsc na świecie kto podtrzymuje? Czyż nie jej ludzie przygotowywali zamachy na Jana Pawła II, Clintona, Kohla, Palmego? Teraz też coś szykują, tylko co? I mnie wciągnęli do swojej gry. Ode mnie coś będzie zależało.

- A cóż porabia twój braciszek? - zaciekał się, pamiętając, że jeden z bliźniaków zbyt często zaglądał do kieliszka. Z tego powodu po zakończeniu kariery bokserkiej ciągle nie umiał znaleźć swego miejsca.

- Kibluje - odparł bokser bez żenady. - Dostał osiem latek za próbę gwałtu. Nigdy nie miał szczęścia do pięknych i cnotliwych kobietek.

W drzwiach kawiarni stanął barczysty, młody mężczyzna średniego wzrostu, w czarnej kurtce z miękkiej skóry, żółtych spodniach z paskiem szmacianym i białych adidasach. Koper natychmiast zlustrował go pytającym wzrokiem; dostrzegłszy niewielką szramę na prawym policzku pomyślał, że mężczyzna musi być entuzjastą motoryzacji albo nie lada zawodniak.

- Dołożyłeś komuś? - spytał boksera, ostrożnie przenosząc spojrzenie na handlarzy z Polauhuru.

- Z takimi, pułkowniku, to ja nie zaczynam.

Jastrzębie oczy Kopera znieruchomiały. Jeżeli mężczyzna w kurtce podejdzie do nas i spyta o godzinę, wszystko będzie się zgadzało. Nie pamiętał, czy Makarenko wspomniał o kolorze włosów i loczku nad czołem.

Mężczyzna powoli ruszył przed siebie, prowadzony wzrokiem Kopera zatrzymał się obok boksera, podciągnął rękaw kurtki i rzekł:

- Zepsuł się mój zegarek. Pewnie trzeba wymienić baterie. Czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi, która jest teraz godzina?

- Siódma za pięć - poinformował go bokser, przy okazji zachwalając swoją nową omegę. - Zegarek kwarcowy, chodzi bez nakręcania, bez baterii, można się w nim nawet kąpać.

- Piękne dzieło... Czy na chwilę mogę się dosiąść? - spytał mężczyzna w kurtce. Poprosił kelnera o pepsi-colę. - Panowie palą? - Z kieszeni wyjął marlboro w twardym opakowaniu.

Jeszcze nie wolno mi wstawać, ale o czym teraz rozmawiać? Koper czuł, że wilgotnieją mu dłonie. W głowie miał pustkę. Dawno nie był tak ogłupiały.

Mężczyzna w skórzanej kurtce mocno oparł się plecami o poręcz krzesła i pił pepsi-colę, mając oczy zwrócone w stronę okien. Wyglądał na nieskorego do rozmowy.

Handlowcy przy sąsiednim stoliku najwyraźniej wypili już za dużo wódki, bo mówili podniesionymi głosami. Najpewniej czuł się ten w okularach. Co chwila przywoływał kelnera i domagał się a to przypalenia papierosa, a to następnej butelki wyborowej, a to nawet informacji, kim są pułkownik i bokser i dlaczego siedzą w kawiarni, a nie w restauracji. Pozostali zachowywali się zwyczajnie, nie okazując specjalnego zainteresowania otoczeniem.

Ten w granatowym garniturze i miedzianym krawacie ze złotą spinką wstał. Był podchmielony.

- Którędy do toalety?

- Za drugimi drzwiami proszę skrócić na lewo - poinformował go kelner płynną niemiecką. W Zielonej Górze większość obsługi lepszych hoteli i restauracji od dawna mówi lepiej po niemiecku niż po angielsku, toteż nikogo nie dziwiła obce słowa wypowiedziane z właściwym akcentem.

Koper zamówił jeszcze dwie butelki piwa i od razu za nie zapłacił. Bokser tylko na to czekał. Jeśli mężczyzna w kurtce zaraz wstanie i pójdzie za Niemcem do toalety, wycofuje się, postanowił pułkownik. Najpóźniej za dziesięć minut dojadą do swego mieszkania, a wtedy nikt mi nie udowodni, że byłem świadkiem tego, co się wydarzy w Polanie.

- Zaraz wracam - rzucił mężczyzna w skórzanej kurtce i uśmiechnął się przyjaźnie do boksera. - Panowie jeszcze nie wychodzą. - Papierosy przesunął na środek stolika, ślamazarnie się podniósł. Przygarbiony skierował się za drzwi na lewo, gdzie było wejście do toalety.

- Szkop - szepnął bokser.

Pułkownik miał mokre plecy, krople potu zebrały mu się pod pa-

chami. Wiele razy był w podobnych sytuacjach, nigdy jednak nie denrował się z powodu nieznanego człowieka. Tajniak musi umieć trzymać nerwy na wodzy, w przeciwnym razie znajdzie się na zesłaniu albo pod kapeluszem. Jak to wspaniale, że skończyłem z bezpieką, pocieszył się w zmaconych myślach.

- Już kwadrans po siódmej, co? - spytał, mimo że wcześniej kilkakrotnie zerkał na swój zegarek. - Pogadaliśmy serdecznie jak starzy znajomi, ale mój czas się kończy, że tak powiem. Żona ma dziś urodziny. Pamiętasz, do której jest czynna kwiaciarnia przy postoju takówek?

- W porządnym hotelu... - urwał i zaraz rzekł cicho: - Na dworcu moja znajoma ma sklepik ze sztucznymi kwiatami, wyglądają jak świeże.

- Nie gniewaj się, jednak już muszę iść - powiedział Koper, akcentując ostatnie słowa. - Za piwo zapłaciłem. - Wstał, poprawił marynarkę i wyciągnął rękę na pożegnanie. - Jeszcze się spotkamy i pogadamy.

Nie oglądając się za siebie, energicznie popchnął drzwi wahadłowe, wyszedł do holu, nawet nie zerknął na portiera nieprzerwanie dyskutującego z kioskarzem. Chciał jak najprędzej znaleźć się na ulicy. Było mu bardzo gorąco.

Bokser zajęty skubaniem paznokci nie spostrzegł, kiedy mężczyzna w skórzanej kurtce wrócił do kawiarni.

- Proszę, niech się pan poczęstuje - usłyszał nagle obok siebie.

- W zasadzie to ja... Było się mistrzem. No, dobrego peta... można raz kiedyś zapalić.

Nieznajomy przesunął krzesło w stronę boksera, prawie ocierali się ramionami.

- Nikt o tym nie wie, ale palę od dziecka - rzekł, jakby zdradzał tajemnicę.

Bokser zaciągnął się dymem i zaniemówił, papieros nie był mocny, mimo to on się rozkaszał jak astmatyk.

- Nie dla psa kielbaska - warknął, po czym rozgniół marlboro na brzegu popielniczki.

- Nigdy pan nie palił? Nawet w szkole?

- Wolę dziabnąć kielicha...

- Żegnam szanownego pana. Było mi miło. - Mężczyzna ciężko wstał, jakby się zachwiał. Bokser wyciągnął rękę, próbując go powstrzymać przed upadkiem na stolik. - Przepraszam, nadepnąłem na sznurowadło. - Pochylił się nad adidasem, chwilę zawiązywał but. - Jeszcze raz przepraszam. - Ukłonił się, papierosy schował do kieszeni kurtki i odszedł; zatrzymawszy się w drzwiach, podniósł rękę do czoła jak salutujący żołnierz.

Klawy facio, pomyślał bokser. Miał ochotę na jeszcze jedno piwo, przywołał więc kelnera, lecz tym razem poprosił o butelkę żywieckiego. W zasadzie rzadko wybierał się na piwo, a jeżeli już pił, to tak długo, póki starczyło pieniędzy w kieszeni.

- O ...! A to czyj portfel? - Zdumiony odchylił skrzydełko, była tam fotografia młodej kobiety w stroju kąpielowym i kilka wizytówek. Pomyślał, że mężczyzna, który siedział z nim przy stoliku, przez pomyłkę wsunął portfel do jego kieszeni. Chciał za nim biec, już się podniósł, gdy dostrzegł jeszcze jedno zdjęcie. - Toż to ten, co wyszedł się odlać. - Oniemiały patrzył na handlowców z Polauhuru. Gdzie jest ten w miedzianym krawacie?

*

O godzinie 19.35 sprzątaczką podniosła alarm.

- Zabity! Ludzie, zabity!

- Kto? Gdzie? - pytali na przemian portier i kioskarcz.

- Tam! Na podłodze leży. Zabity! - powtórzyła sprzątaczką.

Kierownik zmiany i kelner zerwali się na równe nogi, za nimi pospieszyli mężczyźni z kawiarni, nawet zawiani goście, drzemiący pod schodami, podnieśli się z foteli. Kelner otworzył drzwi toalety i zamarł przerażony. Pod ostatnim pisuarem leżał Niemiec, który jeszcze kilkanaście minut temu, razem z facetami z Polauhuru, raczył się wyborową. Szef firmy pobałdł, oddychał ciężko; pyzaty przedsiębiorca ruszył w kierunku ofiary, lecz tłumacz przytomnie zagroził mu drogę.

- Dalej nie wchodzić! - krzyknął kelner.

- Nie podskakuj, czerwony kutasie - odezwał się szef Polauhuru, sam prawie amarantowy na twarzy. Chwycił kelnera za kłapy koralowej marynarki, lecz kelner, młodszy i sprytniejszy, najpierw wałnął przeciwnika kolanem w podbrzusze, aż tamten się zgął w kablak jak

rozmodlony starzec, a później z siłą zapaśnika wykręcił mu rękę do tyłu.

Recepcjonistka, widząc co się dzieje, wezwała radiowóz i karetkę pogotowia. Natychmiast powiadomiła też dyrektora Polanu o zdarzeniu, a portierowi nakazała, żeby zamknął drzwi wejściowe na klucz i nikogo nie wypuszczał z hotelu.

Bokser nagle wytrzeźwiał. Oddychał głęboko, jakby za chwilę miał wyjść na ring i stoczyć pojedynek o mistrzostwo kraju z rywalem lepszym o dwie klasy. Wsunąwszy portfel za koszulę, zerknął na główne drzwi, przy których warował portier oparty plecami o podwójną szybę. Za dwie, trzy minuty będzie tu policja. Żaden gliniarz mu nie uwierzy, że nie ma nic wspólnego z zabójcą Niemca. Kilka razy znalazł się w podobnej sytuacji i dobrze pamięta konsekwencje. W piwnicy powinien być hotelowy magazyn żywności, pralnia i suszarnia, ale jak się tam dostać? Może ukryć się w którymś pokoju na piętrze? A gdyby czmychnąć na zaplecze kawiarni albo do skrzydła administracyjnego? Wydawało mu się, że tam policja nie będzie szukała zabójcy.

- Pan dokąd? - zatrzymała go recepcjonistka, gdy był na schodach.
- Wstęp wyłącznie dla gości hotelowych. Pan, pamiętam, przyszedł do kawiarni z pułkownikiem Koperem.

Zawrócił. Jego umysł pracował jak nigdy dotąd. Gdyby miał gdzie ukryć portfel, spokojnie czekałby na przyjazd policji. Jeszcze raz zerknął w stronę głównych drzwi: były zamknięte na klucz, przy nich stał oparty o szybę portier, drobne ręce miał splecione na brzuchu.

Bokser ze zwieszoną głową podszedł do drzwi wyjściowych jakby nic go nie interesowało, zatrzymał się przy kiosku i gdy portier nakazał mu ruchem głowy, aby wycofał się do holu, z całą siłą, jaką zebrał w rękach, wałnął cerbera między oczy. Stary runął na palmę w kącie, bokser przekręcił klucz w dolnym zamku i nie oglądając się, wybiegł na werandę.

- To on! - krzyczała recepcjonistka, gdy bokser zbiegał po schodach na chodnik. - Morderca!

Przed hotel podjeżdżały dwa volkswageny policyjne. Niewiele myśląc, bokser rzucił się w kierunku postoju taksówek, ale właśnie z tamtej strony nadjechał trzeci radiowóz. Wycofał się więc na schody

i przesadziwszy poręcz skoczył prosto w objęcia sanitariusza. Obaj zwałili się na chodnik. Sanitariusz, który jeszcze niedawno był asystentem trenera zapaśników Gwardii, chwycił boksera za nogawkę.

- Dość! - krzyknął przeciągle rosły dowódca patrolu. - Wstawaj!

Bokser podniósł głowę - ze wszystkich stron otaczały go lufy pistoletów. Nie miał żadnej szansy.

Rozdział IV

Za oknem było już ciemno, kiedy Daniel wyłączył komputer. Nigdy tak długo nie siedział w swoim pokoju redakcyjnym, wołał pisać artykuły od wczesnego rana do południa w domu, ale ostatnio nabierał tyle pilnych i ciekawych materiałów, że zabrakło mu czasu, aby w terminie złożyć teksty w sekretariacie redakcji. Sprawdził, czy w pokoju informatyków zgasła lampa sieciowa.

Usiadł na krześle przy biurku; był zmęczony i głodny, mimo to układał plan zajęć na najbliższe dni. Ta kretyńska pilność zabija mnie prędzej niż zawał, stwierdził nie bez racji. Mógłby umówić się na rozmowę z prokuratorem w Gorzowie, może wreszcie uda się uzyskać konkretne informacje o zabójstwie smarkatej prostytutki nad Wartą.

Podniósł słuchawkę i ledwie wybrał numer 326 45 80, usłyszał głos żony. Wydawało mu się, że Miśka siedziała na podłodze w przedpokoju i oczekiwała, kiedy zadzwoni telefon. Nawet nie robiła mu wyrzutów, co zdarzało się często, gdy późno wracał do domu, zwłaszcza przed niedzielą, tylko ciepło spytała, czy pamięta, która dziś jest rocznica ich ślubu.

- Dziewiętnasta! - zawołał po namyśle. - Sądzisz, że zapomniałem? Jakże mógłbym nie pamiętać? - kłamał. - Czekaj na mnie.

- Czekam od czterech godzin - powiedziała tym samym ciepłym głosem, a jemu zrobiło się wstyd, że zapomniał o tak ważnym jubileuszu.

W kwaciarni przy szkole muzycznej kupił bukiet fiołków. Każdego roku z okazji rocznicy ślubu przynosił żonie fiołki, twierdził, że są to najpiękniejsze kwiaty, jakie Bóg stworzył. W rzeczywistości chodziło mu o cenę, był dusigroszem, do czego nie chciał się przyznać. Tłumaczył, że jest oszczędny, co miało znaczyć, iż unika zbędnych wydatków. Dawno powinien sobie sprawić nowe spodnie, jakąś kurtkę, modniejsze buty i czapkę. Miśka go prosiła, aby ubierał się jak człowiek, na którego są zwrócone oczy sąsiadów. Była przekonana, że Daniel osiągnie sukces czytelniczy, a jego powieści kryminalne zaczną już niedługo ukazywać się w obcych językach. Któż nie śni o laurach własnych lub osób najbliższych? Każdy dziennikarz w myślach poluje na nagrodę Pulitzera czy choćby Prusa albo na lokalny wawrzyn. Gdyby Daniel miał to szczęście i dostał wojewódzką nagrodę, sprawiłby sobie przede wszystkim komputer multimedialny i drukarkę.

Miśka, ku jego zaskoczeniu, nie przygotowała rocznicowej kolacji, jak to było jeszcze w zeszłym roku, leżała w łóżku z jakimś kolorowym tygodnikiem w dłoniach. Pociągnął nosem, poczuł zapach delikatnych perfum, coś jakby Gabriela Sabatini. Nigdy nie przywiązywał wagi do kosmetyków; Miśka przeciwnie: lubiła pachnidła oryginalne i w fantazyjnych flakonikach. Przekonywała męża, że kosmetyki, szczególnie drogie, poprawiają jej samopoczucie. A on wiedział, że w ten sposób żona ukrywa przed ludźmi swój zawód, jest przecież anatomopatologiem.

- Pachniesz pociągająco - powiedział, starając się nadać swojemu głosowi odświeżoną intonację.

- Nareszcie - powiedziała wyraźnie zadowolona i wyciągnęła rękę do niego, prosząc, aby usiadł na skraju łóżka.

Najpierw podał bukietik fiołków, później pochylił się nad jej uchem i czując zapach ramion, szepnął:

- Myli się, kto sądzi, że dawanie jest rzeczą łatwą... Chciałem powiedzieć to inaczej, ale... Sama najlepiej wiesz, co... - starał się wyłuskać z płataniny niewiele mówiących słów to jedno, które odda sens jego zwierzenia. - Skoro wytrzymałaś ze mną tyle lat, wytrzymasz dłużej. - Pocałował żonę nie w usta, lecz w czoło, jakby był jej ojcem lub bratem, ale zaraz przywarł do niej i kładł pocałunki na ustach, policzkach, brodzie, oczach. - Kocham cię - szepnął jak sztubak.

Zarzuciła mu ręce na szyję i wpiła się w jego usta. Była czuła i namiętna jak zawsze. Delikatnie dotknął jej piersi, były jędrne, nie za wielkie, akurat takie, jakie z zachwytem oglądał czasem na fotografiach w barwnych magazynach.

- Pracoholik. Za dużo harujesz, kochany - rzekła z niekłamanym współczuciem. - A ponadto jesteś nieświeży.

Nie zareagował na ostatnią uwagę.

- Dla mnie pisanie jest tym, czym dla inżyniera w hucie wytapianie surówki, a dla wędkarza wysiadanie nad rzeką. Uprawiam życiopisanie.

- Nie powinieneś aż tak tyrać. Dawno nie byłeś na urlopie. Najwyższy czas, abyś oderwał się od redakcji.

- Zimą pojedziemy do Karpacza, do Julii, we dwoje. Albo nie, wybierzemy się za granicę, na przykład do schroniska Petrova w Au-

strii. Albo do pensjonatu Mała Upa na przełęcz Okraj. - Uśmiechnął się. Zaraz po ślubie spędzili tam tydzień, nie wychodząc z pokoju.

- Zamiast odpoczywać, cieszyć się ze mną, będziesz myślał nad nowym zbiorem reportaży - powiedziała z wyrzutem. Przed wyjazdem w góry Daniel zawsze obiecywał, że ani minuty nie poświęci pracy. Po dwóch, trzech dniach odpoczynku już się nudził, a po pięciu układał w myślach rozdziały kolejnej książki. W ten sposób powstawały wszystkie jego zbiory reportaży.

- Co to, to nie. Zmądrzałem. Urlop ma być urlopem, tym bardziej w twojej obecności.

- Zawsze tak mówisz, a później robisz po swojemu. Dość długo jestem twoją żoną. I kochanką.

Nagle przyszło mu na myśl, że we wszystkim jest przekorny. Im więcej nabywa doświadczenia, tym dłużej i wolniej pisze swoje teksty, a przecież powinno być odwrotnie. Wszak pisze nie długopisem, nie przy pomocy zwyczajnej maszyny, której stukot rozchodził się po całym mieszkaniu, lecz na ekranie przestarzałego komputera marki Adax. Bez problemu mógłby zmieniać zdania, przedstawiać je, dopełniać, a on zastanawia się nad każdym słowem. Kiedyś zasiadał przy biurku i nie odrywając długopisu od papieru, jak oszalały ścigał się z myślami: gdy jedno przelewał na kartkę, inne już wymykały się z jego głowy. Wtedy słowa miały proste znaczenie.

Wstał i rozebrawszy się w przedpokoju, poszedł do łazienki. Na jego szczęście gorąca woda z kranu natychmiast pociekła mocnym strumieniem. Namydlił się, spłukał pianę pod prysznicem i mokry stanął przed lustrem. Nie należał do tych mężczyzn, których wyróżniają mocne, barczyste ramiona, ale i nie był chuderlakiem z zapadniętą klatką piersiową. O mężczyzn takim jak on kobiety powiadają, że jest raczej dobrze zbudowany. Otwartą dłonią przeciągnął po szorstkiej brodzie. Mimo wieczorowej pory postanowił się ogolić. Potem wziął z półeczki flakonik z wodą toaletową firmy Eida Gibbs, której zapach uwielbiała Miśka, natarł nią policzki, szyję, brodę, a nawet, czego nigdy nie robił, skropił plecy. Przyglądziwszy rozstawionymi palcami nie za gęste już włosy, stanął w szerokim rozkroku, naprężył mięśnie rąk, wciągnął balon powietrza w płuca, wydał klatkę piersiową i długo się sobie przypatrywał. Zadowolony wrócił do sypialni.

- Oo, ogoliłeś się - zauważyła Miśka szczebiotliwie.

Na stoliku postawił butelkę szampana, dwa kieliszki, uklęknął na dywanie i oparłszy łokcie o łóżko, w milczeniu sycił wzrok jeszcze obrazowionym ciałem żony. Miśka nie wstydziła się swej nagości; bardzo pragnęła, aby Daniel pochylił się nad nią, muskał wargami szyję, drażnił sutki, całował skórę wokół pępka. Prawdziwa miłość nie cierpi zwłoki. Przymknęła oczy, lekko rozchyliła usta, palce lewej ręki zatopiła we włosach męża, wydawało się jej, że jest w kajucie na statku oceanicznym i słyszy mocne uderzenia fal o burtę. Pragnęła, żeby trwało to jak najdłużej. Kilka lat temu, w drodze do Helsinek, była w takiej sytuacji, nie z Danielem, lecz ze swoim asystentem z Zakładu Medycyny Sądowej; później wiele razy starała się wyświetlić tamte obrazy w kinie pamięci, zastępując kochanka mężem.

Nieoczekiwanie zaterkotał telefon. Daniel poderwał głowę, ale nie wstał z klęczek, tylko nasłuchiwał.

- Pewnie znowu do mnie - powiedziała Miśka rozeźlona. - Nie wstanę, nie muszę być na każde zawołanie.

- Może do mnie? - Przesunął dłoń z ramienia na jej pierś. Miśka przytrzymała ją i westchnęła proszalnie.

A telefon nie milkł.

- Pewnie jednak do mnie. Podniosę słuchawkę, bo nie dadzą nam spokoju - powiedziała przez zaciśnięte zęby, zła na cały świat, że akurat w takiej chwili ktoś odrywa ją od Daniela.

- Powiem, że wyjechałaś do matki. - Wstał niechętnie. - Tym razem do mnie - rzucił w jej stronę. - Tak, ja, Daniel Sateck - powiedział z naciskiem. Domyśliła się, że sekretarka łączy go z kimś ważnym. - Jestem, jestem... Nie, dopiero wróciłem do domu. Masz dyżur nocny w komendzie?

Pewnie Syski. Nie lubiła nadkomisarza, nic nie miała przeciw niemu, po prostu nie był w jej typie. Są mężczyźni przystojni, wysocy, atletyczni, a nie sprawiający żadnego wrażenia na wszystkich kobietach bez wyjątku, choć niczego nie można im zarzucić.

- Powtórz. Kiepsko cię słyszę... Kiedy?

Czego ten pewny siebie gliniarz chce od Daniela? Nie daj Boże, żeby akurat teraz, gdy jesteśmy tak sobie potrzebni, wyciągnął go z domu.

- Dziękuję ci za dobrą wiadomość. Oczywiście, zaraz będę w komendzie. Beze mnie nie zaczynaj.

- Z kim rozmawiałeś?

- Syski ma rewelacyjne wieści.

- Przefiltrowane przez wywiad, kontrwywiad i superzwiad wojskowy.

- Coś naprawdę nowego.

- Wychodzisz? - spytała z wymuszonym spokojem w głosie, na obu wściekła.

- Najpóźniej za godzinę będę z powrotem - zapewnił ją i pokazał na kieliszki i butelkę szampana, co miało znaczyć, że Miśka powinna na niego czekać w łóżku. - Muszę wyjść. - rzucił z przedpokoju, gdzie zostawił ubranie. - I muszę szybko do ciebie wrócić, wszak takie święto mamy tylko raz w roku - starał się żartować mimo wszystko.

- Gdybym zasnęła, proszę, nie budź mnie.

Nie miał jej tego za złe, ale czy teraz mógł wybierać między nią a nadkomisarzem, skoro sprawa zabójstw w toaletach zaczyna się wyjaśniać? Dlaczego ona nie chce tego zrozumieć? Gdy wychodziła za mąż, była już po studiach i przecież wiedziała, z kim się wiąże.

- Myśl o mnie - pocałował ją w ramię - i nie dąsaj się.

*

Tuż przed godziną 21.00 popielaty polonez z dolnośląskimi znakami rejestracyjnymi zatrzymał się przed dworcem kolejowym. Wsiadł do niego niewysoki, barczysty mężczyzna w niebieskiej kurtce i wyblakłych dzinsach. Było widać, że na co dzień ubiera się gustownie, a ten młodzieżowy strój go krępuje.

- Bez pudła - powiedział, przypalając papierosa. Wskazał uliczkę dojazdową do szerokiej alei, przecinającej miasto na dwie nierówne części. - Ten wasz pułkownik w stanie spoczynku... - Uśmiechnął się dwuznacznie i pokręcił głową, niezadowolony. - Galareta, mało nie narznął w portki. Chyba że udaje...

- A bokser? - spytał Makarenko najłżejszym tonem, na jaki potrafi zdobyć się człowiek, który zabił więcej niż tuzin ludzi. Uruchomił silnik, dwa razy błysnął światłami mijania, co było sygnałem dla kierowcy srebrzystej lancii, stojącej na parkingu po przeciwnej stronie ulicy. - Wykręci się? Dałem słowo Koperowi.

- Zapewne - mruknął mężczyzna w niebieskiej kurtce. - Pozwólcie się wyprzedzić. - Położył rękę na kierownicy. Lancja przejechała obok poloneza, siedział w niej młody facet w ciemnych okularach. - A teraz jedźcie za nim, raczej uważnie. Po tym, co zaszło w Polanie, nie chciałbym mieć do czynienia z polską policją.

- Jaki jest dalszy plan?

- Jutro cisza. Pojutrze znowu... Ale to już zadanie nie dla was, pułkowniku. Pilnujcie, żeby Koper nie wywinął jakiegoś numeru. Powinien mieć troszkę kłopotów... Może wykorzystać boksera?

- Nie będzie łatwo. Wszyscy starzy pomagierzy zrywają z nami. - Makarenko dostrzegł czerwone światelko na poboczu jezdni. - O, jolki-palki, policja - rzucił wściekle i mocniej ujął kierownicę.

- Tylko spokojnie. Albo zatrzymajcie się i okażcie dokumenty, albo...

- Nie mają najmniejszej szansy. Polonez nie jest równy polonezowi, szczególnie takiemu, jakim ja jeżdżę. Mój ma silnik rovera. - Makarenko wyraźnie zmniejszył prędkość, ale kiedy polonez był parędziesiąt metrów od policjanta gaszącego latarkę, mocno wcisnął pedał gazu. Silnik zawył. - Może mnie pocałować w zadek.

W bocznym lusterku dostrzegł, że sierżant pobiegł do ruszającego z chodnika granatowego poloneza.

- Na prawo, między stare domy - odpowiedział mężczyzna w kurtce. - I gaz do dechy.

Przed skrzyżowaniem Makarenko lekko przydusił hamulec, jak rajdowiec przywarł piersią do kierownicy i raptownie skręcił w prawo, potem w lewo, jeszcze raz w prawo. Policyjny samochód został z tyłu. Przeciągłe wycie syreny świadczyło o tym, że policjanci nie poddali się; prawdopodobnie wzywali pomoc przez radio. Makarenko wprowadził poloneza w wąską uliczkę bez nazwy, skąd miał może pięćset metrów do parkingu na Winnicy. Kierowca lancii już mu dawał sygnały światłami.

- Pewnie zaraz zablokują wszystkie drogi wylotowe z miasta - rzekł jak znawca policyjnych metod pracy pasażer poloneza, przyglądając czuprynę. Nacisnął klamkę, jedną nogę wysunął z auta, drugą jeszcze miał w samochodzie, gotów w każdej chwili wyskoczyć. - Najpóźniej za godzinę muszę być po tamtej stronie. O dziewiątej zamykają gazetę.

- A ja już mam fajrant, jołki-pałki, jestem w domciu - pochwalił się Makarenko i niedbale wskazał ręką na jedenastokondygnacyjny wieżowiec przy samym parkingu. - Dwa pokoje, kuchnia. Czy potrzebne jest samotnemu inżynierowi większe mieszkanko?

- Moglibyście się ożenić.

- Przepraszam, pół dnia pracowaliśmy razem, a ja jeszcze się nie przedstawiłem. Stanisław Popławski, inżynier odlewnik, od dwóch lat rencista pierwszej grupy z powodu przewlekłego reumatyzmu, zawsze bezpartyjny...

- Kiedy będziecie zdolni do pracy w swoim fachu?

- To zależy od decyzji komisji lekarskiej - kpił Makarenko alias Popławski.

- Wobec tego życzę szybkiego powrotu do zdrowia i miłych snów. Na mnie najwyższa pora. Do Frankfurtu mam prawie dziewięćdziesiąt kilometrów.

- Czy pojutrze...?

- Być może, pułkowniku Makarenko, chciałem rzec, panie inżynierze Popławski. - Mężczyzna spojrzał za siebie. Daleko, przy torach kolejowych, gdzie było składowisko węgla, paliły się dwie lampy, w bramie stał stróż nocny i kopał papierosa. - Serwus - pożegnał Makarenkę i przesiadł się do lancii.

*

Wąsaty aspirant bez słowa powitania zaprowadził Daniela na drugie piętro, gdzie Syski miał swój pokój, ale nadkomisarza nie było w wydziale kryminalnym.

- Pewnie już dłużej nie mógł czekać i rozpoczął przesłuchanie bez pana redaktora - domyślił się aspirant, z uniżeniem traktując Daniela.

Zza podwójnych drzwi, obitych brązowym skajem, nie wydostały się żadne głosy na korytarz. Stał przed nimi młodzieńki posterunkowy w czapce. Aspirant zagadnął go o Syskiego.

- Jakies dziesięć minut temu szef nagle wezwał komisarza. Pan pewnie jest redaktorem? - zwrócił się do Daniela i nie czekając na odpowiedź, wskazał mu drzwi do sąsiedniego pokoju. Były tam dwa foteliki, stolik, głośniki i mikrofon. - Komisarz zaraz przyjdzie - dodał, zamykając za sobą drzwi.

Upłynął kwadrans, a Syski nie przychodził. Daniel niecierpliwił się, bo przecież obiecywał Miśce, że szybko wróci do domu. Po półgodzinie drzwi się otworzyły i stanął w nich Syski. Nadkomisarz miał nietęgą minę. Milcząc włączył głośnik, rozsunął firaneczki maskujące urządzenia nasłuchowe, magnetofony, odtwarzacze, mikrofony kierunkowe i jeszcze jakieś cuda, których Daniel nie potrafił nazwać, a przecież nie bez podstaw uchodził za dobrze zorientowanego w elektronice.

- Z tego miejsca będziesz wszystko widział i słyszał. - Nadkomisarz podprowadził Daniela do okienka wielkości ekranu telewizora, za którym była dość obszerna izba przesłuchań. - Gdybyś miał jakieś pytania, zapisz je i karteczkę podaj przez aspiranta. Aha, o jedno muszę cię prosić. - Zrobił pauzę, przymrużył oczy. - O twojej obecności w tym lokalu nikt nie może się dowiedzieć. Przed chwilą szef tak mnie zbłuzgał...

- Czyżby z mojego powodu?

- Między innymi z twojego - odparł Syski z dobrze ukrywaną złością i wyszedł do pokoju przesłuchań.

Bokser siedział na twardym krześle, z oczyma tępo wycelowanymi w okratowane okienko. Daniel nigdy nie miał okazji z bliska i do woli przyjrzeć się człowiekowi, którego czoło było jakby pocerowane dratwą, a nos przypominał kapeć. Czasem lubił położyć się na wersalce przed telewizorem i oglądać bokerskie walki, nie przypuszczał jednak, że kamera aż tak oszukuje.

Po wejściu do pokoju przesłuchań Syski włączył mikrofon, bez zbędnych pouczeń spytał boksera o nazwisko, imię, datę urodzenia, miejsce zamieszkania. Widać było, że ma niemałe doświadczenie w prowadzeniu dochodzenia.

- Czym się pan zajmuje na co dzień?

- Jestem trenerem młodzików w Gwardii - odparł bokser hardo. - Po co te pytania? Przecież zna mnie porucznik.

- Co pan robi w wolnym czasie?

- Trochę się handluje.

- Czym? - spytał komisarz sądząc, że bokser nieświadomie doprowadzi go do kogoś, kto okaże się osobą poszukiwaną.

- Czym się da. A co, zabronione może?

- Handluje pan złotem?
- Gdyby nawet... co panu do tego?
- Nadużywa pan alkoholu?

- Moja sprawa - Bokser zadarł głowę. - Niech porucznik powie w końcu, o co jestem oskarżony?

- Na razie o nic. I jeszcze jedno wyjaśnienie: te cztery rozetki oznaczają, że jestem nadkomisarzem policji kryminalnej - pokazał oburącz na pagony.

- Jestem wolny, znaczy?
- Co pan robił w Polanie?

Bokser splótł ręce na piersiach, nogę założył na nogę, oparł się mocno o poręcz krzesła i pewny siebie odrzekł:

- Było się na dobrym piwku.
- Z kim?
- Z jednym znajomym.
- Jak się on nazywa? Gdzie pracuje?

Bokser pokręcił głową nieustępliwie i dodał:

- Nie jestem kapusiem.
- Im szybciej usłyszę odpowiedź, tym lepiej dla pana.
- A komu to w pysk dażem, bym musiał się bać, co?

Syski westchnął i na chwilę zwrócił oczy w lewo, gdzie za niewidocznym oknem tkwił Daniel, jakby liczył na jego wsparcie.

- Bardzo proszę, niech pan dokładnie opowie, aby zaspokoić moją ciekawość, z kim pan był i co robił w Polanie.

- Mówiłem, co poszło się na dobre piwko. Żywca se rąbnąłem. Zabronione?

- Niech pan zrozumie, że sprawa jest poważna. Pan przecież uciekał. Przed kim? Człowiek, który ma czyste sumienie, nie ucieka.

Zaległa cisza.

- Przesłuchujemy wszystkie osoby, które wieczorem były w hotelu. Dojdziemy do prawdy.

- Panie, czy ja jestem o coś oskarżony? - spytał bokser głosem łagodniejszym, ale nadal pewnym siebie.

Komisarz pokręcił głową przecząco.

- Do tej pory nie postawiłem panu żadnych zarzutów.
- To niech nadkomisarz odwali się ode mnie!

- Mogę pana oskarżyć i pan dobrze wie, dlaczego.

Bokser najpierw strzelił śmiechem, a potem poskrobał się w czoło.

- Zamówiliśmy po piwku. W kawiarni nie było za dużo gości. My, jakaś parka i przy stoliku obok faceci z Polauhuru, ciut ich znam. W pewnym momencie drzwi skrzypnęły, wszedł szpenio w kurtce, tak się popatrzył, jakby kogoś szukał i wali prosto do nas, pyta o godzinę, bo mu zegarek nawalił, czy może usiąść, a potem zamawia colę. Jak ten szkop, co go później zaciachali w kiblu, wyszedł się odpryskać, szpenio wstał od naszego stolika. Zaraz po nim zmył się mój znajomy.

- Splótł palce, łokciami przywarł do żeber, wyprostował się. Postanowił, że jednak nie powie, z kim był w kawiarni.

- Pan nie wychodził do toalety? I nie rozmawiał z żadnym Niemcem ani z nikim z Polauhuru?

- Cisnęło mnie na pęcherz, bo wypilo się piwko, potem drugie, trzecie... Jak Bożę szczerze kocham - dłonią zaciśniętą w kułak kilka razy walnął się w pierś - siedziałem do samiutkiego końca. Coś mnie...

- W takim razie, jakim cudem miał pan przy sobie portfel z dokumentami ofiary? - przerwał mu policjant, z szarej koperty wydając paszport, marki niemieckie i plik kart wizytowych. - Tu są pańskie odciski palców.

- Żeby to ja wiedział. Ja... Niech pan nadkomisarz uwierzy, że nie mam z tym nic wspólnego.

- To pewnie ktoś podrzucił panu portfel?

Bokser zaniemówił; starał się znaleźć wiarygodne wyjaśnienie tego faktu, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

- Ktoś musiał mnie zrobić.

- Zostawmy tę sprawę, wróćmy do pańskiego znajomego. Jak się on nazywa?

- Nie pamiętam nazwiska.

- Gdzie mieszka? Od dawna się znacie?

- Tak sobie dumam, że to ten facet, co przysiadł się do naszego stolika, podrzucił portfel, bo kto inny i kiedy? Był taki moment, jak jemu rozwiązał się but. On, skurwysyn! - Bokser znowu zaciśnął prawą dłoń i kilka razy uderzył nią o kolano.

Na policjancie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- To z kim wybrał się pan na piwo? - spytał Syski głosem prze-wlekłym, a zamiast odpowiedzi usłyszawszy śmiech, huknął: - Kto to był?!

Bokser przybrał wyraz twarzy zaskoczonego niewiniątka.

- Pan pułkownik Koper - powiedział cicho, spuszczać głowę na piersi.

- Spotkaliście się przypadkowo na ulicy, pułkownik zaprosił pana do Polanu, żeby powspominać dawne czasy?

- Właśnie...

- Co, właśnie?! - znowu huknął komisarz.

- Właśnie było tak jak pan powiedział - potwierdził bokser. - Pan mi nie wierzy? Nie chciałem podawać nazwiska pana pułkownika, bo po co macie i jego ciągać? Równy gość. On na pewno nie podrzucił portfela. Po co by...?

Daniel, gdy usłyszał to nazwisko, natychmiast skojarzył je z aferą w Muzeum Ziemi Lubuskiej, która poruszyła całe środowisko kolekcjonerskie. W połowie lat osiemdziesiątych z działu militariów skradziono osiem szabel, trzy karabinki kawaleryjskie, sztucer kapiszono-owy i dubeltówkę. Póki dochodzenie prowadził jakiś kapitan z kome-ndy rejonowej, podejrzanych przybywało i wydawało się, że zabraknie miejsca na ławie oskarżonych, ale później sprawą zainteresowała się grupa Kopera i wtedy śledztwo toczyło się ślamazarnie. Ponieważ wśród podejrzanych o kradzież byli profesorowie, myśliwi i oficerowie, czyli osoby znane w regionie nadodrzańskim, nigdy nie doszło do otwartej rozprawy przed miejscowym sądem, a Daniel dostał zakaz pisania cegokolwiek na ten temat.

- O czym rozmawiał pan z Koperem? - Nadkomisarz zerknął na zegarek. - Pewnie o sporcie, czy tak?

- Jak przy piwku - odparł bokser, również zerkając na zegarek. - On tego nie zrobił, bo i kiedyż? Zanim wyszedł, coś wspominał o urodzinach czy imieninach żony.

- On nie. Handlowcy z Polauhuru też nie. Portier nie. Kto jeszcze nam został? Może kelner albo sprzątaczką?

Bokser zaniemówił, dopiero teraz zdał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazł.

- Dość wodzenia mnie za nos. Dlaczego uciekałeś?

- Ja?... - spytał i chwilę milczał. - Zgłupiał człowiek. Jakem nama-
cał portfel w kieszeni... bałem się. Panie nadkomisarzu, to musiał być
szkop... ja go nie... Pysk bym skuł, a potrafię... ale żeby dziabnąć
nożem prosto w serce? Pan myśli, że ja?

Syski wstał ociężale, odwróciwszy się plecami do boksera, rzucił
zniechęca:

- Ty!

- Co ja? - Bokser wyszczerzył oczy.

- W zeszłym tygodniu, w czwartek, w parku za Urzędem Miejskim
podziurawiono handlarza złotem i narkotykami. Wprawdzie przeżył
napad, ale jego dni są policzone. Gdzie byłeś szóstego października,
powiedzmy, około osiemnastej?

Zapadło dłuższe milczenie. Bokser zmarszczył czoło i odtwarzał
w pamięci tamten wieczór, zaciskał palce u obu rąk, jakby liczył dni.

- Mam - rzekł z radością. - Od szóstej do ósmej prowadziło się
trening młodzików. Można sprawdzić w klubie.

- Już kilka razy byłeś podejrzany o rozbój z użyciem noża - przy-
pomniał mu policjant. - Ty i twój braciszek napadliście na taksówka-
rza, podróżnego, ostatnio ograbiliście mieszkanie księdza na Zaciszu.
Braciszek wspomniałomyślnie wziął winę na siebie.

Na twarzy boksera malowało się napięcie. Kąciki ust mu drgały,
spojrzenie skierował na podłogę. Coś jednak ma na sumieniu, zorien-
tował się Syski. Gdyby go mocniej przydusić, wmówić jakieś pobicie
albo kradzież, przyznałby się do czegokolwiek, żeby nie odpowiadać
za poważniejsze przestępstwo. Łagodność wobec podejrzanych jest
najlepszym lekarstwem na chorobę niepamięci, stwierdził i spytał
głosem dobrodusznym:

- A ten facet, który przysiadł się do was w Polanie, jak wyglądał?

- Normalnie. Był w skórze. Nie przyglądałem się... Zaraz, tutaj -
palcem wskazującym bokser przeciął po prawym policzku - miał coś
jakby szramę. Musiał dostać nożem. Poznałbym go, jak nie po tej
szramie, to po loczku nad czołem. To się zapamiętuje, panie władzo.

- Zauważyłeś jeszcze coś szczególnego? Pomyśl dobrze, od tego
zależy twój los - postraszył go Syski.

Bokser znowu wydał usta, przechylił głowę, wzruszył ramionami.

- W takim razie skończyliśmy rozmowę - oznajmił nadkomisarz

i wybrawszy numer telefonu oficera dyżurnego komendy powiedział do słuchawki: - Zajęcie dla sędziego.

- Mogę już iść?

- Zaraz przyjdzie policjant i odprowadzi pana.

- Nie trzeba. Znam każdy kąt.

- Policjant odprowadzi pana do aresztu.

- Za co? Ja go nie zabiłem! - wrzasnął bokser i rozplakał się jak dziecko.

Policjant położył rękę na jego ramieniu.

- Tak łatwo, kurde, nie dam się zrobić! Dawaj pan komendanta! - zawołał do Syskiego.

W tym momencie do pokoju weszli dwaj rośli policjanci, chwycili boksera za ramiona i wypchnęli go za drzwi. Syski powiedział do mikrofonu:

- Słabnie męstwo bez przeciwnika. Co ty na to, Daniel?

- Nie trafiłeś. Tacy jak bokser są szczyrzy. Jego ptasi mózdzek nie jest w stanie pracować koncepcyjnie. On nie kłamie, bo nie potrafi myśleć logicznie. Nie uderza pojedynczo, lecz wali całą serią na oślep. Czasem trafia. Ten, kto zadźgał Niemca, Niemców - poprawił się, pamiętając, że wszyscy mężczyźni zginęli w ten sam sposób - ten ktoś ma doświadczenie w zabijaniu. To inteligentny fachman... Może chodzi nawet o coś bardzo poważnego. Może jest to robota dla uopowców? Na twoim miejscu zainteresowałbym się panem Koperem.

- Chyba nie sądzisz, że były esbek nadal świadczy usługi? Koper zawsze był urzędnikiem. W gruncie rzeczy, powinni go zatrzymać w UOP. Mieliby z niego wiele korzyści. - Syski nie dopuszczał do siebie myśli, aby emerytowany pułkownik mieszał się w morderstwa. - Rano wypuszczę boksera i każę sprawdzić, dokąd pójdzie. Mam dwóch nowych aspirantów, niech się kształcą.

- Spartolą robotę - rzekł Daniel jak znawca.

- W takiej sytuacji niedowarzeni są najlepsi. Nie mają nic do stracenia, przeciwnie, mogą awansować poza regulaminem, a im przecież o to chodzi.

Rozdział V

Angelice nie chciało się wstać z wygrzanego łóżka; jedno oko miała jeszcze zamknięte, drugim zerknęła na wskazówki starego blessinga - dochodziła szósta. Za godzinę musi być w sekretariacie redakcji. Nie może się spóźnić nawet o minutę, portier by to zauważył i poskarżył dyrektorowi wydawnictwa. Dlatego przychodziła przed wszystkimi dziennikarzami i pracownikami administracji. Najpierw wietrzyła pokoje zastępców redaktora naczelnego, zawsze śmierzące dymem papierosowym, parzyła kawę w termosach, nastawiała wodę na herbatę i czekała, kiedy rozlegnie się pierwszy telefon. Później przepisywała rękopisy redaktora naczelnego, łączyła rozmowy szefa z wieloma instytucjami, przyjmowała opinie wściekłych i normalnych czytelników, zbierała gratulacje i reprimendy, jakby to od niej zależało, co było wydrukowane w gazecie. Nie lubiła swego zajęcia, ale była wdzięczna Wolfmannowi za rekomendację. Setki jej rówieśniczek rozglądały się za jakimkolwiek zajęciem, byle nie być na utrzymaniu urzędu do spraw bezrobotnych. Angelika napisała dwa artykuły, naczelny pochwalił ją za odmienne widzenie problemów ludzi młodych i stwierdził, że jest utalentowana, lecz jeszcze powinna popracować nad stylem. Kiedyś stanie się sławna jak Karin Albrecht, powiedział, jej troszkę starsza koleżanka, która przeprowadza wywiady z politykami i jeśli tylko zechce, będzie mogła drukować swoje teksty w „Berliner Zeitung”. Kiedy to nastąpi, Angelika przestanie być sekretarką, a zajmie pokój dziennikarski Karin.

Pochyliła się nad uchem Joachima; spał smacznie odwrócony do niej plecami. Nie zamierzała budzić go tak wcześnie, bo późno wrócił do domu, a przed podróżą do Berlina powinien odpocząć. Codziennie wstawał przed nią i wybiegał do parku na zaprawę poranną, hartując swoje ciało, ale raz może chyba naruszyć rytm tygodnia. Złapała się na tym, że nie wie, co Joachim robi całymi popołudniami po powrocie ze szkoły. Trzeba wymalować kuchnię, naprawić spluczkę w ubikacji, a on wcale nie interesuje się mieszkaniem. Dawniej podczas wakacji nie było go w domu, rozumiała to, bo jeździł z młodzieżą do Polski, lecz teraz już nikt nie przymusza go do pracy za darmo. Zupełnie inne, trudne do bezdyskusyjnego zaakceptowania spojrzenie na człowieka

we wschodnich Niemczech. Pocałowała go w czoło i zsunęła nogi z łóżka na dywanik, a wtedy Joachim objął ją w pasie.

- Słodka - mruknął nie otwierając oczu.

- Śpieszę się do redakcji - szepnęła, gdy Joachim usiłował przyciągnąć ją do siebie lewą ręką, tą z tatuażem.

- Zdążysz - rzekł przytomnie i położył głowę na jej gorących udach.

- Nie zasługujesz na moją... miłość - powiedziała jakby z wyrzutem, mimo to palcami prawej dłoni przeczesła jego włosy. - Tyle roboty w domu, a ty ciągle gdzieś się włóczysz. Wczoraj czekałam z kolacją. Mógłbyś przynajmniej zostawić karteczkę w kuchni: idę tam i tam, wrócę późno.

- Nie karć mnie o tej porze, proszę. Obiecywałem, więc naprawię i zamek, i gniazdko, i spłuczkę, i wszystko, co wymaga naprawy.

Angelika słyszała to tyle razy z jego ust, że nie zareagowała na obietnicę. Wyszła do łazienki, a on naciągnął kołdrę na siebie i spał dalej. Po dwudziestu minutach wróciła do sypialni wypchniona, rześka, zadowolona, ale kiedy spojrzała na Joachima, pomyślała, że wszystko jest niesprawiedliwe, bo on nadal śpi, ma wolne przedpołudnie, a ona każdego dnia musi wstawać wcześniej i pędzić do redakcji. Gdyby zarabiała tyle co Karin Albrecht, nie czułaby się skrzywdzona, lecz jej pensyjka jest niewielka, może równa stypendium studenckiemu, jakie dostawała na uniwersytecie. Jeszcze przed pęknięciem muru berlińskiego ludzie cieszyli się, że w zjednoczonych Niemczech wszyscy będą równi; ci ze wschodniej strony Łaby dostaną tyle marek, żeby im wystarczyło na dogonienie tych z lewego brzegu rzeki. Stało się inaczej: w części zachodniej zarobki są znacznie wyższe, tamtejsi Niemcy mogą sobie pozwolić na najmodniejsze ciuchy, nowoczesny sprzęt, słodczy, wczasy na Karaibach, a tacy jak Angelika, urodzeni nad Odrą wiele lat po ostatniej wojnie, gryzą kamienie. Angelika o tym właśnie napisała w swoim debiutanckim artykule. Nasza przyszłość jest mglista, stwierdziła wbrew temu, co głosili politycy.

- Wrócę później, Achim - oznajmiła mu, ubierając się w sprane dzinsy i najmodniejszą bluzkę z wzorzystej żorżety. - Pójdę na polską stronę, tam zawsze trochę taniej. Dawno nie jedliśmy zupy szparagowej. Powinnam sobie kupić nową kurtkę na jesień.

- Akceptuję - powiedział sennie.

- Potem zajrzę do babci.

Joachim zerwał się, usiadł na łóżku i wytrzeszczył oczy na Angelikę.

- Po co?

- Ty prawie codziennie u niej bywasz, a ja... Wiesz dobrze, że ona mnie lubi, nawet bardzo. Zobaczę, czy skończyła wyszywanie serwetek. Przydałyby się nam na stół, prawdziwa ręczna robota, nie sądzisz?

Oparł głowę na kolanach i zastanawiał się, co takiego powiedzieć, żeby Angelika nie poszła do babci. Ona nie powinna teraz widzieć się ani z babcią, ani z nikim, kto zna Joachima w Słubicach.

- Pójdziesz sama? Beze mnie? Nie boisz się?

- Kogo i dlaczego?

- Ee... - ugryzł się w język. Co jej rzec?

- Nie jestem biznesmenką. - Roześmiała się. - A ponadto nie wierzę, aby Polacy akurat teraz, kiedy tak bardzo zależy im na potwierdzeniu przydatności w NATO i dostaniu się do Unii Europejskiej mieli cokolwiek przeciw wszystkim bez wyjątku Niemcom. Redaktor Wolfmann powiada, że te zabójstwa, o których co kilka dni pisze „Frankfurter Zeitung”... Zresztą na bazarze w Słubicach jest tylu Niemców, że nie powinnam się zastanawiać nad swoim bezpieczeństwem. Cnoty nie stracę, bo już jej nie mam... Pa, kochany. Na mnie pora. - Cmoknęła ustami w jego kierunku. - Porozmawiamy wieczorem, jeśli będziesz w domu.

Vogel już stał za firanką w swoim pokoju; dostrzegłszy Angelikę przechodzącą na drugą stronę ulicy, aż zatarł dłonie. A ona zatrzymała się, zapięła kurtkę, poprawiła fryzurę, z ukosa zerknęła w okno na drugim piętrze i poszła wolno jak modelka na pokazie mody, odprowadzana poządlwym wzrokiem leciwego sąsiada.

- Każdy mężczyzna jest trochę erotomanem - powiedziała sama do siebie, podawszy piersi do przodu.

*

Szef Prezydium Policji wyprostował się w fotelu, ponownie wziął gazetę z biurka i jeszcze raz, analizując każde zdanie, czytał informację wydrukowaną na pierwszej stronie „Frankfurter Zeitung”. Schneider dość dobrze zna Polaków, na Śląsku żyją kuzyni jego żony, wypił

z nimi morze wódki, jednak nigdy nie odczuł, aby byli mściwi. Co im się stało? Tyle lat po zjednoczeniu, a oni ciągle nam zazdroszczą tego kroku? Na razie nie ma czego. To wszystko, co się dzieje w Brandenburgii, Saksonii, Berlinie, Meklemburgii i na Pomorzu wybuchło tak nieoczekiwanie i nagle, że mimo upływu ponad dziesięciu lat od zwalenia muru, niewielu wschodnich Niemców potrafi myśleć logicznie. Powinni być wdzięczni Polakom za wytyczenie dróżki ku swobodzie. Gdyby nie ten ich wąsaty bohater, Solidarność, słowiańska niepokora, moi rodacy dalej koczowaliby wzdłuż Łaby i tkwili na mapie Europy jako zagraniczna republika sowiecka Niemiec. Oni, Polacy, twierdzą, że nigdy Niemiec nie był i nie będzie Polakowi bratem. Pewnie mają dużo racji, ale to nie oznacza, aby mieli powody do mszczenia się. Myśmy jednak się zmienili, chcemy z nimi żyć w zgodzie i to nie dlatego, że nie mamy innego sąsiada. Polacy na pewno spodziewali się wielkich pieniędzy z Niemiec, lecz my również potrzebujemy pomocy. Sami sobie nie poradzimy, choćbyśmy nie wiem jak tyrali. Oni muszą szukać wsparcia gdzie indziej. Jest jeszcze majętna Austria, zamożna Francja, dostatnia Szwecja, Polska ma tylu emigrantów w obu Amerykach, Australii, Afryce, dlaczego nie wyciągnie do nich rąk? Czy to mało, że Niemcy, sprzeciwiając się Rosji, jak żadne inne państwo europejskie od samego początku popierali starania Polski o wejście do NATO? Ileż razy Kohl zapewniał ciągle zmieniających się premierów Polski, że póki on będzie kanclerzem Niemiec, nie dopuści do tego, aby protest Rosji był brany pod uwagę w Brukseli. A Schröder, mimo że jest socjaldemokratą, zachowuje się inaczej? Rozprawiając tak w myślach, oparty łokciami o blat potężnego biurka, Schneider nadal spoglądał na gazetę. Chciałby teraz z kimś porozmawiać o tym, co się ostatnio dzieje w centrum Europy. Może pojechać do Zielonej Góry, poprosić o wyjaśnienia, przynajmniej nie być obojętnym wobec zdarzeń, które mają miejsce po polskiej stronie granicy? Albo posłać tam któregoś policjanta? Tylko komu można zaufać, skoro co drugi spogląda na Schneidera tak, jakby był politycznym wolontariuszem, a nie doktorem prawa karnego? Jeszcze jakiś czas musi się opierać na doświadczeniu lawirantów policyjnych, poduczonych w partyjnych szkołkach pod Berlinem i w Moskwie.

- Kancelaria premiera rządu krajowego do pana doktora - przerwał jego rozmyślania głos sekretarki. Podniósł słuchawkę, przedstawił się.

- Sporządzam przegląd dzisiejszych gazet dla pana premiera...

Schneider domyślił się, że słyszy rzecznika prasowego premiera Brandenburgii.

- Czy zabójstwo Wilhelma Kopfmaiera należy traktować jako zdarzenie polityczne, czy jest to zwykły wypadek? Kilka dni temu również w „Frankfurter Zeitung” spotkałem podobną notatkę.

- Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Sam zachodzę w głowę. W przeszłości zdarzały się podobne wypadki, nigdy jednak nie miały one charakteru... - Jakby to rozsądnie nazwać? - Uważam, że z tych ostatnich zdarzeń nie należy wyciągać wniosków politycznych. Postaram się w miarę możliwości sprawę szybko zbadać.

- Tak też poinformuję pana premiera - powiedział bez słowa komentarla rzecznik. - Gdyby jeszcze dziś pan uzyskał jakieś wyjaśnienia, bardzo proszę o kontakt z kancelarią w Poczdamie. Aha, należy się liczyć z tym, że pan premier zainteresuje sprawą rząd boński.

- Tak, rozumiem - odparł spokojnie Schneider.

Łatwo przytaknąć, ale może to wcale nie jest błaha rzecz?

Jedno zabójstwo da się jakoś wytłumaczyć, drugie również, ale gdy gazeta w ciągu dwóch tygodni pisze o czterech morderstwach, sprawa wymaga głębszego dochodzenia. Dyrektor podniósł się zza biurka, z rękami splecionymi na plecach spacerował po gabinecie i analizował rozmowę z rzecznikiem. W Nadrenii Północnej-Westfalii, gdzie ponad dziesięć lat był prokuratorem powiatowym, nie zajmowałyby się takimi sprawami. Tam każdy policjant wiedział, co do niego należy.

O 9.40 Schneider wezwał do siebie Kirscha, zajmującego się kontaktami zagranicznymi. Nie cierpiał go, lecz póki nie znajdzie kogoś młodszego, władającego angielskim i polskim, musi słuchać rad konusa. Policjant powinien być przede wszystkim wiarygodny i stanowczy. Dobrze jest, jeśli stawia nogi pewnie i prosto, chodzi z głową uniesioną, wygląda nienagannie. Kirsch ma wielką jak dynia głowę i krótkie nogi, na których dźwiga nalany piwem brzuch.

Nie wspomniał ani o telefonie z Poczdamu, ani o notatkach w „Frankfurter Zeitung”, tylko spytał Kirscha, czy zdążył zapoznać się z dzisiejszym wydaniem „Gazety Lubuskiej”.

- Chodzi panu o zabójstwo Kopfmaiera?

- Między innymi o to - potwierdził chłodnym tonem.

- Żadna polska gazeta, a przejrzałem prasę zielonogórską i poznańską, nic nie wspomina o tym bulwersującym niemiecką opinię społeczną morderstwie. Radio też milczy. Uważam, że nic nie wiedzą albo jest im zwyczajnie wstyd.

- Nie wydaje się to panu dziwne?

- Rząd federalny powinien wezwać polskiego ambasadora i zażądać wyjaśnień. Takie są zwyczaje międzynarodowe. O ile wiem, jeszcze nie zostały zmienione.

Schneider uniósł krzaczaste brwi i lekko wzruszył ramionami.

- Niech każdy robi dobrze tylko to, co do niego należy - rzekł jak cierpliwy nauczyciel do marnego ucznia. - Czy pan zna kogoś w redakcji „Frankfurter Zeitung”?

- Z pierwszymi po zjednoczeniu szefami redakcji byłem nawet zaprzyjaźniony. Ostatnio zmieniło się całe kolegium, a nowi zazwyczaj są nieżyczliwi wobec policji. Zachowują się tak, jakby pozjadali wszystkie rozumy - stwierdził obcesowo i potrząsnął wielką głową. Karin Albrecht, ta ich gwiazda od siedmiu boleści, obywa się bez naszej pomocy.

- I pewnie dobrze na tym wychodzi - powiedział doktor, zły na Kirscha. Bo co on sobie myśli? - Czy to Albrecht jest autorką notatki dotyczącej zabójstwa Kopfmaiera?

- Dowiem się, jeśli pan sobie tego życzy, szefie.

- Przy okazji proszę spytać o źródło informacji. Powinniśmy się uczyć również od dziennikarzy.

- Tak jest, panie doktorze - bez namysłu zgodził się Kirsch.

A jednak stara, dobra szkoła, ocenił jego zachowanie Schneider. Można mieć do Kirscha wiele pretensji, nie ufać mu do końca, ale czy którykolwiek spośród młodych potrafi być na służbie przez całą dobę?

- Czegoś się boi. To dobrze, będzie mi posłuszny - powiedział do siebie, kiedy Kirsch się odmeldował.

Poprosił sekretarkę, aby go połączyła z redaktorem naczelnym „Frankfurter Zeitung”. Nigdy nie rozmawiał z dziennikarzem, mimo że jeszcze miesiąc temu był prokuratorem w Rheine, obawiał się, czy potrafi jasno i precyzyjnie zadawać pytania i czy uzyska rzeczowe odpowiedzi.

- W tej chwili trwa kolegium redakcyjne, zaraz po nim naczelny wyjeżdża do Berlina, a jutro będzie u wydawcy w Hamburgu - informowała go Angelika uprzejmie, tak że aż zaniemówił z wrażenia. Tego się nie spodziewał. - Może ja potrafię pomóc panu?

- Będę wdzięczny za informację, kto jest autorem artykułu o morderstwie, jakie zostało popełnione wczoraj wieczorem w Zielonej Górze. Winien jestem pani wyjaśnienie, otóż są tam pewne nieścisłości i dlatego...

- Przykro mi bardzo, doktorze Schneider - przerwała mu Angelika bezceremonialnie - ale takiej informacji nie uzyska pan nawet od redaktora naczelnego. Nas obowiązuje tajemnica zawodowa. Odmówimy każdemu, łącznie z sądem. Jesteśmy gazetą niezależną.

- Oczywiście, oczywiście - mruknął niezadowolony.

- Mogę pana zapewnić, że informacja jest od początku do końca prawdziwa. Jeśli w tej sprawie gazeta zdobędzie więcej materiałów, z pewnością wykorzysta je na swoich łamach. Czy to panu wystarczy?

- Dziękuję.

Odłożył słuchawkę, wściekle grzmotnął pięścią w poręcz fotela.

- Jeszcze trochę i będę zmuszony opłacać pismaków. Co oni sobie myślą? A czy tam, w Rheine, Gronau, całej Nadrenii Północnej-Westfalii, policja nie ma swoich ludzi wśród dziennikarzy? Musi mieć, inaczej jedni i drudzy nie potrafią pracować. - I już był pewien, że Kirsch otrzyma dodatkowe zadania.

*

Dochodziła godzina 10.15. Kirsch rzucił gazety na stół, włączył radio, szybko podniósł słuchawkę, wybrał numer kierunkowy 0-30, a następnie numer berliński. Po chwili usłyszał męski głos:

- Sklep z zabawkami, słucham.

- Pomyłka - przeprosił Kirsch.

Gdyby telefonistka w Prezydium Policji podsłuchiwała jego rozmowy, doszłaby do wniosku, że albo drzą mu palce u rąk, albo powinien zmienić okulary na mocniejsze, bo ciągle wybiera nie te numery. Wielu policjantów miało go za bałaganiarza, rozkojarzonego gline, który dźwiga wielką głowę nabitą nierealnymi pomysłami. Może dlatego poprzednik Schneidera przywrócił go do pracy w prezydium,

podczas gdy inni policjanci ludowi nadal byli młynarzami, dozorcami, portierami, woźnymi albo ciągle szukali swego miejsca. Kirsch nie widział siebie na budowie, czy za ladą w sklepie z zabawkami, nie mógłby nawet zostać stróżem nocnym. Na pewno mężczyzna z taką głową nie znalazłby zajęcia w biurze tłumaczy. Miał więc trochę szczęścia albo, o czym często myślał, poparcia. Tylko, zastanawiał się, czyjego?

Nastawił radio berlińskie. Po wiadomościach z zagranicy lektor zapowiedział przegląd prasy regionalnej. Kirsch nie wątpił, że najpierw usłyszy streszczenie notatki wydrukowanej na pierwszej stronie „Frankfurter Zeitung”. Nie pomylił się, a kiedy lektor dodał, że wypadki w Zielonej Górze budzą niepokój niemieckiej opinii społecznej, policjant zatarł ręce z uciechy. Podrzucimy wam więcej podobnych nowinek, pomyślał. Zadowolony usiadł za biurkiem, zerknął na zegarek i czekał, kiedy odezwie się telefon. Od wielu tygodni dziesięć po dziewiątej nie wychodził ze swojego pokoju. Taki dostał rozkaz. Nie wszystko rozumiał, zresztą nie zależało mu na tym, wykonywał zadania i robił wiele, żeby zadowolić swoich pryncypałów. Straciliśmy dobre samopoczucie, oddaliśmy władzę, ale odzyskamy siły i zmusimy cały naród, aby nam zwrócił władzę. Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności odeszła, lecz nie zginęła. Przyjdzie jeszcze czas, kiedy Niemcy zechcą być rządzeni przez prawdziwych socjalistów.

Do pokoju wszedł jego sąsiad zza ściany, z papierosem w palcach. W tym samym momencie zaburczał telefon bezpośredni. Kirschowe oczy zwęziły się, wyciągnął rękę po słuchawkę i znieruchomiał, jak pomnik tkwił może minutę.

- Proszę poczekać - rzucił i zakrywszy dłonią mikrofon słuchawki, skierował wzrok w stronę stojącego w otwartych drzwiach sąsiada.

- Nie mam ognia - sąsiad pokazał mu papierosa. - Mógłbyś...

Kirsch sięgnął do kieszeni spodni, wyjął poślaczoną zapalniczkę i podał ją koledze. Tamten zapalił papierosa i wychodząc rzekł, że wróci za kwadrans, aby omówić sposób zabezpieczenia spotkania kanclerza i premiera. Kirsch opadł na krzesło i odetchnął głęboko, czuł drżenie kolan. Już nie był tym samym policjantem, który dotąd każde zadanie wykonywał bez zmruczenia oka.

- Asystent prasowy szefa Prezydium Policji we Frankfurcie nad

Odra - przedstawił się, co było najzupełniej zbędne, lecz zawsze tak postępował. Od dnia zjednoczenia Niemiec nikt nie podsłuchiwał rozmów bezpośrednich, on jednak nie wierzył w oficjalne zapewnienia. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, uważał nie bez racji.

- Jestem reporterem dziennika „Berliner Morgenpost”.

- Miło mi słyszeć pana redaktora. Czym mogę służyć?

- Zapewne pan dostrzegł, że nasza gazeta publikuje wypowiedzi szefów okręgów policyjnych.

- Tak, są interesujące - stwierdził Kirsch z przekąsem. Cholera, mów, o co ci chodzi, pismaczkule. Za wiele konspiracji. Tobie się wydaje, że masz do czynienia z prowincjonalnym amatorem. Zapomniałeś, albo jeszcze ci nie powiedzieli, kto to wszystko organizuje?

- Chciałbym, korzystając z pańskiego pośrednictwa, namówić doktora Schneidera na taką wypowiedź.

- Mój szef jest do pańskiej dyspozycji każdego dnia.

- A więc jutro, dobrze? Przyjadę z fotoreporterem, niebieskim BMW z rejestracją monachijską, to tak... Potem zamierzamy wybrać się do Polski. Proszę nam polecić dobrą restaurację w Zielonej Górze. Podobno nieźle karmią w Creatorze, kawałeczek za miastem. Za dwadzieścia marek da się zjeść solidną kolację?

- Polecam panu, redaktorze, kotlet schabowy. Proszę jednak mieć się na baczności, bo to zdziczały kraj. Dziękuję za rozmowę. - Kirsch jeszcze przez chwilę trzymał słuchawkę w dłoni, chociaż wszystko dobrze rozumiał. Zaraz zadzwoni do Karin Albrecht w redakcji „Frankfurter Zeitung” i powie, żeby już myślała nad tytułem notatki. Który to będzie nieboszczyk?

*

Po południu ruch samochodowy na moście odbywał się wyłącznie w jedną stronę, z Frankfurtu do Słubic. Angelika znalazła się na przeciwnym brzegu Odry, po raz kolejny utwierdziła się w przekonaniu, że Polacy nie wyglądają na notorycznych morderców, jak twierdzili czytelnicy „Frankfurter Zeitung”, którzy bez przerwy telefonowali do redakcji, domagając się nie tylko ujawnienia szczegółów zabójstw, lecz i stanowczej reakcji władz niemieckich. Tyle razy robiła zakupy w Słubicach i nigdy nie zaczepił jej żaden mężczyzna, a przecież jest

kobietą atrakcyjną, pełną. Nie zdarzyło się, aby ktokolwiek odniósł się do niej z arogancją dlatego, iż nie mówi po polsku. Przeciwnie, Polacy zawsze okazywali jej szacunek, byli uprzejmi, mężczyźni szarmanccy i uprzedzająco grzeczni. Frankfurczycy za to owszem, pogardliwie wyrażali się o Polakach, ale wchodzili do ich coraz bogatszych sklepów, gdzie towary ciągle są tańsze niż w Niemczech i też niezłej jakości.

Szła ścieżką wzdłuż wału; po prawej miała rozległe łąki, za nimi tyki dymiących kominów, po lewej ulica ocierała się o ścianę domów obłożonych z tynku, ale czy we Frankfurcie jest inaczej? Bloki przy głównych ulicach wyglądają nowocześnie, kolorowo, jak na przedmieściach Dortmundu czy Darmstadtu, jednak na obrzeżach miasta pozostały blizny wojenne, choć od kapitulacji Niemiec upłynęło pół wieku.

Słubickie targowisko rozsiadło się w pobliżu stadionu olimpijskiego, zbudowanego jeszcze za rządów nazistowskich, o czym Angelika dowiedziała się zupełnie przypadkowo. Jak większość kobiet, lubiła wybierać towary, gmerać w koszach, targować się, chodziła więc między straganami, budkami, przyczepami kempingowymi, samochodami i podziwiała talenty kupieckie ludzi. Handlowali nie tylko Polacy, lecz i Rosjanie, i Rumuni, i Ukraińcy, i Litwini, nawet Czesi i Węgrzy. Coś podobnego widziała w Baku, dokąd w ostatnim roku istnienia NRD pojechała na koszt FDJ, jako wyróżniająca się aktywistka w szkole średniej.

Przymierzyła kurtkę uszytą z trudnego do określenia materiału, za to świetnie skrojoną. Stwierdziła, że taką właściwie powinna mieć, kiedy zajmie pokój Karin Albrecht. Podeszła do straganu ze spodniami, naprawdę było w czym wybierać. Cieszyła oczy tureckimi bluzkami, sweterkami, dresami, lecz nie po to tu przyszła. W końcu kupiła trochę warzyw i owoców; nie mogła się zdecydować, czy wziąć wiązankę goździków, czy gerberów, czy żonkili. Bardzo lubiła kwiaty, a Joachim, ten zakochany w niej mocarz, nigdy nie przyniósł jej nawet jednej róży, choć tak często bywa na polskiej stronie. Wydawało się Angelice, że teraz na bazarze panuje mniejszy ruch, a Niemcy, których były tu zawsze tysiące, chodzą w grupkach i nie pohukują, jak to mają w zwyczaju. Czyżby przejęli się informacjami „Frankfurter Zeitung”? Nie przypuszczała, że aż taka jest potęga gazety.

Zajrzała jeszcze do stoiska z kosmetykami i ruszyła w stronę centrum Ślubic, gdzie mieszkała babcia Joachima. Szła powoli, rozglądając się, podziwiając a to ukwieconą kapliczkę przed ogromnym kościołem z płaskim dachem, wyglądającym jak sala gimnastyczna, a to w błyskawicznym tempie wyrastające pawilony obok stacji benzynowej, a to tłumy kruczowłosych obcokrajowców; właściwie o niczym nie myślała, czuła się trochę zmęczona, chciała już być w mieszkaniu babci i z nią gaworzyć. Ileż w tej starej kobiecie jest radości, a przecież żyje skromnie, pomyślała z zazdrością. Jakże ona umie przekonywać, zjednywać sobie ludzi... Nagle coś ogromnego zważyło się na Angelikę, zarzuciło zimną obręcz na jej szyję i ukuło czymś w plecy. Nawet nie próbowała się bronić, pomyślała tylko o tym, co się stało z czterema Niemcami w Zielonej Górze. Polacy naprawdę atakują i mordują! Wypuściła torbę z warzywami na chodnik, mokra od potu czuła pulsowanie w piersiach, na skroniach, pod łopatkami, było jej na przemian zimno i gorąco.

- Jednak dałaś się przestraszyć - usłyszała; jeszcze nie potrafiła myśleć, ale ten głos rozpoznała od razu. - Przyznaj się: miałaś pietra?

Patrzyła na Joachima z taką odrazą, że gdyby miała pod ręką coś twardego, pewnie uderzyłaby go w głowę. Nie chodziło jej o głupią zaczepkę, lecz o to, że Joachim szedł za nią od Bóg wie kiedy i nie odzywał się. Pewnie był na bazarze, widział, jak przymierzała kurtkę, grzebała w tych dzinsach, swetrach, bluzkach... Ochłonawszy troszkę z przerażenia, westchnęła głęboko i dopiero wówczas powiedziała, ale takim głosem, że Joachim postawił oczy w ślup:

- Jesteś zwyczajnym smarkaczem, chamie. Infantylnym bandziorem...

- Angeluś...

- Zabierz łapska!

- Angeluś. - Próbował przytulić ją do siebie, lecz z odrazą odtrąciła jego rękę. - Nie chciałem cię przestraszyć. Przepraszam, może rzeczywiście postąpiłem jak dzieciak, nie zastanawiałem się nad tym.

- Czasami zachowujesz się jak mężczyzna, jak najlepszy kochanek, są jednak dni, kiedy masz twarz bandziora. Nie byłabym zdziwiona, gdybyś to ty... - urwała, zmierzyła go sceptycznie.

- Daj już spokój. Chodźmy do domu. - Pochylił się, zebrał rozsy-

pane warzywa z chodnika i znów spróbował ją przytulić, lecz ona była jeszcze nadąsana. - Zachowałem się... Kocham cię, Angeluś.

Podniosła na niego oczy, już rozchmurzona.

- Idziemy do babci - wskazała osiedle domków przycupnięte za kościołem.

- Byłem tam. Babki nie ma. Musiała wyjść do sąsiadki - mówił, patrząc na nią z góry. Nie domyśliła się, że kłamie. - Innym razem zobaczymy się z babunią.

- Za karę poniesiesz torbę z zakupami. - Kwiaty przełożyła do prawej ręki, wzięła Joachima pod ramię i poprowadziła go w stronę mostu granicznego. - Zachowałeś się tak, jakbyś był mordercą.

Bez słowa pocałował ją w czubek nosa i roześmiał się. Śmiał się długo, a ludzie przystawali, ale patrzyli nie na Joachima, lecz na Angelikę, bo Niemka i taka zgrabna.

Rozdział VI

Nieliczni znajomi Kopera pamiętali, że kiedyś należał on do najpoważniejszych zbieraczy dawnej broni palnej. Ozdobą jego kolekcji był pistolet mufkowy z warsztatu Richardsa, za który mógł kupić niezłej marki samochód. Miał także pistolety podręczne, pojedynkowe, płaszczowe - wszystkie solidnie zakonserwowane i gotowe do użycia, gdyby zaszła taka potrzeba. Przechowywał je za szkłem pancernym w metalowej gablocie, zamykanej na podwójny klucz szyfrowy. Przynajmniej raz w tygodniu otwierał gablotę i sprawdzał, w jakim stanie jest broń. Nie wybaczyłby sobie, jeśliby któraś lufa zaczęła rdzewieć lub pękać. Zdobycie tylu oryginalnych egzemplarzy broni palnej nie było łatwe, ale on, zamiast jeździć na polowania, budować domek letniskowy czy kupować precjoza, co stanowiło cel życia wielu jego znajomych, inwestował w dawną broń.

W szufladzie biurka przechowywał pistolet TT, którego nie zwrócił, opuszczając SB. Zresztą nikt w dziale kadr UOP, kiedy składał obiegowkę i zdawał legitymację służbową, nie zagadnął go o broń osobistą. Liczył się z tym, że któregoś dnia przyjdzie do niego kadrowiec i spyta o pistolet, dlatego rozkładał tetetkę na części, starannie ją konserwował i gotową do strzału wpychał do kabury jak przed laty.

Ścianę nad wersalką w jego pokoju zdobyły szable, sztylceiki, szpada, nóż fiński i szesnastowieczny buzdycan. Obok stał regał pełen książek o uzbrojeniu i broni. Koper lubił zatopić się w fotelu, omiatać wzrokiem pistolety, brać do ręki szable, wyginać głównie szpad - wtedy nie czuł się ani zmęczony, ani samotny na przedwczesnej emeryturze.

Ustalił z żoną, która jeszcze pracowała jako nauczycielka, że codziennie do południa będzie pilnował domu, a po jej powrocie ze szkoły zajmie się ogródkiem.

Niewiele wiedział o buzdycaniu, jakoś go nigdy nie zainteresował aż tak jak szable, zdjął więc głowicę ze ściany, położył na biurku i z odległości kilku kroków przypatrywał się wycięciom wokół trzonu. Czymś takim można zabić człowieka, pomyślał.

O 12.30 zadzwonił telefon; Koper wyszedł do przedpokoju, podniósł słuchawkę i przedstawił się, ale odzewu nie było. Przez chwilę

stał i czekał, bo może córka z Poznania próbuje się z nim skontaktować. Numeru telefonu nie ma w książce telefonicznej, znają go wyłącznie dobrzy znajomi, niektórzy kolekcjonerzy broni, rodzina. Po kilku minutach warowania przy telefonie wrócił do swojego pokoju i znowu przypatrywał się buzdyganowi. Trzy, cztery lata temu dyrektor Lubuskiego Muzeum Wojskowego proponował mu zamianę buzdyganu na szablę; Koper odmówił i potem tego żałował, bo szabla okazała się cenniejsza, na giełdzie mógłby dostać za nią co najmniej kompletny pistolet olstrowy.

Krótkie, jakby nieśmiałe pukanie do drzwi wyrwało go z rozmyślenia. Dozorca? Pewnie listonosz przyniósł emeryturę. Albo może sąsiadka z kawalerki - stara, brzydka panna - chce pożyczyć soli czy szklankę cukru. Wieczorem oddam, powie szczebiotliwie, ale nie odda ani wieczorem, ani nigdy. Była godzina 12.40. Wyjrzał przez judasza na korytarz. Nikogo. Odczekał jeszcze chwilę i spytał:

- Kto tam?

- Z zakładu dezynsekcji i dezynfekcji - usłyszał przytłumiony głos obcego mężczyzny.

- Nareszcie. Od dawna czekam na kogoś, kto da mi cokolwiek przeciw karaluchom. - Koper przekręcił klucz w zamku i stanął za drzwiami przy szafie. Zawsze zachowywał ostrożność. - Jakiś czas miałem spokój, ale znowu... - urwał w pół zdania, wytrzeszczając oczy.

Do przedpokoju wolnym, niemal ślamazarnym krokiem wszedł bokser, pociągając nosem. Nogi pod Koperem się ugięły; już nie mógł trzasnąć drzwiami albo wypchnąć nieproszonego gościa na korytarz.

- Po co ta maskarada?

- Musimy pogadać. - Bokser nie wyjął rąk z kieszeni kurtki, co zaniepokoiło pułkownika. - Jest o czym, nie? Niech się pan nie wypiera.

- Może herbaty albo kawy?

- Piwko bym se strzelił, panie pułkowniku.

- Przykro mi... Nie spodziewałem się, ale przecież możemy przejść się do miniMalu... Mają tam dobre piwo... Idziemy?

Bokser nie przytaknął. Ciągłe trzymając ręce w kieszeniach, wkroczył do pokoju Kopera.

- A cie... Co za arsenał! Nieźleś, pan, się zabezpieczył - rzekł jakby z podziwem i szacunkiem jednocześnie.

- Nazbierało się troszkę. - Do czego on zmierza? I dlaczego nie wyjmuję rąk z kieszeni? Tetetka leży w szufladzie, nie zdąży jej otworzyć, analizował swoją sytuację Koper. - Proszę usiąść w fotelu.

- Chętnie. Pułkownik też powinien spocząć, bo rozmowa może być nie tyle długa, co męcząca. - Bokser oczyma wskazał mu wersalkę. - Do rzeczy. - Zmarszczył czoło, nogę założył na nogę i okazując zainteresowanie bronią, spoglądał na pistolety w metalowej gablocie. - Milczenie kosztuje, nie?

- Pewnie tak.

- Za tysiąc doliczów do ręki jestem gotów nie puścić pary z gęby. Co pułkownik na to?

- Ja? Dlaczego ja? Jestem na emeryturze. Nie rozumiem... O co chodzi?

- Pułkownik, obcykany esbek, nie rozumie? To tylko tacy jak ja są nierozgarnięci i mają ptasie mózdzki - oświadczył z ironicznym uśmiechem bokser. - Dostanę nagrodę czy mam złożyć zeznanie? Syski z policji, gdybym pisał słoweczko, byłby zadowolony. On tylko na to czeka. A mam dużo do powiedzenia, prawda, pułkowniku?

Koper przeniósł lisie spojrzenie na blat biurka. Jeśli zerwałbym się nagle, chwycił buzdygan i wałnął go w łeb? Myśl ta nie dawała mu spokoju od chwili, kiedy bokser wszedł do pokoju. Muszę się bronić.

Gospodarz wstał, zrobił krok w stronę biurka, już wyciągał rękę po buzdygan, gdy bokser popchnął go na wersalkę.

- To jak będzie, pułkowniku? - Podniósł buzdygan. - Ciężki - stwierdził, ważąc go na dłoni. - Czy takim kawałkiem żelaza da się ukatrupić człowieka?

- Nie mam pieniędzy.

Uniósłszy buzdygan, bokser patrzył na Kopera przez lekko przy-mrużone powieki. Byli sami, mógł więc skatować pułkownika, nikt nie dowie się o zajściu. Tego Koper obawiał się najbardziej. Boże, żeby już wróciła żona ze szkoły albo córka zatelefonowała, albo sąsiadka wpadła po sól czy cukier. Nie ma innego sposobu pozbycia się boksera, przecież on jest młody i silny, bezwzględny, wygra z emerytem.

- Na pańskim miejscu nie zastanawiałbym się wcale. Ile pułkownik ma lat? Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt? Życie zaczyna się po...

Bokser nie skończył. Wałnięty głową w brzuch, runął plecami na

regał. Z półek posypały się książki. Koper próbował kopnąć prawą nogą, lecz tamten był zwinniejszy, chwycił go mocno za piętę i pociągnął do siebie. Koper rąbnął czerepem o podłogę.

- Nie ze mną takie numery, pułkowniku - roześmiał się bokser, ostrożnie kładąc buzdycan na biurku.

- Zaraz żona wróci ze szkoły - rzekł Koper, licząc na to, że bokser da mu spokój. - Wezwie policję.

Potężny lewy sierpowy wylądował na szczęce pułkownika, za nim posypały się następne ciosy, co jeden to mocniejszy. Koper czuł, że jeszcze chwila takiego mordobicia, a straci przytomność. Tyle lat nosił mundur esbeka i nikt nie spuścił mu manta.

- To jak będzie z forszą za milczenie? - spytał po chwili bokser. Może pomóc, co? - Wyciągnął rękę do pułkownika.

Koper był już prawie wyprostowany, gdy kolejna seria ciosów wygięła go w kabłąk i ponownie zwała na kolana. Potrząsnąwszy głową, oddychał głęboko.

- Zgoda - rzucił przez zaciśnięte zęby. Z nosa ciekła mu krew, paliły policzki. - Ile?

- Bardzo ładnie. Ma być tysiączek. Dolców. - Bokser wytarł dłonie o kurtkę, rozsiadł się w fotelu, znowu założył nogę na nogę. Rechocząc, przypatrywał się wstającemu z trudem pułkownikowi. Nigdy nie był w podobnej sytuacji, nawet na ringu nie podpierał się rękami, najwyżej leżał na pół przytomny i czekał, aż trener go podniesie. Śmiesznie wygląda mężczyzna używający rąk na równi z nogami. - Oj, słaby pułkownik, słaby. Pomóc?

A Koper ledwie się wyprostował, zerwał ze ściany szablę i ciął nią na oślep, zahaczając to o książki, to o firankę. Bokser zsunął się z fotela na podłogę i mierzonym kopniakiem w podbrzusze powalił pułkownika. Ogarnęła go wściekłość. Żeby esbek zaskoczył sportowca w chwili dobijania targu? Chwycił Kopera za koszulę, oparł plecami o ścianę jak manekina i z całej siły uderzył w głowę. Nie zważając na prośby i jęki, z narastającą zawziętością masakrował twarz pułkownika.

Nagle rozległ się telefon. Bokser zamarł z ręką odciągniętą do tyłu, a miał jeszcze tyle siły, że mógłby pogruchotać zebra pułkownikowi albo udusić go na stojąco. Ocknąwszy się, ciosem podbródkowym powalił Kopera na wersalkę i splunął wzgardliwie. Wytarł okrwawione

dlonie o narzutę, po czym przez chwilę zachłannie spoglądał na pistolety w gablocie, ale w końcu machnął ręką z rezygnacją.

- Spróbuj, pułkownik, się poskarżyć. Mnie tu nie było, zrozumiano, szujo esbecka? Jak pułkownika spytają, kto tak pięknie wykaliłbrował nochalek, najlepiej powiedzieć, że drzwi kuchenne niespodziewanie się otworzyły, bo był przeciąg.

Koper patrzył na niego błagalnie, starając się ukryć wściekłość. Idź już, skurwielu! Gdyby wersalka stała bliżej biurka, chwyciłby buzdygan, rąbnął boksera między ślepią i nie odpowiadałby przed żadnym sądem. Działał w obronie własnej, napadnięty we własnym mieszkaniu.

- Jesteśmy kwita, panie pułkowniku - oświadczył szyderczo bokser, unosząc prawą dłoń do czoła jakby salutował. Zanim wyszedł, zdjął ze ściany sztylecik, jaki często noszą lotnicy albo myśliwi. - Przyda mi się. To na wypadek, gdyby pułkownik zamierował znieścaka mnie uszkodzić.

*

Dwaj aspiranci, dopiero zdobywający doświadczenie w prowadzeniu dochodzeń, od dwudziestu minut czekali zniecierpliwieni, kiedy bokser wyjdzie z bloku na ulicę. Byli ciekawi, czy będzie miał na sobie widoczne gołym okiem ślady bijatyki. Pomysł Syskiego, żeby śledzić zachowanie i kroki boksera, bardzo im się spodobał. Nawet nie przypuszczali, że przyklepienie nadajniczka pod kołnierzem kurtki będzie takie łatwe. Teraz nie potrzebowali żadnych innych dowodów, wystarczyło spisać rozmowę z taśmy magnetofonowej i dać Koperowi do przeczytania, aby przyznał się do winy.

Bokser pojawił się nagle w drzwiach klatki, spokojnym krokiem przemierzył ulicę i wszedł do seledynowego opla. Aspiranci odczekali chwilę i ruszyli za nim swoim polonezem. Spodziewali się, że nie wyjdzie z miasta, tylko będzie szukał znajomych w restauracjach.

- Losujemy, który bierze go na muszkę? - spytał kierujący samochodem aspirant z wąsami, gdy bokser zatrzasnął drzwiczki swego auta na parkingu przed filharmonią.

- A nie możemy obaj posłuchać? - Aspirant bez wąsów przycisnął klawisz odbiornika. - Założę się, że zamówi piwo.

- Też bym się napił. Mam ochotę na dobre, zimne piwko z kawałkiem żółtego serka. - Ten z wąsami przełknął głośno ślinę. - Który skacze do delikatesów?

- Tym razem losujemy.

Odezwała się centrala. Syski wzywał obu aspirantów do komendy, miał dla nich pilniejsze zajęcie, ale przez radiotelefon nie chciał powiedzieć jakie.

*

Jeżeli to prawda, co jej powiedział Makarenko, zemści się na bokserze tak, jak jeszcze na żadnym fagasie, postanowiła. Nie chodzi wyłącznie o forszę, chociaż przedzie cienko, a wydatki ciągle rosną. Przywykła do dobrych kosmetyków, ciuchów prosto z Paryża czy Rzymu, bywania tu i tam, zawsze z majątnymi, przystojnymi panami po czterdziestce. Przy okazji, grając nie byle jaką dziwkę, dowiadywała się o to, co interesowało Kopera. Gdyby wtedy pułkownik wiedział, że także pracuje na dwie ręce, pewnie przeniósłby ją do sekcji gospodarczej. Ale czy Makarenko pozwoliłby na takie jej potraktowanie?

Iwona poprawiła włosy, przeciągnęła szminką usta i lekko kołysząc biodrami, przekroczyła próg restauracji. Makarenko siedział przy oknie w towarzystwie ubranego elegancko dentysty z kozią bródką. Nieznacznym ruchem głowy wskazał jej stolik przed estradką, na której późnym wieczorem rozbierają się striptizerki. Nie musiał tego robić, Iwona już wcześniej dostrzegła boksera; w końcu niewielu mężczyzn ma pofastrygowane gęby, a nochale zwiotczałe jak gnijące ogórki.

- Pan na kogoś czeka? - zagadnęła go takim głosem, że natychmiast oderwał wzrok od szklanki po piwie.

- Wolne - rzucił jakby od niechcenia, ale zaraz uśmiech pojawił się na jego pokancerowanych policzkach.

Odsunęła krzesło. Siadając założyła nogę na nogę, miała naprawdę ładne łydki - wyjęła paczkę marlboro i zapalniczkę z torebki. Bokser sięgnął po ronsona, podniósł się, przypalił jej papierosa. Nie jesteś takim tępakiem, za jakiego uważa cię Makarenko, oceniła go błyskawicznie.

- Pan się poczęstuje? - spytała, szczerząc do niego zęby. - Proszę

się nie krępować. - Przesunęła papierosy w stronę boksera.

- Pali się od wielkiego święta. No, przy ładnej laluni... - Teraz on robił wiele, aby w jej oczach wypaść jak najkorzystniej.

Miętus chwycił przynętę, stwierdziła i skinęła na kelnera.

- Dla mnie kawa ze śmietanką, bez cukru - poprosiła kelnera. - Pan też jeszcze się czegoś napije? - Głos jej brzmiał jakby był przeciekany samą dobrocią.

- Przynieś, kolego, piwko.

Czuła na sobie badawczy wzrok boksera. Jeszcze był nieufny i podejrzliwy, ale tym się nie przejmowała. Fagas wyrządził krzywdę jej byłemu szefowi i za to musi odpokutować. Choćby się bronił, błagał o litość, skamlał, Iwona dotrzyma słowa, jakie dała Makarence. Bawiła się złotym łańcuszkiem, zerkając kusząco na boksera.

- Proszę wybaczyć moją ciekawość - odezwała się nieśmiało. - Czy pan uprawia sport?

- Walczyło się na ringu. Co, nie widać? - Bokser nacisnął kciukiem na ogórek nosa. - Było, minęło.

- Zawsze podziwiałam prawdziwych mężczyzn. Lubię tenis, mogłabym godzinami tkwić na korcie. Muszę się panu przyznać, że w tej dyscyplinie mam nawet pewne osiągnięcia. Jako juniorka zdobyłam mistrzostwo okręgu. - Zerknęła w stronę okna. Makarenko już wyszedł z restauracji, więc i ona powinna się pospieszyć. Puściła oko do boksera. - Jest pan wspaniale zbudowany - roześmiała się - a muskuły aż rozsadzają kurtkę.

Uniósł rękę, oparł łokieć na blacie stołu, zacisnął pięść i poprosił ją, aby pomacała mięśnie.

- No i jak? Kit czy ołów?

- Żelazo - stwierdziła, kokieteryjnie patrząc mu w oczy. Jezuniu, jaki ten fagas jest naiwny. W pięć minut można go oмотać wokół palca. Nie spodziewała się, że pójdzie jej tak szybko. - Mężczyzna musi mieć w sobie coś takiego, co... zaszokuje nawet najmniej wrażliwą kobietę.

Bokser ożywił się jeszcze bardziej. Pijąc drugą butelkę piwa, prawił o swoich wyczynach sportowych, których, trzeba przyznać, miał niemało. A kiedy umilkł, Iwona opuszkami palców dotknęła jego dłoni i patrząc mu prosto w ogłupiałe oczy powiedziała, że było jej miło

napić się kawy w towarzystwie dżentelmena. Zawołała kelnera i wyjęła portmonetkę z torebki, ale bokser nie pozwolił, żeby zapłaciła.

- W takim razie... powinniśmy się jeszcze raz spotkać. Nie zamierzam pozostawać czyjąkolwiek dłużniczką.

Zrozumiał to dosłownie.

- Mnie na flocie nie zależy. Co tam!

- Zaprosiłabym pana do mnie, gdybym dysponowała własnym mieszkaniem...

- Też żyje się na sublokatorce. Jakżem boksował, klub obiecywał chatę, gablotę, złote góry. - Zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. - Mój kolega z Gwardii jest za kierownika hotelu Pod Wieżą, pójdziemy tam, co? - spytał prostolinijnie.

Pomyślała, że jeśli teraz zacznie grać rolę porządnej kobiety, takiej, co to rzeczywiście wstąpiła do Nieboskiej Komедii tylko na kawę, bokser odejdzie, zaproponowała więc, aby wybrali się trochę dalej.

- Jedźmy lepiej do Creatora. Dalej od ludzi i plotek.

Wstał pierwszy. Iwona ze zdziwieniem stwierdziła, że sięga jej do brody. Konus na krzywych nogach. Wstyd z takim pokazać się na ulicy, ale nie miała wyboru. Bokser musi odpokutować za to, co zrobił pułkownikowi.

W holu Creatora było całkiem pusto. Kiedy bokser wpisywał swoje nazwisko do książki meldunkowej, Iwona zajrzała do restauracji: przy kontuarze siedział Makarenko, jak zawsze spokojny i opanowany mrugnął do niej, poczuła się bezpieczniej.

Ledwie weszli do pokoju, bokser rzucił się na łóżko.

- Fajne jebotko - powiedział, podskakując na nim jak na batucie.

Iwona wpięła zasunęła story, potem zdjęła buty, położyła torebkę na nocnej szafce i dopiero bez słowa usiadła na brzegu łóżka. Sięgnęła ręką do paska przytrzymującego spódniczkę, odpięła go i przeniosła spojrzenie na boksera, jakby mu tłumaczyła, że powinien zrobić to samo. Wstała, poruszając biodrami wolno wykręciła się ze spódniczki; jedną nogę oparła o jego kolano i rozpięła guziczki bluzki, ale nie zdjęła jej; uśmiechała się i palcami stopy wędrowała wzdłuż uda boksera. Chciał ją chwycić za nogę i powalić na łóżko obok siebie, lecz była szybsza, kopnęła go w to nabrzmiałe miejsce, aż zasyczał

z bólu. Zadowolona, śmiała się niewinnie, szczerząc zęby. A gdy bokser uniósł się na łokciach, gotów ku niej natychmiast skoczyć, zaczęła się powoli rozbierać. Rozpięła biustonosz. Stała przed nim na dywaniku, kołyszając biodrami.

Bokser dłużej nie myślał zwlekać. Wyciągnął rękę, żeby chwycić Iwonę, lecz ona uderzyła go kolanem w brodę i odskoczyła na bezpieczną odległość. Roześmiała się radośnie jak dziewczynka, której wszystko się udaje.

- Zwariowałaś?!

- Bolało?

- Dobra jest, mała. Dawaj tutaj - odsunął się na środek łóżka. - Czas leci, a...

Nagle z hukiem rozwarły się drzwi i stanął w nich Makarenko. Bokser z otwartymi ustami spoglądał to na Iwonę, to w stronę drzwi. Z radia płynęła spokojna muzyka, ale on jej nie słyszał. Mógł spróbować zerwać się z łóżka, dopaść kurtki, wyszarpnąć sztylce albo chwycić Iwonę za ramiona i nią się zasłonić.

Makarenko stanął przy łóżku, kazał bokserowi przewrócić się na plecy, ręce położyć na poduszce, a nogi rozrzucić, po czym wyjął z kieszeni nóż sprężynowy, błysnął ostrzem.

- Za co? - jęknął bokser, ale posłusznie legł z rękami przyciśniętymi do uszu.

Iwona, wciąż naga, przywiązała go za nogi i ręce do ramy łóżka; nawet nie próbował się bronić, tak był zaskoczony wtargnięciem Makarenki do pokoju, że wciąż nie rozumiał, co się dzieje.

- Musimy wyrównać zaległe rachunki.

- Jakie? Nikogom nie sprzątnął!

- Ja również nie mam zamiaru posyłać cię na tamten świat - rzekł figlarnym tonem Makarenko. - Najpierw sprawdzimy, czy jesteś wytrzymały na ból.

Nóż, błyszczący w jego dłoni, był tak długi i cienki, że mógł przebić najgrubszego mężczyznę w każdym miejscu na wylot. Makarenko położył go ostentacyjnie na brzuchu boksera.

- Wybieraj - powiedział. - Cięcie albo klucie. Koperowi nie dałeś szansy. Pokiereszowałaś mu oblicze, a to musi kosztować. To jak? Co wolisz?

Bokser rzucił błagalne spojrzenie na Iwonę. Ubierała się spokojnie.

- Nie możesz się zdecydować? Jako były pięściarz, chyba wolałbyś dostawać po ryju. Wytrzymałeś już tyle ciosów, że tych kilka więcej nie uszkodzi raczej twego mózdzku - kpił Makarenko, ale nie uderzył boksera, tylko ostrzem noża zrobił znak krzyża na jego brzuchu. - Boisz się? Pewnie, jest czego się bać, ale strach nie boli. Może wolisz grę w szpileczki? Albo gorące okłady?

Wyjął z kieszeni zapalniczkę, chwilę jej się przyglądał, jakby coś go trapiło, po namyśle nacisnął dźwigenkę i przytknął płomyk do piersi boksera. Rzadkie, poskręcane włoski zaskwierczały. Bokser przekręcił głowę w kierunku okna; było zamknięte, gdyby nawet dał się wniebogłosy, i tak nikt nie usłyszy.

- A teraz niżej - Makarenko mówił beznamiętnie, podpalając włosy okrywające skórę na udach. - To - trącił nożem genitalia - zostawimy na koniec. Tak je poszczypiemy, że na długie miesiące odejdzie ci ochota spoglądania nawet na dziwki. Przepraszam - podniósł oczy na Iwonę - nie o tobie myślałem.

- Zapłacę - odezwał się bokser zdławionym z przerażenia głosem. - Tysiąc dolców wystarczy?

- Za pieniądze ksiądz się modli, jołki-pałki.

- Bądź pan człowiekiem. Ile chcesz? Tysiąc mało? Dam więcej. Co mam zrobić?

- Już nic. Czekać - odparł spokojnie Makarenko i ostrzem chłodnego noża dotknął moszny. - Albo cię wykastruję, albo tylko przerobię na ortodoksyjnego Żyda.

Bokser gwałtownie potrząsnął głową.

- Z takim zaganiaczem mógłbyś... jołki-pałki... ho, ho! - Makarenko wyjął z kieszeni blaszane pudełeczko z krawieckimi szpileczkami. Boli? - spytał, naciskając jedną skórkę żółędzi.

- Daj pan żyć! - zawołał bokser rozpaczliwie.

- Co to, to nie, mistrzu wagi lekkiej.

Wbił szpileczkę głębiej. Bokser zacisnął zęby, uniósł biodra, ale zaraz opadł na łóżko.

- Teraz z drugiej strony. Rwie czy émi?

Bokser nie odpowiedział, widać było, że ból przeszył go całego. Trzecią szpilką Makarenko przedziurawił napletek.

- To jeszcze nie jest tak bolesne. Zaraz ponakłuwamy oba jajca. Wiesz, że chińscy znachorzy w ten sposób leczą wieśniaków? Jest to najpewniejsza metoda pozbycia się grypy. Oczywiście szpilki wbijają w zupełnie inne miejsca, ale czy to ważne, skoro ty nie masz grypy, a ja nie jestem Chińczykiem?

Iwona tymczasem podeszła do okna, zapaliła papierosa, poprawiła włosy, wyjęła szminkę z torebki. Już zrobiła, co do niej należało. Makarenko zakleił usta bokserowi, jakby się spodziewał, że to, co za chwilę nastąpi, wypełni pokój wyciem i usiadł na jego nogach.

- Sprawdzimy, co masz w jajcach. - Jednym energicznym ruchem wbił szpilkę w lewe jądro. Bokser syknął z bólu, szarpnął się. - Jeszcze nakłujemy drugie jajco. I oba porządnie zajodynujemy, żeby nie było zakażenia. - Z kieszeni wyjął buteleczkę, zamoczył wacik w jodynie, dotknął nim żołądź i jąder wyglądających jak dwa języki. Dojmujący ból wykrzywił twarz boksera, z jego oczu pociekły łzy. Nagle zwiotczał. - Zemdłał. Taki twardziel, Iwona, i nie wytrzymał.

- Przestań - powiedziała nieswoim głosem.

- Właśnie skończyłem, jołki-pałki.

Gdy wyszli na dwór, przed zajazdem zatrzymało się niebieskie BMW z rejestracją monachijską. W fordzie granadzie, który stał w pewnej odległości od Creatora, siedział mężczyzna w skórzanej kurtce i udawał, że czyta „Gazetę Lubuską”.

Rozdział VII

Cotygodniowe posiedzenie zarządu regionu u marszałka lubuskiego znowu rozpoczęło się z półgodzinnym opóźnieniem. Dyrektor gabinetu zdążył przejrzeć dzienniki centralne, ale w żadnym nie natknął nawet kilkudzaniowej notatki o tym, co wczoraj przed wieczorem zaszło w Creatorze. Jedynie „Gazeta Lubuska” informowała szczegółowo, że tym razem policja ujęła domniemanego zabójcę, którym okazał się podejrzewany wcześniej o popełnienie morderstw były pięściarz Gwardii, zarejestrowany w urzędzie pracy jako bezrobotny, wielokrotnie karany za pobicia i gwałty. Policjanci znaleźli przy nim sztylecik myśliwski, nóż sprężynowy oraz niewielką sumę w banknotach niemieckich i fałszywych dolarach. Podczas przesłuchania podejrzany nie przyznał się do popełnienia przestępstwa, tłumacząc, że nie ma nic wspólnego ani z wydarzeniem w Creatorze, ani z innymi morderstwami w Zielonej Górze. Na pytanie prokuratora, dlaczego za każdym razem widziano go w miejscach, gdzie dochodziło do zabójstw Niemców odpowiedział, że jest ofiarą spisku zorganizowanego przez oficerów byłej Służby Bezpieczeństwa. Poproszony o udowodnienie swojej tezy, wymienił nazwisko pułkownika K., którego komisja weryfikacyjna usunęła ze służby na początku lat dwięćdziesiątych. Pułkownik K. wczoraj, około południa, został dotkliwie pobity we własnym mieszkaniu przez osobę podającą się za przedstawiciela zakładu dezynfekcji. Sztylecik znaleziony przy byłym pięściarzu Gwardii, prawdopodobnie narzędzie zbrodni popełnionej w Creatorze, pod koniec lat osiemdziesiątych zginął z Muzeum Ziemi Lubuskiej.

- Minister spraw wewnętrznych, z którym przed paroma minutami rozmawiałem, do wyjaśnienia tej całej sprawy oddelegował warszawską ekipę dochodzeniowo-śledczą - oznajmił marszałek członkom zarządu.

- Źle się dzieje, kiedy taka decyzja zapada poza moimi plecami - wtrącił komendant, lecz marszałek nie zareagował na jego uwagę.

- Do spotkania naszego premiera z kanclerzem Schröderem ma dojść pod koniec roku, w kolejną rocznicę podpisania umowy o współpracy i partnerstwie - kontynuował marszałek. - Nie będą to tylko

kurtuazyjne rozmowy szefów rządów jak te podczas otwarcia mostu w Gubinku. Chodzi o potwierdzenie dobrosąsiedzkich stosunków między Polską a Niemcami i uznanie ich za wzorcowe, na czym kanclerzowi zależy bardziej niż premierowi, wszak to jego poprzednik został uznany za głównego architekta wspólnego europejskiego domu. Schröder stara się kontynuować politykę zagraniczną Kohla i tym samym chce przekonać swoich przeciwników, że podobnie jak jego wielki „Kapusta” jest mężem opatrnościowym Niemiec. Mimo to Partia Demokratycznego Socjalizmu, tak bliska socjaldemokratom, robi wszystko, aby na scenie politycznej wschodnich Niemiec jedynie ona grała główną rolę.

- Druga strona spotkania premiera ze Schröderem, dziś dla nas najważniejsza, to uzyskanie zdecydowanego poparcia kanclerza w sprawie jak najszybszego przyjęcia Polski do Unii Europejskiej. Od jego stanowiska zależy też nasza pozycja w sojuszu atlantyckim. Dyplomaci rosyjscy naciskają Brukselę, Ankarę, Rzym, a przede wszystkim Berlin, żeby po poszerzeniu NATO o Polskę, Czechy i Węgry nie przyznawać naszym krajom takich samych praw, jakie mają Niemcy czy Włochy. Panowie, Kreml zrobi wszystko, chociażby z zemsty za przyjęcie nas do sojuszu atlantyckiego, żeby zepsuć obraz Polski w oczach opinii światowej. Na razie nie ma powodów do bicia na alarm, stosunki polsko-niemieckie są najlepsze w powojennych dziejach obu narodów, ale co będzie, jeśli Schröder uzależni swoje dalsze dla nas poparcie od wyjaśnienia między innymi tych pożałowania godnych incydentów, które miały miejsce w ostatnich tygodniach w stolicy naszego regionu?

- Nie chciałbym być na miejscu komendanta policji - szepnął dyrektor gabinetu do asystenta marszałka.

- Wiele naszych przedsiębiorstw zdobywa nowe rynki zbytu na Zachodzie, wiele liczy na wsparcie finansowe niemieckich banków. Panowie, bez ich marek nigdy nie staniemy się partnerem cywilizowanej Europy, wiecznie będziemy krajem drugiej kategorii - stwierdził surowo marszałek. - Czy wiecie, że pełnomocnik Selinger zawiesił rozmowy z zakładami mięsnymi w Sławie? Jutro miało dojść do podpisania listu intencyjnego. Dziś rano stanęła budowa hotelu Mercure. Profesor Steiger, który ze studentami politechniki prowadził zajęcia z zarządzania, nagle wyjechał z Zielonej Góry.

- Należy się spodziewać, że takich przypadków będzie więcej - wtrącił wicemarszałek. - Dotąd sześć zakładów dostało kredyty zachodnie, sześć następnych czeka na otwarcie rachunków w Dresdener Bank.

- Zapowiada się ciekawy kontrakt Wełny z Badeńczykami. Coś o tym wiem, bo moja żona jako tłumaczka była w Heidelbergu.

- Również Goveną ma nadzieję na zawarcie umowy z Heidelbergiem - zwierzenie asystenta dopełnił dyrektor gabinetu.

- I co pan na to, inspektorze? - spytał marszałek komendanta policji, zerkając na zegar wiszący nad regałem pełnym medali, wazonów i albumów. Spieszyło mu się na spotkanie z delegacją protestujących od poniedziałku pielęgniarzek.

Komendant miał nietęgą minę.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy. Sprawa jest, że tak określe, trudna. Mam za mało policjantów. Brak sprzętu...

- O tym wiem - przerwał mu marszałek.

- Dotychczasowe wyniki śledztwa wskazują na to, że ofiary mordstw pochodziły wyłącznie z zachodniej części Niemiec. Bez wyjątku. Wszystkie należały do SPD. Czyli partii kanclerza Schrödera. To o niczym nie świadczy. Wskazuje jednak...

- ... że mamy do czynienia z mordami politycznymi. To chciał pan powiedzieć? - upewnił się marszałek i dodał: - Na pana miejscu byłbym ostrożny w formułowaniu tak daleko idących wniosków. Ofiary pochodzą z części zachodniej, ponieważ współpracą z nami są zainteresowane przede wszystkim tamtejsze firmy. Bogatsze i nastawione na eksport swoich produktów do Rosji.

Komendant pokręcił głową.

- Mam odmienny pogląd - rzucił odważnie.

- Nie obchodzi mnie pański pogląd.

- Mimo to, panie marszałku, upieram się przy swojej opinii. Aby wyjaśnić okoliczności zabójstw, muszę, podkreślam to, muszę uzyskać zgodę prokuratora na założenie podsłuchu w mieszkaniu jednego z byłych oficerów esbe.

- Niech pan zakłada.

- Bez zgody prokuratora?

- Wszystko musi się odbyć w zgodzie z obowiązującym dziś prawem.

- Może pan wydać prokuratorowi takie polecenie?
- To jest, szanowny komendancie, pańskie zmartwienie.
- Prokurator...

- O godzinie siedemnastej oczekuję na konkretne, poparte dowodami, a nie przypuszczeniami, wyniki śledztwa. Dziękuję panom za przybycie. Posiedzenie zarządu skończone.

- Proszę o...

Marszałek lekceważąco machnął ręką i wyszedł z pokoju. Za nim podążył dyrektor gabinetu.

- Czy on jest poważny? - powiedział komendant do wicemarszałka, ale i ten go zlekceważył.

*

Jednym tchem bokser wytłumaczył Syskiemu, dlaczego znalazł się w pokoju hotelu Creator. Nie znał imienia kobiety, z którą tam pojechał, ale dokładnie opisał jej twarz: oczy ciemnoniebieskie, włosy kasztanowate, pulchne usta pomalowane na karminowo, uszy ozdobione srebrnymi kolczykami w kształcie liści winogron. Nie zapomniał dodać, że na lewym przedramieniu miała znamię wielkości orzecha włoskiego. Policjant mu uwierzył, domagał się jednak jak najwięcej szczegółów, na podstawie których mógłby stworzyć jakąkolwiek prawdopodobną hipotezę. Musi istnieć jakiś związek między tą kobietą, morderstwami a obecnością boksera w hotelach.

- Czy mężczyzna, który pana przypa... znał ową damę?

- Bo to ja wiem? Chyba tak.

- Tak czy chyba tak? Niech się pan dobrze zastanowi.

- Musiał znać, bo mówił do niej... zaraz... Irena? - Popatrzył na policjanta z prośbą w oczach. - Nie, inaczej, ale jakoś podobnie.

- Iga, Julia, Judyta, Julita - nadkomisarz przewracał kartki kalendarza - Jolanta, Iwona...

- Tak!

- Ma pan dobrą pamięć. A w jakim wieku był ten gość, który pana przypa...?

Bokser zaczerwienił się i spuścił głowę na piersi; po chwili namysłu rzekł cicho:

- Dałbym mu pięćdziesiąt. Jak więcej, to niewiele.

- Nigdy wcześniej pan go nie spotkał na ulicy, w restauracji albo gdziekolwiek w mieście?

- Bo to ja wiem? Trudno tak z marszu...

Syski rozsypał na blacie biurka kilkadziesiąt czarno-białych fotografii, po czym poprosił boksera, żeby dokładnie im się przyjrzał i wybrał tę, na której rozpozna swego dręczyciela. Było to zadanie trudne, właściwie nie do wykonania przez boksera. Długo przekładał zdjęcia, mrużąc oczy zastanawiał się, przekrzywiał głowę, nabierał powietrza w płuca i z sykiem je wypuszczał, już wskazywał fotografię, ale po chwili miał jakieś wątpliwości. Syski stanął przy oknie, z odległości dwóch kroków uważnie obserwował przesłuchiwanego.

- Patrzy pan, patrzy i co, jest jego zdjęcie?

- Tu nie ma - stwierdził bokser, oderwawszy oczy od fotografii.

- Może uwagę pana zwróciło coś w jego sposobie bycia? Na przykład, jak stawia nogi albo czy chodzi przygarbiony. Odzywał się, to może zapamiętał pan jego akcent?

- Akcent?

- Zacinał się, gulgotał, seplenił, chrypiał, wtrącał obce słowa?

- Na przykład, jeden mówi tak, jakby miał kartofel w buzi - starał się mu pomóc aspirant. - Inny przeciąga słowa albo zjada końcówki.

- On gadał normalnie, jak każdy człowiek. Po polsku.

- Nie przeklinał? Nie jękał się? Nie mazurzył?

- Bo to ja wiem...

Nadkomisarz miał pretensję do obu aspirantów o to, że za późno pojechali do Creatora. Gdyby wczoraj wieczorem zdjęli odciski palców z klamki, byłby jakiś ślad. Rano pokojowa zmieniła pościel, wyчыściła popielniczki, zdezynfekowała wannę, kubeczki i szklanki, nawet wytarła klamki ściereczką skropioną lizolem.

- Co miał na sobie? - dociekał policjant, starając się opanować zdenerwowanie. Za godzinę ma zameldować się w gabinecie komendanta z wnioskami. I co mu powie? - Jak był ubrany?

- Ubrany?... Normalnie - odparł bokser, strudzony przesłuchaniem i oglupiony mnogością słów, których znaczenia nie rozumiał.

- Na pewno niczego więcej pan nie zapamiętał? O kobiecie wiemy nawet to, że nosi biustonosz rozpinany z przodu, na majteczkach ma zdanie napisane po angielsku. O mężczyźnie nic. Jak to możliwe?

Bokser podniósł pytające oczy najpierw na aspiranta z wąsami, jakby prosił o litość, potem na Syskiego.

- Mogę zapalić?

- Dajcie mu papierosa. - Syski spacerował po pokoju z głową wciśniętą w ramiona. - I niech któryś zadzwoni do polikliniki i dowie się, co z rannym.

- Wiem! - wykrzyknął nagle bokser.

Nadkomisarz zatrzymał się w pół kroku.

- Co takiego?

- Ten gość miał ronsona. - Przypomniawszy sobie, gdy aspirant podał mu papierosa i zapalniczkę. - Takiego samiuteńkiego, tyle że ze złotą nasadką.

- Nareszcie coś konkretnego - ucieszył się aspirant z wąsami.

- I nóż sprężynowy - nagle odgrzebał w pamięci zadowolony z siebie bokser.

- To już wiemy. A jak wyglądał? Był niski, wysoki, gruby, łysy?

- O, trochę wyższy od pana porucznika... znaczy nadkomisarza. I bardziej chudy.

- Za mało. Musiał pan jeszcze coś zapamiętać, na przykład złote zęby czy opadającą dolną wargę albo zęza, albo piegi na czole.

Bokser milczał. Chciał rzec cokolwiek, lecz niczego więcej poza tym, co już powiedział, nie zachował w pamięci. Związany na łóżku w pokoju hotelowym nie zwracał uwagi na wygląd zewnętrzny oprawcy. Człowiek, który się broni, widzi nie wroga, lecz narzędzia, którymi on się posługuje. Gdyby Syski spytał go o cechy charakterystyczne kobiety, opowiedziałby o nogach długich i pełnych udach, o piersiach mocnych, jakby były nabite łożem i rozkołysanych, kiedy się pochylała, o gładkich ramionach, nawet o zapachu perfum czy dezodorantu, który kojarzy mu się z wonią benzyny bezołowiowej.

- Zaprowadź go do bufetu - polecił nadkomisarz aspirantowi bez wąsów. - Porozmawiamy po obiedzie.

*

Dwie godziny po operacji w poliklinice mężczyzna, ugodzony nożem w plecy, odzyskał przytomność, lecz niewiele powiedział policjantowi o tym, co zaszło w toalecie hotelu Creator. Pamiętał jedynie,

że gdy stał na lekko rozstawionych nogach przy pisuarze, drzwi zaszkrzypiały i do pomieszczenia wszedł rosy blondyn w skórzanej kurtce, z loczkiem opadającym na czoło.

- Zdaniem lekarza, cios był wymierzony w lewą komorę serca, ale nóż został wbity za płytko, za nisko i tylko drasnął włókna Purkyniego. Być może przestępca działał w pośpiechu. Rana pod lewą łopatką ma szerokość półtora centymetra - informował aspirant z wąsami.

- Cóż, mamy do czynienia z tym samym zabójcą - podsumował dotychczasowe wyniki śledztwa nadkomisarz.

- Należy wykluczyć boksera, szefie - sugerował aspirant z wąsami.

- Dobrze i źle - stwierdził po namyśle Syski. - Nie posunęliśmy się ani o krok, a zwykle po tylu godzinach dochodzenia siedzieliśmy zadowoleni przy piwie, bo mieliśmy sprawcę za kratami. Dlaczego on się nam wymyka?

- Zraniony w Creatorze również jest Niemcem. Mieszka w Mitelbergu, to podobno miejscowość wypoczynkowa w Alpach Algawskich. Lekarz, który także z nim rozmawiał twierdzi, że od roku jest trenerem skoczków narciarskich. Wcześniej był nawet wicemistrzem świata w lotach ze skoczni mamuciej.

- Pewnie dlatego nożownik chybił. Sportowcy mają lepiej umięśnione grzbiety. Jeśli mi jeszcze powiesz, że należy do bawarskiej SPD...

- Zgadza się, szefie - przerwał mu aspirant.

- Jaki z tego wniosek?

- Poszukiwany przez nas facet morduje jedynie socjaldemokratów, których uważa pewnie za przeciwników politycznych.

- Sam do tego doszedłeś?

- Demokracja w krajach, które do niedawna były totalitarne, ma różne oblicza. We wschodniej części Niemiec mamy do czynienia z czymś w rodzaju neonazizmu, Rosję opanowały mafie, u nas kwitnie przestępczość gospodarcza na ogromną skalę. - Aspirant nie zamierzał pouczać Syskiego, ale w tym, co mówił, było wiele racji. - Młodzież musi się wyszumieć, zrównać aspiracje z możliwościami, sprawdzić swoje ambicje.

- Naczytałeś się, kolego, gazet - uciął nadkomisarz. Zastanawiał się nad tym, dlaczego morderstwa mają miejsce nie na ulicach czy

w parkach, lecz wyłącznie w toaletach wytwornych restauracji i trójgwiazdkowych hoteli. Zabójca musi być nieźle zorientowany w statusie społecznym swoich ofiar. Wygląda na to, że stanowi najistotniejsze ogniwo w zręcznie zaplanowanym łańcuchu wydarzeń. Należy więc chyba brać pod uwagę obcokrajowca lub Polaka, powiązanego z administracją gospodarczą wysokiego szczebla. Trzeba też obserwować boksera, być może on wskaże jakąś drogę do celu. I trochę poczekać, bo prawdę najskuteczniej odkrywa czas. Tylko że komendant nie chce czekać.

- Jesteśmy na fałszywym tropie, szefie - nie wiadomo, na jakiej podstawie doszedł do takiego wniosku aspirant z wąsami.

- Kiedy wróci twój kolega z bokserem, dowiedz się, co teraz robi Koper. Udawaj naiwnego, jakbyś nic nie wiedział o jego esbeckiej karierze. I nie spuszczać boksera z oczu. Ja idę tłumaczyć się przed komendantem.

*

Komendant wrócił z kolegium u marszałka, był rozwścieczony jak diabeł tasmański, nawet nie poprosił Syskiego, aby usiadł w fotelu przy stoliku czy na krześle przed jego biurkiem.

- Musisz znaleźć jakikolwiek ślad - powiedział głosem nie cierpiącym sprzeciwu.

- Robię...

- Znam tę śpiewkę, Syski - uciął zdecydowanie. - Marszałek oczekuje na raport.

- Panie inspektorze, przecież nie zatrzymam pierwszego lepszego i nie oskarżę go o morderstwa.

- Potrzebujesz wsparcia? Dostaniesz. Skontaktuj się z ludźmi Swendry. Niech wezmą na celownik hotele. Restauracje. Parkingi. Daj im azymuty na handlarzy. Kurwy. Hurtowników. Zdajesz sobie sprawę z tego, że Niemcy zrywają już zapowiedziane kontrakty handlowe z naszymi firmami?

- Nie nudzę się za biurkiem w swoim pokoju, panie inspektorze.

- Dlaczego skurwysyn nie katrupi we Wrocławiu? W Szczecinie? Tylko nam dokucza? - spytał nie wiadomo kogo komendant i położył przed komisarzem zapisaną drobnymi literami kartkę papieru. - Oto dalszy ciąg jego akcji.

Był to meldunek pisany ręcznie, toteż Syski czytał powoli, że na parkingu w pobliżu Krosna około godziny 21.30 nieznany mężczyzna zaatakował dwie Niemki. Jednej zerwał złoty łańcuszek z szyi, drugiej wyrwał torebkę z ręki. Poszkodowane zgodnie twierdziły, że mężczyzna był ubrany w skórzaną kurtkę, niewysoki, prawdopodobnie blondyn. Zanim doszły do siebie i zaczęły wzywać ratunku, napastnik wrócił do żółtego samochodu i odjechał w stronę Słubic.

Cholera, jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia, stwierdził w myślach Syski. Powinienem skontaktować się z policjantem, który sporządził ten meldunek, ale pewnie niczego więcej się nie dowiem. Podobnych zdarzeń jest wiele w pasie przygranicznym, policjanci piszą protokoły, ich szefowie podpisują raporty, komendanci analizują te sprawozdania i klną, bo procent wykrywalności przestępstw spada.

- Przynajmniej wiemy, że napastnik chodzi w skórzanej kurtce.

- Bokser również wspominał o facecie w skórzanej kurtce. Szefie, teraz każdy bubek tak się ubiera.

- Może to nic ważnego. A może... - Komendant odprowadził komisarza do podwójnych drzwi, trzymając go pod ramię jak kawaler pannę. - Gdybyś miał cokolwiek, wal do mnie. O każdej porze dnia i nocy. Po południu mam być u marszałka, co ja mu powiem?... A boksera wypuść. Ale nie pozwól mu... Prezes Gwardii daje za niego głowę.

*

Poloneza zostawił przy drodze, z dala od parkingu śródleśnego, na którym stały nowe i pordzewiałe samochody działkowiczów. Szedł przez las wolno, jakby wybrał się na grzyby, cały czas nasłuchując, czy ktoś za nim nie idzie. Był jeszcze wczesny ranek, lecz już przed większością domków krzatali się ludzie, pewnie emeryci i renciści, którzy całe dni spędzają w ogrodach. Makarenko pomyślał, że powinien zapisać się do związku działkowców, kupić spłachetek ziemi, posadzić drzewa owocowe, zasiać trawę i wolny czas spędzać na powietrzu.

Domek należący do Kopera był jeszcze zamknięty. Makarenko, niewiele myśląc, otworzył wytrychem zamek, wszedł do środka i wyciągnął się na leżance. Wybrał to miejsce nie bez powodu. Przypusz-

czał, że mieszkanie Kopera w budynku na osiedlu Słonecznym jest pod obserwacją policji albo UOP. Rozmowy telefoniczne także mogą być podsłuchiwane i nagrywane. Miał ogromne doświadczenie, zawsze działał ostrożnie, dlatego osiągał takie efekty i mimo starzenia się, ciągle dostawał nowe zlecenia. Jeszcze rok temu wyznaczyłby spotkanie w parku, czy w bibliotece albo na deptaku, teraz nie wierzy nawet przyjaciółom. Centrala podała nowe instrukcje, zabraniające poruszania się z bronią na co dzień i ostrzegła, żeby wszyscy agenci zawsze mieli przy sobie aktualne dowody osobiste, legitymacje, odcinki rent, świeże listy.

Chciało mu się pić. W wiadrze była woda, na stoliku przy drzwiach stała kuchenka i butla z gazem, mógłby sobie zaparzyć kawę. Jednak napił się tylko wody i to prosto z wiadra. Wziął z szafki wczorajszą gazetę, przejrzał tytuły, nic go nie zainteresowało. Długo tak będę się nudził, panie Koper? Właściwie nic nie miał do roboty, a nie lubił marnotrawić czasu. Rygorystycznie przestrzegał porządku dnia, nauczył się tego jeszcze na studiach w Woroneżu. Wstawał o ósmej, o jedenastej jadł śniadanie z obiadem, o północy kładł się do łóżka, wcześniej czytając, jeśli nie historię ruchu narodowego we Francji, to najnowsze dzieje partii socjaldemokratycznych w Niemczech i Włoszech. Podciągnął rękaw koszuli, zerknął na poliota: dochodziła dwunasta. Koper pewnie już jedzie. A może teraz, pokaleczony, obity, całymi dniami siedzi w mieszkaniu i przykłada kompresy do sińców?

Wstrzymał oddech; wydawało mu się, że ktoś stoi za drzwiami. Wstał ostrożnie z leżanki i przykucnął za szafą. Po chwili usłyszał zgrzytanie klucza w zamku. Do domku wszedł Koper. Jego nos wyglądał jak rozgrzany do czerwoności i zahartowany w zimnej wodzie żelazny młotek. Wargi miał przecięte w kilku miejscach, opuchnięte, niekształtne, na policzkach, także mocno opuchniętych, świeże rany, a pod oczami siniaki wielkości dojrzałych węgielek. Bujne włosy przysłaniały dwa plastry na czole, spod których wystawały końcówki nitek.

- Kto cię tak urządził? - odezwał się Makarenko zza szafy.

Koper znieruchomiał. Było widać, że się przestraszył. Dopiero po kilku sekundach zrobił krok w stronę szafy, ale jego pełne gniewu oczy ani się poruszyły. Makarenko nigdy nie widział takiego Kopera, a znał go od wielu lat.

- Urządził cię, jołki-pałki - powiedział z udawanym współczuciem.

- Czego chcesz? - spytał oschle Koper.

- Postanowiłem cię odwiedzić. Nic więcej. Na uniwersytecie tłumaczyli, że o przyjaciółach nie wolno zapominać.

- Przyjaciel włamał się do mojego domku?

- A co, miałem warować pod gruszą? - odpowiedział pytaniem na pytanie Makarenko, czego Koper nie lubił. Był przyzwyczajony do tego, że sam zadaje pytania. - Jesteś śledzony.

- Domyślam się. Nie musiałeś tu przyjeżdżać, żeby mnie ostrzec. Niebieski volkswagen, w nim dwaj młodzi cywile, jeszcze aspiranci. Jeśli jesteś ciekawy, idź i popatrz, jak ciule czekają przed parkingiem. Łatwo ich poznasz: jeden nosi wąsy, drugi nie.

Miałem rację, ucieszył się Makarenko, ale nie powiedział tego otwarcie. Syski jest przebiegły. Takiego zwerbować do SWR!

- Bardzo mi przykro, przyjacielu - jego wzrok spoczął na obolałej twarzy Kopera - nie spodziewałem się. W przyszłości powinniśmy postępować ostrożniej.

- Zrozumiałem, nie musisz mnie pouczać.

- A bokserowi daliśmy wycisk, jaki mu się należał. Przyjaciele muszą postępować według zasady trzech muszkieterów.

- Dlaczego mówisz w liczbie mnogiej? Jest was więcej?

Makarenko nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko przez zaciśnięte zęby.

- Moralista z ciebie jak Kant, nie ma co.

- Iwona przesyła ci pozdrowienia. Zmartwiła się, kiedy powiedziałem o odwiedzinach boksera w twoim mieszkaniu. Ona jest gotowa, gdybyś tylko kiwnął palcem, obsługiwać cię jak dawniej. W łóżku musiała być lepsza niż w biurze, jołki-pałki.

Koper opuścił oczy.

- No, nie powiesz...

- Gadaj, czego chcesz, i wynocha.

- Warunki masz doskonałe - stwierdził Makarenko, pokazując na leżankę. - A co, bokser wybił ci również kobietki z głowy? - Położył dolary na stoliku. - Należą ci się. Za cierpienia cielesne.

- Spieprzaj - syknął Koper przez zaciśnięte zęby.

- Póki aspiranci nie odjadą, posiedzę u ciebie. Tak tu miło. Poczęstujesz mnie gruszkami, zaparzę kawę, poczytam gazetę. Mną się nie przejmuj. Jestem twoim przyjacielem i aniołem stróżem.

- Sąsiedzie! - rozległo się nagle za drzwiami.

Makarenko znieruchomiał, po chwili spojrział przez okno, lecz nikogo nie dostrzegł. Koper wyszedł na ganeczek. Przy furtce stał starszy mężczyzna, właściciel sąsiedniej działki.

- Gaz mi się skończył, a chciałbym zagotować wodę na herbatę. Może wejdę i...

- Też muszę zawieźć butlę do napełnienia - spokojnie powiedział Koper, rozkładając ręce. - Sam bym się czegoś napił.

- Co się panu stało? - zaciekawił się sąsiad, wskazując na jego twarz.

- Kot trochę mnie podrapał - odparł Koper od niechcienia. Wrócił do domku i jakby nigdy nic zdjął z wieszaka wiklinowy koszyczek, do którego zawsze zbierał owoce. - Na mnie czas, ty rób, jak uważasz.

Makarenko nie zatrzymywał gospodarza. Położył się na leżance, zapalił camela, a gdy Koper już był na progu, rzucił:

- Na starość musimy sobie pomagać. W pojedynkę człowiek niewiele znaczy. Za dwa dni dostaniesz nowe zadanie.

- Nic z tego. Skończyłem z tobą i twoimi zadaniami. Do niczego mnie nie zmusisz.

- Ktoś proponuje ci pistolet kaukaski z osiemnastego wieku, o głowicy z kości słoniowej, podobnej do spłaszczonej bili i z zamkiem hiszpańskim. Za sto dwadzieścia dolarów, które za dwa dni zarobisz w mojej firmie. Powinieneś kupić takie cacko do swojej kolekcji.

Koper zacisnął dłonie aż do bólu, przymknął powieki i tkwił tak bez ruchu co najmniej minutę, a Makarenko, kiwając głową, cieszył się, że słabego człowieka można było czym zmusić do uległości.

Rozdział VIII

Wydarzenia ostatnich dni przekonały Bielew, że się mylił w ocenie Niemców. Przez tyle lat wcale nie Moskwa decydowała o krokach ludzi Melkego, choć oficjalny szef Stasi zdejmował czapkę przed rezydentem KGB w Berlinie, przychodził na konsultacje, składał mu meldunki. Bielew zaklął, splunął na podłogę. Jak to możliwe, żeby on dopiero teraz, i to z gazet, dowiedział się, kto dokonał zamachu na statek Achille Lauro? Albo, że tylko wybrani terroryści Frakcji Czerwonej Armii dostawali bezpieczny azyl we wschodnich Niemczech? Zazgrzytał zębami, gdy przeczytał w poufnym biuletynie wywiadu wojskowego GRU, że Aleksander Schalck-Golodkowski, zaufany Honeckera, na polecenie swego pryncypała przez szesnaście lat gromadził kosztowności w kraju i za granicą na wypadek, gdyby upadło państwo. Ludzie Honeckera od dawna przygotowywali się do rejterady, pomyślał Bielew. Na początku 1991 roku w Komerzielle Koordination znalaziono tonę pereł, brylantów, złotych łańcuszków, broszek, pierścionków. A przecież zaraz po upadku NRD władze zjednoczonych Niemiec zarekwirowały ponad dwieście ton złota z tajnego magazynu Schalck-Golodkowskiego. A potem była kolejna afera: kierownictwo Partii Demokratycznego Socjalizmu przekazało ponad sto milionów marek na tajne konto w Moskwie. Nie chodzi o pieniądze, one trafiły pod właściwy adres, lecz o lekceważenie SWR i GRU. Gdyby tak postąpiła stara partia, ta skompromitowana SED, pies ją trącał, ale przecież PDS odcięła się od polityki Honeckera i jego zwolenników. Gysi, czy jak on się nazywa, nie ma oleju w głowie? Boże mój, na kogo postawiłem? Muszę to natychmiast zmienić, bo w przeciwnym razie centrala mnie zmieni. Ale nie zdąży, bo za kilka dni ja zrobię czystkę w czołówce PDS, postanowił.

A jednak nie znaliśmy Niemców, chociaż politykom w Moskwie jeszcze się wydaje, że to my przez pół wieku byliśmy panami Europy od Uralu do Łaby. Nad Sprewą mieliśmy swoją armię, agentów, inżynierów, nauczycieli, tłumaczy, pomniki, cmentarze. Niemcy przewyższali nas nie inteligencją, lecz solidnością, myśmy o tym wiedzieli i im ufali. Stalin uwierzył Pieckowi, że kiedyś całe Niemcy będą socjalistyczne. Breżniew pozwolił Honeckerowi, aby przyjął zachodnonie-

mieckie pieniądze i wzdłuż granicy wewnętrznej zainstalował broń samostrzelną. A to, na co się zgodził Gorbaczow, ten borsuk w skórze jenota, było zdradą świętej polityki Moskwy. Ale czy Gorbaczow po wydarzeniach w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech miał inne wyjście?... Miał czy nie, dziś szkoda słów i czasu na rozmyślania... Na szczęście jest dobry następca Jelcyna: nasz człowiek, zdrowy, sprawny. Są i inni, a oni w jego imieniu nie pozwolą, żeby wielkie imperium rozsypało się jak spróchniała brzoza. To imperium zostanie odbudowane.

Plan SWR i GRU był konkretny, jak wszystko w rosyjskiej bezpiece: skoro granica między sojuszem atlantyckim a imperium już przebiega wzdłuż Bugu, to nie pozwolić, żeby już za dwa czy trzy lata w tym miejscu Unia Europejska graniczyła z Rosją. Takie akcje, jak ta z udziałem grupy Mallera, nie zahamują przyjęcia Polski do Unii, ale je opóźnią, a mojemu krajowi przecież tylko o to chodzi, żeby Polska jak najpóźniej dostała cokolwiek z kasy Brukseli. Niby już po ptakach, uważał Biełow, bo Polska jest w NATO, ale szefostwo sojuszu atlantyckiego jeszcze długo będzie się zastanawiało, zanim dopuści do swych najświętszych tajemnic kraj, którym targają konflikty wewnętrzne, albo który nie umie współżyć z najbliższymi sąsiadami. Toteż agenci SWR i GRU solidnie starali się o to, aby w polskiej prasie ukazywało się dużo tekstów jątrzących. Za ich pieniądze dziennikarze przeciwstawiali Polaków katolików, którzy od niedawna poculi się panami rzeczywistości, Polakom ewangelikom, prawosławnym i przede wszystkim niewierzącym. I od niedawna tworzyli nieprzyjazną atmosferę wobec Polski poza jej granicami, szczególnie wśród Żydów całego świata.

Biełow przekonywał swoich zwierzchników, że owszem, kiedyś zatrze się różnica między Niemcami wschodnimi i zachodnimi, ale co najmniej do 2010 roku będzie ona dostrzegalna gołym okiem. Połączenie obu państw było spóźnione o pół wieku lub za wcześnie o pokolenie - tak przynajmniej nadal głoszą politycy niemieccy - trzeba to więc zręcznie spożytkować. Do wykonania swego planu Biełow wykorzysta Pticzkina, który pomógł pułkownikowi Mallerowi stworzyć grupę Karlshorst. Jest ona tak zakonspirowana, że Bundesnachrichtendienst nie poradzi sobie, jeśli do pomocy nie wezwie Amerykanów i Mossadu.

- Zgadzać się ze mną, doktorze Gruber? - spytał siedzącego po drugiej stronie stolika mężczyznę.

- Nasi ojcowie wygrali wojnę, a myśmy poddali się bez jednego wystrzału - stwierdził spokojnie pułkownik Pticzkin alias doktor Gruber. - Trudno będzie naprawić ten błąd, ale trzeba próbować.

- Najpierw Stary Kontynent mówił po łacinie, później po francusku, teraz posługuje się angielskim. Rosyjski pewnie nigdy nie stanie się językiem cywilizowanej Europy, a była okazja...

- Taka okazja, jaką mieliśmy zaraz po drugiej wojnie, już się nie powtórzy.

- Jeśli rosyjski nie będzie tym, czym była łacina albo francuski, to niech nadal króluje angielski. Za żadną cenę, doktorze Gruber, za żadną nie wolno dopuścić do tego, żeby niemiecki wyparł angielszczyznę. Nie mogą powstać Stany Zjednoczone Europy z Polską, Czechami i Węgrami, bo jak z nimi, to i potem z Litwą czy Estonią. A może i nawet z Ukrainą. To przekracza wszelkie wyobrażenia.

- Schröder zrobi wszystko, żeby Europa mówiła po niemiecku.

- Mówiła, myślała, pracowała, kochała się, śpiewała nie tylko po niemiecku, lecz i pod niemieckim nadzorem. Oni zawsze potrzebowali przestrzeni. Co się nie udało Hitlerowi i Kohlowi, może się udać Schröderowi, tym bardziej że wszędzie socjaldemokraci ciągną za sobą chadeków i dochodzą do władzy.

- Adenauer przesunął Niemcy na zachód, Schröder, jak jego poprzednik, wyciąga ręce na wschód - powiedział Pticzkin. - A nasza armia topnieje jak kostki lodu w zepsutej zamrażarce.

Bielow uświadomił sobie, że nie powinien lekceważyć żadnej opinii swoich rodaków i rywali.

- Jak idzie naszym przyjaciółom? - spytał, sięgając po kieliszek.

- Schröderowi nie jest łatwo przekonać wschodnich Niemców do swojej polityki - zmienił temat rozmowy Pticzkin. - Cóż, niech pan kanclerz dalej tak postępuje. Niech przywozi w teczkach swoich urzędników jak to robił Kohl, zamiast przekazywać władzę młodym wschodniaczkom. Niech kontroluje prasę, telewizję... A kto naprawdę kogo kontroluje, przekonamy się niebawem. W każdym razie posuwamy się powoli, lecz zgodnie z planem. We Frankfurcie są nasi ludzie. Większość nawet nie wie, dla kogo pracuje.

- Czy nie uważacie, że za dużo tych udanych pchnięć nożem w serce? Mogliby wymyślić coś nowego. Poszli na łatwiznę. Tyle jest innych, nowocześniejszych sposobów dokuczania.

- Ich metody są skuteczne, sprawdzone. Spójrzcie. - Pticzkin położył przed Biełowem kilka gazet. - Wszędzie piszą o tym samym. *Niemieccy przemysłowcy giną w Polsce. Piąta ofiara. Jak długo władze Polski będą milczały?* A tu tytuł, jakiego nie wymyśliłby sam Arbatow. Bombowy! *Postkomuniści ukrywają się za tymi morderstwami.* Czy gdybyście byli Niemcem i coś takiego czytali dzień w dzień, pałalibyście sympatią do Polaków?

- Dlaczego rząd berliński nie reaguje? - udał zdziwionego Biełow. Był ciekaw, czy Pticzkin nadal sumiennie wykonuje to, co do niego należy. Wielu oficerów rosyjskiego wywiadu prysnęło na drugą stronę, zaszyło się w okolicy Bad Godesbergu i pracuje dla Niemców. Naiwni. Agenci GRU są wszędzie, wyłapią ich po jednym, uduszą, wrzucą do kanału, wepchną pod samochód, wydłubią oczy, połamią kości.

- Dziś wiceminister spraw zagranicznych wezwie do siebie polskiego ambasadora i wręczy mu notę protestacyjną. Prasa nie zostanie o tym poinformowana - oznajmił Pticzkin. - Nasz człowiek w bońskim emeszezie twierdzi, że minister zażąda odpowiedzi w ciągu doby. Zagrozi odłożeniem spotkania kanclerza i premiera, na którym Polakom bardzo zależy.

- I wy martwicie się o swoją przyszłość? Toż rośnie nam następca Primakowa - pochwalił go Biełow.

- Mam znakomitego nauczyciela - odrzekł Pticzkin. Nie lubił pochwał. - Która godzina, Igorze Stiepanowiczu? Pewnie już na mnie czas.

- Zaraz będzie pierwsza. Za pół godziny powinniśmy być na miejscu. Trzeba jechać.

*

Bondarin, potężny Rosjanin z Kujbyszewa, przestrzegał skrupulatnie znaków i przepisów ruchu, a jeszcze dziesięć lat temu, kiedy pędził ulicami Berlina na złamanie karku, nie obchodziły go ani zmieniające się światła przed skrzyżowaniami, ani policjanci zapisujący numery rejestracyjne samochodów. Wtedy czuł się bezkarnie, jak

Mikołaj Pałkin z gogolowskiego opowiadania, które przeczytał dlatego, że sekretarz kujbyszewskiego komitetu, jak Gogol urodzony w Soroczyńcach na Ukrainie, woził ze sobą wszystkie dzieła autora „Rewizora” i często do nich zaglądał. A teraz na pytanie pasażerów o pasy bezpieczeństwa Bondarin odpowiadał, że trzeba je zapiąć, bo lepiej nie mieć do czynienia z bezwzględną policją berlińską.

Polecenie Pticzkina było jasne: Zachowywać się ostrożnie. Nie prowokować. Ustępować.

Ogromny ruch, jaki nieustannie panował w alei Bismarcka, intrygował Bondarina. Spośród przechodniów wyszukiwał tych, którzy wyróżniali się czymś szczególnym - czasem zwracał uwagę na ciemnoskóre istoty, beztrosko gapiące się na wystawy sklepowe, kiedy indziej podążał wzrokiem za narkomankami i zastanawiał się, co czuje dziewczyna, kiedy wstrzyknie sobie kokainę. Każdego obcokrajowca traktował uniżenie i mu zazdrościł, choć sam też był obcy w Berlinie. W Kujbyszewie woził pierwszego sekretarza wołgą i mimo że całymi dniami siedział tylko za kierownicą, czuł się co najmniej równy profesorom, lekarzom, artystom, którzy miasto przemierzali autobusami albo piechotą; później, kiedy czarną czajką woził generałów z Karlsruhu do ambasady przy Unter den Linden, w gruncie rzeczy uważał się za równowładcę w obcym mu mieście. Teraz siedzi za kierownicą wypucowanego, supernowoczesnego volvo, ale nikt na niego nie zważa. Dwa razy okrążył sześciopoziomowy parking za lotniskiem Tempelhof; upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wjechał na pierwszą kondygnację. Czarny mercedes z hamburską rejestracją stał tam, gdzie go wczoraj zostawił.

Volvo wyjechało pierwsze i ruszyło w drogę powrotną. Czarny mercedes natomiast zmierzał w kierunku Parisenstrasse w dzielnicy Wilmersdorf. Pticzkin nie znał dobrze zachodniego sektora Berlina, zawierzył więc kierowcy. Mimo to, po jakimś czasie spytał podejrzliwie:

- Nie pomyliliście drogi?

- Właśnie dojeżdżamy. Dom narożnikowy, druga klatka, pierwsze piętro, drzwi po lewej. Pukać dwukrotnie, przerwa, znowu dwa razy.

Pticzkin nie od razu wysiadł z mercedesa - zapalił papierosa i w milczeniu obejmował wzrokiem przechodzące na drugą stronę ulicy dziewczyny ze słuchawkami na uszach. Zawsze twierdził, że

sukces wywiadu tkwi w rozważnej ostrożności. Spojrzał w okno na pierwszym piętrze kamienicy; lufcik był uchylony, na parapecie stały dwie opuncje w zielonych doniczkach. Klepnął kierowcę w ramię i uśmiechnął się dwuznacznie.

- Na mnie czas. Idę.

Bondarin wymamrotał przekleństwo na szczęście. Dojście do klatki schodowej i wspięcie się po schodach zajęło Pticzkinowi najwyżej trzy minuty. Zapukał dwa razy, odczekał kilka sekund, znowu wystukał dwa takty. Wszystko się zgadzało.

- Jest pan, doktorze Gruber, nad wyraz punktualny - powiedział Maller, gdy Pticzkin, nieco zdumiony jego obecnością, nie wyciągnął ręki na powitanie. Kto inny miał się z nim spotkać. - Nie ma się pan kogo obawiać. Sami swoi. - Przedstawił mu dwóch mężczyzn, jak on schludnie ubranych, wygolonych, już łysiejących.

- Czym zostanę poczęstowany tym razem? - spytał Rosjanin, czując balsamiczny zapach wypływający z kuchni. - Tylko nie proponujcie mi kawioru jak ostatnio, bo się obrażę.

- A golonka po bawarsku może być?

- Jeśli z wychłodzonym pilznerem, zgoda.

Pokój, do którego wprowadził go Maller, był niezbyt duży i urządzony staromodnie, ale ze smakiem. Gdybym miał takie mieszkanie w Moskwie, nie siedziałbym w Berlinie godziny dłużej, pomyślał Pticzkin z żalem. Wcisnął się w fotel, przejechał palcami po pluszowym obiciu, wyprostował nogi i rozejrzał się zauroczony. Nie spytał, kto tu mieszka, i tak nie usłyszałby prawdziwej odpowiedzi. Pomyślał, że jest to pewnie jedno z tych mieszkań, które kupiła Stasi, a teraz korzysta z niego grupa Mallera.

Milczący mężczyzna w ciemnych okularach podał mu golonkę na srebrzystym półmisku, otworzył barek i wyjął osiem butelek piwa.

- Pan doktor sobie życzy...? Na początek polecam grolscha, amstela lub ciemne piwo augsburskie.

- Niech będzie grolsch - westchnął Rosjanin.

W milczeniu zaczęli jeść obiad. Pticzkin nigdy nie odzywał się pierwszy, teraz też obserwował i czekał, aż głos zabierze Maller lub jeden z tych dwóch elegantów. Miał zresztą dużo czasu. Golonka rzeczywiście była wyśmienita, czegoś podobnego Rosjanin jeszcze nie

kosztował, a przecież znał kuchnię niemiecką na wylot. Znad talerza podniósł wzrok na Mallera - pułkownik również delektował się mięsem. O czym ten cwany lis myśli?

- Wypijmy - proponował Maller, unosząc kufel.

- A za co? Trzeba wznieść toast. Bez toastu nie wypada pić.

- Jest za co, jest. Przede wszystkim za waszych i naszych ludzi. Spisują się świetnie.

- Miło mi to słyszeć. - Pticzkin pociągnął kilka łyków piwa. - Ale czasem wasi partolą robotę - dodał.

- Bywa - przyznał Maller. - Cóż, zdarzają się wypadki przy pracy. Zapewniam pana, że to się więcej nie powtórzy... Wstępny cel został osiągnięty zgodnie z planem operacji. Wszystkie gazety bazgrzą na pierwszych stronach właśnie to, o co nam chodziło.

- Mimo to spotkanie się odbędzie - stwierdził jakby z wyrzutem Pticzkin.

- Co do tego nigdy nie mieliśmy wątpliwości. Nim jednak dojdzie do oficjalnego spotkania, odezwą się głosy sprzeciwu. Organizacje ojczyzniane już zbierają podpisy przeciw popieraniu Polski.

- Czy jesteście przekonani, że koalicja socjaldemokratów i zielonych nie utrzyma się do końca kadencji?

- Takiej pewności nigdy nie będzie. Możemy podważyć porozumienie partyjne, ale w tej kadencji to nie ma sensu. Przy następnych wyborach mamy szansę, jakiej na razie nikt nie przewiduje. My wiemy jedno: żeby wygrać, trzeba naruszyć spokój zachodnich Niemców, a wschodnim ziomkom przypomnieć, że tuż za miedzą jest odwieczny adwersarz. I to jest nasz cel zasadniczy.

- Na pewno tylko taki macie cel?

- Jeśli się uda posłać „Niedźwiadka” do świętego Piotra, jego miejsce zajmie Wildmann, a ten nawet jednego dnia nie zechce mieć Fischera w gabinecie wicekanclerza. Razem z Joschką pozbędzie się wszystkich zielonych.

- Kogo weźmie na ich miejsce? - spytał, udając brak orientacji, agent SWR. W rzeczywistości to Pticzkin proponował takie rozwiązanie.

- Kogo? - uśmiechnął się Maller. - Wildmann nie będzie miał innego wyjścia. Wicekanclerzem zostanie profesor Mischke. Jeszcze dwa resorty obsadzi PDS. Kim, nad tym towarzysze się zastanawiają.

- Nie stoimy na przeszkodzie, przeciwnie, pomagamy. Czasem mi się wydaje, że zbyt zaufaliście swoim ludziom - powiedział Pticzkin. - Jest was o wiele mniej niż sądzicie.

- Wystarczy, żeby przy pomocy mniej lub bardziej świadomych pismaków pomieszać ludziom w głowach.

Maller przytaknął ruchem głowy, zmrużył oczy zadowolony i rzucił:

- To dobrze, że Berlin ponownie został stolicą Niemiec. Bundestag wrócił do gmachu Reichstagu. Prezydent przeniósł się w pobliże Bramy Brandenburskiej. Kiedy już wszystkie urzędy centralne znajdują się nad Sprewą, wtedy też władza będzie w naszych rękach, doktorze Gruber.

Gdybyś wiedział, kto na tym musi wygrać, pomyślał Pticzkin, byś tak się nie cieszył. Twoja grupa będzie istniała dopóty, dopóki wywiad Rosji będzie miał w tym interes. Miejsce PDS w niemieckim systemie politycznym zależy wyłącznie od humoru SWR i GRU.

- A w tej konkretnej sprawie czego się spodziewacie z naszej strony? - zapytał.

- Ciągle nie można ustalić daty spotkania kanclerza z polskim premierem.

- Nie mówiłem, że jest was o wiele mniej niż sądzicie? Potraficie powiedzieć, kiedy wszelkie urzędy przeniosą się z Bonn do Berlina, choć to odległy termin, a nie znacie daty najbliższego wydarzenia, od którego zależy wasz los - powiedział z ironią Pticzkin. - Dobrze, i tym się zajmujemy. Jeszcze coś?

- Na razie nie mamy innych problemów - odparł po prostu Maller. - Wracając do naszej orientacji ... Stanowimy dość zwartą grupę, żądnych młokosów, ale za to silniejszą, godną waszego wsparcia i zaufania. Udało się nam pozyskać nie byle kogo, bo asystenta szefa Prezydium Policji we Frankfurcie nad Odrą. W razie czego zaprosimy do współpracy - roześmiał się sztucznie - i innych policjantów. Gdyby pan zarabiał dwa tysiące marek i miał na utrzymaniu rodzinę, pogardziłby pan pieniędzmi, które same pchają się do ręki? Rząd federalny nie zdaje sobie sprawy, jak tymi niskimi pensjami na wschodzie sprzyja naszym dążeniom.

Pticzkin nie zamierzał polemizować z Mallerem; kiwnął głową, jakby się z nim zgadzał i sięgnął po kufel.

- Zamiast maleć, czego spodziewał się rząd, rośnie niezadowolenie wschodniaczków - kontynuował Niemiec - a gazety, opanowane przez wydawców zza Łaby, chciałyby natychmiast mieć do czynienia z nowym społeczeństwem. Prasa jedną nogą tkwi jeszcze w poprzednim systemie, drugą jest już w nowym świecie, ale ludzie tego nie mogą zaakceptować. Dlatego każda ploteczka trafia na podatny grunt, roznosi się błyskawicznie, pęcznieje. Schröder przecież nigdy nie żył między Odrą i Łabą, jemu się wydaje, że likwidacja granicy wewnętrzniemieckiej zrównała obie społeczności. Właśnie to trzeba wykorzystać.

Pticzkin nie lubił gadania. Wolał dostawać zadania i je wykonywać. Gadanina to rzecz polityków, a on nie ma nic wspólnego z polityką. Jest oficerem wywiadu na służbie polityki.

- Czy pierwszy cel naprawdę został osiągnięty?

- Tak jest - stwierdził bez namysłu Maller.

- Wycofujemy zatem naszego człowieka w Zielonej Górze. Co za dużo to niezdrowo. Należy mu się, jak powiadają w moich stronach, wytchnienie po dobrze wykonanej robocie. Radzę wam postąpić identycznie. Zatrzymajcie tego...

- Mam inne zdanie na powyższy temat - przerwał Rosjaninowi Maller. - Powinniśmy je przedyskutować. Nawet w tej chwili.

- Zgoda - rzekł Pticzkin. Kiedyś żaden oficer Stasi nie śmiał sprzeciwić się Rosjaninowi, pomyślał. - Co przygotowaliście?

Milczący okularnik włączył magnetowid. Na ekranie philipsa pojawił się obraz z centrum Frankfurtu. Pticzkin usiłował przypomnieć sobie cokolwiek z tego miasta, lecz nic konkretnego nie przetrwało w jego pamięci.

- Karl Marx-Strasse, z tyłu hotel Central, a przed nami Oderturm, najwyższy budynek z panoramicznym widokiem na drugą stronę Odry. Jest to najważniejsze miejsce w naszym planie, ale powodzenie akcji zależy od tego, o której godzinie kanclerz i premier przekroczą granicę.

- Zorientujemy się w Warszawie - zapewnił Mallera Pticzkin i jeszcze raz pochwalił go za dobre przygotowanie do akcji. - Jednak musicie pamiętać, że najlepszą obroną jest atak. BND o to zadba.

Polski UOP też nie wypadł sroce spod ogona.

- W tym fachu nie jesteście żółtodziobami - palnął jadowicie Maller.

*

- Dobrze mu się przyjrzyjcie. - Pticzkin podał kierowcy fotografię.

- A teraz obserwujcie jegomościa, który wychodzi z drugiej klatki.

Bondarin nieznacznie kiwnął głową. Pamięć miał komputerową, wystarczyło, że raz spojrzał na zapisaną drobnymi cyframi kartkę, a mógł ją bezbłędnie odtworzyć nawet po wielu tygodniach.

- Nazywa się Maller. Choć w Stasi był tylko pułkownikiem, znał więcej niż generałowie - podkreślił Pticzkin. - Dziewiątego listopada będziecie mieli z nim do czynienia. - Dał znak kierowcy, żeby ruszał.

Ileż razy Bondarin przywdziewał kostium intelektualisty czy turysty i deptał po piętach kapusiów takich jak Maller! Był rozkaz udusić figuranta, to go brał za gardło i dusił jak kukłę; miał kogoś obserwować choćby i cały dzień, to obserwował, zapamiętywał każdy krok, robił zdjęcia albo informował centralę przez mikrotelefon. Kiedy zmieniały się dyspozycje, nie dyskutował, nie pytał. Kazano mu zlikwidować swojego agenta czy obcego - likwidował. Co to dla niego: poderżnąć gardło tajniakowi, przebić, przejechać, zepchnąć ze schodów, podpalić, wysadzić razem z autem.

- Czy ma się ulotnić jak opary samogonu?

- Na razie o nic nie pytajcie - zgasił go Pticzkin. - Macie jedynie zapamiętać jego twarz, markę i kolor samochodu, którym jeździ.

Rozdział IX

Daniel nie liczył na to, że Miśka po sprzeczce na imieninach u Syskich zechce odwiedzić go aż do Słubic. Mógł jechać sam, tylko nie wiedział, gdzie na noc zostawić fiata, żeby mu go jakiś Bułgar, bezdomny Rumun czy zadziorny Ukrainiec, których setki wysiadują na ławkach wzdłuż brzegu Odry, nie ukradł. W Słubicach, najmniejszym mieście w Europie z prawdziwym uniwersytetem, własnymi profesorami i domami studenckimi, artystami i bogatymi ludźmi, nie ma ani jednego porządnie strzeżonego parkingu miejskiego. Wczoraj przy kolacji rozważał, czy rano wstać wcześniej i przez dwie godziny telepać się autobusem pospiesznym, czy przyznać rację Miśce i prosić, aby go zawiozła do mostu granicznego?

- Nie musisz zrywać się o brzasku - powiedziała, jakby czytała w jego myślach. - Zawiozę cię do Słubic, a stamtąd pojedę do Gorzowa. Mam tam konsultację w sprawie jakiejś zbrodni.

Rozpromieniony, położył dłoń na kolanie żony i zaczął delikatnie wędrować palcami wzdłuż jej uda. Miśka, wyraźnie zadowolona, cmoknięciem odpowiedziała na szelmowski uśmiech męża. Wyszła za niego z rozsądku, jak mówiła bez skrupowania, gdy czasem wspominali narzeczeńskie miesiące, ale zaraz unosiła się na łokciach, całowała go w usta i dodawała: „A także z rozsądnej miłości”.

- Już powinienem być za granicą. Od mostu do redakcji jest kwadrans. Nie zdążę na wpół do dziewiątej. Jeszcze muszę kupić kwiaty. - Znał zwyczaje Niemców i jak mało który Polak wiedział, że bukiet gerberów czy nawet goździków znaczy więcej niż najdroższy upominek.

- Nigdy nie czułam się taka samotna - oświadczyła Miśka naprawdę smutnym głosem, jakby rozstawała się z Danielem na bardzo długo.

- Wrócę najpóźniej za tydzień. Wyjedziesz po mnie do Słubic?

Skinęła głową i spytała, co przygotować na powitalną kolację.

- Po tylu latach małżeństwa nie wiesz, czym trafić do mojego serca?

- Dobrze, będzie sałatka szopska z okruskami podwędzonego sera z koziego mleka. A jeśli nie dostanę sera?

- Ty czegoś nie dostaniesz? Gdybym miał udowodnić prawdziwość przysłowia o diable i babie, ciebie użyłbym jako żywego eksponatu.

Wzięła go pod ramię i bez słowa odprowadziła aż na drugi brzeg Odry. Dopiero tu zrobiło mu się jej żal, lecz nie miał innego wyjścia, skoro dostał polecenie, które jako lojalny dziennikarz starał się wykonać. Lojalność wobec przełożonych uważał za bardzo ważną cechę solidnej służby. Zresztą pobyt w redakcji „Frankfurter Zeitung” przyda mu się, szczególnie teraz, bo przecież wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej przestanie istnieć strzeżona granica państwowa. Przy okazji poduczy się języka i sprawdzi, ile prawdy jest w tym, co piszą centralne gazety o przemianach za Odrą. Redaktor naczelny zaznaczył, że już został uzgodniony termin spotkania szefa polskiego gabinetu ministrów z kanclerzem Schröderem. Odbędzie się ono nie w Gubinie i Guben, jak pierwotnie planowano, lecz we Frankfurcie i Ślubicach. Z akredytacją były pewne problemy, ponieważ federalne biuro prasowe domagało się nie tylko dość wysokiej opłaty, lecz i wniosku potwierdzonego przez doradcę premiera do spraw prasy, mimo to naczelnemu udało się zgłosić aż trzech dziennikarzy; jednym z nich jest właśnie Daniel Sateck. Podczas pobytu w redakcji „Frankfurter Zeitung” powinien - podkreślił szef - spiknąć się z wziętymi reporterami niemieckimi, co jemu i pozostałym przedstawicielom „Gazety Lubuskiej” ułatwi pracę w listopadzie. Drugie zadanie wydawało się Danielowi o wiele trudniejsze, niemal nie do wykonania. Otóż ma sprawdzić, w jaki sposób frankfurcki dziennik zdobywał informacje o mordach popełnianych w Zielonej Górze. Najpewniej przy pomocy agentów Bundesnachrichtendienstu, których po wschodniej stronie Odry musi być niemało, zresztą sytuacja mogła wyglądać identycznie przed jesienią ludów, tyle że wtedy rywalizowały ze sobą dwie niemieckie służby bezpieczeństwa i wywiadu - wschodnia Stasi i zachodnia BND. Nie tylko Słowianie za odpowiednio wielkie pieniądze powiedzą wszystko o swoich rodakach.

Tuż za mostem powitał go Wolfmann, stary wyga, trochę obskuran, trochę szalawila; pewnie dlatego został odstawiony na boczny tor, ale on się tym nie przejmował. Śmiał się, że nigdy nie wyjechał z Frankfurtu na dłużej niż miesiąc, a żyje w czwartym państwie niemieckim, bo urodził się w Republice Weimarskiej, wychował w Trzeciej Rzeszy, dorastał w NRD, a umrze w Republice Federalnej Niemiec. W drodze do redakcji Wolfmann przedstawił Danielowi pro-

gram pobytu, zaznaczając, że nie będzie mu towarzyszył do końca tygodnia. Oczywiście pytał o życzenia, zainteresowania zawodowe i samopoczucie znanych mu od lat dziennikarzy zielonogórskich.

Frankfurt zmieniał się powoli, w centrum pozostały nawet stare nazwy ulic, w przeciwieństwie do Zielonej Góry, gdzie od dawna trwała wymiana szyldów, tablic, pieczętek. Daniel spostrzegł, że jednak wystawy sklepowe są bogatsze, a tramwaje i autobusy gęściej oklejone plakatami, znakami firmowymi zachodnioniemieckich przedsiębiorstw, reklamami, ogłoszeniami.

- Zdążyliście przyzwyczaić się do nowych porządków? - spytał, aby przerwać milczenie Wolfmanna.

- Nadal czujemy się jak młoda para. Najpierw była długo oczekiwana noc poślubna, później fascynacja drugą stroną i wzajemne prawienie sobie komplementów. Teraz przeżywamy rozczarowanie, dopiero po nim zacznie się szare życie. A już wielu jest takich, którzy prawią o rozwodzie.

Redakcja mieściła się w starym, pamiętającym przedwojenne czasy gmaszysku, wyremontowanym niedawno z taką starannością, że Daniel aż zaniemówił, kiedy idąc za Wolfmannem znalazł się w jasnym, długim korytarzu. Sekretariat redaktora naczelnego zajmował ogromne pomieszczenie; stało w nim niewielkie biurko, komputerowa maszyna do pisania, stolik zastawiony telefonami, lodówka, stare, obciążone wytartą skórą fotele, tu i ówdzie pozszywane. Daniel był zaskoczony; spodziewał się jeśli nie przepychu, to przynajmniej nowoczesnego wystroju redakcji, komputerów, kopiarek i tego wszystkiego, o czym czytał w zachodnich czasopismach, oferujących wyposażenie biur.

- Proszę nie zwracać uwagi na meble, jesteśmy na etapie drugiej modernizacji wydawnictwa - pośpieszył z wyjaśnieniem Wolfmann. - Szyja szefa, czyli nasza sekretarka - przedstawił Angelikę, która wyciągnęła do niego rękę na powitanie.

Daniel chwilę rozważał, czy pocałować ją w dłoń, jak to bywa w zwyczaju Polaków, czy tylko uściśnąć palce, ale wyczuwszy, że ręka Angeliki jest miękka w przegubie, uniósł ją lekko i musnął wargami. Sekretarka dygnęła jak maturzystka, zerkając ukradkiem na bukiet złocistych chryzantem.

- To dla pierwszej, napotkanej w redakcji kobiety - powiedział i podał jej kwiaty.

- Wspaniale pachną! - wykrzyknęła z niekłamana radością na zaróżowionych policzkach. - Postawię je w gabinecie szefa.

- Wolałbym, aby zdobiły sekretariat. Szef nawet nie zauważył bukieci - rzucił lekko. Wydawało mu się, że Angelika błysnęła oczyma dziękczynnie, przynajmniej poruszyła rzęsami. Z sekretarką trzeba dobrze żyć, stwierdził nie bez racji. I szepnął: - Jaka pani urocza.

*

Pierwsza dama frankfurckiego dziennikarstwa, czyli Karin Albrecht, wcale nie przypominała Oriany Fallaci, jak twierdził Wolfmann, raczej miała temperament gwiazdy teatru alternatywnego. Daniel mógł się mylić, nie znał jej, zresztą uroda i mądrość kobiety to dwie różne rzeczy, najczęściej pozostające bez związku ze sobą. Był zadowolony, że właśnie z nią jedzie gdzieś na północ Brandenburgii. Wolał to, niż wałęsanie się po mieście i zadawanie bzdurnych pytań. Karin napisała cykl reportaży o prominentach wschodnioniemieckich, odkryła ich powiązania z wywiadem gospodarczym i terrorystami, ujawniła nazwiska szesnastu policjantów, kiedyś współpracujących z KGB, a dziś z SWR i CIA. Każdy jej artykuł w „Frankfurter Zeitung” był oskarżeniem ludzi, którzy jeszcze dziesięć lat przed końcem wieku czuli się bezkarni.

- Co cię interesuje w Niemczech? - spytała nie odwracając głowy, zachmurzona i poważna.

- To samo, przypuszczam, co i ciebie. W redakcji zajmuję się problemami z pogranicza sensacji politycznej i kryminału w powiązaniu z polityką.

Miał na końcu języka pytanie o źródło informacji na temat napałów w zielonogórskich toaletach, lecz Karin go uprzedziła.

- Marnie pracuje wasza policja - powiedziała. - Pewnie za dużo w niej spasionych urzędników.

- Nie rozumiem - przyznał się bez wstydu.

- Taki nie podniesie dupy zza biurka. Pięć morderstw i brak sprawcy.

Ach, o to chodzi!

- Nie pięć, lecz cztery.

- Pięć.

- Cztery. Piąta osoba została tylko zraniona, żyje i pewnie naprowadzi naszą, jak mówisz, kiepsko pracującą policję na niemiecki trop.

Natychmiast odwróciła głowę w jego stronę, zrobiła wielkie oczy, jakby została czymś zaskoczona. Puściła kierownicę, golf prawie zjechał na pobocze, w ostatniej chwili wyhamowała.

- Co powiedziałeś?

Daniel powtórzył i śmiało patrząc w jej oczy zapytał, jak to możliwe, że o morderstwach popełnianych późnym wieczorem, ukrywanych przed prasą, w kraju, gdzie telekomunikacja funkcjonuje kiepsko, najszybciej dowiadywała się zagraniczna gazeta, mimo że jej oficjalnie akredytowany przedstawiciel nigdy nie był na miejscu tych zdarzeń. No i dlaczego frankfurcka gazeta okazała aż takie zainteresowanie morderstwami?

- Tajemnica redakcyjna - odrzekła Karin.

- Musicie mieć nieźle opłacanych informatorów wśród naszych kiepsko zarabiających policjantów... Albo wasi redaktorzy są zamieszani w te sprawy - palnął.

- Odpowiadamy na oczekiwania naszych czytelników - odparła opryskliwie Karin.

Wcale nie jesteś taka zwyczajna, za jaką cię wziąłem. Jesteś przebiegła i przemądrzała, stwierdził Daniel, przyglądając się jej zgrabnym dłoniom. Gdyby cię ubrać w modne fatalaszki, podmalować, zawieźć do Zielonej Góry, nie różniłabyś się od moich redakcyjnych koleżanek.

- Możesz mi zdradzić, kto pisał te notatki?

Uśmiechnęła się do siebie i westchnęła przeciągle. Zrozumiał, że na razie niczego nie uzyska. Musi więc podejść ją z innej strony. Jak, tego jeszcze nie wiedział, ostatnio rzadko miał do czynienia z niemieckimi dziennikarkami, ale z Karin warto trzymać sztamę.

Wczoraj w dyskotecę przypatrywał się jej z zaciekawieniem. Wcale nie przypominała mu zawziętej publicystki, była raczej pannicą na wydaniu, zwracającą uwagę ramoli i gogusiów. Wolfmann powiedział mu w zaufaniu, kiedy mieli już dobrze w czubach, że pierwszy raz Karin pojawiła się we Frankfurcie w połowie lat dziewięćdziesią-

tych, zaraz po ujawnieniu afery z przemytem rosyjskich materiałów rozszczepialnych, później studiowała na uniwersytecie w Konstancji i pracowała w filii berlińskiej firmy konsultingowej Deutschlandbild 2000, a w zeszłym roku wróciła do redakcji z dyplomem wydziału prawa. Podobno jest rozwódką.

„Uważaj na nią - ostrzegął - bo facetów okręca wokół siebie jak tylko chce. Ma wejścia do policji i kurii, znajduje wspólny język z żebrakiem i bankierem, potrafi wdrapać się na drzewo i umie się zachować w salonie arystokratycznym. To jest rasowa dziennikarka. Były naciski, aby ją wysiudać z redakcji, ale szef nie jest taki strachliwy. To już nie te czasy, że na każdy telefon trzeba posłusznie przytakiwać. - Wolfmann wskazał głową Karin, która to zauważyła i uśmiechnęła się filuternie do Daniela. - Ona, żebyś o tym wiedział, ma nos nie do pudrowania.”

Od niego dowiedział się, że reportaże Karin Albrecht ożywiły gazetę, przerwały milczenie byłych notabli, a wielu osobom, powiązanym z dawnymi władzami, napędziły strachu. Jednych broniła - tych była większość, drugich atakowała ze straszną zawziętością, jakby chciała się na nich odegrać za straty, których doświadczyła w dzieciństwie. Na długo przed publicystami berlińskimi miała odwagę napisać, że Honecker pochodził z rodziny, w której za sukces uważano, gdy było coś do zjedzenia, gdy człowiek mógł się jako tako ubrać, miał ciepłe i suche mieszkanie i gdy miał pracę. Na tym też polegał jego socjalizm. Kto zaś nie okazywał wdzięczności, był wrogiem ustroju. Karin otworzyła oczy tysiącom brandenburskich Niemców, tym bardziej że pisała językiem komunikatywnym, szczerym i prostym.

- Zdradzisz mi swoją metodę zbierania materiałów?

- Ty ciągle o tym samym - odparła Karin. - O ile wiem, w swojej redakcji uchodzisz za pismaka z jajami. Kto od kogo ma się uczyć? Ja dopiero zaczynam.

Daniel pomyślał, że Karin kłamie. Nie wyglądała na taką, która przyjechała do „Frankfurter Zeitung” na przyuczenie do zawodu. Może jest agentką BKA? A może nawet pracuje dla CIA czy SWR? Służby specjalne całego świata mają najwięcej swoich pomagierów wśród dyplomatów, handlowców i dziennikarzy. Wszyscy o tym wiedzą - i wszyscy udają naiwnych.

- Przynajmniej powiedz, dokąd mnie wiesziesz.

- A, to co innego, druhu - odparła swobodnie. - Dostałam cynk, że grupa zbzikowanych pierdzieli montuje akcję „Miś”.

- Czy ów cynk pochodzi z tego samego źródła, z którego twoja gazeta czerpie wiadomości o zabójstwach w Zielonej Górze?

- Zgadłeś. Mógłbyś pracować nawet w policji kryminalnej.

- A twoim zadaniem jest przedostać się do sztabu akcji? - Sądził, że przerysowując sprawę, dowie się więcej, ale Karin nie pozwalała sobą manipulować.

- „Miś” brzmi jak tytuł filmu animowanego dla dzieci. To takie miłe stworzonko. Zazwyczaj poważne akcje mają rozkoszne kryptonimy. Przygotowują je dziadkowie, a oni myślą jak dzieci.

- Miś jest w herbie Berlina - przypomniał jej.

- Był też maskotką olimpiady w Moskwie. Wcale się nie zdziwię, jeśli tu chodzi o akcję w wykonaniu moskiewskiego zwierzaka.

- Czyżbyś miała na myśli powrót rosyjskiej bezpieki na niemiecką arenę, z której ona nigdy nie zeszła? - W tym pytaniu była ukryta ironia. Karin pewnie jej nie zrozumiała, a Daniel nie starał się niczego więcej dociekać.

Zatrzymali się dopiero na peryferiach Schwedt. Daniel nigdy nie był w północnej Brandenburgii, ale wiedział, że miasteczko jest niemieckim odpowiednikiem Płocka. Podniósł oczy na komin petrochemii, górujący nad domami szarymi od sadzy i wyziewów. Karin spytała brodatego przyjemniaczka o hotel, a on wzruszył ramionami i coś bąknął niezrozumiale; Danielowi wydawało się, że z rosyjskim akcentem. Dopiero młodzian w ciemnych okularach wskazał drogę do centrum, ale ostrzegł, że w miasteczku odbywa się międzynarodowa konferencja ekologiczna i wszystkie miejsca w hotelach są zajęte. O nocleg należy pytać w gościńcu Zum Goldenen Stern przy drodze do Prenzlau.

- Świetnie się składa! Stamtąd będziemy mieli bliżej.

- Dokąd będziemy mieli bliżej? - Daniel się zdziwił.

- Do pierdziela, który coś wie o akcji „Miś”, mój druhu - powiedziała jeszcze bardziej tajemniczym głosem.

Gdy zameldowali się w gościńcu i zostawili bagaże w pokojach, Karin uprzedziła Daniela, że mogą mieć problemy ze zdobyciem rze-

czowych informacji. Byłoby najlepiej, dodała, gdyby to ona zadawała pytania, a on milcząc obserwował okolicę. Zastrzegła też sobie prawo pierwodruku reportażu w „Frankfurter Zeitung”. Daniel nie miał wyboru, przytaknął z niechęcią. Podała mu magnetofonik kasetowy firmy Sony, znacznie mniejszy od philipsa, którego dostał od żony na urodziny i poprosiła, aby trzymał go w kieszeni kurtki.

- Czuję się tak, jakbym pracował dla obcego wywiadu - powiedział, poddając się jej zwierzchnictwu. Miał nadzieję, że Karin zareaguje na takie stwierdzenie, lecz ona nawet nie machnęła ręką.

Powoli jechali wyboistą drogą przez zniszczony las, wzdłuż granicy poligonu wojskowego. Karin również była w tej okolicy pierwszy raz, ale miała tę przewagę nad Danielem, że wiedziała, kiedy należy skrócić w lewo, aby nie wpaść w leje po pociskach.

- Chyba jesteśmy na miejscu - pokazała na domek wciśnięty między smukłe sosny. Na niewielkim podwórku stał błękitny opel. Spytała niepewnie: - Wsiadamy i idziemy tam czy czekamy?

- Leśniczówka jakich wiele po obu stronach Odry. Zwyczajna. Skoro przyjechaliśmy, to idziemy - odrzekł, nieco zaskoczony jej pytaniem. - Boisz się?

- Ani słowa o tym, kim i skąd jesteś - jeszcze raz go przestrzegła.

- Boisz się? - powtórzył pytanie.

- Wolfmann będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

- Mądra i sprytna - pochwalił ją, czując ulgę. - I tajemnicza jak dyplomowana agentka wywiadu.

- Jestem bardzo ciekawa, jak wygląda ten pierdziel.

Zrozumiał, że Karin ma na myśli informatora, który zwabił ją do leśniczówki, a mimo to spytał:

- Czyżbyś go nie знаła?

Nie dała zbić się z tropu.

- Znam, znam.

- W takim razie dlaczego pytasz, jak on wygląda? Przecież wiesz, że ode mnie nie usłyszysz odpowiedzi. Karin, o co chodzi?

- Będziemy mieli do czynienia z dżentelmenem, jednym z tysięcy, który stracił poczucie pewności siebie. Był kimś. Był, a teraz za pieniądze jest gotów duszę sprzedać Belzebubowi. Co dziesiąty wschodni Niemiec powyżej trzydziestego roku życia ma coś na sumieniu i chciał-

by się oczyścić. On też uważa, że może odkupić swoją winę.

- Sprzedając twojej gazecie informację o jakiejś akcji?

Karin nie zdążyła odpowiedzieć. Z leśniczówki wyszedł na ganek podstarzały mężczyzna i przyjaznym gestem zaprosił ich do środka.

- A to kto? - spytał, podejrzliwie spoglądając na Daniela. - Miała pani sama przyjechać, bo...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Kolega - powiedziała krótko i poszła przodem, dając znak Danielowi, żeby nie rozglądał się i już włączył magnetofonik.

- No dobrze - machnął ręką staruch.

- Miło u pana - pochwaliła go, gdy weszli do pokoiku przylepionego do kuchni. - Cichutko, przytulnie. Idealne miejsce na pisanie książki.

- Ano...

- Można wynająć domek na przykład na tydzień?

- Sądzę, że tak.

- Muszę o tym pomyśleć - powiedziała. Daniel czuł, że Karin jest zdenerwowana. W samochodzie była inna, choć też spięta. - Napiałabym się dobrej kawy.

- Najpierw forsa.

Bez ociągania się rozsunęła zamek błyskawiczny, wyjęła z kieszonki bluzki plik stumarkowych banknotów, pojedynczo rozkładała je na stoliku obok lampki nocnej.

- Tysiączek i jeszcze jeden tysiączek - powiedziała, odsuwając banknoty na środek stolika. - Wystarczy?

- Będzie pani łaskawa oddać mi kluczyki do swojego samochodu.

- Niby dlaczego? - Tego nie przewidziała. - Jak się stąd wydostaniemy?

- Takie mam polecenie.

Zrobiła, czego się domagał. W kieszeni pod spódnicą zawsze miała zapasowy kluczyk. Była pewna, że staruch nie zrewiduje jej, nie odważy się sięgnąć pod spódnicę.

- Z nieuczciwymi rodakami też trzeba się obchodzić łagodnie, jak z chorymi częściami ciała - powiedziała szorstko, aroganckim tonem.

W tej chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich mały mężczyzna na krótkich nogach, z głową wielką jak dojrzała dynia. Karin była

przekonana, że już gdzieś go widziała. Może nawet spotkała go w redakcji.

- Rączki na kark, mili - rzucił do Karin i Daniela, unosząc pistolet.
- Pani chciała czegoś dowiedzieć się o pewnej akcji. No to bardzo proszę. - Podał leśniczemu dwie jutowe linki i polecił, aby obojgu związał ręce.

Magnetofonik w kieszeni Daniela pracował bezszmerowo.

- Takiego powitania nie oczekiwałam - powiedziała skonsternowana Karin, patrząc okrągłymi ze strachu oczami na wymierzony w siebie pistolet. - Co to ma znaczyć? Kim pan jest, do cholery?!

- Dotąd byłaś posłuszna, choć nieświadoma swojej roli. Pisałaś o tym, na czym nam zależało. Mogłabyś tak dalej robić, gdyby nie pewne okoliczności. Za dużo chcesz wiedzieć. Może to i dobrze, pod warunkiem, że całą swoją wiedzę przelewasz na papier. Co za dużo, panienko, to niezdrowo. Po co denerwować czytelników? Oni mają teraz tyle własnych kłopotów, problemów, spraw, zagwozdek, że trzeba im przyjaźnie współczuć. Ale pisałaś ekscytująco - pochwalił ją wielkogłowy konus. - Zasłużyłaś na nagrodę. Niestety, zrobiłaś o jeden krok za daleko.

Daniel miał plecy mokre od potu, w myślach przeklinał Karin, swego szefa i wszystkich, którzy namówili go do tego wyjazdu. Jeśli wydostanę się stąd żywy, nigdy więcej nie zaufam babie, choćby była najlepszą dziennikarką i najatrakcyjniejszą kobietą, postanowił.

- Co z nami zrobicie? - spytała Karin, mając nadzieję, że wielkogłowy tylko straszy.

- Poczekamy do zmierzchu. Reszty możesz się domyślać.

- Zostawiłam adres koledze. Jeśli przed kolacją nie wrócę do Frankfurtu, zawiadomi policję.

- Fantazjuje panienka.

- Proszę zadzwonić do redakcji, sprawdzić...

- Przed wieczorem przyjedzie tu pewien gość, którego nie warto bujać. Cholernie tego nie lubi. Nerwus.

- Ten, który chce mnie wtajemniczyć w plan akcji „Miś”? - spytała, udając naiwną. Wydawało się jej, że w ten sposób więcej zyska. - Pewnie przywiezie poufne materiały. To dobrze, bo dziennikarz musi mieć jakieś dokumenty, w przeciwnym razie nikt mu nie uwierzy.

Wielkogłowy nie usłyszał pytania, wycofał się do sieni, zaraz za nim podążył staruch i zamknął drzwi na klucz. Twarz Karin zawsze była blada, ale teraz wyglądała jak papier, Daniel miał mokre od potu czoło, żadne nie ukrywało swego przerażenia.

Kim jest ten, który przyjedzie o zmierzchu? Może konus blefował, żeby zyskać na czasie? Naciągnął ją na dwa tysiące marek, pomyślał Daniel i zmierzył Karin miłosiernym spojrzeniem. Taka bystra, rozważna, a dała się zwieść najzwyklejszemu hochsztaplerowi.

- Wielki łeb pracuje w policji. - Karin o mało nie wykrzyczała swego odkrycia. - Poznałam go po głosie. On może być asystentem samego doktora Schneidera.

- Zostaliśmy uwięzieni przez państwową policję w demokratycznym kraju? - ironizował Daniel. Chciało mu się pić.

- Taką mamy demokrację i taką policję. U was pewnie jest jeszcze gorzej.

Usłyszawszy warkot silnika, podeszli do okna oboje. Karin wsunęła głowę pod firankę, oparta ramieniem o futrynę spoglądała za odjeżdżającym błękitnym oplem. Starła się, lecz z odległości blisko stu metrów nie zdołała odczytać numeru rejestracyjnego samochodu, zresztą pewnie był fałszywy.

- Na szczęście nie połakomili się na mojego golfa.

- Na szczęście - powtórzył sarkastycznie Daniel. - Zabrali ci kluczyk do auta, drzwi zaryglowali, a ręce związali. Więc jak się stąd wydostaniesz?

- Trzeba uwolnić ręce.

- Trzeba, ale w jaki sposób? Potrafisz?

Karin uniosła związane za plecami dłonie, tak jak to robią kobiety, gdy rozpinają haftki przy staniku, przekrzywiła prawe ramię i na zmianę to kciuk wciskała w supeł, to dwoma palcami pociągała za węzeł. Męczyła się tak może z dziesięć minut, niczego nie osiągając. Wtedy bez słowa ukłękła za Danielem. Kiedy poczuł jej gorący oddech na swoich dłoniach, zrozumiał, że stara się przegryźć linkę.

- Nic z tego nie będzie - stwierdziła po paru minutach wypluwając włókna.

- Z czego są linki?

- Z juty albo z konopi.

- Spróbuję je zmiękczyć śliną - powiedział Daniel i poprosił, żeby Karin odwróciła się do niego plecami. Linka na przegubach jej rąk była mocno zaciągnięta. - Bez noża nie da rady.

- Co oni z nami robią?

- Nigdy nie byłem w podobnej sytuacji.

- Szkoda, że nie zabrałam ze sobą telefonu komórkowego. A Wolfmann pytał, czy się zabezpieczyłam. Pomyśl, jesteś mężczyzną, z natury masz nade mną przewagę.

Daniel rozejrzał się po pokoju, ale nie dostrzegł niczego, co by wystawało ze ściany czy było zaostrome. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeszcze przed zapadnięciem zmroku musi wymyślić sposób uwolnienia siebie i Karin. Błądzące bezradnie po pokoju spojrzenie zatrzymało się na stojącej na stoliku nocnej lampce, jakie często myśliwi wykonują z poroża jelenia. Po chwili namysłu Daniel strącił ją na podłogę. Papierowy klosz odpadł i potoczył się aż pod drzwi, ale żarówka nie rozbiła się o deskę.

- Walnij czubkiem buta - poradziła Karin, domyślając się, ku czemu Daniel zmierza. - Tylko ostrożnie, żebyś nie rozgniół jej na mak.

Oparłszy plecy o ścianę, zsunęła się powoli na podłogę i przesuwała się po niej ostrożnie, póki nie namacała większego odłamka szkła. Podniosła go delikatnie, żeby nie pokaleczyć palców i wyprostowała się. Była dużo niższa od Daniela, sięgała mu ledwie do ramion, ugiął więc nogi w kolanach i oparł się czołem o ścianę. Przecięcie kawałeczkiem szkła węzła na cudzym nadgarstku może się wydawać proste, ale w rzeczywistości jest to zajęcie dla benedyktyna i to wyjątkowo cierpliwego. Potrzeba wiele czasu i cierpliwości, aby przeznąć każde włókienko. Stanie na ugiętych nogach zmęczyło Daniela, zaproponował więc zmianę, tym bardziej że Karin miała już dość mordęgi po omacku. Ale i jemu ponad godzinę zabrało przecinanie sznura, w końcu jednak Karin została uwolniona. Nie musiała klękać za jego plecami, prosić, aby naprężył linkę, bo tak będzie łatwiej, po kilku pociągnięciach szkiełkiem nadpiłowana już linka pękła.

Daniel otworzył okno, pomógł Karin wspiąć się na parapet, później zeskoczył na grządki i wyciągnął ręce, oferując jej pomoc. Gdy byli już przy golfie, usiłował sobie przypomnieć, które przewody trzeba połączyć, aby bez kluczyka uruchomić silnik.

- Dajemy stąd dyla - powiedziała rozkazująco Karin.

- Jak? Piechotą? - spytał i mimo że do hotelu było ze dwadzieścia minut jazdy samochodem, zdecydował się iść przez las do głównej drogi. Stamtąd może ktoś ich podwiezie do Zum Goldenen Stern.

Karin odwróciła się do niego plecami, uniosła przód szerokiej, okrywającej kolana spódnicy i z kieszonki zapiętej na zamek błyskawiczny wyjęła zapasowy kluczyk do golfa.

- Gdzie diabeł nie może... - zaczął Daniel i urwał uświadomiwszy sobie, że Karin tego nie zrozumie, a nie ma czasu na tłumaczenie polskiego powiedzonka.

*

Siedzieli przy stoliku wciśniętym w kąt niewielkiej sali, każde o czym innym rozmyślając, pili piwo prosto z butelek, choć przed nimi stały smukłe szklanki na nóżkach. Milczeli pewnie z dziesięć minut. Daniel był myślami po polskiej stronie. Miśka go skarciła za nieostrożność, gdy po powrocie do domu opowie jej o zdarzeniu w leśniczówce. Naczelnicy wrzucił ramionami, a koledzy z działu poklepią go po plecach i może jako bohatera zaproszą na piwo do klubu. Szydło, weteran redakcyjnych wygłupów, podpowie, aby kupić sobie pistolet gazowy lub nóż sprężynowy, a reportaż z uwięzienia opatrzył fantastycznym tytułem i wydrukował na ostatniej stronie magazynu sobotnio-niedzielnego. Sekretarz redakcji umieści jego nazwisko na tablicy wyróżniających się autorów. Wszystko, co Daniel robi i o czym pisze, jest życiopisaniem.

Umysł Karin był zaprzątnięty czym innym - zastanawiała się, nie pierwszy raz zresztą, ile jest prawdy w tym, co szeptało o darowaniu kary wszystkim skazanym za politykę we wschodnich Niemczech. A akcja „Miś” to pewnie nic innego, jak próba odwrócenia uwagi społeczeństwa od losów byłych prominentów. Postkomuniści nie opuścili rąk bezradnie, zdają sobie sprawę z tego, że stracili wszystko, dlatego chcą przynajmniej zachować nagromadzone za granicą bogactwo.

- Pojedziemy tam jeszcze raz, jutro rano - odezwała się nagle. - Albo nie... Ty zostaniesz w Zum Goldenen Stern, ja sama...

- Życie ci niemiłe?

- Intryguje mnie ten głos. Nie leśniczego, jeśli naprawdę to był le-

śniczy, a nie jakiś policjant wyrzucony ze służby, lecz tego konusa z wielkim łbem. - Przytknęła magnetofonik do ucha i po chwili była już pewna, mimo szmerów, że drugi głos nie jest jej obcy. - Daniel, to na pewno był asystent szefa prezydium policji.

- Amatorski magnetofon zniekształca głos. - Daniel miał wielu przyjaciół w Radiu Zachód, często korzystał z ich pomocy, zresztą oni również nieraz prosili go o przysługę, wiedział więc, że dźwiękiem można manipulować jak słabym człowiekiem. - W sądzie taśma magnetofonowa jest kiepskim dowodem.

- Nie szkodzi. Ja nigdy nie rozmawiałam z tym facetem w cztery oczy, tylko zawsze przez telefon. Rzucił kilka słów jakby mu się paliło, nawet nie odpowiadał na moje pytania.

Teraz powinien spytać ją o autora komunikatów dotyczących wydarzeń kryminalnych w Zielonej Górze, które już następnego dnia ukazywały się na łamach „Frankfurter Zeitung”. Pewnie uzyskałby odpowiedź, jakiej się spodziewa od początku. Uznał jednak, że poczeka na stosowniejszą sytuację. Karin coraz bardziej mu ufa.

- Wielkogłowy pracowałby dla dwóch panów? Policjant niemiecki? Solidny służbista, który uśmiecha się jedynie wtedy, gdy zezwala na to regulamin? - zadrwił nie z konusa, ale z wszystkich Niemców w ogóle.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że Stasi miała pół tysiąca szpiegów po stronie zachodniej, najczęściej wśród szeregowych urzędników? Czy wiesz, że Niemcy Wschodnie szkoliły terrorystów głównie z myślą o dywersji po drugiej stronie Łaby? Przecież ci ludzie byli dyplomowanymi rewolucjonistami, kształconymi w najlepszych akademiach służby bezpieczeństwa. Co się z nimi stało? Wyjechali do Argentyny, Australii, Kanady? Nie, Daniel, oni są wśród nas i jak kameleony dopasowują się do nowej sytuacji. A czy ty wiesz, że sieć wywiadowczą KGB tworzyło ponad dziesięć tysięcy Niemców, których prawdopodobnie przejęła SWR i przy ich pomocy przenika do wszystkich komórek naszego państwa? Popatrz na barmana; wierzysz, że ma czyste ręce? Że nie był na usługach KGB albo CIA, albo BND, albo Stasi? Za co kupił tę gospodę?

- Przesadzasz z tą nieuczciwością - powiedział Daniel dla świętego spokoju. Miał już dość głędzenia o polityce.

- Przesadzam? To dlaczego prokuratura aresztowała Mielkego, Neibera, Schuetta, Tiedgego, Tischa? - nie ustępowała Karin. - Nie Chile Pinocheta, nie frankistowska Hiszpania, nie Kampucza, Daniel, były najbardziej totalitarnymi państwami drugiego tysiąclecia. Kto nie mieszkał w republice wschodniej Niemiec, nie ma pojęcia o tym, co się wyprawiało między Odrą i Łabą. NRD była państwem na pokaz, gdzie wszyscy przedszkolacy chodzili w niebieskich bluzkach, lekarze leczyli skutecznie, sportowcy ustanawiali rekordy świata, ludzie kochali się według regulaminu i według instrukcji bili brawo. I to wszystkim za cenę talonu na trabanta albo wycieczki nad Morze Czarne.

- Czystej wody demokracja była tylko w Atenach, ale i ona zgubiła państwo - rzekł Daniel, lecz Karin nie zareagowała.

- Łatwiej było zburzyć mur w Berlinie, niż dziś zmienić mentalność wschodniaków. Kto raz posmakował władzy, nie potrafi wobec niej pozostawać obojętny. Znaleźli się nowi ludzie, objęli nowe urzędy, ale ci nowi zostali wykształceni właśnie we wschodnim Berlinie, Dreźnie, Lipsku. Oni nieświadomie kopiuje złe nawyki swoich nauczycieli. Może byliby inni, gdyby ktoś, na przykład socjaldemokraci, chciał ich poinstruować, jak mają służyć mnie, barmanowi, tamtemu facetowi w kapeluszu na głowie, a nie nami zarządzać. Ale dziś nikt nie chce być ich instruktorem, a już na pewno nie chcą tego socjaldemokraci.

Barman podał im spóźnioną kolację; jedli w milczeniu, smakując frytki i parówki z zieloną sałatą. Daniel był wygłodniały - od lichego śniadania w restauracji hotelu Kongress, w którym zostawił swój bagaż, nie miał niczego w ustach - toteż nie podnosił głowy znad talerza. Upłynęło może z dziesięć minut, zanim odezwał się do Karin:

- Uwierzę ci, jeżeli powiesz, w jaki sposób twoja redakcja uzyskiwała informacje o napadach w Zielonej Górze.

- Umówmy się tak: napiszemy wspólny reportaż o tym, co nas spotkało w leśniczówce, o akcji „Miś”... Ogłosimy go tego samego dnia w twojej i mojej gazecie. Zgadzasz się?

- A jeśli się zgodzę, czy odpowiesz na moje pytanie?

- Nie jesteś wolontariuszem na praktyce wakacyjnej w podrzędnej redakcji. Dobrze wiesz, że każdy dziennikarz ma swoich współpracowników i kapusiów.

Karin zamówiła dwa koniaki. Daniel uznał to za dobry omen: podchmielona kobieta długo nie utrzyma języka za zębami. Równocześnie podnieśli kieliszki i wypili po łyku, a później rozmawiali o wszystkim, lecz nie o tym, co najbardziej interesowało Daniela. Poprosił o dwa podwójne koniaki. Po zastanowieniu zdecydował, że na więcej go nie stać. Musi zaoszczędzić kilkadziesiąt marek na depilator dla Miśki, który już dawno jej obiecywał. Przecież po tygodniowej nieobecności nie wróci do domu z gołymi rękami. Z każdej podróży zagranicznej przywoził coś takiego, za co żona była mu wdzięczna. Kiedyś wystarczyło przywieźć rajstopy z lycry czy paczkę dobrze zmielonej kawy, dziś...

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - przypomniał.

- Uparciuch.

- Jak ty.

- Zauważyłeś, że oboje mamy jasne cele i zmierzamy do nich za wszelką cenę? To cechy rasowych dziennikarzy. - Podniosła kieliszek i uśmiechnęła się do niego kusząco.

- Wnet się spotkamy podczas rozmowy waszego premiera z naszym kanclerzem i już jako starzy znajomi udzielimy sobie pomocy - powiedział, odwzajemniając uśmiech. Wcale nie jest taka nadęta, za jaką ją brałem, stwierdził w myślach. Po prostu normalna kobieta z ambicjami.

- Będzie mi miło służyć ci pomocą. Do tego czasu wiele spraw się wyjaśni.

- Czy dopiero wtedy... odpowiesz na moje pytanie?

- Jakie? - Nie zrozumiała, a po chwili nachmurzyła się i odrzekła:

- Nigdy... Proszę cię, Daniel, abyś nie nalegał - dodała łagodniejszym tonem. - Mam swoje zasady i pod żadnym pozorem ich nie złamię. Nie ma takiej ceny, za którą przestałabym być sobą. Mnie nie można kupić.

Cóż, trzeba znaleźć inny klucz, za pomocą którego otworzą się jej usta. Gdyby „Frankfurter Zeitung” pisała o morderstwach z kilkudniowym opóźnieniem, powołując się na polskie źródła, uznałby to za sprawę zwyczajną, lecz przecież dziennik frankfurcki był najszybciej poinformowany...

Sięgnął do portfela.

- Zapłacę.

- Koszty pokryje moja redakcja - powstrzymała go Karin.

Już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale przypomniał sobie o prezencie dla Miśki, powiedział więc tylko:

- Do najbliższego spotkania w Polsce będę twoim dłużnikiem.

Pokoje, które wynajęli w gościńcu, rozdzielala niewielka łazienka, a wchodziło się do nich ze wspólnego korytarzyka. Daniel zmęczony wyprawą do leśniczówki i otępiały po koniaku, chciał jak najszybciej położyć się do łóżka, mimo to zaproponował, aby Karin pierwsza zajęła łazienkę. Usiadł w fotelu i powoli zzuwał buty, gapiąc się w telewizor. Słyszał, jak Karin w swoim pokoju stąpa bosymi nogami po podłodze, otwiera szafę, rozpakowuje neseser, wyjmując z niego kosmetyczkę, przeklina, bo coś zapomniała zabrać. Miśka pewnie już leży w łóżku i czyta książkę albo słucha radia, pomyślał, dochodzi jedenasta, zaraz więc zerknie na zegarek i zgasi światło. Rano musi wcześniej wstać, nawet nie zdąży zaścielić łóżka, wróci z biura i dopiero wtedy posprząta, pozmywa naczynia, ale na moje powitanie wstawi kwiaty do wazonu, zmieni pościel na kolorową, wykrochmaloną, wywietrzy pokój, wypachni siebie i wszystko dokoła. Tak zawsze postępowała.

- Słyszałeś, co Schröder znowu powiedział o terminie przyjęcia Polski do Unii Europejskiej? - spytała Karin, wtykając głowę do jego pokoju.

- Tak - skłamał. Pewnie włączyła ARD, która wiadomości dnia nadaje o jedenastej, a on bezwiednie nastawił ZDF.

- W ten sposób pan kanclerz odwraca uwagę społeczeństwa od istotniejszych problemów swego kraju. Nie wiem dlaczego, ale on robi z siebie jedyne go sprawiedliwego wobec Polski.

Przez szybę w drzwiach widział zarys jej sylwetki. Karin była naga i wcale się tego nie wstydziła.

- Wiesz, co ja o tym wszystkim sądzę?

- Nie.

- Rosja nie odpuści, musi coś wykombinować. Dla niej twój kraj mógł wejść do NATO, bo nic nie mogła zrobić! Przyjęcie Polski do Unii oznacza ogromne wydatki Rosji na zbrojenia, bo wróg jest tuż za granicą, i zmianę mentalności swego narodu. A skąd oni mają wziąć pieniądze, jak gospodarka się zawaliła i nikt nie ma siły postawić jej

na nogi? To nie są wschodnie Niemcy, w które zachodnie wpompo-
wały miliardy marek.

- Przestań już politykować, dziewczyno! - rzucił Daniel ze złością,
gdy ona odkręciła kurek i pewnie niczego nie słyszała.

Z torby podróźnej wyjął ręcznik i kosmetyczkę, spodnie powiesił
na poręczy krzesła przy oknie, rozpiął koszulę i w tym momencie
przypomniawszy sobie, że piżama została w hotelu we Frankfurcie; wcale
go to nie zmartwiło, przecież każde ma swój pokój. Zgasił światło i po
ciemku czekał, kiedy Karin da znak, że łazienka jest wolna. Koniak
zrobił swoje: Daniel czuł się lekko podchmielony. Gdyby nie musiał
odkładać marek na prezent dla Miśki, zszedłby jeszcze do restauracji
na piwo. Często im więcej wypił alkoholu, tym miał większe pragnienie.

- Skończyłam! - zawołała Karin, pukając do drzwi jego pokoju. -
Uważaj na posadzkę, jest śliska - ostrzegła. - I za długo się nie mocz.

- Dobranoc! Miłych marzeń we śnie!

Nie usłyszał jej odpowiedzi. Pewnie nie spodziewała się, że bę-
dzie wobec niej aż tak uprzejmy.

Stanął pod prysznicem, namydlił twarz, ramiona, uda, potem umył
zęby i wytarł się do sucha. Gdy wyszedł z łazienki do przedpokoju, przez
dziurkę od klucza zajrzał do pokoju Karin. Było tam ciemno i cicho.
Zmordowana, natychmiast zasnęła, pomyślał ze współczuciem. Szko-
da, że nie spytałem, na którą godzinę zarządza pobudkę. Ale właściwie
dokąd się nam spieszy? Możemy gnić w łóżkach choćby do obiadu.

Ręcznik rozwiesił na nie za ciepłym kaloryferze, slipy ściągnął z bio-
der i położył na poręczy fotela, przez chwilę wpatrywał się w lampę
oświetlającą przygościńcowy parking, na którym stały jedynie dwa
samochody. Jeśli wielkogłowy i staruch szukają golfa Karin, bez trudu
znajdą go przed Zum Goldenen Stern. A może właściciel gospody jest
z tamtymi w zмовie i tylko czeka, kiedy położymy się do łóżek? -
pomyślał. Nagi, jeszcze raz wyszedł na korytarzyk, aby się przekonać,
że drzwi są zamknięte na klucz.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże - mruknął z przekonaniem.

Spokojny, już o niczym nie myśląc, wrócił do pokoju, podniósł
kołdrę i zamarł w bezruchu. Ktoś leżał w jego łóżku. Nieboszczyk,
pomyślał i wycofał się aż pod drzwi, żeby zapalić światło, lecz gdy
wyciągnął rękę do kontaktu, usłyszał ciepły głos Karin:

- Czyżbyś chciał wezwać pogotowie policyjne?

Nie wiedział, jak się zachować i co powiedzieć. Nigdy nie był w takiej sytuacji.

- Zamierzasz tak stać do rana? - spytała jeszcze cieplej. - Przeziębisz się.

Chodzi o to, żeby nie sprawić bólu osobie bliskiej, przypomniał sobie słowa Miśki, gdy czasem rozmawiali o wierności w ogóle, a małżeńskiej szczególnie.

- Jestem normalną kobietą, co pewnie zauważyłeś w samochodzie - powiedziała Karin - i nie chcę, żebyś traktował mnie wyłącznie jak kumpla.

- Dlaczego nie?

- Jestem twoim kumplem, Daniel, lecz i kobietą.

Ostrożnie, jakby się czegoś bał, wsunął się do łóżka; jedną rękę wetknął pod głowę, drugą położył na brzuchu i leżał nieruchomo, ani się nie odzywając, ani nie robiąc następnego kroku. Poczł zapach dobrych perfum, pociągnął nosem: Gabriela Sabatini, identyczne sprawił Miśce na imieniny. Jak wiele jest podobieństw między kobietami, które się nam podobają.

Karin przewróciła się na bok, głowę oparła na prawej ręce, a lewą dotknęła ramienia Daniela, naprężonego i twardego, jakby było wyrzeźbione z dębiny. Później tą dłonią mierzwiła włosy na jego pierśsiach, wciąż milcząc. Oboje słyszeli, jak ktoś otwiera drzwi do sąsiedniego pokoju; w restauracji grało radio, drogą przejechał trabant.

- O czym myślisz? - spytała przytulnym szeptem.

- Słucham, jak kołacze twoje serce - odparł bez namysłu.

- Twoje również bije coraz mocniej - powiedziała tym samym szeptem, a on znowu pomyślał, że nie będzie mógł spojrzeć Miśce w oczy. Głupia sprawa. - Pewnie sądzisz, że jestem redakcyjną dziwką...

- Dziwki robią to dla forsy - rzekł. - I raczej nie pachną Gabriell Sabatini. Lubię cię.

Pocałowała go z wdzięcznością. Od powrotu do Frankfurtu przy nikim nie była taka spokojna, a przecież Daniel nie jest pierwszym mężczyzną, w którego łóżku się znalazła. Najlepszy bywa ten, który biorąc dużo, daje niemało, stwierdziła.

- Czy nadal jesteś ciekaw, kto pisał notatki o napadach na Niemców w twojej Zielonej Górze?

Przytaknął obojętnie, bo nie spodziewał się, że Karin kiedykolwiek powie prawdę.

- Ja pisałam.

Kłamie, pomyślał beznamiętnie. Albo kogoś kryje.

- Kirsch, asystent prezydenta policji, podawał mi informacje. Nigdy go nie widziałam, aż dopiero dziś w leśniczówce... Nie byłam pewna, dlatego... Kiedy przesłuchałam taśmę... Daniel, to na pewno był ten sam głos.

Kłamie, żeby mi zrobić przyjemność, ale to może lepiej, niż gdyby miała udawać kogoś, kim nie jest. Kłamstwo w ustach miłej kobiety jest jak taniutki prezent pod choinką, który nie ma praktycznego znaczenia, a jednak cieszy.

- Jestem twoim dłużnikiem - powiedział mimo wszystko.

- Postaram się, żebyś długo nim nie pozostawał - roześmiała się. - Będziesz miał okazję spłacić ten dług.

Rozdział X

Nigdy nie przyklejał sobie brody ani wąsów, nie było takiej potrzeby. Do brudnej, czarnej roboty miał tysiące sprytnych i zaufanych ludzi, wykształconych w obsłudze najnowocześniejszego sprzętu, władających wszystkimi językami świata. Jego zdjęcie nie pojawiło się w żadnej gazecie, nawet lokalnemu radiu nie udzielił wywiadu; zawsze unikał publicznych występów, znał swoją wartość i dlatego czuł się bezpiecznie. On spowodował, że świat nigdy nie dowiedział się o prawdziwych przyczynach śmierci Waltera Ulbrichta. Czy na pewno piłkarz Lutz Eigendorf zginął w wypadku samochodowym, a lekkoatletka Uta Briebe otruła się dianozyliną? Kto stał za akcjami w Monachium, Regensburgu, Stuttgartarcie? Albo opozycja! Jak to możliwe, żeby w kraju liczącym siedemnaście milionów ludzi nie żyli jawni przeciwnicy panującego systemu politycznego? A te popisy Frakcji Czerwonej Armii...? Prawda, nie wszystko się udawało, ale skąd mógł wiedzieć, że Frederick Kroesen pojedzie inną drogą!? Zresztą granatniki przeciwpancerne wiele razy zawodziły. Przekonywał towarzyszy z KGB, aby do akcji za Łabą przygotowywali się starannie, żeby korzystali z doświadczeń Stasi i Mossadu. Cóż im dało usunięcie nitów ze skrzydeł samolotu Honeckera w Taszkencie? Całe szczęście, że zdołał ukrócić łeb sprawie i winę zwalić na wywiad zachodnioniemiecki. Potem miał troszkę kłopotów, mimo to nie został odstawiony na boczny tor. Bez niego Mielke byłby takim samym ministrem jak Heinz Hoffman, a nie bojownikiem antyfaszystowskim. Mielkie jako antyfaszysta... Uśmieać się można.

Ale teraz musiał polegać wyłącznie na sobie - agenci i współpracownicy się wykruszyli i misternie utkany system przestawał funkcjonować. Maller nie ufał nawet najbliższemu, jak on zepchniętym poza poboczne polityki i władzy, zgorzkniałym, przegranym do końca żywota. Kto karmił się cudzym strachem, sam nie jest od niego wolny. Przeprowadzi tę akcję, nie za darmo oczywiście, i zniknie Rosjanom z pola widzenia; może zamieszka u siostry nad Jeziorem Bodeńskim? Zasłużył sobie na to, przecież pomógł jej wydostać się z Frankfurtu. Tam w spokoju doczeka kresu swoich dni. Polityka przestała go interesować dziesięć lat temu, tego dnia, kiedy jeden dupek spudłował.

Gdyby lepiej wycelował, dziś PDS byłaby u władzy, a on może zajmowałby gabinet ministra spraw wewnętrznych albo szefa BND...

Gdzież, u licha, jest ta droga?

Szosa w kierunku Prenzlau mknęły lśniące samochody, nie tylko łady, wartburgi i trabanty, jak to było dawniej, lecz toyoty, suzuki, ople, volkswageny, peugeoty, mazdy. Jego audi niczym specjalnym się nie wyróżniało, mógł więc zatrzymać się na poboczu i kogokolwiek spytać o dojazd do leśniczówki, ale przyzwyczajony do nieufności wobec otoczenia, nadal był ostrożny. Na fotelu rozłożył starą mapę, którą już w domu przestudiował dokładnie, mimo to teraz nie potrafił wskazać poligonu wojskowego.

Popołudniowe słońce z trudem przebijało się przez parawan z dymu nad petrochemią; jeszcze godzina i zapadnie zmierzch, a po ciemku obcy w tych stronach człowiek nie trafi do leśniczówki. Gdy był na ósmym kilometrze za miastem, dostrzegł ślady kół na polnej drodze i postanowił dłużej nie krążyć; jechał wolno, żeby nie zahaczyć niskim podwoziem o kamienie tonące w błocie. Dopiero za leśną gęstwiną dostrzegł martwy poligon; ucieszony, przyspieszył i zaraz zwolnił, w zaroślach bowiem stał błękitny opel. Jeszcze nie miał pewności, czy dobrze trafił, lecz na odwrót już było za późno. Najwyżej uda myśliwego.

Kirsch i sędziwy leśniczy wynurzyli się na drogę. Starucha Maller nie znał, Kirscha widział bardzo dawno, mimo to przyhamował. Gdyby się okazali nie tymi, którzy na niego czekają, przeprosi i odjedzie albo powie, że pomylił drogę.

- Zatrzymałem się we Frankfurcie, miałem coś do załatwienia - powiedział. Żadnemu nie podał ręki, co nie było oznaką lekceważenia, po prostu miał taką zasadę, którą mu wpoił Mielke.

- Czekamy co najmniej od dwóch godzin. Jużemy sądzili, że akcja odwołana. Ostatnio tyle wpadek... - Kirsch ściągnął brwi; nie spuszczał badawczego wzroku z pułkownika.

- Zapuściłem brodę i wąsy jak solidny dziadek. Pana też to czeka, Kirsch. - Maller uśmiechnął się nieznacznie. - Wszystko w porządku?

- Tak jest, szefie - potwierdził policjant, wciąż przypatrując się pułkownikowi nieufnie. Zdjęcie, które widział wcześniej, przedstawiało kogoś innego, znacznie młodszego.

Jak sprawdzić, czy to na pewno pułkownik, a nie agent BKA podający się za Mallera? Zażądać okazania dokumentu? Pokaże. Może powiedzieć prawdę? Niech mnie przekona, że jest pułkownikiem Mallerem. I kiedy Kirsch miał już gotowe pytanie o tożsamość, pułkownik odezwał się pierwszy:

- Zanim wejdziemy do środka, proszę opowiedzieć, jak ona wygląda. Do kogo podobna?

Policjant podał pułkownikowi kolorowe zdjęcie, wykonane profesjonalnym aparatem ze znacznej odległości przy pomocy podwójnego teleobiektywu.

- A to kto? - zaciekał się Maller, wskazując na Daniela idącego obok Karin. - Nie wygląda na osobistego szofera.

- Pewnie jednak kierowca.

- Sprawdziliście go?

Leśniczy cały czas milczał, Kirsch zaś już nie wiedział, co mówić, żeby pułkownik przestał pytać o rzeczy nieistotne; na wszelki wypadek przytaknął. Przecież Karin nie piśnie ani słowem, a za dostęp do dalszych informacji zgodzi się na wszystko. Tylko co on z tego będzie miał? Dziś powie, że podwyższa stawkę, bo sprawy zaszły zbyt daleko, są warte więcej niż dwa tysiące marek, ryzykuje przecież czymś więcej niż utratą pracy. Gdyby doktor Schneider dowiedział się...

- Pojedziecie moim audi. - Maller podał kluczyki leśniczemu. - My sobie tymczasem porozmawiamy - rzucił tajemniczo do Kirscha i wsiadł do policyjnego samochodu.

Gdy Kirsch zdjął nogę ze sprzęgła, pułkownik oznajmił, że żaden z jego ludzi nic nie straci na pracy dla Karlshorstu. Organizacja jest coraz bogatsza, ma konta w zagranicznych bankach, nagrodzi każdego szczerze, oczywiście po doprowadzeniu akcji do szczęśliwego końca.

- Współpracujemy, Kirsch, od wielu lat. Proszę powiedzieć, czy kiedykolwiek oszukałem pana? - spytał kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Ja też się starałem, panie pułkowniku. Dużo ryzykuję.

- Tak trzeba, Kirsch. Walka trwa. O przyszłość naszą i naszego narodu. A co robią... - Zamierzał spytać o byłych komendantów policji ludowej we Frankfurcie, lecz ich nazwiska wyleciały mu z głowy. - Wszystko przebiega zgodnie z naszym planem. Jeszcze kilka publikacji w gazetach i możemy ruszać pełną parą. Teraz na pewno bój to

będzie ostatni. Czy ma pan jakieś problemy, trudności powiedzmy, z prasą? Może z celnikami albo ze strażą graniczną?

- W zasadzie żadnych. Nie jestem tu obcy, co raczej pomaga. Jakkolwiek zmiana systemów jest bezsensowna, jeśli nie zmieniają się ludzie.

- Ostatnio jednak nie wszystko poszło zgodnie z ustaleniami.

- Zdarzyło się...

- Nawet z jednego niepowodzenia musimy wyciągnąć wnioski, a winnego surowo ukarać. Coś podobnego nie może się zdarzyć, Kirsch. Rozkaz zawsze jest rozkazem.

- Chciałbym poznać... - zaczął policjant i urwał, przeszyty ostrym wzrokiem Mallera.

Dalszą drogę pokonywali w zupełnym milczeniu. Pułkownik zastanawiał się, co odpowie Karin, kiedy ona spyta, dlaczego została wybrana i na czyje polecenie. Przecież w Berlinie mieszka tylu znakomych dziennikarzy, skutecznie tropiących nie tylko prominentów wschodnioniemieckiego państwa, lecz i jeszcze skrywających się przestępców powojennych. Maller nie może ujawnić, kim jest naprawdę i co ich łączy, dlatego przypisał sobie wasy i bródkę.

Ostatni raz widział Karin w siedemdziesiątym piątym roku, miała wtedy siedem miesięcy, a on wybierał się na kurs do centrum wywiadu KGB w Nowogrodzie. Może to i lepiej, że dwa lata nie było go w kraju, nie umiałby pomóc szwagrowi. Matka Karin, czyli jego najmłodsza siostra, miała pretensję właśnie o to, że zachował się tak, jakby Horst był mu obcy. Ona nie rozumiała, co znaczyło stanąć w obronie szwagra obwinionego o zdradę państwa. Nie mógł przecież jej się przyznać, że choćby najmniejszy krok w tej sprawie przekreśliłby wszelkie jego szanse na karierę w służbie bezpieczeństwa. Po powrocie z Nowogrodu był nikim, dopiero kiedy - zupełnie przypadkowo - wykrył agentów brytyjskiego wywiadu w Ministerstwie Kultury, awansował na naczelnika sekcji. I wtedy dopiero pomógł siostrze wyjechać nad Jezioro Bodeńskie. Potem nie utrzymywał z nią żadnych kontaktów, bał się swoich, bo był co prawda przełożonym i tropił, ale też miał nad sobą zwierzchników, którzy innym swoim podwładnym kazali za nim chodzić. Gdyby zrobił najmniejszy krok w stronę siostry, nie byłby tym, kim chciał być w Stasi, żeby pomóc rodzinie. Co się stało ze

szwagrem, nie wiedział, nawet nie miał odwagi zadzwonić do aresztu śledczego. Pewnie zaraz po ogłoszeniu wyroku Horst został rozstrzelany. Z winy Mallera. Dlatego teraz musi pomóc Karin.

Siostrzenica będzie sławna i sporo zarobi, kiedy opíše kulisy akcji „Niedźwiadek”, które on jej przedstawi. Gdzieś czytał, że Francis Fitzgerald najpierw została laureatką Pulitzera za książkę o Wietnamie, później dostała nagrodę Overseas Press Club za reportaż z Iranu, a napisała go w oparciu o najlepsze źródło informacji, jakim był ambasador amerykański w Teheranie, przyjaciel ojca dziennikarki. Co tam Wietnam i Irak! Kogo dziś obchodzą naloty na Hajfong, Hanoi? Kto pamięta o „Pustynnej burzy”? Ale o akcji „Niedźwiadek” będą pamiętali wszyscy, bo ona przejdzie do historii ludzkości, jak bitwa pod Stalingradem czy zrzućenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Od niej się zacznie nowa epoka w dziejach Europy. Prawdziwy sąd odbywa się po latach, pomyślał nie bez racji, czasem nawet kilka wieków później.

- Dobrze byłoby, Kirsch, gdyby pan poprosił o urlop - powiedział nagle. - Dwa tygodnie od pierwszego grudnia. Sugeruję wyjazd do sanatorium. Załatwić skierowanie?

Stary ramol zbzikował? - zdziwił się Kirsch. Jak on to zrobi, skoro nigdy nie chorowałem nawet na anginę? W zeszłym tygodniu klinika policyjna w Poczdamie potwierdziła, że mimo średniego wieku mam zdrowie małolata.

- Szef, doktor Schneider, ma do mnie pełne zaufanie, na początku grudnia wolałbym jednak być jak najdalej od niego. Podobno w Bad Salzuflen jest całkiem przyjemnie - raczej spytał niż stwierdził Kirsch. - A... - Nagle nacisnął na pedał hamulca, samochodem aż zarzuciło. - Gdzie jest golf?

Pułkownik jeszcze niczego nie rozumiał.

- Golf? O czym pan mówi? Jaki golf?

- Auto Karin Albrecht, tej dziennikarki! Stało na środku podwórka!

Okno leśniczówki było szeroko otwarte. Kirsch nie miał wątpliwości, że więźniowie uciekli, ale jak się uwolnili? Leśniczy związał im ręce, odebrał kluczyki do samochodu. A jeśli odkryli podsłuch i już zawieźli taśmę do Frankfurtu? Kirsch wołał o tym nie myśleć.

- Osioł! - wrzasnął Maller. - Organizacja panu zaufała!

- Postępowałem zgodnie z instrukcją - powiedział na swoją obronę Kirsch.

Gdybym nie błądził po okolicy, nie spóźnił się... Moja wina, stwierdził Maller samokrytycznie w myślach.

- Rozpoznała w panu swego informatora?

- Na pewno nie - zapewnił go policjant. - Byłem ostrożny. Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z nią w cztery oczy.

- Całe szczęście - westchnął Maller. - Niczego się nie domyśla?

- Powiedziałem tak, jak pan pułkownik sobie życzył, że mam pewne dane o akcji „Miś”.

- „Miś”? Jaki „Miś”, Kirsch?

- Nie chciałem, żeby wiedziała więcej niż trzeba. „Miś” czy „Niedźwiadek”, jakie to ma znaczenie dla osoby postronnej? Lepiej zachować ostrożność.

- A, tak, tak. Dobrze to pan wykombinował - pochwalił go Maller.

Leśniczy otworzył drzwi do pokoiku. Na podłodze leżała lampa, obok niej okruchy szkła i klosz. Kirsch już wiedział, w jaki sposób więźniowie wydostali się z izolatki. Powinien kazać leśniczemu, aby związał im nogi, usta zakleił plastrem i oboje przykuł plecami do krzesła, żeby nie mogli się porozumieć.

- Pana, Kirsch, tylko... - Maller zazgrzytał zębami. - Kamera i magnetofon!

Milcząc przesłuchiwał taśmę. Niewiele się dowiedział, poza tym że zrozumiał, w jaki sposób Karin uwolniła ręce ze skrępowania. Nie jest głupia. Towarzyszący jej mężczyzna, zdaniem pułkownika, wcale nie wyglądał na szofera, już prędzej na człowieka BKA czy BND. A może Pticzkin stara się przechytrzyć organizację i wprowadził do niej swojego człowieka? Maller nigdy nie miał zaufania ani do ludzi z starego KGB, ani do agentów nowej SWR.

- Daleko nie mogli odjechać. Pewnie są w Schwedt - powiedział Kirsch, licząc na poparcie leśniczego.

- Na policji - mruknął grobowym głosem staruch.

Pierwszy raz od kilku tygodni pułkownik poczuł się niepewnie. Plan dokładnie opracowany i przeanalizowany, najpierw w zakonspirowanej centrali grupy, później w tajnej siedzibie SWR, miał najwyższej luki, czegoś Maller nie przewidział. Nigdy nie nadawał się do

bezpośredniej roboty, tak naprawdę potrafił jedynie kierować agentami zza biurka, karcić ich i nagradzać. Im człowiek starszy, tym więcej popełnia błędów tak oczywistych, że nawet dziecko je dostrzega. To będzie ostatnia akcja w jego życiu, zdecydował nie wiadomo który już raz. Człowiek żyje krótko, bo został stworzony dla określonej epoki.

Spytał leśniczego, do kogo teraz należy śródleśny domek. Kiedyś była tu jedna z wielu tajnych kryjówek policji politycznej, w której mieszkali kandydaci na terrorystów. Staruch podniósł na niego wyblakłe oczy i milcząco wzruszył ramionami. Od dawna leśniczówka nie ma gospodarza, on tylko przechowuje klucze; ponieważ nikt mu nie płaci, nie sprząta pokoi i nie pali w piecach. Nikt też nie przyjeżdża tu na polowania.

- W razie czego ma pan gdzie się zaszyć?

- Mieszkam w bloku przy Kielstrasse - odparł zaskoczony pytaniem Kirsch.

- Natychmiast wróci pan do Frankfurtu, pójdzie do doktora Loebła i poprosi o zwolnienie z pracy, na przykład z powodu grypy. Niech pan powoła się na mnie. A pan - odwrócił się do leśniczego - ma nie opuszczać domu nawet na sekundę.

Wsiadł do audi i odjechał bez pożegnania. Jeszcze nie wiedział, jak odszukać Karin, ale natychmiast koniecznie musi ją zobaczyć. Teraz jednak nie może pisać ani słowem o akcji „Niedźwiadek”. Ta, niby prosta, droga została zamknięta przed siostrzenicą. Wybierz inną, może dłuższą, za to skuteczniejszą w dojściu do laurów dziennikarskich. Krzywdę wyrządzoną siostrze wynagrodzi siostrzenicy, w niej przecież jest odrobina krwi z grupy A Rh +, która również płynie w żyłach Mallera.

Zatrzymał się przed gościńcem Zum Goldenen Stern. W restauracji poprosił o sałatkę śledziową, bułeczki i herbatę z mlekiem. Od razu mu się tu spodobało, pomyślał nawet, że mógłby pozostać tu na noc, a rano wpaść do redakcji „Frankfurter Zeitung”, udając kogoś bliskiego, wypytać o Karin.

- Kiepsko musi wam iść w interesie, bo klientów jak na lekarstwo - zagadnął barmana, który, zauważył to wcześniej, przypatrywał mu się z zainteresowaniem. - Czy są wolne pokoje?

- Mamy tylko dwoje gości. Parka z zachodniej strefy. Gdyby sza-

nowny pan zamierzał skorzystać z noclegu, samochód radzę zaparkować na podwórzu za gospodą. Zresztą służę...

- Będzie pan łaskaw - Maller podał kluczyki barmanowi. - Śniadanie zamawiam do pokoju na dziesiątą. Jestem korespondentem „Stuttgarter Morgenpost”, chciałbym w nocy troszkę popracować - skłamał pułkownik z zimnym uśmieszkiem, jak bródka i wąsy przylepionym do twarzy.

*

Instynkt kazał Mallerowi włączyć radio, stojące na stoliku przy łóżku. Jeśli w pokoju zostały założone jakieś urządzenia podsłuchowe - w pobliżu dawnych koszar radzieckich i granicy z Polską pułkownik mógł się czegoś takiego spodziewać - fale radiowe zneutralizują je skutecznie. Wyłączył żyrandol, a zapalił lampkę nocną i położył się na łóżku w ubraniu; nie chciało mu się spać, choć w berlińskim mieszkaniu dokładnie przestrzegał porządku dnia. Kładł się zawsze punktualnie o dziesiątej, przez pół godziny czytał gazetę, potem, gdyby nawet sen był od niego daleko, gasił światło, zamykał oczy i starał się zasnąć. Chyba dlatego mimo swoich sześćdziesięciu czterech lat czuł się wyśmienicie i w zasadzie nie chorował.

Leżąc z ręką wciśniętą pod głowę, słyszał szmery w sąsiednim pokoju. Pewnie ci dwoje, o których wspominał barman, spędzają słodkie minuty w łóżku, pomyślał z zalem. Sam dawno nie był z kobietą, od wypadku samochodowego, kiedy to kraweź balustrady rozdarła mu brzuch i pachwinę, zupełnie nie miał ochoty na te rzeczy. Lubił oglądać filmy wideo, ale czy on jeden? Coś się skończyło, nowe, które wdarło się do wschodnich Niemiec, już nie jest dla niego. Wykona tylko ostatnie zadanie. Ostatnie i najważniejsze. Akcja „Niedźwiadek” to nie byle zamach na dezertera za Łabą czy zdemaskowanie jeszcze jednego szpiega, o którym Stasi wiedziała od lat i tylko czekała na polecenie z gmaszyska przy placu Marksa i Engelsa. Od powodzenia tej akcji zależy przyszłość całych Niemiec, a może i Europy.

*

W tym samym czasie Bielów, nie przebierając w słowach, wymyślał Pticzkinowi. Nie dość, że Maller wymknął się niepostrzeżenie z Ber-

lina, to jeszcze polski UOP odkrył powiązania pułkownika Makarenki vel inżyniera Popławskiego z pułkownikiem Koperem, na nowo zwerbowanym do pracy w SWR.

- Makarenko będzie milczał. Dobrze go znam. Razem montowaliśmy siatkę - tłumaczył Pticzkin. - Przeciw niemu nie mają żadnych dowodów.

- A Iwona?

- O niczym nie wie.

- Wystarczy, żeby ją przycisnęli do muru.

- Tego nie zrobią.

- Zabronicie im?

- Oni kobiety szanują. Mówią nawet: Matka-Polka.

- Pojedziecie tam - rzucił rozkazująco Biełow. - Ona musi zniknąć z naszego świata. Swoje już zrobiła.

- Dopiero wtedy UOP będzie miał powody i dowody.

- Milczące dowody są bezużyteczne.

- U nas, w Niemczech, ale nie w Polsce. Oni po stu latach będą szukali winnych. A jeśli nie znajdą, to stworzą swoich wrogów. W historii Polski nie wiadomo, co się wydarzyło naprawdę, a co jest legendą. To dziwny naród, chociaż słowiański. Kiedy inni w Europie spoglądają w przyszłość, Polacy analizują swoją przeszłość, wyciągają z niej wnioski i jak to u nich bywa z wszystkim, pozostawiają je na papierze.

Biełow kilka razy przeszedł sprężyscie po pokoju, zatrzymał się przy biurku i zmarszczywszy czoło zastanawiał się, co wykombinował Maller. Zawsze twierdził, że Niemcom nie wolno ufać. Może i nie są przebiegli, za to uparci i skrupulatni. Teraz zrobią wszystko, aby w opinii świata się wybielić.

- Z Mallerem trzeba zerwać - prawie zdecydował.

- Mam wstrzymać akcję? - spytał Pticzkin gotów i to zadanie wykonać. Po to jest.

- Wstrzymać? - Biełow zachmurzył się. - Chcecie wracać do Moskwy? Żle wam u niemieckiego Pana Boga za piecem?

Rozdział XI

O tym, co zaszło między nimi wczoraj przed północą, nie rozmawiali, jakby nic znaczącego w ich życiu się nie wydarzyło, ot jeszcze jedna przygoda. Ale myśli Daniela były zaprzątnięte Karin; zastanawiał się, czym ją przekonał, że mimo wcześniejszego zaprzeczania w łóżku powiedziała mu to, czego już nie oczekiwał. Nie ma więc tajemnicy, której mężczyzna nie zdobędzie, jak i nie ma kobiety, która każdą tajemnicę potrafi zachować.

Komuś najwyraźniej zależy na tym, aby Karin pisała o napadach na Niemców w Zielonej Górze i być może ta sama osoba zwabiła ją do leśniczówki, lecz nie przewidziała, że Karin nie sama się tam wybierze. O planowanym przyjeździe Daniela do redakcji „Frankfurter Zeitung” mógł wiedzieć Wolfmann, drugi zastępca redaktora naczelnego i Angelika.

- Opowiedz mi jeszcze raz, dokładnie, jak to było z telefonami.

- Z jakimi telefonami? - Karin zrobiła pytającą minę.

- Wieczornymi telefonami w sprawie napadów na Niemców w toaletach po polskiej stronie - wyjaśnił, choć był przekonany, że ona dobrze wie co go interesuje.

- Normalnie. Telefon odzywał się na moim biurku, podnosiłam słuchawkę i notowałam.

- Nic cię nie zastanawiało? Nie dociekałaś, kto dzwoni? Dlaczego do ciebie, a nie do sekretarza prowadzącego wydanie czy redaktora dyżurnego? Przecież mogłaś zostać wprowadzona w błąd. Czy w twojej redakcji każdego donosiciela traktuje się jak najpoważniejszą agencję informacyjną?

- Po pierwszym telefonie skontaktowałam się z szefem redakcji. Podobnie jak ty miałam wątpliwości. Szef powiedział, abym pisała nie powołując się na źródło.

- Na pewno tak powiedział? Bardzo dziwne.

- Co cię tak dziwi?

- Napady miały miejsce późnymi wieczorami w Zielonej Górze, prawie dziewięćdziesiąt kilometrów od Frankfurtu, w porze zamykania numerów wszystkich gazet na świecie, kiedy jedynie trzęsienie ziemi czy wojna albo śmierć superpolityka może zmienić układ tekstów na

stronach - starał się uświadomić jej porządek wydarzeń. - Ja nigdy, choćbym nie wiem jak błagał, nie dostałbym zgody prokuratora na zamieszczenie w miarę sensownej informacji z ostatniej chwili. Dopiero następnego dnia udawało mi się poznać kilka szczegółów i to bardziej z twojej gazety niż z polskiego źródła. Jaki z tego wniosek?

- Że wasza prokuratura działa ospale. Albo że ty niepotrzebnie słuchasz tych, których powinienes lekceważyć. Na miejscu zdarzenia dziennikarz musi być pierwszy lub zaraz po policji. Kto tego nie potrafi, niech się zajmie hodowlą gęsi.

- W rzeczy samej - zgodził się z nią, ale zaraz powiedział to, co go najbardziej drczyło: - Gdyby mnie wyprzedziła miejscowa gazeta, konkurencyjna, moja wina. Lecz gdy szybsza jest prasa zagraniczna, świadczy to o czymś zupełnie innym.

- Mianowicie o czym?

- Być może o tym, jeszcze głośno myślę, że mamy do czynienia z jakąś zmovą.

- Przeciwno komu niby miałyby być ta zмова?

- Chciałbym tego dociec, oczywiście przy twojej pomocy.

- Niepotrzebnie ujawniłam ci kuchnię „Frankfurter Zeitung”. Choć, prawdę mówiąc, naprowadziłeś moje myśli na nowe tory. Bo gdybym te informacje uzyskiwała od celnika czy strażnika granicznego albo od powracającego od was turysty...

- A ty dostawałaś je od asystenta prezydenta policji - dopowiedział Daniel.

- O tym dopiero wczoraj się dowiedziałam. Nie chciałabym niczego sugerować, za mało mam danych, ale pewnie należy te napady, natychmiastowe o nich informacje i osobę asystenta powiązać z akcją „Miś”. Czyżby wielki łeb miał mi coś do przekazania? - Spojrzała na Daniela tak, jakby od niego oczekiwała odpowiedzi. Błękit jej oczu był nieco zmacony.

- Wracamy więc do leśniczówki szukać prawdy?

- Nie, sama muszę do niego dotrzeć. Jeśli nie dziś, to jutro, pojutrze dowiem się więcej.

- A tymczasem zostaną zamordowani kolejni, niewinni ludzie.

Głos Daniela zabrzmiał inaczej niż dotąd.

- Na to nie mam wpływu - odparła cicho Karin.

Deszczowe chmury od rana wisiały nad Schwedt, lunęło jednak dopiero przed Lubuszem; wycieraczki z trudem zbierały wodę, powinni więc postąpić jak inni kierowcy: zatrzymać się na najbliższym parkingu i przeczekać ulewę. Danielowi nie spieszyło się, Karin jednak uważała, że za dużo czasu roztrwonila w gościńcu.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytał. - Ładacznicą z zasadami czy totumfacką denuncjatorów? - Zastanawiało go, dlaczego akurat Karin otrzymywała te informacje, a nie Wolfmann albo któryś z dziennikarzy od lat pracujących w gazecie, czy choćby redaktor zajmujący się problematyką policyjną.

Zmrużyła oczy, jakby zbierała myśli.

- Nazywam się Karin Albrecht - przypomniała cicho. - Nazwisko przyjąłem po matce. Mój mąż... żyję z nim w separacji... to stryjeczny brat pewnego sekretarza stanu w rządzie Brandenburgii, ale nie dlatego znalazłam się nad Odrą. Wróciłam do Frankfurtu, bo tu się urodziłam. Studia ukończyłam na uniwersytecie w Konstancji. Czy chociaż wiesz, gdzie to jest?

- W Badonii-Wirtembergii, przy granicy ze Szwajcarią, nad Jeziorem Bodeńskim. - Kiwała głową, a on czuł się dumny ze swojej wiedzy geograficznej. - Twój ojciec musiał być po szyję unurzany w polityce. O ile wiem, zwyczajni enerdowncy nie studiowali po tamtej stronie Łaby.

- Wybrani enerdowncy mogli studiować na uniwersytetach w Pradze, Warszawie, Moskwie, Budapeszcie. Ja, mój miły, w wieku siedmiu miesięcy przestałam być nadzieją demokratycznie rozwijającej się nowej republiki niemieckiej - powiedziała z wyraźną drwiną w głosie. - Gdybym nawet wyrzekła się matki i ojca, kolejno zapisywała się do organizacji młodzieżowych, na zjazdach krzyczała najgłośniej, podejmowała zobowiązania, nosiła w kołnierzyku bluzki złoty znaczek FDJ, miałabym szansę ukończyć najwyżej zawodówkę i w nagrodę otrzymać skierowanie do pracy we wzorowej spółdzielni produkcyjnej imienia Przyjaźni Niemiecko-Radzieckiej. Tam dostałabym pod opiekę stado dojnych krów, a kiedyś awansowałabym na najbardziej odpowiedzialne stanowisko brygadzystki. Przed takimi jak ja normalne życie było zamknięte na patentowy klucz z co najmniej podwójnym szyfrem.

Daniel nie wszystko rozumiał, lecz nie przerywał Karin. Niech wyrzuci z siebie ból. Człowiekowi, który jest niewinny, ulgę sprawia to, że ktoś chce go słuchać.

- Kiedy więc miałam siedem miesięcy, a było to w drugiej połowie roku siedemdziesiątego piątego, Berlin już dzielił najwyższy na świecie, okrwawiony mur, a wzdłuż granicy między obiema republikami stały wieże wartownicze, z których było widać zabronowany pas ziemi niczyjej i zasieki z drutów kolczastych. Wtedy mój ojciec, zawodowy oficer armii, stanął przed sądem wojskowym. Chodziło o czyjeś urodziny, podczas których panowie oficerowie golnęli sobie ciut za dużo sznapsu i wygłosili kilka niezbyt miłych zdań o pewnym towarzyszu. On nadal żyje we Frankfurcie i nawet ma się nieźle. O tamtej sprawie pewnie już zapomniał, ale ja mu wszystko przypominę. On nie umrze spokojnie.

- Zemsta... Po to wróciłaś do miasta swego urodzenia. Co w was, Niemcach, jest takiego, że nie umiecie pogodzić się z losem, który sami sobie zgotowaliście?

Nie zważając na uwagę Daniela, Karin ciągnęła dalej:

- Już mogłabym wydrukować reportaż o jego postępowaniu. Poczekał jednak do wiosny, do maja, kiedy ruszy kampania przedwyborcza do krajowego parlamentu. Wtedy obudzę senną Brandenburgię. I wyleję kubeł lodowatej wody na łby byłych towarzyszy. Właśnie dlatego nazwisko męża, którego używałam przed przyjazdem do Frankfurtu, zastąpiłam nazwiskiem panieńskim mojej matki.

Daniel nie spuszczał oczu z jej twarzy, jakże odmienionej, wyrażającej cierpienie i doznaną krzywdę. Tak, współczuł Karin.

- Jaki los spotkał ojca, nie wiem. Matka nigdy o nim nie wspominała. Domyślam się, że został rozstrzelany albo zakatowany.

- Gdzie? Może na Syberii?

- Niektórzy więźniowie z Niemiec Wschodnich byli wysyłani do rosyjskich łagrów. Stamtąd raczej nie wracali. Wiele o tym czytałam, lecz nigdzie nie znalazłam nawet wzmianki, aby którykolwiek odezwał się do rodziny.

- Pewnie są jakieś dokumenty, akta sądowe, protokoły?

- Były, myślę. Kiedy Stasi zaczęła niszczyć swoje archiwa, dotarcie do kompletnych akt stało się niemożliwe. Nawet nie zamierzam

o to zabiegać. Co mi po papierach? Ja, Daniel, muszę odnaleźć żywych świadków tamtego procesu.

- To jednak był jakiś proces?

- Farsa.

- Masz dowody na to, że ta farsa odbywała się przed sądem?

- Ówczesne gazety wiele o tym pisały.

- Córką zdrajcy nie mogła liczyć na litość - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - Słyszałem, że w takich wypadkach odbierano dzieci pozostałym przy życiu rodzicom i oddawano je na wychowanie do rodzin zastępczych, dokładnie usuwając wszelkie ślady. Fałszowano podobno metryki, życiorysy, niektóre dzieci nawet okaleczano. Podobnie postępowali bolszewicy z potomkami rosyjskich arystokratów zaraz po rewolucji i hitlerowcy z polskimi dziećmi w czasie drugiej wojny. Systemy totalitarne niewiele się różnią.

Karin westchnęła cicho. Rozmowa o tamtych czasach najwyraźniej sprawiała jej ból. Wyprowadziwszy samochód z łuku na prostą, znowu dodała gazu, nie zważając na to, że mokra jezdnia jest śliska i niebezpieczna.

- Wyjechałyśmy do kuzyna mamy w Stuttgarcie, był woźnym w domu studenckim Uniwersytetu Hohenheim. Później mama dostała pracę i mieszkanie służbowe w ośrodku wczasowym na wysepce Mainau, to na Jeziorze Bodeńskim... Ktoś musiał jej pomagać.

- Wtedy w zachodnich Niemczech, o ile wiem, nie było aż tak trudno o robotę - rzekł sucho.

- Mam na myśli wyjazd z Frankfurtu.

- Władze. Władze chciały się jej pozbyć, więc nie stawiały przeszkód.

- To nie tak. Władze przepędziły nas z mieszkania wojskowego do baraku, odebrały prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej, mamę wyrzuciły z partii, wszelkie pamiątki po ojcu nakazały zniszczyć.

- I zrobiliście to? Nie buntowaliście się?

- Przecież to było polecenie władz - odpowiedziała. - Nawet nie zachowała się jedna fotografia. Każde zdjęcie, na którym był ojciec z mamą, ze mną, z kolegami, każdy jego list, notatnik, legitymacja... Wszystko zostało wyniesione z mieszkania i spalone.

- Masz brata czy siostrę?

- Nie wiem - odrzekła chłodno. - Tego muszę się dowiedzieć.

Chciał powiedzieć, że jest mu bardzo przykro, ale co by to dało? Jeszcze wczoraj wieczorem był o niej innego zdania: duża dziewczyna, wykształcona, w miarę ambitna, która naczytała się książek o tym, jak szybko zrobić karierę dziennikarską. Sytuacja polityczna sprzyja jej jak mało komu. Ponadto jest inteligentna, bystra i, jak na Niemkę, urodziwa.

- Kiedy już dotrzesz do prawdy o swoim ojcu, wyjedziesz z Frankfurtu?

- Na razie nie myślę o przyszłości. Dla mnie ważniejsza stała się przeszłość.

I wrażliwa, dopełnił kreślony w myślach jej portret. Jak każda kobieta, która ma cel w życiu, została zrodzona, aby cierpieć. Piętnem cierpienia została naznaczona już w kołysce.

- Może powtórnie wyjdę za mąż - roześmiała się niespodziewanie. Opuszkami palców dotknęła wierzchu jego dłoni i zaraz dodała: - Nigdy za dziennikarza.

- Za polityka lub biznesmena. Albo za oficera - palnął i natychmiast ugryzł się w język. Było mu nieswojo, wzrok przeniósł z Karin na jesienne pola i lasy. - Przepraszam.

- Wydaje mi się, że nigdy nie opuszczałam Frankfurtu. Oto chodzę ulicami, kłaniam się ludziom, oni odpowiadają na moje pozdrowienia. Ci ludzie są szczęśliwi. Pojmujesz to, Daniel? Oni chcą mi pomóc.

Jej los zasługuje na opisanie, lecz czy jest ktoś taki na świecie, kto przy pomocy martwych słów potrafi wyrazić to, co Karin przeżyła? Żałował, że nie włączył magnetofonu, miałby gotowy materiał do reportażu. W polskich czasopismach ukazują się czasem teksty o Niemcach, zazwyczaj są jednak niekonkretne, schematyczne i pozbawione problemów zwyczajnych ludzi. Dla większości starych Polaków Niemcy to nacja wroga, ekspansywna, zapisana w historii jako przeciwieństwo dobrego sąsiada. Na szczęście młodzi niewiele wiedzą o ostatniej wojnie i dlatego traktują ich jak Szwedów z powieści Sienkiewicza...

- Myślisz, że Kirsch informował cię o napadach bezinteresownie?

- To szybko da się wyjaśnić - zapewniła go.

- On musi coś o tobie wiedzieć - powiedział bez szczególnej myśli. - Może maczał palce...

- ... w sprawie ojca?

- Właśnie.

- Kirsch przyszedł do policji z armii.

- A jednak - mruknął z satysfakcją i zamilkł. Po chwili spytał: - Czy pozwolisz, abym twoją historię opisał w mojej gazecie? Oczywiście zmieniając imię, nazwisko, miasto. Chodzi mi bardziej o wnioski niż o fabułę.

Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową. Daniel zrozumiał, co to oznacza.

- Na pewno nie wyrządę ci krzywdy - zapewnił i teraz on dotknął palcami jej dłoni. Podziękowała uśmiechem.

Deszcz ustał i skończyła się asfaltowa droga; Karin zwolniła. Niskie, zadbane domki, opięte ogródkami sygnalizowały wjazd do większego miasta. Jeszcze parę kilometrów i zatrzymają się przed budynkiem „Frankfurter Zeitung”.

- Dokąd cię zawieźć?

Dochodziła 12.30, mógł więc zaprosić ją na obiad do bufetu redakcyjnego, gdzie dość tanio i smacznie karmią.

- Jestem trochę głodny.

- Ja też, ale najpierw muszę porozmawiać z Wolfmannem.

W sekretariacie powitała ich Angelika i zaraz oznajmiła, że kilka osób dopytywało się o Karin.

- Jakiś niecierpliwy wielbiciel koniecznie chciał wiedzieć, gdzie i z kim mieszkasz. Obiecywał, że jeszcze zadzwoni.

- I na pewno podałeś mu mój adres.

- Broń Boże - Angelika potrząsnęła głową. - Jak udał się wypad do Schwedt? - spytała Daniela, proponując mu kawę z ekspresu.

- Dziękuję, było przyjemnie.

Karin rzuciła mu ostre spojrzenie, aż się skrzywił, ale Angelika tego nie spostrzegła, bo akurat zabuczał telefon wewnętrzny naczelnego.

- Spotkamy się o piątej przed hotelem - zdecydowała za niego Karin.

*

Po obiedzie Daniel wahał się bez określonego celu; wszystko go interesowało i nudziło jednocześnie. Zajrzał do niewielkiej księgarni przy teatrze, potem wszedł do betonowego domu towarowego, space-

rował między stoiskami, analizując ceny; brał do ręki towary, oglądał je; szybko zorientował się, że identyczne wyroby są w sklepach zielonogórskich, tylko znacznie tańsze. Chciał kupić coś żonie, lecz nie umiał się zdecydować. Gdyby miał więcej marek, wybór upominku byłby łatwiejszy. Przed wyjazdem obiecał Miśce, że sprawi jej depilator, a skoro obiecał, musi otrzymać słowa. Solidność uważał za swoją cnotę. Tylko jeśli wyda wszystkie marki na depilator, to do końca pobytu we Frankfurcie nie będzie go stać nawet na piwo, a do tego przecież nie może dopuścić. Zdecydował, że depilator kupi, lecz dopiero ostatniego dnia.

Do piątej brakowało jeszcze dwudziestu minut. Usiadł na ławce w parku przed dawnym hotelem Stadt Frankfurt, na którego miejscu wyrosło nowoczesne centrum handlowe Lenne Passagen i obserwował mężczyzn czytających gazety, pijących piwo z puszek, dyskutujących. Każdy z nich ma coś na sumieniu, musi mieć, pomyślał. Przez pół wieku tymi facetami manipulowali inni faceci, uważający się za zbawców. Ci pewnie nawet nad tym się nie zastanawiali. W dzień postuluje łamali karki przy maszynach, wieczorem klaskali na zebraniach i godzili się, aby za nich decydował ktoś w białej koszuli i czerwonym krawacie. Tak czuli się bezpiecznie i wygodnie, a ponieważ nie znali innego świata, ten najbliższy, osiadłany strachem, im wystarczał. Oni żyli, aby jeść, inni jedli, aby żyć.

- Karin pana przeprasza - przerwała jego rozważania Angelika - ale ma coś bardzo pilnego do załatwienia, z czym nie może zwlekać ani godziny...

- Zdarza się.

Czuł podskórnie, że Karin nie o wszystkim mu powiedziała. Podczas jazdy powrotnej z Schwedt napomknęła o osobie, która podobnie jak ona dochodzi prawdy o swoim ojcu. Może teraz wybrała się do niej? A może dowiedziała się czegoś o akcji „Miś”?

- Gdyby nie wróciła do siódmej, mam panu zająć cały wieczór.

- Czyżbyśmy mieli oglądać kolekcję znaczków pocztowych? - spytał ironicznie i zaraz tego pożałował. Angelika nie zasługiwała na drwiny. - Przepraszam, wyrwałem się jak Filip z konopi.

- Wybierzemy się do Oderturmu.

- Daleko stąd?

- To tam - pokazała ręką na wieżowiec górujący nad centrum Frankfurtu, brandenburski Empire State Building. - Możemy czekać w dyskotecie na dwudziestym pierwszym piętrze.

Nie chciał jej sprawić przykrości, więc zgodził się bez namysłu.

A później żałował, bo karuzela i błysk różnobarwnych żarówek, wrzawa i ścisk, co odróżnia dyskoteki od dancinowych restauracji, uniemożliwiały rozmowę. Nie przepadał za nowoczesną muzyką młodzieżową, złościły go kapele rockowe, wykrzykujące głupawe teksty, zespoły grające aż do znudzenia muzykę techno; był tradycjonalistą, a nawet konserwatystą, w domu słuchał muzyki organowej, pieśni cerkiewnych, nad wszystko przedkładał jednak symfonie Beethovena, szczególnie w wykonaniu zespołu Gewandhaus z Lipska. Muzyka nie powinna drażnić, lecz przynosić radość, odprężać, uspokajać, nawet usypiać.

Angelika zaproponowała, aby wyszli na taras dwudziestego trzeciego piętra, skąd rozciąga się panoramiczny widok na cały kosmos. Z jednej strony mieli Frankfurt, wciśnięty między zalesione pagórki, z drugiej Słubice przyklejone do ściany bukowych lasów, a nad głowami niebieski firmament.

- Przy dobrej pogodzie można dostrzec nawet szyldy na sklepach za Odrą. Czy pan widzi neon na dachu biblioteki uniwersyteckiej Collegium Polonicum w Słubicach?

Przytaknął. Myśłami był ciągle z Karin. Chciałby jej pomóc, lecz nie wiedział jak. Nie miał pretensji do siebie, przecież Karin niczego więcej nie oczekiwała poza tym, by potwierdził, że jest rześkim samcem.

- Co pana trapi? - spytała Angelika, wyczuwając jego zakłopotanie.

- Czy Karin Albrecht jest dobrą dziennikarką?

- Dobrą? - spojrzała na niego z zdziwieniem. Po pauzie trwającej może pół minuty, może dłużej wykrzyknęła: - Najlepszą! Każdego dnia dostaje więcej listów od czytelników niż reszta redakcji. Jej teksty jednych cholernie irytują, drugim dodają otuchy, ale co jest najważniejsze, za każdym razem przekonują, że teraz można mówić o wszystkim bez tajemnic. Ludzie zostali przyzwyczajeni do jednostronnego postrzegania rzeczywistości, a Karin przedstawia im coś innego, jakby panoramę zdarzeń we wszystkich barwach tęczy, zachowując się przy tym zwyczajnie. Gdyby jeszcze dziesięć lat temu

ktoś próbował pisać tak jak Karin, trafiłby do więzienia. Kto się cze-
piał linii komitetowej, zdarzali się tacy, szedł, jak to się powiadało, na
złom. Nikt się za nim nie próbował ująć. Wtedy była jedna racja.

- System totalitarny nigdy nie upada stopniowo i odcinkami, tylko
zawsze momentalnie i całkowicie. Jak dyktatura: w ciągu jednej nocy.
Tak się stało w waszym w państwie. W Polsce system upadał powoli
i długo, bo właściwie nigdy nie istniał w czystej formie. Polski totalita-
ryzm przypominał spektakl w teatrze rozrywki.

Angelika nie była jednak zbyt zainteresowana rozmową o prze-
szłości, wołała dyskutować o przyszłości, która jej się jawiła bardziej
zrozumiała niż teraźniejszość.

- Koleżanka Albrecht nie będzie długo grzała miejsca w „Frank-
furter Zeitung” - oznajmiła szeptem, jakby zdradzała tajemnicę, do
której nie ma dostępu nawet Karin. - Jej teksty przedrukowują najważ-
niejsze gazety niemieckie. Gdyby tylko chciała, mogłaby wybierać
między „Die Zeit” a „Berliner Zeitung”.

- Taka zdolna, czy aż taka odważna? - spytał. - A może jedno
i drugie, plus szczęście?

- Przede wszystkim innymi oczyma patrzy na wschodnie Niemcy.
Ona nie ma żadnych powiązań z przeszłością, nikogo nie musi się
obawiać. Wolfmann też jest doskonały jako reporter, wydał kilka
książek, a mimo to nie istnieje w najpoważniejszych gazetach. Naczel-
ny nigdy nie należał do FDJ, ukończył wydział teologiczny w Lipsku,
był w kościelnej opozycji, ale jest zbyt powściągliwy w ocenie prze-
szłości. Nasza część kraju tym szybciej zrówna się z tamtą, im więcej
władzy przekaże w ręce młodych ludzi ze strefy zachodniej. Co innego
jest pamiętać, co innego wiedzieć.

- Mając takie poglądy na politykę, jest pani tylko sekretarką? Pani
powinna pisać, bo w pani duszy panuje wieczna pogoda.

Angelika oderwała dłonie od poręczy i uśmiechnęła się do Daniela
z wdzięcznością. Nikt jeszcze nie pochwalił jej za wyobraźnię; za
prezencję i grację - tak. Tylko w porównaniu z innymi można być
osobą nieszcześliwą.

- Po latach zniewolenia trudno jest przekonać człowieka, że
w demokratycznym państwie władzę ma nie ten kto łamie prawo, lecz
ten, kto je ustanawia.

Daniel pokręcił głową; zawsze sądził, że Niemki pod żadnym względem nie dorównują Polkom, a tu proszę: stoi przed nim kobieta zgrabna, powabna i co wydaje mu się trudne do zaakceptowania, nieprzeciętnie inteligentna. Zamierzał jej to powiedzieć, lecz okazała się szybsza w formułowaniu myśli:

- Dola przestępców jest ciągły niepokój... Widzę, że pana drażni nie tylko dyskotekowa muzyka, lecz i tłum... Zapraszam więc na kolację.

- Nie poczekamy na Karin? - spytał, spoglądając na zegarek.

- Minęła siódma. Widocznie musiało coś ważnego jej wypaść. Na pewno wytłumaczy to panu jutro w redakcji.

Kręta ulica wspinała się na pagórek, za którym był park. Szli powoli, Angelika jak zawodowa przewodniczka pokazywała mu, co i gdzie się znajduje; nie słuchał, znowu był myślami z Karin. Ona potrzebuje czegoś więcej niż tylko pomocy, ale nie potrafi poprosić, stara się być samodzielna, a to w kraju, który na tyle lat zapomniał o suwerenności, nie jest możliwe do osiągnięcia bez życzliwego wsparcia bliźnich.

- Dziękuję za kwiaty.

- Kwiaty?.. A! - Zrozumiał, że Angelika miała na myśli bukiet, który przywiózł z Polski. - Cieszę się, iż mogłem je pani ofiarować.

- Wy, słowiańscy mężczyźni, wiecie najlepiej, czym sprawić radość kobiecie.

- Dlaczego Karin przyjechała do Frankfurtu? Z takim talentem mogła, jak pani zauważyła wcześniej, pisać w każdej gazecie niemieckiej.

- To pytanie powinien pan zadać Karin. Pewnie i panu by nie odpowiedziała, ale mielibyście powód do dłuższej rozmowy.

Czyżby, gówniara, zauważyła, że Karin mi się podoba? - zerknął na nią kątem oka.

Chłodny wiatr zgarniał śmieci z ulicy, tarmał gałęziami drzew, wymiatał papiery zza domów, pędził puszki po piwie wzdłuż chodnika. Angelika zapięła kurtkę; poradziła Danielowi, żeby zrobił to samo. Gdy skręcili w prawo, powiedziała cicho:

- Czekaj.

- Kto? Gdzie?

- Proszę nie podnosić głowy. W oknie na drugim piętrze stoi mężczyzna, mój sąsiad. Zawsze, gdy rano wychodzę i po pracy wracam do domu, on mnie obserwuje. Do niedawna byłam przekonana, że w ten

sposób zaspokaja swoje łaknienie erotyczne. Nawet celowo zatrzymywałam się na ulicy, stapałam wolno, poruszając biodrami jak modelka na pokazie. Czułam jego wzrok na swoich plecach. Wie pan, kim on jest? Joachim mi to uświadomił. - Nie pozwoliła, żeby Daniel odpowiedział. - Kapuś. Agencja ucho. Podśłuchuje, co się dzieje za ścianą, czyli u nas w mieszkaniu. Dawniej robił to za pieniądze i służył wiadomo komu. A komu obecnie donosi? Pewnie wynajęła go redakcja „Ostdeutsche Zeitung”, konkurencyjnej gazety, założonej przez kogoś, kto jest związany z PDS. Oni śledzą krok każdej osoby z „Frankfurter Zeitung”.

O Boże, co za kraj! Może i w hotelu, gdzie mieszkam, podsłuchują moje rozmowy? Ale zaraz się uspokoił - przecież mieszka sam i do nikogo się nie odzywa. Nie zapisuje spostrzeżeń, nie telefonuje, nie włącza magnetofonu, a notatki przechowuje w pamięci.

Mieszkanie było urządzone zwyczajnie, bez zbytku, ale wygodnie i schludnie. Angelika zaprowadziła go do pokoju, włączyła telewizor, wskazała gazety z całego tygodnia i poprosiła, aby czymś się zajął, kiedy ona będzie przygotowywała kolację.

- Łazienka jest za drzwiami, obok sypialni - powiedziała z kuchni.

Na szklanej półeczce za wanną stały kosmetyki, niżej Daniel wypatrzył przybory do golenia. Zatem sama nie mieszka. Ale dlaczego nie przyznała się do tego, kiedy mnie zapraszała na kolację? - pomyślał. Pewnie jest rozwiedziona. Nie zauważył, aby miała obrączkę na palcu.

Z ciemnej kuchni wciśniętej między łazienkę i pokój wydostawały się zapachy. Dopiero teraz Daniel poczuł się głodny.

- Nie byłam przygotowana - rzuciła przez okienko i uniosła zasłonę, za którą stały szklanki. - Pan mi wybaczy, prawda? W dodatku nie jestem najlepszą kucharką.

- U nas się powiada, że Niemki kucharzą, kochają i klepią pacierz.

- Trzy razy k? O naszych matkach już się tak nie mówiło. Babki, owszem, były stworzone do kuchni, kruchty i rodzenia dzieci.

Lubił grzebać wśród książek, więc i tu brał do ręki jakieś tomy z regału, przeglądał je, ale niczego ciekawego nie zauważył. Większość publikacji dotyczyła matematyki, elektroniki, łączności bezprzewodowej, a jego ta tematyka w ogóle nie interesowała.

- Czyżby pani skończyła politechnikę?

- W życiu nie zrozumiałam ani jednego prawidła geometrycznego. Z fizyki zapamiętałam tyle, że wzorec metra znajduje się w Sevres pod Paryżem. - Wychyliła głowę przez okienko kuchenne i powiedziała: - Pan mojego serca jest nauczycielem matematyki.

Zamurowało go. Powinien się domyślić, że Angelika nie żyje sama w dwupokojowym mieszkaniu. Chciał ją spytać, gdzie jest ten jej pan, lecz zabrakło mu odwagi. Jeszcze by to źle zrozumiała.

Minęło kilka minut, akurat tyle, żeby zapoznał się z tytułami czasopism leżących na stoliku przy telewizorze, i Angelika - odświeżona, uśmiechnięta, w zmienionej bluzce - podała kolację. A kiedy przygasła światło i zapaliła dwie świece na stole, w pokoju zapanował kawiarzany nastrój. Siedzieli na wprost siebie, w milczeniu jedząc kiełbaski z grzankami, popijając je winem wytrawnym z ogromnych kielichów. Przyciszona muzyka Beethovena, o którą Daniel poprosił, sączyła się z głośników ukrytych za regalem.

- Smakuje panu?

- Dziękuję. - Dokąd ona zmierza? Wczoraj w łóżku z Karin, dziś z Angeliką? Boże, zrób coś, bo nie spojrzę Miśce w oczy. - Co pani sądzi o zabójstwach Niemców w Zielonej Górze? Nie chodzi mi jedynie o same fakty, lecz o to, dlaczego „Frankfurter Zeitung” zawsze uprzedzała moją gazetę.

Najpierw wzruszyła ramionami, później zalała go potokiem słów, ale nie odpowiedziała na pytanie, jakby prowadziła jakąś grę. To wystarczyło, żeby Daniel zaczął traktować ją inaczej niż dotąd.

- Mój pan, Joachim, nagle musiał wyjechać. Żałuję, bo porozmawialibyście sobie o interesujących was sprawach. Achim przygotowuje rozprawę doktorską.

Aha, twój pan nie wróci na noc, postawiłaś więc flachę dobrego wina na stole, żebym się ululał. Jesteś inteligentna, urodziwa. Pewnie Karin umówiła się z tobą, żeby mnie sprawdzić?

Angelika splotła dłonie, oparła na nich brodę i westchnęła przeciągle.

- Achima czeka jeszcze egzamin z języka obcego. Świetnie zna polski, to by wystarczyło do obrony dyplomu, ale promotor uważa, że matematyk musi znać angielski.

- Podobno na Viadrinie ma powstać wydział matematyczno-przyrodniczy? Jeśli tak, będą potrzebni pracownicy naukowcy - usiłował sprowadzić rozmowę na inny tor.

- Kiedy Achim podejmował studia doktoranckie, nikt nie myślał o powołaniu w Frankfurcie jeszcze jednego wydziału, tym bardziej odległego od humanistyki. Achim jest ambitny. Całe życie nie będzie belfrem. Ma zdolności elektroniczne, mógłby robić coś bardziej pożytecznego - mówiła, zapatrzona w płomień świecy. - W czasach studenckich uprawiał strzelectwo sportowe, później porzucił tę dyscyplinę, oddając się wschodnim sztukom walki.

- Jest pani z niego dumna, prawda?

Nieoczekiwanie zazgrzytał klucz w drzwiach; oboje równocześnie przenieśli spojrzenia w tamtą stronę.

- Czyżby mój Achim? - spytała Angelika. W jej jasnych oczach nie było niczego oprócz zdumienia.

Danielowi nagle zrobiło się gorąco. Głupia sprawa. Nigdy nie był w takiej sytuacji. Poczul się jak świętokradca.

- Może to Karin? - spytał z nadzieją.

- Ona nie ma klucza - odparła Angelika, akcentując wyraźnie każde słowo.

Twarz Daniela zastygła. Zaskoczenie było tak ogromne, że nie potrafił rozsądnie myśleć. Przygłodził dłonią włosy, nakręcił zegarek, wytarł nos, jeszcze raz przyczesał włosy, odchrząknął.

Angelika wstała powoli, oparła się ramieniem o futrynę i czekała, aż otworzą się drzwi, jakby jeszcze nie wierzyła, że to naprawdę wraca Joachim.

- Sprawileś mi miłą niespodziankę - rzuciła w głąb mieszkania i podążyła za swoim głosem. - Zaraz podam trzecie nakrycie.

- Masz gościa?.. Kogo?... Mama przyjechała?

Ze skórzaną kurtką przewieszoną przez ramię Joachim wszedł do pokoju i zwyczajnie wyciągnął rękę do Daniela, jakby go znał.

- Poznajcie się, panowie! - zawołała Angelika z kuchni. - Możecie rozmawiać po polsku, przy okazji i ja skorzystam, bo, panie Danielu, próbuję nauczyć się polskiego, abym mogła troszkę pomówić z babcią.

Daniel siedział przez chwilę jak niemowa.

- Moja matka pochodzi z Polski - pospieszył z wyjaśnieniem Jo-

achim, a do Angeliki powiedział, że jest bardzo głodny, ponieważ wagon restauracyjny znowu był zamknięty przed podróżnymi komunikacji krajowej. Rzuciwszy kurtkę na fotel, usiadł za stołem, podciągnął rękawy koszuli i natychmiast zaczął jeść. Daniel przypatrywał się przez chwilę tatuazowi na wierzchu jego lewej dłoni.

- Jak ci poszło kolokwium? - zaintrygowała się Angelika.

- Profesor wyjechał do Bochum na jakąś konferencję. Dlatego wróciłem szybciej.

- Mógł cię uprzedzić. Twój czas też jest drogi.

Daniel w milczeniu przyglądał się Joachimowi; spotkał go po raz pierwszy, lecz jego głos nie był mu zupełnie obcy. Nie umiał sobie przypomnieć, ale chyba gdzieś już widział tę twarz z małą szramą na prawym policzku, z nosem lekko rozdętym, z oczyma za głęboko wciśniętymi pod mocne brwi. Jego pamięci nie były obce jasne włosy, przepecone, trochę za długie, okrywające uszy, loczek spadający na czoło.

- Pewnie często pan bywa w Polsce - stwierdził, otrząsając się z zadumy.

Joachim nie podniósł oczu znad talerza, tylko milcząco pokręcił głową. Kłamie, pomyślał Daniel. On nie ma czystego sumienia.

*

Nocny Frankfurt wydawał mu się pustym i zimnym miastem, nie chciałby tu mieszkać, nawet gdyby dostał za darmo duże mieszkanie, o jakim Miśka peroruje, odkąd są małżeństwem. Dopiero minęła dziewiąta, a na ulicach prawie nie ma ruchu, w oknach pogaszone światła. Co Niemcy robią o tak wczesnej porze? Czyżby już położyli się do łóżek?

Stanąwszy przed hotelem, bezmyślnie gapił się na reklamy uczepione frontowej ściany wieżowca. Dochodziła jedenasta, o tej porze dyskoteka powinna dudnić wszystkimi głosami i barwami. To ma być miasto uniwersyteckie? Toż Słubice są głośniejsze i żywsze.

Poprosił o klucz do swojego pokoju. Recepcjonistka na chwilę uniosła brwi, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

- Aa. - Wyjęła z przegródki jasnoniebieską kopertę z nadrukiem „Frankfurter Zeitung”. - Pan Sateck? - spytała, trzymając kopertę nad kontuarem.

Pokazał kartę hotelową.

- Do mnie? Pewnie program na jutro. Co by innego?

Stojąc przy wejściu do windy, czytał list Karin, napisany ręcznym, zgrabnym pismem:

Dostałam ciekawą wiadomość o dalszym ciągu akcji „Miś”. To dla mnie bardzo ważne, dlatego pilnie musiałam wyjechać. Gdybym nie wróciła do rana, wybac mi, że w ten sposób żegnam się z Tobą, Danielu. Mam nadzieję, że niebawem znowu się spotkamy, może w przyjemniejszych okolicznościach podyskutujemy o nas samych. Wtedy opowiem Ci, czego dowiedziałam się w Berlinie. Są też nowe wieści o moim ojcu. Sądzę, że rozumiesz i nie masz mi tego za złe, że wyjechałam bez osobistego pożegnania. Bądź dzielny. Karin.

W pokoju jeszcze raz zajrzał do listu, wydawało mu się, że między zdaniem zostały zawarte jakieś poufne wiadomości, lecz nie umiał ich wyłowić. Przecież Karin wiedziała, gdzie jestem, stwierdził. Mogła zatelefonować lub przyjechać do mieszkania Angeliki. Może nie chciała się ze mną zobaczyć i dlatego wybrała taką formę pożegnania?

Zerknął na klucz w drzwiach szafy, dobrze pamiętał, że ustawił go w pozycji pionowej, zawsze tak robił, kiedy wychodził z hotelu. Ale nie tylko ułożenie klucza w zamku szafy świadczyło o tym, że ktoś interesował się jego rzeczami. Spodnie, które powiesił po prawej stronie tuż przy ścianie, były przesunięte na środek wieszaka, a sweter dotykał marynarki. Zakładka nie wystawała z książki. Nawet przyborek z igłami został przeszukany.

- Ktoś mi depcze po piętach - powiedział głośno i szybko zakrył usta ręką.

Rozdział XII

Dochodzenie w sprawie pięciu napadów na Niemców w toaletach nie posunęło się ani o krok. Nawet zatrzymanie Popławskiego vel Makarenki niczego nie dało, a tylko jeszcze bardziej skomplikowało wszystko, ponieważ policjanci obawiali się, że w jego obronie stanie ktoś z centrali Socjaldemokracji, do niedawna partii rządzącej, a wciąż dobrze zorganizowanej i mającej poparcie niemałej części narodu. Może gdyby nie została wywołana sprawa byłego premiera, który podobno pod pseudonimem „Olin” szpiegował na rzecz KGB i jej następczyni FSB, nikt w Zielonej Górze nie wiązałby Popławskiego z socjaldemokratami.

Przysłana z Warszawy ekipa poruszała się w obcym terenie nie-mrawo i bez pośpiechu, za to z wyższością, czym już pierwszego dnia zraziła sobie większość miejscowych policjantów z wydziału kryminalnego. Zraniony w Creatorze Niemiec z Oberstdorfu powoli odzy-skiwał czucie w rękach i straszył Syskiego złożeniem skargi w ambasadzie. Marszałek województwa codziennie naciskał komendanta policji, komendant rano i wieczorem domagał się od nadkomisarza, żeby mu przedstawił jakąkolwiek - byle prawdopodobną - hipotezę. Do czasu spotkania premiera z kanclerzem rzecz musi zostać wyjaśniona oficjalnie.

- Im się wydaje, że ja siedzę z nogami na biurku jak amerykański szeryf i czekam - złościł się Syski. - Łatwo kazać, jeszcze łatwiej wy-myślić hipotezę, nawet prawdopodobną. Pierwszy lepszy aplikant wybroni boksera. Bo jakie mam dowody jego winy? Że wpieprzył Koprowi? Można postawić przed sądem Popławskiego, ale za co? Bokser wymienia jakąś dziwkę z Sambuki... Że też akurat ja musiałem dostać tę sprawę!

- Może jednak potrafię ci pomóc - rzekł Daniel, robiąc zagadkową minę.

- Ty? Ty jesteś fabularzystą, opierasz się na plotkach i donosach. To, co dziś podajesz jako pewnik, jutro możesz odwołać. „Niestety, informacja okazała się niezupełnie prawdziwa”, napiszesz małymi literami u dołu strony, „ale to nie oznacza, że od początku do końca nasz współpracownik kłamał”, dodasz tajemniczo. Do sprawy wróci-

my w najbliższych numerach. Czytelnicy lubią takie kawałki, wybaczą każdą błagę. Jutro znowu sięgną po gazetę i będą szukali ciągu dalszego. Ja natomiast muszę mieć czarno na białym, niepodważalne dowody: żywych świadków, dokumenty, oświadczenia, żadne tam poszlaki.

Daniel ściągnął brwi.

- Poproś waszego portrecistę - powiedział.

- Po co? Na podstawie tego, co mu opowiedział Niemiec, nie trafił naszkicować nawet kształtu głowy. Ma być blondyn z loczkiem. Co drugi młodzik nosi jak nie lok, to czub. W skórzanej kurtce. Każdy młodzian tak się odziewa.

Daniel upierał się przy swoim pomysłe, Syski nie dawał się przekonać aż do pory obiadu, wreszcie uległ, na nic jednak nie licząc. Cóż pismak może wiedzieć o prowadzenia śledztwa w policji ery maszyn cyfrowych? Słyszał o rysowaniu portretu pamięciowego przy pomocy komputera, jasne, ale to czynność pomocnicza. Ogłoszenie takiego portretu w gazecie tylko zaciemni sytuację, bo zaraz odezwą się czytelnicy łakomi na nagrodę. Stracony czas.

- Kto to jest? Szrama na policzku, loczek nad czołem, mięsiste wargi. Co najmniej setka podobnych obiboków wałęsa się po Zielonej Górze. Czy mam przesłuchiwać każdego ze szramą? Na jakiej podstawie?

- Nie każdy ma rozdęty nos. I nie każdy kręci się po restauracjach. I nie każdy ma tatuaż na przegubie lewej ręki z pociągłą głową kobiety z rozpuszczonymi włosami i niżej jakiś napis.

- Czytałem, że jest rzecz wspólna dla wszystkich wielokrotnych morderców: mają większe lub mniejsze tatuaże - wtrącił się rzecznik prasowy komendanta wojewódzkiego. - Jak to sobie wyobrażasz? - Syski ciągle nie był przekonany do pomysłu Daniela. - Stary, ja nie chcę włączyć się po sądach za bezpodstawne oskarżenia. Policja państwowa to nie to samo co milicja obywatelska. Nas nie obroni żadna partia, przeciwnie, każda partia, łącznie z rządzącą tylko czeka, żeby nam dokopać.

- Redaktor coś wie - stanął w obronie Daniela rzecznik. - On ma nosa.

Syski przeciął ręką powietrze i powiedział:

- Mnie nie jest potrzebna rysowana hipoteza. Ja muszę mieć żywego bandziora, żebyśmy mogli postawić go przed sądem.

- Chociaż raz posłuchaj czyjejś rady - poprosił rzecznik.

- Jeszcze jeden mędrzec! Dlaczego trzymasz jego stronę, co? Czym cię przekupił? Obiecywał, przyznaj się, że poprawi błędy ortograficzne w twoim artykule i wydrukuje go w gazecie?

Rzecznik westchnął przeciągle; było mu przykro, tym bardziej że ukończył studia polonistyczne i często poprawiał raporty policjantów kierowane do Komendy Głównej.

- Przesadzasz, jak zawsze - teraz Daniel ujął się za rzecznikiem. - Zastanawiałeś się nad tym, że robisz człowiekowi przykrość?

- Możliwe.

*

Odnalezienie boksera było dziecinnie łatwe. Dwaj aspiranci włączyli odbiornik i zbliżywszy się do centrum miasta, odszukali sygnały. Samochód boksera stał na parkingu przy filharmonii, a on sam siedział zmarkotniały nad kuflem piwa w restauracji Maestro. Nawet się nie opierał, gdy aspiranci go poprosili, aby z nimi wyszedł.

- Jak mnie znaleźliście? - zaciekał się dopiero w komendzie.

- W tym mieście każdy pana zna - odparł Syski. Nie przyznał się, że przed tygodniem polecił technikom, aby w samochodzie boksera zamontowali czujnik elektroniczny dalekiego zasięgu. Identyczne urządzenia umieszczono też na podwoziach aut Kopra, Daniela, nawet marszałka i prezydenta miasta. Policja po prostu chce wiedzieć wszystko, co dotyczy osób znanych z gazet, radia i telewizji. Ale nawet się nie domyśla, że kontrwywiad z UOP do karoserii tych samych aut przymocował urządzenia nagrywające rozmowy i natychmiast przekazujące ich treść do regionalnej centrali безпеki.

- Żebyście wiedzieli... ja was, kurde, podam do sądu.

- Dlaczego?

Syski drwił, ale bokser tego nie wyczuł.

- Jest prawo, co nie? - zapytał retorycznie i nie czekając na odpowiedź wstał, ruszył do drzwi.

- Na pańskim miejscu bym się zastanowił - spokojnie powiedział do jego pleców Syski. - Kto zmasakrował Kopera? Mało tego, kto ukradł zabytkowy sztylcik i użył go wcale nie w obronie własnej?

Bokser wrócił spod drzwi, usiadł na krześle.

- Odnalazł pan tę dziwkę? Iwonę, czy jak jej tam?

- Nie. Bo nie ma żadnej Iwony - rzucił twardo Syski. - Wymyśliłeś historyjkę, żeby policję wprowadzić w błąd. Oto ostatnia szansa: albo mówisz prawdę, albo ja pakuję cię za kratki.

- Jak Boga szczerze kocham, panie komisarzu, Iwona...

- Mam uwierzyć, że panienka jest silniejsza od sportowca? I że takiej bokser dał się przywiązać do łóżka?

- Żeby ona była sama, a ten gość?

- Jaki gość? Nic nie wspominałeś o osobie trzeciej.

- Zapomniałem.

Daniel niecierpliwił się, bardzo chciał, żeby Syski pokazał bokserowi portret pamięciowy, który pod jego dyktando naszkicował na ekranie komputera rysownik.

- Znasz tego faceta? - spytał, wieszając rysunek na drzwiach szafy pancерnej.

- Gość z Polanu! Ten sam, kurde! Krecha może za wielka, ale grzywa wykapana. Przygwoździliście go, co? Nareszcie... Komisarzu drogi, on wtedy, jak żem był na piwku z pułkownikiem Koperem, dosiadł się do naszego stolika.

- Na pewno on?

- Dałbym sobie...

- ... przebić jaja szpilkami! - wpadł mu w słowo aspirant, a rzecznik ryknął śmiechem.

Bokser natychmiast się zaczerwienił i zwiesił głowę.

- Podsumujmy. Czy facet mówił po polsku?

- Jak ja albo jeszcze lepiej.

- Raczej krępy, ubrany w skórzaną kurtkę, adidas?

- Zgadza się. Skąd nadkomisarz wie?

- Może miał tatuaż?

- No - rzucił bez namysłu bokser. - Tu - najpierw wyciągnął prawą rękę, ale zaraz ją opuścił. - Na wierzchu lewej dłoni było coś napisane.

- Czy jeszcze coś zwróciło twoją uwagę?

- To ten sam gość, co jest na zdjęciu.

- Na rysunku - poprawił go Syski. - Uzyskaliśmy portret pamię-

ciowy, zaledwie niedoskonały szkic. Teraz trzeba zdobyć fotografię, ale to zadanie policji, a nie boksera odstawionego na boczny tor. Odwieźcie go do Sambuki - polecił aspirantom. - I zafundujcie piwo, bo go kac wykończy.

*

Komendant wojewódzki policji, gdy Syski wyłuszczył mu krótko sedno sprawy, niespokojnie poruszył się w fotelu. Odnalezienie mężczyzny ze szramą na policzku nie będzie trudne, tym bardziej że są już jakieś ślady. Problem tkwi w czym innym: policja niemiecka stanie w obronie swego ziomka, to więcej niż pewne. Dawniej komendant mógł się kontaktować ze znajomymi policjantami po drugiej stronie Odry, pomijając centrale w Warszawie i Berlinie, teraz będzie musiał wystąpić do zwierzchnictwa, umotywować swój wniosek i czekać na urzędową zgodę. Umowa o ekstradycji pewnie już została podpisana, lecz policja niemiecka może odmówić współpracy albo zechce prowadzić dochodzenie bez udziału Polaków; wyjściem z takiej sytuacji jest właściwie jedno: poprowadzenie śledztwa w tajemnicy.

- Nie wszyscy policjanci enerdownscy w Chociebusku okazali się nieprzydatni po zjednoczeniu Niemiec, kilku najpierw odsunięto na tyły, a ostatnio posadzono ich na ważniejszych stołkach. Z dwoma jestem zaprzyjaźniony i czasem korzystam z ich usług - poinformował zwierzchnika Syski, niczego nie sugerując.

- Frankfurt nie podlega pod okręg chociebuski - stwierdził komendant. - Jeśli szukać pomocy, to jedynie drogą o-fi-cjal-ną. Śledztwo potrwa dłużej, ale wszystko odbędzie się w zgodzie z prawem. Ja stoję, Syski, na straży tego prawa.

- A gdybym tak na własną rękę wybrał się do Frankfurtu?

- Jako kto tam pojedziesz?

- Prywatnie.

- Bez zgody centrali?

Syski rozumiał obawy szefa. Musi jednak być jakiś sposób na przedostanie się policjanta za granicę i potwierdzenie spostrzeżenia Daniela.

- Sprawę przekazemy ludziom Swendry. On sam nieźle mówi po niemiecku - odpowiedział nadkomisarz, ale komendant przeszył go

takim spojrzeniem, że zrobiło mu się głupio. Policja i UOP to dzieci jednego ojca, lecz różnych matek.

- Sami niczego mądrego nie wymyślimy - powiedział z rezygnacją komendant. - Są u nas ci specje z centrali. Niech i oni pogłównkują.

- Wolałbym, szefie, polegać na sobie i swoich ludziach.

- Ja też. A masz lepsze wyjście?

- Muszę coś wymyślić. Umówmy się tak: jeśli do wieczora nie odezwę się, szef informuje tych z centrali.

- Popędź aspirantów. Mają rzadką okazję dostać awanse. - Komendant odprowadził Syskiego do drzwi i klepnął go w ramię.

Nadkomisarz uważał inspektora za karierowicza, który przypadkowo i nie na długo zajął gabinet komendanta wojewódzkiego. Inni kandydaci na to stanowisko byli lepsi, ale mieli za sobą partyjną przeszłość, jakieś akcje w czasie trwania stanu wojennego i bezpośrednio po nim, wysokie odznaczenia, osiągnięcia, niektórzy ukończyli studia podyplomowe w akademiach zagranicznych. W gruncie rzeczy inspektor niczym się wcześniej nie wyróżniał; był jednym z wielu oficerów w wydziale ruchu drogowego, którzy robili wyłącznie tyle, ile im kazali przełożeni. Ciepłe kluchy - mówiono w komendzie o takich jak on albo dosadniej: Fornale. Poprzedni szef policji w województwie zaledwie dwa miesiące zajmował gabinet na drugim piętrze i został odwołany, okazało się bowiem, że służbowym polonezem jeździł na polowania, kazał śledzić swoich rywali, dwóch podinspektorów zdegradował i przeniósł do komendy miejskiej. Syski miał troszkę szczęścia, bo w tym czasie wybrał się na zaległy urlop, a kiedy wrócił, podlegał nowemu szefowi.

Nie wydał żadnego polecenia aspirantom. Pijąc kawę, już trzecią filiżankę tego przedpołudnia, zastanawiał się, co dalej. Mężczyzna ze szramą na policzku musi stanąć przed polskim sądem, w miejscu popełnienia przestępstwa. Jeśli tak ma być, a tego sobie życzy komendant, to za wszelką cenę trzeba go ściągnąć z Frankfurtu do Zielonej Góry, nawet łamiąc prawo międzynarodowe. Zresztą żaden poważny polityk nie zainteresuje się tą sprawą. A przed rozpoczęciem procesu Syski zwoła konferencję prasową i powie dziennikarzom to, co uzna za ważne. Nie domyśla się, że Sateck maczał palce w samowolnym sprowadzeniu Niemca do Polski.

W ocenie Daniela plan był zbyt zawiły i trudny do wykonania. Poza tym, Daniel nie zamierzał w żaden sposób pośredniczyć w ujęciu Joachima Jungingena. Po pierwsze, jest dziennikarzem, a nie policjantem czy szpiclem, ma swój honor zawodowy i ambicję. Po drugie - to uważał za istotniejsze - Jungingen nie pracuje na własną rękę, lecz jest jednym z wielu ogniw w jakimś łańcuchu.

- Popieram twój pomysł z deportacją Jungingena do Zielonej Góry, ale nie w ten sposób.

- A w jaki? - spytał policjant, nie spodziewając się, że usłyszy coś rewelacyjnego.

- Posłuchaj mnie uważnie. Na razie tylko słuchaj, o nic nie pytaj. - I Daniel zasugerował, aby do tego celu wykorzystać firmę Polauhur, prowadzoną przez byłych milicjantów i usuniętych ze Służby Bezpieczeństwa oficerów wywiadu. Ci nie najgorzej wyszkoleni faceci dziś zajmują się ochroną mienia, przewożeniem pieniędzy ze sklepów do banków, instalowaniem automatycznych zamków w drzwiach, znakowaniem aut i przyczep kempingowych. Na zlecenia klientów sprowadzają stare samochody z Holandii i Niemiec, mają doświadczenie w omijaniu przepisów celnych i znajomości na przejściach granicznych. Tacy faceci poradzą sobie w każdej sytuacji.

- Legalnie nie mogę zlecić im nielegalnej roboty.

- A po co zlecenie? Wystarczy, że im powiesz, o co chodzi.

- Wpadną na granicy i się wygadają.

- Oni wpadną. Nie ty. Nie policja. Pamiętaj, że nie są amatorami. Ty, trudno, czasem będziesz musiał przymykać oczy na ich kręactwa. Coś za coś. Obie strony muszą zyskać.

- Nie mogę na to pozwolić - zaprotestował Syski. - Ja, stróż prawa i porządku, miałbym namawiać do łamania tego prawa? Popierać mafię?

- Przestań pieprzyć. Policja codziennie łamie prawo i z tego powodu żadnemu gliniarzowi zęby nie wypadły. Rację ma ten, kto ma władzę.

- Gazet nie czytasz? Co jakiś czas ktoś a to weźmie łapówkę, a to przymknie oko, a to... I wylatuje ze służby. Dziennikarze tylko czekają na takie informacje. Pierwszy wykorzystasz to na łamach swojej gazety.

- Zrób więc, jak uważasz. Możesz poprosić policję niemiecką o współpracę, jeśli chcesz być nadal pryncypialny.

Pomysł Daniela z zaangażowaniem byłych wywiadowców zajął umysł komisarza na dłużej. Tylko co powie inspektor, kiedy cała rzecz się wyda? A wyda się, bez dwóch zdań, nie teraz, to w sądzie podczas rozprawy.

Zabrzączał zielony telefon na biurku. Syski z niechęcią sięgnął po słuchawkę.

- Marszałek wzywa mnie do siebie - usłyszał niecierpliwy i jakby przełknięty głos komendanta. - Co mam mu powiedzieć? Bo pewnie chodzi o morderstwa.

Syski milczał. Dlaczego nadkomisarz policji miałby wiedzieć, jaka odpowiedź zadowoli marszałka?

- Halo, słyszysz mnie?

- Że za dwa, trzy dni sprawca napadów znajdzie się w areszcie śledczym przy ulicy Łużyckiej.

- Taką bajkę opowiedz swoim aspirantom.

- Za dwa, trzy dni...

- Syski...

- Za dwa, trzy dni kończę sprawę.

- Jesteś tego pewny?!

- Jak Holmes Watsona, szefie.

*

Daniel odrabiał zaległości, a w ostatnich tygodniach powstało ich tyle, że gdyby chciał rzetelnie zająć się wszystkim, co na niego czekało w redakcji, nie miałby czasu na sprawy bieżące. Przede wszystkim napisał reportaż z pobytu w Niemczech, oczywiście pomijając problem Karin, uważał, że wymaga uzupełnienia dodatkowymi materiałami. Angelika była kobietą miłą, ale nie materiałem na ciekawy tekst. Co innego Joachim Jungingen, jemu trzeba będzie poświęcić więcej miejsca na stronach wydania świątecznego gazety, ale w przyszłości; na razie jego osoba musi pozostać w ukryciu.

Miśka, zadowolona z depilatora firmy Braun, miała mu za złe, że od rana do nocy siedzi w redakcji, zamiast bywać w domu, rozmawiać z nią o znajomych, marzyć, cieszyć się byle czym. Może gdyby więcej

zarabiał, kupił nowocześniejszy i większy samochód, od czasu do czasu zaprosił ją do teatru czy filharmonii albo nawet do restauracji na wykwinną kolację, poszedł z nią na imieniny do swoich przyjaciół, byłaby wyrozumialsza.

Ale czy ja mam przyjaciół? - pomyślał smętnie. Przez chwilę przywoływał twarze różnych znajomych. Nikogo nie mógł nazwać swoim przyjacielem. Pewnie żonaty mężczyzna nie może albo nie powinien mieć przyjaciół. Znajomych i konkurentów owszem, przyjaciół nie, bo przyjaźń oznacza bezinteresowność, a żonaty mężczyzna ugania się za pieniędzmi, żeby spełnić oczekiwania tej, która go wybrała. Miśka zresztą pewnie też ma swój mały, zamknięty przed Danielem świat. Niekiedy zastanawiał się, czy dziennikarzowi pochłoniętemu pracą twórczą - bo za taką uważał swoje zajęcie - jest potrzebna żona. Czy może, jak większość jego kolegów ze studiów, powinien punktualnie o trzeciej wychodzić z biura, systematycznie jeść obiady, po południu zajmować się wyłącznie sobą i domem, kąpać się rano i wieczorem, raz w roku wyjeżdżać z rodziną na wczasy? Przecież to byłoby cholernie nudne! Nigdy nie oddzielał czasu prywatnego od redakcyjnego i było mu z tym wygodnie. Czuł się szczęśliwy.

- Kupiłeś jakiś alkohol? - spytała Miśka. Nie czekając na odpowiedź, natychmiast go zganiła: - Spraszasz gości i jak zwykle nie pamiętasz o tym, co do ciebie należy. Przecież ja, choćbym nie wiem jak się starała, sama nie dam rady.

Nie lubił jej zrządzenia i ciągłego przypominania o najdrobniejszych sprawach, dopytywania się, co robił, z kim rozmawiał, dlaczego założył czarne skarpety, a nie zielone. Denerwowało go nawet to, że Miśka segreguje gazety w jego pokoju, ściera kurze z półek i biurka, układa książki na regale, podlewa kwiaty. Miał jednak świadomość, że gdyby tego nie robiła i nie gderała, niczego by nie znalazł w swoim pokoiku.

- Zaraz pójde do sklepu po wódkę. A może lepiej będzie, jak wezmę wino? - Żona nie odpowiedziała, zdecydował więc, że kupi to i to. I na wszelki wypadek weźmie butelkę koniaku. - Czy jeszcze coś kupić?

- Zginiesz beze mnie - powiedziała nie wiadomo który raz, nie przestając mieszać łyżką w garnku.

Przytulił ją do siebie, objął mocno i zaraz wszelkie wymówki stały się nieistotne. Kochał ją po swojemu, wiedziała o tym. Może dlatego z cierpliwością anielską znosiła jego postępowanie.

- Na którą zaprosiłeś gości?

- Pewnie na szóstą - odparł bez przekonania.

- Do tego czasu powinieneś wrócić do domu. Pomożesz mi nakryć stół. Przypominam ci na wszelki wypadek, gdybyś znowu spotkał jakiegoś znajomego.

Szedł uliczką osiedlową, nie zważając ani na ludzi, ani na przebiegające wzdłuż chodnika auta; rozmyślał, jak by postąpił na miejscu Syskiego. Dochodząc do sklepu, usłyszał niezupełnie obcy głos, zatrzymał się, podniósł głowę, przez chwileczkę zastanawiał się, gdzie poznał mężczyznę w brudnych dżinsach, który woła i wymachuje do niego ręką.

- Dawno nie widziałem redaktora!

- A, Staszek?! - przypomniał sobie. Podeszedł do niego, wyciągnął rękę na powitanie i zaraz zagadnął o sukcesy sportowe.

Nie był entuzjastą sportu wyczynowego, w młodości jak każdy chłopak owszem, grał w piłkę nożną, troszkę biegał, nie najgorzej jeździł na rowerze, lecz mimo to wołał czytać o wyczynach sportowców; nawet osiągnięcia żużlowców nie zapalały go do dyskusji. Naprawdę lubił jedynie strzelectwo kulowe i to pewnie dlatego, że w tej dyscyplinie był przodownikiem wśród dziennikarzy gazet regionalnych. Jego talent odkrył Staszek Schmidt, mistrz świata, przez wiele lat najlepszy zawodnik Olimpij. Staszek namawiał go do wyczynowego uprawiania strzelectwa, obiecywał pomoc i może Daniel w końcu przystałby na jego propozycję, gdyby nie wypadek, jaki zdarzył się na polowaniu. Postrzelony przez byłego pośła, podopiecznego Staszka, pułkownik z Komendy Głównej Policji zmarł w drodze do polikliniki. Prominency myśliwi tak sprawę zagmatwali, że jedynie Staszek został obwiniony. Najpierw klub zawiesił go w prawach reprezentanta kraju, później pozbawił stypendium i mieszkania w hoteliku sportowym.

- Jak ci się wie? Kiepsko, co?

- Nie narzekam - odrzekł Staszek, umykając wzrokiem w tunel znikającej między smutnymi domami uliczki.

- Może potrzebujesz pomocy? - Daniel przyglądał się jego wypłowiałej kurtce, rozdeptanym sandałom, dżinsom wytartym na kolanach.

- Gdybym miał mniej lat, poprosiłbym cię o załatwienie dobrze płatnej roboty za granicą. Jestem już za stary, żeby na własną rękę szukać szczęścia poza krajem. Ale nie narzekam, jakoś sobie radzę.

- Jako zasłużony dla sportu...

- Czasem Orbis wynajmuje mnie na polowania dewizowe - wpadł mu w zdanie Schmidt. - Za jedną wyprawę do lasu dostaję tyle forsy, że wystarcza mi nie tylko na piwo. Z Olimpią nie chcę mieć nic wspólnego. Było, minęło.

- Nadal jesteś dżentelmenem do wynajęcia - powiedział Daniel i pomyślał, że Syski powinien właśnie Staszкови zlecić ujęcie Jungingena.

- Za pieniądze, jak mówią, lud się podli. Ja robię to, co najlepiej potrafię. Widocznie ciągle jestem niezły. Gdybym mieszkał w Nowym Jorku, miałbym zajęcie dzień w dzień. Tam człowiek z takim okiem i taką ręką...

- Uważaj na siebie - przestrzegł go Daniel nie wiadomo dlaczego.

- W zeszłym tygodniu były twoje imieniny, telefonowałem, żona powiedziała, że wyjechałeś za granicę.

- Byłem we Frankfurcie. Służbowo.

- We Frankfurcie? - spytał cicho i zamilkł na chwilę. - Przyjmij życzenia i ode mnie - powiedział i przyjaźnie uściśkał Daniela, oczy mu się zaszkliły. - Niewiele osób jeszcze mnie pamięta.

- Dla mojego pokolenia zawsze będziesz bohaterem.

- Pewien gość zaproponował mi robotę w Niemczech - pochwalił się Schmidt. - Inżynier Popławski.

- Popławski - powtórzył Daniel jakby nie dosłyszał. - Gdzie, kiedy, za ile? Przy zbiorze winogron? Kim jest Popławski?

- Mały wysilek, a duża zapłata, tak powiedział. I robota niedaleko granicy.

*

Po powrocie do domu Daniel zabrał się do nakrywania stołu, szło mu to niezdarne, już wolałby zmywać naczynia albo obierać kartofle. Cały czas myślał o Staszku, z rozmowy na ulicy odniósł wrażenie, że jest mu bardzo ciężko, a to, co mówił o polowaniach dewizowych, nie było prawdą. On jest na marginesie życia.

Goście byli wyjątkowo punktualni, nawet redaktor naczelny zdążył na szóstą. Daniel nie lubił przyjąć; przy stole zastawionym przekąskami, napojami i łakociami czuł się jak więzień i gdyby nie tradycja, nigdy nie wyprawiałby imienin. Musiał się rewanżować choćby dlatego, że bywał na podobnych uroczystościach w innych domach. Swoją wiedzę o życiu czerpał z książek, brał ją z ulicy, łowił z zeznań złodziei, bandziorów, młodocianych kryminalistów. Przyjęcia, twierdził, nie pobudzają umysłów.

- Czy już wiadomo, kto zadzgał tych Niemców? - zaciekał się naczelny. - Ustaliłeś coś we Frankfurcie?

- Na razie nic - odparł Daniel przytomnie. Nie chciał powiedzieć za dużo. Gdyby sami siedzieli przy stole, pewnie nie byłby aż tak oszczędny w słowach.

- Okazuje się, że te morderstwa zmniejszyły ruch na przejściach granicznych - odezwał się sekretarz redakcji. - Podobno, kiedy tamtejsze gazety zaczęły podawać szczegóły, w Brandenburgii doszło do paniki. Byli nawet tacy politycy, którzy domagali się ostrej reakcji rządu.

- Zagmatwana sprawa. Zastanawiam się, dlaczego napady miały miejsce na kilka tygodni przed spotkaniem ich kanclerza z naszym premierem. I dlaczego akurat w Zielonej Górze, a nie w innym, większym mieście? Uważam, a są na to podobno pierwsze dowody, że dokonała ich ta sama osoba, przynajmniej do takiego wniosku można dojść po tym, co pisał Daniel na naszych łamach - rozważał depeszowiec.

- To musi być prowokacja - rzekł naczelny zdecydowanie, jakby był politykiem, który zna więcej szczegółów, lecz nie może ich ujawnić. - Tu chodzi o coś poważniejszego. To są manewry o charakterze międzynarodowym. Nie chciałbym być ministrem spraw zagranicznych.

- A ja nie chciałbym być nadkomisarzem policji - powiedział jakby ze współczuciem zastępcą sekretarza do Syskiego. - Pięć napadów w biały dzień i żadnego zatrzymania.

- Za kilka dni sprawa się wyjaśni - uciął dialog policjant.

Choć później rozmawiali o codziennych sprawach swoich i redakcji, co chwilę wracali do napadów. Daniel nie uczestniczył w dyskusji; nie zareagował nawet na pochwały, jakie pod jego adresem wygłaszał naczelny. Pragnął, żeby przyjęcie już się skończyło. Tyle miał do

powiedzenia żonie, właściwie od powrotu z Frankfurtu dłużej z nią nie rozmawiał, bo popołudniami miała dyżury w pogotowiu, rano nadzorowała sekcje zwłok w Zakładzie Medycyny Sądowej, później pisała ekspertyzy, a on wracał z redakcji do domu późno i zmęczony niczym maratończyk, od razu kładł się do łóżka.

- Najpierw pomożesz mi pozmywać naczynia - powiedziała Miśka, gdy tuż przed północą pożegnali gości. - To o czym mówił twój naczelny?

- Trzeba się zastanowić.

- Jestem z ciebie dumna. - Przytuliła się do męża. - Dopiero od twoich kolegów dowiaduję się, kim jeszcze jesteś. - Wspięła się na palce i pocałowała go.

A później wzięła prysznic i wskoczyła pod kołdrę. Daniel przykucnął w wannie i polewając się wodą, przemyśliwał propozycję naczelnego. Nigdy nie zgodzi się zostać jego zastępcą, nie potrafi być urzędnikiem.

Rozległ się dzwonek telefonu, a po chwili przytłumiony głos Miśki. Nie daj Boże, żeby akurat teraz zaufany policjant miał w środku nocy coś pilnego do przekazania. A zdarzyło się to już parę razy.

- Do ciebie, Daniel, rozmowa zagraniczna.

Nagi i mokry wyszedł z łazienki, zostawiając ślady stóp na podłodze. Nie oczekiwał żadnych wiadomości. Naraz pomyślał o Karin. Przecucie go nie myliło.

- Nic nie pisz o „Misiu” - powiedziała. - Dowiedziałam się już co nieco. Przez telefon nie mogę mówić, opowiem ci, jak się znowu spotkamy. W każdym razie to nic pilnego. Jestem umówiona z pewnym facetem, który sprzeda mi jeszcze ciekawsze informacje. Ma mi powiedzieć coś bardzo ważnego o ojcu... Myślę o tobie.

- Ja również - rzucił zakłopotany. Odłożył słuchawkę na widełki i powiedział do żony: - Mam załatwioną akredytację do Niemiec.

Rozdział XIII

Aspirant tkwił, naburmuszony, obok kierowcy i w myślach odtwarzał uzgodniony w komendzie plan ujęcia Joachima Jungingena. Nie wiele wiedział o Niemcu, a wszystko, w co wtajemniczył go Syski, sprowadzało się do portretu pamięciowego, który wbrew poleceniu komisarza powielił w czterech egzemplarzach, zatrzymując je przy sobie. Aspirant nigdy nie był za granicą, toteż zaraz po przekroczeniu punktu kontroli dokumentów w Świecku poczuł się tak, jakby przekroczył mur chiński. Do facetów z Polauhuru nawet się nie odezwał. Jeżeli zadanie zostanie wykonane, może liczyć na przyspieszony awans i stanowisko co najmniej drugiego zastępcy Syskiego. Wtedy będzie tropił takich cwaniaków, jak ci dwaj siedzący za jego plecami. Przestrzeganie prawa uważał za swoją najważniejszą powinność. Tyle wyniósł ze szkoły policyjnej.

- Jak panu na imię? - przerwał milczenie wążacz.

- Czy to ważne? Zna pan mój stopień.

- Imię ułatwi nam porozumiewanie się.

- Nie jesteśmy na wycieczce z Orbisem - palnął aspirant.

- Jeszcze jedna podobna odpowiedź, synu, a wysadzimy cię na najbliższym przystanku autobusowym.

- Cały naród wysadziliście z pociągu, który zmierzał do demokratycznej Europy. Wasz czas już minął. My, moje pokolenie zostało zobowiązane do naprawy kraju.

- Przez kogo?

- Przez historię, religię, społeczeństwo. A wy na nic więcej poza szubienicą nie zasługujecie.

- Ty, były ministrant, byś nas powiesił? Bez sądu?

- Służba nie zna sentymentów.

Wążacz westchnął.

- Gdybyśmy nie szanowali porucznika, synu, dziś twojego przełożonego, a dawniej naszego młodszego kolegi...

- Daj spokój - odezwał się, łagodząc sytuację, kolega wążacza, kompletnie łysy. - W jego wieku nie byliśmy inni. Młody, po prostu nie zna życia. Dostanie kilka razy w pysk, zrobi się, jak my, tyci.

- W takim razie, panie aspirancie, proszę o odpowiedź na pytanie.

- Słucham.
- Czy wziął pan ze sobą broń służbową?
- Nie. Jadę, podobnie jak panowie, incognito.

- My mamy prawdziwe paszporty, legalnie wydane wizy i upoważnienia handlowe. Wobec prawa niemieckiego jesteśmy solidnymi biznesmenami, panie aspirancie - roześmiał się wąsacz.

Po prawej stronie mieli rozsiadłe w dolinie miasto, toteż zjechali z autostrady na asfaltówkę. Nie zauważyli żadnej tablicy wskazującej drogę do centrum Frankfurtu.

- Będzie pan uprzejmy powiedzieć, którędy dojechać do celu - odezwał się kierowca.

Aspirant przemilczał jego prośbę; wiedział, że już wcześniej popełnił błąd, jednak nie zamierzał przyznać się do tego, żeby nie wyjść na durnia. Jego zdaniem przełożony nigdy nie zmienia swoich decyzji, a on uważał się za zwierzchnika kierowcy, wąsacza i łysego. Wprawdzie Syski nie określił, kto jest kim ani kto komu podlega, jednak aspirant nie chciał być podwładnym emerytowanych pułkowników.

- Proszę jechać prosto.
- Dziękuję za pierwszą wskazówkę. A jak dalej?
- Zobaczymy za skrzyżowaniem.

- Będzie za późno. Muszę ustawić samochód na właściwym pasie ruchu przed skrzyżowaniem - tłumaczył kierowca aspirantowi. - Pan dobrze zna Frankfurt?

- Nie za bardzo. Studiowałem przewodnik turystyczny, plan miasta, nadkomisarz Syski wystarał się o kilka wydań „Frankfurter Zeitung”...

- O, to i tak lepiej niż myślałem. Pozwoli więc pan, że od tej chwili ja pokieruję wycieczką. - Wąsacz wyciągnął rękę. - Zdjęcie i adres tego gościa.

- Dostałem...

- Gówno dostałeś, synu - przerwał mu bezceremonialnie wąsacz. - Byłoby najlepiej, gdybyś pospacerował sobie po Frankfurcie, pooglądał wystawy i wrócił na polską stronę przez Słubice.

- *Sprechen Sie deutsch?* - spytał kierowca.

Aspirant dopiero po namyśle odparł niepewnie:

- Na ostatnim roku miałem po dwie godziny lektoratu w tygodniu...

- To dużo - parsknął kąśliwym śmiechem wąsacz. - Bo my - pokazał na łysego i kierowcę - musieliśmy uczyć się rosyjskiego. Po co nam to było? - Nie przyznał się aspirantowi, że pochodzi spod Babi-mostu, gdzie każdy jego rówieśnik mówił i po polsku, i po niemiecku.

- Zatrzymujemy się na obiad czy jedziemy od razu na miejsce akcji? - Kierowca przyhamował, gotów skrócić w uliczkę wpadającą na parking przed uniwersytetem. - Jestem głodny. Przed dużą robotą zawsze ssie mnie w żołądku. A pana nie, panie aspirancie? Polecam goloneczkę z piwem. *Eisbein mit Bier*.

- Piwo podczas służby?

- Tak myśmy postępowali. I co z tego wyszło? - zarechotał łysy, wyraźnie dając aspirantowi do zrozumienia, że nie będzie grał pierwszych skrzypiec.

Wąsacz i łysy przygotowali własny plan ujęcia Jungingena, ale nie przedstawili go Syskiemu do zatwierdzenia, jak to kiedyś robili; zresztą teraz niczego takiego od nich nie wymagał. Powiedział tylko, że najpóźniej za dwa dni chce przesłuchać Jungingena w komendzie. To bardzo dużo czasu, aby sprawdzić wariant główny planu i zweryfikować jego wersję zastępczą. Drugi plan zakładał współdziałanie z przedstawicielem Polauhuru w Niemczech i był bardzo ryzykowny. Z czymś podobnym jeszcze nie mieli do czynienia.

- No to zaczynamy godziny zlecone - powiedział wąsacz.

- Najwyższy czas - stwierdził aspirant z wyższością w głosie.

- Jesteśmy gotowi. Czekamy na pańskie polecenia.

Aspirant przymrużył oczy i odezwał się tonem co najmniej inspektora policji:

- Panowie, Jungingen musi się znaleźć po polskiej stronie. O ile wiem, dobrowolnie nie przejdzie przez granicę.

- A gdyby pan go poprosił, co? - Kierowca zrobił głupią minę, ale ciągnął dalej: - „Panie Jungingen, będzie pan uprzejmy udać się ze mną do nadkomisarza Syskiego. Nic panu nie zrobimy, tylko wyjaśnimy, czy to pan zamordował czterech obywateli niemieckich, zranił piątego i dokonał nieudanego napadu na uczestniczki wycieczki. Jungingen, niech pan nie każe się długo prosić. Daję panu policyjne słowo aspiranta, że po wyjaśnieniu sprawy zostanie pan przekazany niemieckiemu wymiarowi sprawiedliwości, aby w ojczyźnie zadyndać na szubienicy”.

- Skończył pan? - syknął aspirant. - Sprawa jest poważna. Postąpimy w następujący sposób...

- Mam troszeczkę doświadczenia, panie aspirancie. Co prawda służyłem innemu systemowi politycznemu, lecz również, jak pan, za pieniądze, które także były niewielkie. Za pieniądze więc sprzedam się i racjonalizatorom Trzeciej Rzeczypospolitej.

- Nie to miałem na myśli. Chciałem, że tak powiem...

- Co pan chciał?

- Wszystko musi się odbyć zgodnie z prawem i konwencjami międzynarodowymi.

- Przejmuję kierownictwo akcji - powiedział wąsacz głosem nie uznającym sprzeciwu. - Żarty, o których pan wspomniał, odkładamy na bok. Jest godzina trzynasta czterdzieści. Przystępujemy do roboty. Realizujemy wariant główny, bo łatwiejszy.

Aspirant poczuł się wysadzony z siodła; chciał protestować, lecz kierowca kopnął go w kostkę i oczami dał do zrozumienia, że od tej pory już o niczym nie decyduje. Szefem jest wąsacz.

Łysy, który władał niemieckim jak językiem ojczystym, u szatnia-rza w restauracji Zum Kaiser Wilhelm kupił najświeższe wydanie „Frankfurter Zeitung”; przerzuciwszy uważnie pierwsze strony gazety odnalazł stopkę, gdzie oprócz składu kierownictwa redakcji były wydrukowane numery telefonów. Uważał, że jeśli wybierze numer redaktora naczelnego, najpierw zgłosi się Angelika, a o to przecież chodziło.

- Jestem kolegą Joachima - rzucił, usłyszawszy w słuchawce ciepły, kobiecy głos. - Czy może pani mi powiedzieć, gdzie go teraz znajdę? Mamy wspólnego promotora. Joachim wiele mi o pani mówił.

- O tej porze Joachim powinien być w szkole. Czy pan telefonuje z Berlina?

- Nie, jestem we Frankfurcie. Pobędę tu kilka dni. Na zlecenie pewnej firmy konsultingowej prowadzę analizę ekonomiczną starego zakładu przekąsników.

- Zna pan miasto?

- Nie, ale wezmę taksówkę.

- Szkoła znajduje się przy wylocie na Bernau. Jest tam nowe osiedle. Taksówkarz będzie wiedział, gdzie pana wysadzić. Gdyby pan nie zdążył do szkoły, to o trzeciej Joachim kończy lekcje, proszę go więc

odwiedzić w domu. Na pewno się ucieszy. Mieszkamy przy Gartenstrasse. To osiedle za parkiem.

Łysy powiedział jeszcze kilka miłych zdań, podziękował Angelice i zadowolony wyszedł z budki telefonicznej. W volkswagenie oznajmił aspirantowi, że kierowca podwiezie go w pobliże szkoły; tam ma warować, póki Jungingen nie wyjdzie z budynku.

- Przedstawi mu się pan i powie, że babcia jest w szpitalu. Przechodziła ulicę, pośliznęła się czy coś tam... Leży w szpitalu w Słubicach.

- Ja nie znam niemieckiego.

- Tym lepiej. Jungingen doskonale mówi po polsku.

- Skąd pan wie?

- Od pańskiego szefa. Jungingen rozmawiał z bokserem po polsku. Z redaktorem Sateckiem również. Jego matka to Polka, która wyszła za Niemca. W Słubicach pozostała babka. Powie mu pan, że lekarz określił stan zdrowia babci jako bardzo poważny. Tak się mówi, prawda? Czy teraz wszystko jasne?

Po raz pierwszy aspirant przytaknął.

Bez trudu dojechali na nowe osiedle; pomiędzy jego szarymi blokami kryła się szkoła, od strony drogi ogrodzona siatką; zatrzymali się na niewielkim parkingu przed sklepem z płaskim dachem.

- Musi go pan przekonać, że godziny życia babki są... po-li-czo-ne.

- Uwierzy?

- To zależy od pana. My - wąsacz kiwnął głową w stronę łysego i kierowcy - będziemy czekał przed bramą szpitala w Słubicach. Niech pan pamięta, że Jungingen jest przebiegły i ma na sumieniu kilka osób.

- A jak dostanę się do Słubic?

- Z nim - odrzekł łysy. - Jungingen jeździ fordem focusem.

O godzinie 14.10 na przysklepowym parkingu nie było żadnego forda; stały tam dwa fiaty, lśniące świeżym lakierem volkswageny, ople, audi, nissany, peugeoty. Czyżby dziś Jungingen przyjechał do pracy autobusem albo rowerem? Swoje spostrzeżenie łysy powtórzył wąsaczowi, a ten zdecydował, że ktoś musi wejść do pokoju nauczycielskiego i spytać o Joachima.

Po piętnastu minutach łysy wrócił na parking, miał nietęgą minę.

- Jungingen wyszedł ze szkoły zaraz po obiedzie - poinformował kolegów. - A od jutra będzie na dwutygodniowym urlopie.

- Wytrzasnąłeś jego adres?

Łysy wolno pokiwał głową i powiedział, nie wąsaczowi, lecz tak w ogóle, że trzeba zrezygnować z wariantu głównego. A wydawał się taki prosty i łatwy...

Wyjechali za miasto; na skraju najbliższego lasu kierowca zmienił polskie tablice rejestracyjne na niemieckie, których dwa komplety zawsze woził pod podwójną podłogą bagażnika. Krążący po ulicach volkswagen jetta z polską rejestracją mógł zwrócić czyjąś uwagę. Choć Frankfurt leży na granicy i dużo w nim obcych samochodów, trzeba jednak zachowywać się ostrożnie.

O 16.40 wrócili do centrum. Na placu przed dworcem kolejowym łysy spytał taksówkarza o drogę na Gartenstrasse. Okazało się, że uliczka biegnie równolegle do torów, za parkiem.

- Pan - wąsacz spojrział na aspiranta - idzie na pierwszy ogień. Tylko bez bohaterstwa.

- Dlaczego ja? - zjeżył się policjant. - Nikt nie będzie mi rozkazywał.

- Synu...

- Co mam robić?

- Obserwować drzwi wejściowe i okna na trzecim piętrze, ale nie tak, synu, żeby wszyscy mieszkańcy budynku wiedzieli, kim pan jest. Gdyby Jungingen wyszedł z domu...

- ... powiedzieć mu o chorej babci - dokończył aspirant zadowolony. Nareszcie poczuł się jak prawdziwy policjant.

- Nie.

- Nie?

- Reszta należy do nas. Policja w tej sprawie nie powinna maczać palców.

- Nie jestem chłopcem na posyłki - zbuntował się aspirant, a oni przyznali mu rację.

Posłusznie skrył się za klonem i zezował ku oknom na trzecim piętrze, przeklinając w myślach nadkomisarza, który na pewno siedzi sobie teraz wygodnie w fotelu przed telewizorem i popija kawusię z porcelanowej filiżaneczki.

Deszcz zaczął, wiatr z coraz większą zawziętością atakował gałęzie i porywał okruchy żwiru z alejek parkowych. Aspirant drząc z zimna, zerknął na zegarek: 17.10. Akurat na przystanku zatrzymał się czer-

wony autobus. Wysiadła z niego zgrabna kobieta, mimo porywistego wiatru poprawiła ręką fryzurę i stawiając nogi jak modelka, zmierzała w stronę domu. Na trzecim piętrze poruszyła się firanka, aspirant wyraźnie zobaczył starczą głowę. Wydawało mu się, że kobieta też ją dostrzegła, bo szła coraz wolniej, jakby chciała sobą nasycić chławię czy starca.

*

Zimny deszcz padał przez całą noc, a oni warowali w jecie, wygłodniali i zziębnięci, nie odzywając się, bo też nie mieli nic sobie do powiedzenia. Dopiero tuż przed godziną 6.00 wąsacz pozwolił im wyprostować nogi, lecz zabronił oddalania się od samochodu, sam zaś rozłożył na fotelu watę nasączoną eterem i owiniętą w foliowy woreczek, plaster, dwie linki oraz kajdanki.

Była dokładnie 6.12, miasto już wynurzało się z rzędnącego mroku, kiedy z budynku wyszedł może trzydziestoletni mężczyzna w bordowym dresie, nie za wysoki, na pierwszy rzut oka wysportowany. Wąsacz wyjął lornetkę z futerału i skierował ją na twarz porannego ptaszka: bez trudu dostrzegł szramę na prawym policzku, jasne włosy spadające na czoło, mięsiste wargi. Nie miał wątpliwości, że to Jungingen, który wybrał się na codzienną gimnastykę.

Joachim spojrzał w lewo, wyciągnął rękę, jakby sprawdzał, czy jeszcze pada deszcz, i ruszył truchcikiem do parku.

Na znak wąsacza łysy wyjął papierosy z kieszeni, a gdy Jungingen przebiegał obok niego, odezwał się po niemiecku:

- Przepraszam szanownego pana, gdzie mieszka Dietrich Vogel? - Nie było to nazwisko wymyślone na poczekaniu, w nocy łysy sprawdził spis lokatorów budynku i wydedukował, że Vogel jest najbliższym sąsiadem Jungingena. - Wiem, że ma mieszkanie gdzieś przy Gartenstrasse.

- Tutaj - odpowiedział Joachim w biegu i pokazał za siebie. - Na trzecim piętrze - dodał.

Umysł łysego pracował błyskawicznie.

- Jeszcze jedno pytanie. Przepraszam, że panu przeszkadzam, nie chciałbym być natrętny. Czy Dietrich, to znaczy Vogel, czuje się dobrze? Przyjechałem najszybciej jak tylko mogłem aż spod Hamburga, bo z jego listu wywnioskowałem, że coś jest nie tak.

Jungingen drepcząc w miejscu odrzekł:

- Nigdy nie słyszałem, aby Vogel narzekał na swoje zdrowie. Mało rozmawia z sąsiadami, ale gdyby był chory, wiedziałbym o tym. Od śmierci żony trochę zdziwaczał.

- Co? To ona nie żyje? - Łysy udał zdumienie. - Nic mi o tym Dietrich nie pisał.

- Będzie już z pół roku, jak pani Vogel umarła.

- Chorowała, męczyła się i on z nią. Wiem coś o tym. Moja żona, czyli siostra Dietricha, też nie żyje - powiedział, przywołując na twarz wyraz smutku.

- Przepraszam, mam niewiele czasu - mruknął Joachim i się odwrócił.

To był moment, na który czekał łysy. Jednym, gwałtownie wymierzonym ciosem w kark powalił Jungingena. Teraz wszystko działało się w mgnieniu oka i całkowitej zgodzie z drugim wariantem planu wążacza. Łysy błyskawicznie skrępował nogi i ręce Joachima, wążacz na kilka sekund przytknął mu do nosa watę nasączoną eterem, po czym zakleił usta plastrem. Przez najbliższe cztery godziny Joachim się nie obudzi. Kierowca wycofał volkswagena między klony i otworzył bagażnik, wtedy wążacz i łysy ułożyli Niemca na kocach. Aspirant nie brał w tym udziału, przypatrywał się z boku, podziwiając sprawność emerytowanych policjantów.

O godzinie 6.50 byli już na drodze krajowej, wiodącej wzdłuż Nysy z Frankfurtu przez Eisenhüttenstadt i Neuzelle do Guben. Kierowca prowadził samochód spokojnie i uważnie, nie przekraczając dziewięćdziesiątki, stosując się skrupulatnie do przepisów i znaków. Kiedy przejechali pod wiaduktem autostrady berlińskiej, deszcze przestał siać, a zza chmur nieśmiało wychyliło się poranne słońce, jakby życząc im szczęśliwej podróży.

- Zapowiada się piękny dzień - przerwał milczenie łysy. - No i co pan o tym sądzi? - zagadnął aspiranta, wciśniętego w fotel auta. - Wykonaliśmy najtrudniejszą część zadania. Wariant główny byłby o wiele łatwiejszy, przynajmniej z punktu widzenia prawa. Jak mówił minister pewnego Adolfa, zwycięzcy nikt nie spyta o zasady etyczne. - Skrzywił usta w uśmiechu i zagwizdał.

Z naprzeciwnika pędził samochód policyjny z włączonym kogutem.

Kierowca zerknął na licznik, potem na włącznik świateł mijania.

- Nie ma powodu do zdenerwowania, panie aspirancie. Spokojnie, bo jeszcze narżnie pan w portki. Niech pan uważa się za niewinnego, a będzie nim pan do końca naszej wyprawy.

Po lewej stronie drogi przesuwwały się hale i kominy kiedyś największej we wschodnich Niemczech huty. Powietrze było przesycone siarkowodorem.

- Za żadne pieniądze nie chciałbym tu mieszkać - znowu odezwał się kierowca.

- Gdybyś miał żonę i dzieci, a nie miał dachu nad głową, nie patrzyłbyś na otoczenie - mruknął wąsacz.

Ruch w Eisenhüttenstadt jak na wczesny ranek był ogromny. Tyśiące mężczyzn na motorowerach, rowerach, w najtańszych volkswagenach, fordach, nawet jeszcze w wartburgach i trabantach kierowały się w stronę wjazdu do huty. Co kilkaset metrów główny trakt przecinały drogi boczne; przed nimi co i rusz zapalały się czerwone światła, dopiero w starej części miasta kierowca mocniej wcisnął pedał gazu i volkswagen przyspieszył.

- Jedź ostrożnie - upomniął go wąsacz.

- W tym fachu nie jestem aspirantem, szefie - odciął się kierowca. Rzucił wzrokiem na zegarek. - Zdążymy.

Aspirant jeszcze nie ochłonął z emocji, jakie przeżył, widząc radiowóz, a już zastanawiał się, w jaki sposób przewiozą Jungingena przez granicę. Przecież celnicy każą otworzyć bagażnik jetty, zajrzeć pod koc i zobaczyć związanego człowieka!

Przed Neuzelle zjechali z asfaltówki na śródleśny parking. Stała tam dwupoziomowa przyczepa podwoziowa, pełna nowiutkich volkswagenów passatów.

- Długo czekasz? - zapytał wąsacz mężczyznę, który zza drzew wyszedł mu na spotkanie.

- Od piątej. Masz towar?

Wąsacz dał mu znak głową. Kierowca otworzył bagażnik jetty i podniósł koc, którym był przykryty jeniec. Przez chwilę przyglądał się jego twarzy.

- On?

- Wtedy miał na sobie czarną kurtkę - przypomniał drugi kierowca - ale ta twarz rzuca się w oczy.

- Nie każdemu - zgasił go łysy, ruchem głowy pokazując na aspiranta.

- A ja już wtedy byłem przekonany, że gość ma pilne zadanie do wykonania - upierał się drugi kierowca, psycholog z wykształcenia.

- Na lewej ręce miał być tatuaż... Jest. Pod nim jakiś napis... Jest *finis coronat opus* - punktował łysy z zadowoleniem.

- Co to znaczy? - zaciekał się aspirant.

- Koniec wieńczy dzieło - odparł bez namysłu łysy, lecz aspirant mu nie uwierzył.

Wąsacz sprawdził więzy na nogach i przegubach rąk jeńca, uniósł powiekę jego lewego oka i skierował na źrenicę promyk cieniutkiej latarki - zareagowała natychmiast.

- Przerzucamy go.

Łysy i wąsacz przenieśli Jungingena z volkswagena jetty do środkowego auta na przyczepę, jak walizkę pełną książek wsunęli do bagażnika, położyli na słomianej macie. Kierowca przyniósł plombownicę z szoferki, przez otwór zamka i uchwyt na pokrywie przewłókł skręcony drucik, splótł go jak warkocz i zaplombował.

- Gotowe. Ruszamy? - spytał wąsacza.

- Chwileczkę, jeszcze muszę zamienić tablice rejestracyjne - odezwał się kierowca jetty.

Piętnaście minut później samochody minęły Neuzelle i skierowały się do przejścia granicznego w Guben. Najtrudniejsze przed nimi, orzekł w myślach aspirant, ale to nie moja sprawa, niech faceci z Polauhuru łamią sobie głowy.

- Żona prosiła, żebym kupił coś dla wnuczka. W niedzielę będzie miał roczek - przypomniał sobie łysy. - A pan, panie aspirancie, niczego nie potrzebuje?

- Nie - odrzekł, choć wcale nie był pewien, czy rzeczywiście powiedział prawdę. Kiedyś obiecywał sobie, że z każdej podróży zagranicznej będzie przywoził maskotkę, aby mu przypominała, gdzie był i co tam widział.

*

Przekroczenie granicy okazało się zwyczajną formalnością. Celnicy nawet nie sprawdzili ich dokumentów. Dłużej trwała odprawa pod-

woziówki załadowanej volkswagenami, ale i ona po godzinnym sprawdzaniu dokumentów została przepuszczona na polską stronę.

- Udało się - powiedział aspirant ze ściągniętą twarzą, gdy w lesie za Gubinem Łysy podał mu butelkę piwa.

- Reszta należy do pana, panie aspirancie - rzekł z udaną powagą wąsacz. - To jak w końcu panu na imię? Jak mamusia woła na pana?

- Andrzej.

Rozdział XIV

Przez kilka ostatnich dni Karin Albrecht zebrała niemało informacji o szefie frankfurckiej policji. Wiedziała, że od chwili objęcia stanowiska robi wszystko co w jego mocy, aby oficjalnie nie spotkać się z prasą. Jest małomówny, zamknięty w sobie, w ogóle nie lubi odpowiadać na pytania, a teraz szczególnie broni się przed dziennikarzami, którzy łakną wiadomości na temat tego, co się wydarzyło po stronie polskiej. Zapewne nie zgodziłby się również na rozmowę z Karin, gdyby nie wymieniła nazwiska jego asystenta. Najpierw chciał ją odesłać do swojego zastępcy, przyjaciela Kirscha, lecz po zastanowieniu przystał na propozycję dziennikarki.

Brakowało pięciu minut do dziesiątej, kiedy Karin przekroczyła próg gmachu Prezydium Policji od strony Bachgasse, pokazała legitymację prasową dyżurnemu, a on uśmiechnął się zyczliwie i bez wahania zaprowadził ją na pierwsze piętro. Karin wydawało się, że gdy dyżurny wskazywał jej drzwi sekretariatu Schneidera, na końcu korytarza ukazał się na moment mężczyzna na krótkich nogach i z wielką głową. Nie miała pewności, ale to mógł być ten sam mężczyzna, który kazał związać ją i Daniela w leśniczówce. Nawet chciała się cofnąć, poczekać, może mężczyzna ponownie wyjdzie na korytarz, ale dyżurny popatrzył na nią pytająco dokąd pójdzie, a zegar uczepiony ściany nad drzwiami sekretariatu Schneidera wybił dziesiątą. Nie mogła się spóźnić.

- Całkiem inaczej wyobrażałem sobie panią redaktor - oświadczył doktor otwarcie, kiedy już się przywitali.

- Sądził pan, że przyjdzie baba w spodniach, z wielką torbą przewieszoną przez ramię, w której będzie się znajdował włączony magnetofon? I już w drzwiach zaatakuję pana pytaniami?

- Przyznam się, że to, co powiedział mój asystent prasowy, sugerowało właśnie taki obraz pani.

- Nie znam pańskiego asystenta - odparła. - Nikt spośród policjantów nie rozmawiał ze mną oficjalnie ani nie był mi przedstawiony prywatnie, skąd zatem ta opinia o mnie?

- Pan Kirsch, zajmujący się kontaktami zagranicznymi, przy okazji... Pani go nie poznała? Wydawało mi się, że podczas naszej jedynej, jak dotąd, rozmowy telefonicznej wymieniła pani jego nazwisko.

Karin zupełnie o tym zapomniała, musiała więc w jakiś sposób naprawić swój błąd.

- Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek była w tym gmachu, nie mogłam więc wymienić żadnego nazwiska.

Co on wie o drugim obliczu Kirscha? Czy można otwarcie zadawać pytania? Niekiedy lepiej mniej wiedzieć...

- Podziwiam panią - rzekł policjant, siląc się na uprzejmość - czasem jednak wkracza pani za daleko. Z niektórymi pani stwierdzeniami miałbym ochotę polemizować.

- Na przykład?

- Skąd pani wie, że byli członkowie SED posiadają długą broń myśliwską i po dwa pistolety każdy? Pani pisze, że również byli agenci Stasi pozostają uzbrojeni. To poważne oskarżenia.

- Proszę więc oficjalnie zaprzeczyć. Gazeta, zapewniam pana, wydrukuje każdy tekst, w którym będzie zawarte stanowisko urzędów państwowych. Gazeta ma taki obowiązek. Gdybym kłamała, już by agenci Bundesnachrichtendienstu brali mnie na spytki. A ja miałam odwagę podać do publicznej wiadomości jedynie to, co jest dobrze znane policji. Mylę się, panie doktorze?

Schneider przeciął ręką powietrze.

- Próbuje pani znaleźć winnych skazania porucznika... pani ojca - powiedział, chociaż ona nigdy nie prosiła policji o jakąkolwiek pomoc. - Być może został oskarżony bezpodstawnie, lecz i o to panią serdecznie proszę, pani Albrecht - nie trzeba wracać do sprawy sprzed wielu lat, już zamkniętej. Ruszenie choćby tej jednej spowoduje lawinę procesów rewizyjnych. Wschodnie państwo niemieckie przestało istnieć trzeciego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Są zjednoczone Niemcy, gdzie obowiązują normy federalne. Wprawdzie spoczywa na nas moralny i prawny obowiązek sprawiedliwego osądu, naprawienia błędów, wyrównywania krzywd, ale, proszę pani, czy należy stawiać przed trybunałem naród, który przez blisko pół wieku był poniżany?

- Nie mam na myśli całego narodu. Zbiorowa odpowiedzialność nie istnieje. Chociaż historia współczesna zna jej przykłady. Za śmierć Jezusa na krzyżu...

- ... Niemcy skazali naród żydowski - dokończył pojednawczo.

Karin rzuciła mu wściekle spojrzenie.

- Zrozumiałam, że nie uzyskam żadnej pomocy. Czy tak brzmi odpowiedź szefa frankfurckiego Prezydium Policji?

- Jeśli pani przyszła do mnie wyłącznie w tej sprawie, nic więcej nie mam do powiedzenia.

Zagalopowałam się, stwierdziła samokrytycznie. Na całym świecie nie ma mężczyzny, który nie ulegnie kobiecie, tylko trzeba dużo cierpliwości, aby go przekonać, że ciągle jest maminsynkiem.

- Trzydzieści lat temu, zaraz po studiach, rozpoczął pan pracę w sądzie wojskowym - przypomniała mu, łagodniejąc w ocenie faktów. - Wtedy większość rozpraw toczyła się przy drzwiach zamkniętych dla publiczności. Ta również.

- To mogę potwierdzić.

- Chciałabym dostać się do archiwum policyjnego.

- Obawiam się, że w ciągu kilku najbliższych lat będzie to niemożliwe.

- Proszę sobie przypomnieć, czy mój ojciec został postawiony przed sądem na podstawie czyjegogo doniesienia? Spytał inaczej: kto i o co go oskarżył?

- Już powiedziałem, pani Albrecht, że w tej sprawie...

- Proszę tylko odpowiedzieć na moje poprzednie pytanie. Obiecuję, że więcej nie będę natarczywa - powiedziała i odchyliła głowę na oparcie fotela, udając bardziej potulną niż zmęczoną.

Co najmniej przez minutę Schneider milczał, jakby zbierał myśli i przypatrywał się Karin z zainteresowaniem mężczyzny w średnim wieku, a ona go nie ponaglała. Gdy się w końcu odezwał, w jego głosie wyraźnie zabrzmiało zwątpienie i niechęć.

- W tamtym czasie każdy mógł zostać oskarżony. Wcale nie trzeba było popełnić wykroczenia przeciw obowiązującemu prawu - cedził słowa, starając się nie powiedzieć za dużo. - Czasem wystarczyło krzywo spojrzeć na sekretarza organizacji partyjnej. Kiedy indziej zadać najprostsze pytanie, na przykład o to, dlaczego w sklepach nie ma świeżego chleba. Ludzie nie domyślali się, że ich rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane, listy czytane, że są śledzeni nie tylko przez obcych, lecz i przez kuzynów. W telewizorach były montowane tak zwane pluskwy... Wie pani, o czym mówię?

- Miniaturowe urządzenia podsłuchowe.

Kiwnął głową i ciągnął dalej:

- Urzędnik państwowy nie miał prawa wymieniać korespondencji z rodziną zamieszkałą w części zachodniej naszego wielkiego kraju. Jeśli udało mu się uzyskać zgodę władz, to każdy list otrzymany i wysyłany musiał składać do ocenzurowania. Naruszenie tego nakazu było równe z wydaniem na siebie wyroku.

- Pan mówi o tym, o czym dziś wszyscy wiedzą. Nie po to tu przyszedłem.

Schneider zapatrzył się na jej piękną twarz i ciemne, przepełnione zaciekawieniem oczy. Udała, że tego nie widzi. Gdyby jednak musiała użyć swojej urody i kobiecego wdzięku, którego jej przecież nie brakuje, nie zawahałaby się.

- Utrzymywanie kontaktów z rodziną za Łabą oznaczało degradację społeczną i zawodową - stwierdziła, ale on nawet nie skinął głową.

- W najtrudniejszej sytuacji byli żołnierze zawodowi. Pani ojciec należał do korpusu oficerskiego. Takich jak on dzień w dzień prześwietlali niemieccy agenci, wyszkoleni w akademiach moskiewskich i sami Rosjanie. Niemieccy byli gorliwsi.

- Pomoże mi pan?... Bardzo proszę.

Zacisnął usta i pokręcił głową przecząco.

- Nie za darmo. - Poprawiła się w fotelu, wystawiając zgrabne łydki i kolana obciążone rajstopami we wzorki.

Jakby się speszył, ale zdecydowanie pokręcił głową.

- A gdybym przekazała panu pewne dane o akcji „Miś”? - próbowała targu.

- Nie pamiętam, aby kiedykolwiek została przeprowadzona operacja pod takim kryptonimem.

- Ma pan dobrą pamięć, panie doktorze. Tej akcji dotąd nie było, ona dopiero zostanie przeprowadzona.

- Kiedy? - spytał raczej lekceważąco.

- Coś za coś - Karin nie ustępowała. - Pan mi pomoże w sprawie ojca, ja przekażę panu kilka szczegółów o „Misiu”.

- Nic z tego. Nie nabierze mnie pani redaktor. - Roześmiał się sztucznie. Czubkiem buta nacisnął guziczek magnetofonu, który był pod jego biurkiem. - Co do „Misia”... Jestem przekonany, że wiemy

więcej, niż pani sądzi. Źródła informacji mamy różne, ale wiadomości identyczne. Czy skonfrontujemy swoją wiedzę?

- Tym razem, panie doktorze, ja nie dam się nabrać. - Wyjęła z torebki posrebrzane pudełeczko, w którym znajdował się antymikrofon. Otworzyła je i gruchanie zabrzmiało wyraźniej. - Produkt made in BND.

Schneider zmieszał się, uciekł wzrokiem na książki, półkami wspinające się ku sufitowi. Postanowił zmienić taktykę. Może po minucie głuchego milczenia swoim naturalnym głosem spytał:

- Kim pani jest?

- Dziennikarka, kobietą, córką skazanego porucznika, która chce jak najwięcej dowiedzieć się o swoim ojcu.

- Za używanie tego rodzaju urządzeń...

- Pan też nie zachował się zgodnie z prawem Priestleya. - Nie mogła pozwolić, aby policjant był górą.

- Trudno się z panią rozmawia...

Karin wstała z fotela i zarzuciwszy torbę na plecy, powiedziała:

- Gdyby pan zmienił zdanie, proszę o wiadomość do redakcji. W domu bywam rzadko i wyłącznie w męskim towarzystwie.

- ... mimo to podziwiam panią.

- Ja dojdę do prawdy, potrwa to dłużej niż z pana pomocą, ale dojdę. Mnie nie zależy na tym, żeby wszystko, co odkryję, ukazało się w gazecie. Pewne rzeczy muszą pozostać tajemnicą. - Postanowiła, że ani słowem nie pisnie na temat Kirscha. Przyszła do Prezydium właśnie z tą myślą, lecz skoro Schneider zachowuje się jak służbista, jeszcze jakiś czas będzie milczała. - Akcja „Miś”. Proszę nie lekceważyć sygnału.

Doktor odprowadził ją aż na korytarz. I chociaż Karin oddalała się od drzwi jego gabinetu coraz szybciej, stał oparty o futrynę i zastanawiał się wciąż, czy nie zawołać jej z powrotem. Może rzeczywiście nie blefowała? Czego nie zakazuje prawo, zabrania wstyd.

Gdy Karin opuszczała budynek Prezydium Policji, Kirsch stał za firanką w swoim pokoju i z wysokości pierwszego piętra przypatrywał się jej zgrabnej sylwetce. Mądra i ładna, ale musi zamilknąć na zawsze, postanowił. Centrala o niczym nie będzie wiedziała. Co ta wścibska kobieta nagadała Schneiderowi?

Na jego biurku zaterkotał telefon.

- Słucham.

- Za pięć minut ma pan zameldować się u szefa - oznajmiła sekretarka. I dodała: - Doktor Schneider jest rozwścieczony.

Kirsch ze słuchawką w dłoni ciężko opadł na krzesło. Przymknął oczy, oddychał głęboko przez usta i nos, jakby brakowało mu powietrza; czuł, że ma mokrą koszulę na plecach. A więc Karin musiała coś powiedzieć.

*

Archiwum redakcyjne znajdowało się w suterenie. Karin postanowiła tam zajrzeć, na razie nikomu nie wspominając, czego szuka. Przypuszczała, że o procesie oficerów pisała ówczesna prasa centralna i lokalna. Przekartkowała zszywkę dziennika „Neuer Tag” z siedemdziesiątego piątego roku, lecz niczego nie znalazła. W każdym numerze gazeta informowała czytelników o wrogach ustroju, podawała przykłady prób sabotażu, ale Karin nie napotkała choćby jednozdaniowej wzmianki o swoim ojcu i procesie oficerów.

Wolfmann mimo wieku niemal emerytalnego jeszcze był rześki i miał doskonałą pamięć. Lubił, gdy młodszy dziennikarze zwracali się do niego z wątpliwościami i zazwyczaj nikomu nie odmawiał pomocy. Toteż gdy Karin przedstawiła mu swoją prośbę, rzekł jak ojciec do najmłodszej córki:

- Nie zadręczaj się, dziewczyno. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Wystarczy logicznie pomyśleć. Twierdzisz, że ojczulek służył w ludowej armii... - Przymrużył oczy, jakby to odświeżało umysł. - Coś powinienem zachować w pamięci.

- Błagam pana, ja muszę wiedzieć więcej o ojcu. To jest dla mnie najważniejsze. - Pocałowała go w policzek. - Będę panu ogromnie wdzięczna.

Wolfmann uśmiechnął się i rzekł spokojnie:

- Proces odbywał się przed sądem wojskowym, przy drzwiach zamkniętych. Jediną osobą postronną byłem ja.

- Pan?!

- Przysłuchiwałem się rozprawie, lecz nie robiłem żadnych notatek. Nie mogłem. Po prostu dostałem taki zakaz.

- Od kogo? - przerwała mu niecierpliwie.

- Wszystko, co się ukazało na łamach gazet, zostało ocenzone
- kontynuował, nie odpowiadając na jej pytanie. - Jeśli dobrze pamiętam, codziennie, zaraz po rozprawie, przewodniczący sądu dyktował mi treść komunikatów. Byłem tylko zapisującym narzędziem. Nie miałem innego wyjścia.

Spojrzała na Wolfmanna zachmurzona. Nie mogła zrozumieć, dlaczego dziennikarz zgodził się zajmować sprawą, o której nie mógł napisać własnego zdania.

- Posłuchali się panem - rzekła ze współczuciem.

- Proces trwał trzy, może cztery dni. A miał miejsce, o ile dobrze pamiętam, na początku czerwca siedemdziesiątego piątego roku. Sześć miesięcy prokuratura potrzebowała na sporządzenie aktu oskarżenia.

- Czy występowali jacyś świadkowie? Bronili ojca? Obwiniali go?

- Nawet w tamtym czasie sąd był sądem, przynajmniej formalnie, droga Karin.

- Kto oskarżał ojca?

- Prokurator wojskowy, major Jakobsman. Ale jako koronny świadek wystąpił kucharz z kasyna oficerskiego.

- A cóż on mógł wiedzieć?!

- Panowie oficerowie spotkali się w mieszkaniu dowódcy pułku, chyba podczas jego urodzin. Dopóki nie wypili kilku kieliszków, dyskutowali o wszystkim i o niczym, jak to mężczyźni, ale pilnując się, żeby nie powiedzieć o to jedno słowo za dużo. Później rozmowa przeniosła się na grunt wojskowy. Prokurator określił ją jako próbę podważania sojuszu bratnich armii Układu Warszawskiego. Kucharz potwierdził, że oficerowie omawiali wyposażenie wojska w sprzęt, jego stan, poddając go druzgocącej krytyce. Coś jeszcze wspomniał o wyśmiewaniu się z oficerów sowieckich. Musiałbym jednak zajrzeć do archiwum.

Pomogła mu zdjąć z regału stare zszywki poślótkłych gazet; w kilku numerach na pierwszych stronach były zdawkowe relacje z sali sądowej. Wolfmann wymieniał nazwiska sześciu oskarżonych, podawał również, że jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy wszyscy oficerowie zostali zdegradowani i usunięci z armii. Przed sądem wojskowym stanęli w cywilnych ubraniach. Nie znaleźli natomiast żadnych informacji o świadku.

- Zaraz... on się nazywał... - Wolfmann zmarszczył czoło, pochylony, z założonymi do tyłu rękami człapał po archiwum, usiłując przypomnieć sobie nazwisko świadka. - Starzeję się.

- Chciałabym mieć taką pamięć.

- Imię Dietrich na pewno, ale jakie nazwisko? Adler ?... Tauber?... Huhn?... Miał jakieś ptasie nazwisko.

- Może po prostu: Vogel?

- Vogel! - wykrzyknął radośnie Wolfmann. - Dietrich Vogel!

- Dziękuję, panie redaktorze, mój zbawco.

Karin wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Przykro mi, że ja właśnie...

- Gdyby jeszcze mógł pan chciał wskazać drogę do tego Vogla, będę wdzięczna dozgonnie.

Pokręcił głową, rozłożył ręce i patrzył na Karin zawstydzony.

- Nie miał pan wówczas żadnych oporów? A gdyby pan odmówił albo ogłosił własny tekst na ten temat?

- Karin, dziecko drogie, w tamtym czasie coś takiego, o co pani pyta, było nie do pomyślenia. Do mnie należało jedynie moje nazwisko, reszta do Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności.

- No, tak - powiedziała pojednawczo. Już nie miała do niego pretensji.

- Czuję się winny.

- Muszę odnaleźć kucharza. Nie zamierzam na nim się mścić. Chcę poznać prawdę. Nic więcej. Tyle tylko obiecałam matce.

Wolfmann westchnął i pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Radzę popytać na policji. Może ktoś z dochodzeniówki zapamiętał Vogla? Wśród kelnerów, barmanów, kucharzy, recepcjonistek najwięcej było i jest współpracowników policji. W ten sposób jedni dorabiają do swoich pensyjek, drudzy zdobywają kompromitujące polityków materiały.

- Poradzę sobie, panie Wolfmann. Dziękuję za pomoc. - Na odchodne jeszcze raz pocałowała go w policzek. - Jestem coraz bliżej celu - dodała już w drzwiach.

Wolfmann skrzywił się zażenowany. Wolałby, żeby Karin się rozpłakała, wykrzyczała swój ból, nazwała go czerwoną gnidą. Nie tłumaczyłby się, bo przecież wtedy musiał być konfidentem bezpieczeństwa.

I czy tylko on jeden? W tamtym państwie wszyscy dziennikarze donosili. Dostawali za to liche marki, bony do Interschopu, talony na samochody, skierowania na wczasy zagraniczne. Wtedy niewielu czyniło sobie wyrzuty, takie były czasy i tacy ludzie. To miało trwać wiecznie.

*

W książce telefonicznej nazwisko Vogel wypełniało całą stronę, lecz nie było nikogo o imieniu Dietrich. Tego Karin się spodziewała. Powinna wybrać się do biura meldunkowego i zrobiłaby to niezwłocznie, gdyby nie spojrzała na Angelikę, która siedząc bez ruchu bezmyślnie, wpatrywała się w ekran komputera.

- Stało się coś? - spytała, położywszy dłoń na jej drżącym ramieniu.

Sekretarka chwyciła ją mocno za rękę.

- Achim nie wrócił do domu - powiedziała cicho.

- I ty, dziewczyno, z tego powodu wylewasz łzy? Wróci. Pohasa i wróci, jeszcze będziesz miała go za dużo. Mój też wymykał się na kilka dni, na kilka tygodni, a potem wracał potulny jak pudełek i błagał o przebaczenie. Tacy oni są. Teraz mam spokój, nie muszę słuchać żadnych kłamstw czy wymówek - powiedziała, grając zadowoloną ze swojej samotności. - Dokąd Achim pojechał?

- Rano, jak każdego dnia, ubrał się w dres i wyszedł poćwiczyć do parku.

- Nie wrócił z gimnastyki?

- Achim codziennie przebiega pięć kilometrów po parku. Trwa to do pół godziny. Zmęczony wraca, kąpie się, zjada śniadanie i jedzie fordem albo idzie do szkoły. Dziś... - Angelika rozplakała się głośno, bez zahamowań.

- Może zrobił ci głupi dowcip? Dojrzali biologicznie mężczyźni często zachowują się jak chłopcy w piaskownicy - stwierdziła Karin, ale sama w to nie wierzyła. - Dzwoniłaś do szpitala? Na policję? Do jego matki?

Angelika kiwała głową, a łzy jak grochy toczyły się po jej policzkach.

- Wszędzie. Dowiadywałam się nawet w izbie wytrzeźwień po polskiej stronie.

- I najmniejszego śladu?

Karin przeczuwała, że wydarzyło się coś rozstrzygającego, coś, na

co on nie miał żadnego wpływu i co stało się wbrew jego woli. Poprosiła o więcej informacji o Joachimie.

- Dzwoniłam również na uniwersytet - przypomniała sobie niespodziewanie Angelika.

- Na Viadrinę? Po co?

- Nie na Viadrinę, lecz do Berlina. Achim pisze tam pracę doktorską. Pomyślałam sobie, że może... - Łzy wypełniły jej wielkie oczy. - Sekretarka odpowiedziała, że nikt o nazwisku Joachim Jungingen nie jest doktorantem profesora Reisha. Kłamała. Achim od wielu lat przynajmniej raz w miesiącu jeździ do Berlina. Ma jeszcze do zdania egzamin z języka angielskiego.

- Pewnie sekretarka po prostu go nie zapamiętała - skonstatowała Karin i pomyślała, że coś się jednak nie zgadza. Dlaczego Joachim miałby uciekać od Angeliki? Gdyby zdecydował się ją zostawić, zrobiłby to w ciągu dnia, a nie wczesnym rankiem, odziany w dres.

- Nic ostatnio nie zwróciło twojej uwagi? Może Joachim wspominał o czymś, co wydało ci się dziwaczne, podejrzanе, zabawne albo niezrozumiałe? Jak się zachowywał w domu?

Angelika przypomniała sobie reakcję Joachima tego wieczora, kiedy niespodziewanie wrócił do domu i zastał Daniela w mieszkaniu, ale nie wspomniała o tym, bo czuła się trochę winna. Joachim, zawsze rozmowny i wesoły, wtedy był spięty, niewiele się odzywał. Po wyjściu Daniela miał do niej pretensję o to, że podała na stół wino bułgarskie, a nie reńskie i nie przygotowała obfitej kolacji.

- Wczoraj wczesnym popołudniem telefonował do mnie, do redakcji, kolega Achima - powiedziała z wahaniem, jakby coś się nie zgadzało.

- Czego chciał?

- Spytał o adres domowy i miejsce pracy Achima. Mówił, że musi się z nim natychmiast spotkać.

- Jak się nazywał?

- Nie pamiętam, ale musiał być kolegą Achima ze studiów doktorskich. Dziś rano rozmawiałam z dyrektorem szkoły, potwierdził, że wczoraj tuż przed trzecią przyszedł do pokoju nauczycielskiego mężczyzna i dopytywał się o Joachima. Mężczyzna odjechał sprzed szkoły volkswagenem jetta.

Oczy Karin zwęziły się, w ich kącikach pojawiły się drobne zmarszczki.

- Czy po powrocie z redakcji do domu rozmawiałaś z Joachimem?

- O jego koledze, który do mnie dzwonił? Nie pomyślałam, że to może być ważne - przyznała się. - Sądzisz, że... Nigdy nie wnikałam w to, czym się zajmuje Achim.

- Szukałaś go w parku? Może zasłabł? Pytałaś sąsiadów?

- Oczywiście. Nikt go nie widział. Pan Vogel - dopiero teraz zaczęła sobie coś kojarzyć - zapamiętał volkswagena jettę jakby ukrytego za drzewami w pobliżu naszego domu. Samochód stał tam do późnej nocy.

Karin zeszywniała.

- Jak się nazywa twój sąsiad?

- Pod nami mieszkają państwo Kochowie, nad nami Mettheimerowie...

- Przed chwilą wymieniałaś inne nazwisko.

- Vogel, Dietrich. Stary dziwak.

- Dobrze go znasz?

- Zawsze, gdy wychodzę do autobusu i wracam z redakcji, obmacuje mnie wzrokiem. Niedawno zmarła mu żona.

- Dietrich Vogel - powtórzyła Karin, jakby nie wierzyła własnym uszom. - Kim on jest?

- Emerytem. Kiedyś podobno pracował w kasynie oficerskim jako szef kuchni.

Uśmiech rozjaśnił twarz dziennikarki.

- Pewnie nie potrafię ci pomóc, ale ty, kochana, mnie bardzo pomogłaś. Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo. - Karin ucałowała ją w policzek i na krótko przytuliła. - Jestem ci wdzięczna.

Zarzuciła torbę na ramię. W drzwiach zatrzymało ją pytanie Angeliki:

- Gdzie mam szukać Achima?

- Mężczyźni zawsze wracają do swoich gniazd - rzuciła Karin i wyszła.

*

W samo południe, mimo chłodu i porywistego wiatru, na Rosa Luxemburg-Strasse, głównej ulicy Frankfurtu, ruch był ogromny;

wszystkie auta mknęły w kierunku mostu granicznego, za którym rozsiadły się Słubice. Przed skrzyżowaniem Karin zjechała na prawy pas drogi i kiedy pędziła szeroką Karl Marx-Strasse, spostrzegła w bocznym lusterku błękitnego opła, który ani jej nie wyprzedzał, ani nie dawał żadnych znaków, żeby się zatrzymała. Kiedy przyspieszała, kierowca opła również przyspieszał, kiedy lekko hamowała, hamował i opel. Zamiast ponownie skręcić w prawo, gdzie za parkiem leżała Gartenstrasse, Karin pojechała prosto, przyspieszyła, a przed gmachem poczty nagle zahamowała, zmuszając opła, by ją wyprzedził. Za kierownicą siedział młody mężczyzna, ale tylko tyle zdążyła zobaczyć. Na skrzyżowaniu za uniwersytetem skręciła w lewo, następnie w prawo, dojechała do parkingu przy hotel Central i dopiero tam się zatrzymała złąkniona. Oparta o zagłówek czekała dobry kwadrans, spoglądając w lusterko wsteczne, czekała tak może kwadrans, ale mężczyzna w błękitnym opelu nie pojawił się więcej. Mimo to była przekonana, że jest śledzona.

Nacisnęła guziczek domofonu przy nazwisku Dietricha Vogla, lecz nikt się nie odezwał. Przez chwilę stała przed zamkniętymi drzwiami, mając nadzieję, że ktoś wyjdzie z domu na przykład do śmietnika, wtedy ona bez trudu dostanie się do środka. Nikt jednak nie opuszczał budynku. Okna na trzecim piętrze były zamknięte. Karin wróciła do samochodu i czekała, obserwując ruch na ulicy. Ciągłe zastanawiała się, kim był mężczyzna w opelu, który jechał za nią od redakcji prawie aż do poczty, jakby znał jej plan. Czyżby Schneider kazał ją śledzić? A może Kirsch depcze jej po piętach na własną rękę? Oznaczałoby to, że zapędziła się za daleko.

Od tygodnia nie było żadnych informacji o napadach na Niemców po polskiej stronie. Berlińskie gazety jeszcze pisały o wypadkach sprzed miesiąca, ale nie w tonie oskarżycielskim i nie obarczały winą wyłącznie Polaków. Sama Karin od drugiego zabójstwa miała coraz więcej wątpliwości. Wydawało się jej, że mordercy jakby zależało na wywołaniu niepokoju wśród Niemców. Za kilka dni ma dojść do spotkania kanclerza z premierem Polski i rozmów, między innymi na temat efektów współpracy. Są w Niemczech siły polityczne, które nadal nie pogodziły się z uznaniem granicy na Odrze i Nysie i zapłacą każdą cenę za unieważnienie układu granicznego. A ten układ to jak

tryumf polityków zachodnich Niemiec, sukces może najpoważniejszy w powojennych dziejach republiki.

Z autobusu wysiadł lekko przygarbiony mężczyzna, mógł mieć niewiele ponad sześćdziesiąt pięć lat. Na podstawie tego, co opowiadała Angelika, Karin uznała, że to musi być Vogel. Nie pomyliła się.

- Jestem dziennikarką - powiedziała przez domofon, gdy on już był w mieszkaniu. - Chciałabym z panem porozmawiać.

- Ze mną? - spytał ze zdziwieniem. - A o czym?

- Zbieram materiał do artykułu o specjalnościach kuchni wojskowej - wymyśliła na poczekaniu. - Pan Kirsch uważa, że jest pan jednym z najlepszych ochmistrzów we Frankfurcie.

- Nigdy nie pracowałem na statku.

- Przepraszam, pewnie coś pomyliłam, panie Vogel. Ale skoro już jestem, to chciałabym porozmawiać.

Wprowadził ją do pokoju, który mógł być jednocześnie sypialnią i jadalnią. Na stoliku, przy starym, wygniecionym tapczanie, stał równie stary telewizor, a na nim zdjęcie kobiety, wsunięte między dwie szybki. Karin mimowolnie zerknęła na fotografię.

- Moja żona - rzekł Vogel.

- Mądra kobieta - powiedziała, aby zdobyć jego zaufanie.

- Tak - potwierdził stary. - Nie żyje. Miała ciężkie... - nie dokończył, głos mu się załamał, a Karin pomyślała, że Vogel jeszcze nie umie przyzwyczaić się do samotności.

- Rzadko się trafia, aby człowiek był szczęśliwy na starość.

- Napije się pani kawy?

- Z ochotą. Ale, pozwoli pan, ja się zajmę parzeniem. Proszę pokazać drzwi do kuchni - poprosiła, sprawiając mu tym radość.

Kuchnia wyglądała jak izba pamięci, na niektórych garnkach były jeszcze przedwojenne napisy: *Salz, Zucker, Mehl, Pfeffer*. Ręczny młynek do kawy przypominał Karin dzieciństwo, a porcelanowe filiżanki w niebieskie wzorki świadczyły o przywiązaniu pani Vogel do tradycji. Na wykrochmalonych ściereczkach popasały wyhaftowane koniki, obok nich znieruchomiały kwiatuszki i serduszką.

Karin zaparzyła kawę w dzbanku. Gdy wróciła do pokoju, stary drzemał w fotelu.

- Wypijemy kawę bez mleka - powiedziała, stawiając filiżanki

i dzbanek na stoliku. - Ładnie u pana. - Była ciekawa, czy Vogel ma dzieci, lecz nie odważyła się zadać mu pytania wprost. Jeszcze mógłby ją źle zrozumieć.

- Na starość ludzie stają się zdziwaczali. Proszę, aby pani nie zwracała uwagi na moje zachowanie. - Vogel sięgnął po filiżankę. - Dobra kawa - pochwalił. - Najlepszymi kucharzami są mężczyźni. Ja całe życie pichciłem, ale kiedy wieczorem wracałem do domu, Sigi podawała mi kolację.

- Do smacznego jedzenia jest potrzebny suplement w postaci uśmiechu, zapachu, czułości - powiedziała Karin ciepłym głosem jak znawczyni dobrych obyczajów.

Stary uśmiechnął się, zadowolony.

Już go mam, stwierdziła Karin w myślach. Jeszcze chwila i będę mogła zadawać najtrudniejsze pytania.

Znowu omiotła wzrokiem pokój - jednak widać było brak kobiecej ręki. Wszystkie przedmioty wymagały odkurzenia, wyszorowania, a perlargonie, sięgające połowy okien, przycięcia. Zrobiło się jej żal starego.

- Jak mówiłam, jestem dziennikarką, ale nie przyszedłam w sprawie kuchni - przyznała się. - Pan służył w Wehrmachcie, prawda?

- Każdy mężczyzna w moim wieku musiał gdzieś służyć. Moje pokolenie mogło wybierać między SS, SA i regularną armią. Winny, niewinny, hitlerowiec, antyfaszysta, kiedy skończył szesnaście lat, szedł na front. Noc wojny była dla nas długa i zimna. Dopiero w pięćdziesiątym pierwszym wróciłem do Niemiec.

- Z łagru? Dostał się pan do niewoli rosyjskiej? - pytała, chociaż znała odpowiedź.

Pokiwał głową. Podciągnął nogawkę i pokazał jej fioletowe łydki.

- To jest zaświadczenie o tym, że przez sześć lat kopałem Kanał Białomorski. Miałem więcej szczęścia niż rozumu, dlatego przeżyłem. Pani redaktor, co się tam działo...

Pomyślała, że trzeba pozwolić mu się wygadać, bo pewnie on musi wylać z siebie żal gromadzony latami. Ale Vogel nie wspomniał więcej o niewolniczej pracy, zamilkł, jakby czekał na jej pytania.

- Ginęli ludzie - przypomniała cicho, ze współczuciem i zadumą w głosie. Inaczej wyobrażała sobie to spotkanie. Przecież miała go atakować.

- Tam Niemcy ginęli z rąk wrogów. Tu, w Niemczech, ginęli z rąk pobratymców... I jeszcze giną. Słyszała pani o napaści na ministra Rohweddera i jego żonę? - Wziął ze stolika połówkę numer „Berliner Zeitung” i pokazał artykuł, zakreślony czerwonym flamastrem. - Ja go znałem.

- Czy znał pan również porucznika Spechta?

- Nie - odparł bez zastanowienia. - Kto to taki?

- Po powrocie z niewoli znalazł pan pracę w wojsku. Zawsze był pan kucharzem wojskowym. Dobrym kucharzem. To chyba jest wspa-
niałe przeżycie: widzieć, jak ludzie jedzą z apetytem, mlaskają, cieszą się. Tak niewiele trzeba, żeby sprawić im radość.

Vogel opuścił oczy, powiedział smutno:

- Pewnie tak... Ale we mnie od powrotu z niewoli nie było radości. Nie miałem się z czego cieszyć. Za dużo widziałem zła. A człowiek szczęśliwy powinien być zadowolony ze swoich czasów.

Zawahała się przez chwilę. Nie mogę być dobrotliwa, łagodna - pomyślała. Muszę go atakować. We mnie jest więcej z prokuratora niż z adwokata.

- Zdarzało się, że szykował pan potrawy na przyjęcia w domach oficerów - powiedziała.

- Bywało - potwierdził natychmiast.

- W siedemdziesiątym czwartym czy piątym dowódca pułku saperów urządził swoje urodziny. Zaprosił może ośmiu, może sześciu najbliższych kolegów, przyjaciół. Pamięta pan?

- Nie. - Nagle twarz mu się zmieniła, sprawiał wrażenie zaskoczonego. - Takie przyjęcia odbywały się przynajmniej raz w tygodniu. Co oni mieli do roboty?... Bawili się.

- To przyjęcie powinien pan zapamiętać z innego powodu. W nocy, a właściwie nad ranem, wszyscy goście dowódcy zostali aresztowani.

Vogel rozdziawił usta, wybałuszył oczy, niczego nie pamiętał. Karin ciągnęła dalej:

- Pół roku później przed sądem wojskowym odbyła się rozprawa. Pan wystąpił jako świadek. - Powtórzyła z naciskiem: - Jako jedyny świadek.

- Możliwe. Pani redaktor, jak oficerowie wypili za dużo, posprze-

czali się, to stawali przed sądami. Mnie wiele razy sądy wzywały na świadka. Zawsze odpowiadałem, że nie mam nic do powiedzenia.

Albo nie chce mówić, albo rzeczywiście już nic nie pamięta, orzekła Karin, patrząc na jego pobrużdżoną twarz.

- Bardzo byłabym panu wdzięczna, gdyby pan zechciał sobie przypomnieć, o co zostali oskarżeni goście dowódcy pułku saperów.

Vogel nabrał powietrza do płuc i wypuścił je z sykiem.

- Proszę pana.

- Tyle lat...

- Błagam.

Podniósł głowę, zmrużył oczy - jakby się namyślał.

- Mogę się mylić...

- Czy prokurator wezwał pana do siebie i powiedział, jak ma pan zeznawać przed sądem? Co mówić?

- Nie miałem wyboru. Za dobrze pamiętałem niewolę u Ruskich, żeby znowu wszystko stracić.

- Co pan wtedy powiedział?

- Tak jak zawsze.

- To znaczy co?

- To co prokurator kazał - odparł starzec przenosząc spojrzenie na pelargonie.

- A co kazał?

- W sądzie tylko potwierdziłem, że oficerowie podważali sens istnienia niemieckiej armii ludowej, którą dowodzą rosyjscy generałowie. Miałem jeszcze coś napisane na karteczce, ale...

- Oskarżeni też zadawali panu pytania?

- Potem czytałem w gazecie, że oficerowie przyznali się do spiskowania. Jak się przyznali, to musieli być winni.

- Czy w sądzie, w obecności pana, przyznali się do czegokolwiek? Stary rozpostarł ręce. Rozumiała go. Był tylko pionkiem w tej grze.

- Jakie zapadły wyroki?

- Nie wiem. O tym nie było w gazecie. Przez wiele miesięcy nikt w kasynie nie wspominał o procesie. Oficerowie bali się rozmawiać. Każdy mógł się znaleźć na ławie oskarżonych choćby i za to, że dyskutuje na temat wyroku ludowej sprawiedliwości - powiedział, odrywając na moment wzrok od pelargonii. - Mnie się wydaje, takie mam przeczucie, że oni żyją.

- Żyją? Gdzie, panie Vogel? Gdzie?! Niech pan mówi!

- Słyszałem, już po śmierci Ulbrichta, jak oficerowie rozmawiali o więźniach sprzedawanych do strefy zachodniej. Mówili, że za jednego politycznego Bonn płaciło Berlinowi po czterdzieści tysięcy marek. A jeśli więzień był dajmy na to policjantem, profesorem, inżynierem, to i kosztował drożej. - Teraz Vogel spoglądał na Karin z niewypowiedzianą szczerością. - Pani redaktor, jak ich nie wywieźli do Rosji, to żyją sobie za Łabą.

Karin coś wiedziała o tajnym handlu ludźmi. Niekiedy w prasie zachodniej pojawiały się komentarze na temat „szczególnych wysiłków w dziedzinie humanitarnej”. Ponad trzydzieści tysięcy wschodnich Niemców znalazło podobno schronienie w Republice Federalnej. Ale jak sprawdzić, czy również jej ojciec miał takie szczęście? Nie był wysokiej rangi oficerem, więc może mu się udało przeżyć. A czy matka wraz z nią nie należała do tych Niemek, które były niepewne politycznie? Czwierć miliona osób takich właśnie jak ona i jej matka rząd wschodniobierliński sprzedął za trzy i pół miliona marek. Postanowiła, że pojedzie do Bonn i odszuka ministra Rehlingera, byłego szefa resortu stosunków wewnątrzniemieckich, on na pewno nie odmówi jej pomocy. Muszą istnieć jakieś umowy przechowywane w tajnych archiwach. Jej oczy zabłyśły nadzieją na odnalezienie ojca. Pomyślała też, że popełniła błąd, podpisując swoje teksty nazwiskiem panieńskim matki. Ojciec pewnie czyta gazety, do których ona od lat posyła artykuły.

- Nazywam się Karin Specht - powiedziała. - Mój ojciec był majorem...

- Domyśliłem się tego - przerwał jej Vogel. - Nikt obcy nie wniknąłby w sprawy sprzed tylu lat. Czuję się winny.

Znowu błędził oczami po zakurzonych liściach pelargonii.

- Nie mam do pana pretensji.

- Ja po tej rozmowie będę miał ich więcej niż miałem dotychczas. Muszę to wszystko spokojnie przemyśleć. Na starość człowiek się uczy, jak być uczciwym.

Wstała, już była w drzwiach, gdy przypomniała sobie Angelikę.

- Zna pan Joachima Jungingena?

Vogel znieruchomiał na moment.

- Mój sąsiad - pokazał głową na ścianę, za którą było mieszkanie Jungingenów.

- Zniknął.
- Wczoraj go widziałem.
- Rano wyszedł do parku...
- Porwali go - rzucił bez namysłu. - Wczoraj padał deszcz?
- Padał i było zimno - potwierdziła Karin.
- Na ulicy - podszedł do okna - za drzewami, o tam, stał volkswagen jetta. Zapamiętałem, bo niewielu Niemców jeździ takimi autami. Jeszcze w nocy widziałem, jak ktoś wysiadał z niego i skulony spacerował koło naszego domu.

Karin również podeszła do okna. Parę metrów za jej golfem stał błękitny opel, któremu uciekła w południe.

Rozdział XV

W nocy ktoś próbował dostać się do golfa Karin, wyjątkowo zaparkowanego nie pod latarnią, gdzie go zawsze zostawiała, lecz w ciemnym tunelu uliczki. Włamywacz nie przewidział, że będzie to tak samo niemożliwe, jak założenie w jej samochodzie elektronicznego podsłuchu czy przyłączenie bomby z mechanizmem magnetycznym do podwozia. Aby dostać się do środka golfa, trzeba mieć nie tylko oryginalny, fabryczny kluczyk, lecz i znać hasło, na które reagował czujnik w zamku fonicznym, sprzężony z blokadą kół i pompą paliwową. Te skomplikowane urządzenia Karin kazała zainstalować jeszcze przed przyjazdem do Frankfurtu; kosztowały ją немало, ale od razu poczuła się bezpieczniej.

Jednak ostatnio zbyt wiele działało się wokół niej, żeby mogła być spokojna. Wieczorem, w skrzynce na listy, znalazła białą kopertę bez adresu, znaczka i stempla pocztowego. Ze studiów zapamiętała, że w ten sposób niektóre organizacje totalitarne ostrzegają swoich stronników przed policją. Ale przecież ona nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek organizacją, nawet nie należy do związku dziennikarzy, od początku działa na własną rękę i tylko prywatnie interesuje się procesem oficerów. Wszystko to próbowała powiązać z wiadomościami o napadach na Niemców po stronie polskiej. Gdyby te wydarzenia dotyczyły wyłącznie jej osoby, byłaby opanowana, może i obojętna, na pewno zaś spokojniejsza o siebie. Może zbikowany amant, jakich jest wielu w każdym mieście i środowisku, upatrzył ją sobie i przy pomocy białych kopert wyznaje miłość? Mogła tak sądzić, gdyby nie to, że ktoś również zwał ją do leśniczówki i obiecywał informacje o akcji „Miś”. Chyba jednak nie chodziło o polowanie na grubego zwierza? Później było tajemnicze zaproszenie do Berlina i sygnał, żeby się skomunikowała z profesorem Ernstem Mallerem, o którym nic nie wiedziała. Już drugi dzień jak cień podąża jej śladem młody mężczyzna w błękitnym oplu. A jeszcze ta nieudana próba dostania się do golfa. Zdawała sobie sprawę z tego, że w coś się wplątała, ale w co?

Postanowiła, że zaraz po spotkaniu premiera i kanclerza poprosi o kilka dni urlopu, pojedzie do matki i tam w ciszy schwarzwaldzkiego domku przeanalizuje swoje położenie. Nie, poprawiła się natychmiast,

najpierw muszę się skontaktować z ministrem Rehlingerem i sprawdzić w jego archiwum, czy ojciec także został wykupiony przez rząd boński, jak wielu przeciwników systemu politycznego w byłych wschodnich Niemczech.

- W jakim celu udaje się pani do Polski? - spytał ją zachrypniętym głosem strażnik na granicy, gdy pokazała mu paszport i nie wiadomo dlaczego legitymację prasową.

Chciała odrzec, że to jej prywatna sprawa, lecz po namyśle powiedziała wolno, jakby recytowała:

- Moja gazeta „Frankfurter Zeitung” pragnie uzyskać wypowiedzi polskich polityków i historyków na temat najbliższego spotkania szefów rządów. Powinniśmy jak najwięcej wiedzieć o sobie, przecież jesteśmy sąsiadami. Skazani jesteśmy na siebie, na dobre i na złe.

- Oczywiście. - Strażnik najpierw uśmiechnął się cynicznie, później zasalutował sprężysto. - Życzę szerokiej drogi, pani redaktor.

Ledwie przekroczyła granicę, wystraszyła się nie na żarty: na betonowym chodniku wzdłuż jezdni siedziały i leżały krępe, kruczowłose kobiety z małymi dziećmi na kolanach, w łachmanach, trzymały wyciągnięte przed siebie brudne ręce i lamentliwie o coś prosiły. Karin domyśliła się, że to żebraczki, ale nie zauważyła, by ktokolwiek dał im choć grosz. Niemcy i Polacy przechodzili obok, głusi na zawołanie.

- Kim one są? - zagadnęła przez uchylone okienko golfu młodego człowieka, wyglądającego na studenta Viadriny.

- Rumuńskie, azerskie, bułgarskie i słowackie Cyganki - odpowiedział po chwili, zaskoczony jej pytaniem. - Zebranie jest dla nich tym, czym dla innych praca. Z pokolenia na pokolenie ich rodziny chodzą na żebrzy.

- W Polsce wolno żebrąć?

Student roześmiał się, a ona pomyślała, że jednak niewiele wie o życiu, choć niektórzy uważają ją za frankfurcką Orianę Fallaci.

- Długo się jedzie do Zielonej Góry?

- Za godzinę powinnaś być na miejscu.

Matka Karin urodziła się dokładnie drugiego dnia wojny po wschodniej stronie Odry, w miejscowości Crossen. Nie wiedziała, gdzie to jest, ale gdy zatrzymała auto na koślawym rynku w Krośnie, była pewna, że uliczkami tej miejsciny chodziła jej ciężarna babka. Sfotografowała

grafowała wieżę fary, z góry przypatrującą się zrujnowanemu zamkowi, zatrzymała w kadrze wykuty z piaskowca pomnik, a potem jeszcze dworzec autobusowy, w którym był zakład pogrzebowy i magazyn trumien. Sklep, do którego weszła, był pełen towarów, ekspedientka - ani wulgarna, ani nadęta - rozumiała trochę po niemiecku. Nic z tego, co o Polsce i Polakach powiedział jej Wolfmann, nie pasowało do obrazu, jaki teraz miała przed sobą. Wprawdzie po godzinnej obserwacji trudno o poznanie całej prawdy, lecz ona widziała, że krośnianie nie chodzą obdarci, bosi, wynędzniali, głodni, nie żebrzą jak ciemnoskórzy obcokrajowcy na moście w Słubicach, nie leżą pijani w poprzek uliczek. Zrobiła jeszcze kilka fotografii zaułków i starych domów przeglądających się w lustrze Odry, aby pokazać je matce, gdy pojedzie nad Jezioro Bodeńskie.

Zatrzymała się na śródleśnym parkingu tuż przed Zieloną Górą; studiując plan miasta zastanawiała się, co robi, jeśli nie zostanie Daniela w redakcji. Bez jego pomocy nie zdobędzie wypowiedzi osób, na których zależy redaktorowi naczelnemu. Nie tylko nie zna ludzi, lecz i nie potrafi skleić pytania po polsku. Dziennikarz zaś, uważała, jak sędzia, powinien stać wyżej od swojego rozmówcy.

Wszedłszy do redakcji „Gazety Lubuskiej” ucieszyła się: Daniel tkwił przy komputerze i coś pisał. Spostrzegła w jego oczach zdumienie, mimo to zaraz uśmiechnął się szeroko, ale gdy wyjaśniła, w jakim celu gnała taki szmat drogi, poprosił, aby usiadła w fotelu i poczekała, aż on skończy pisać to, co tkwi w nim jak zadra.

- Nie ma sprawy - odrzekła z wyrozumiałością. Wydawało jej się, że Daniel jest spięty, więc dodała: - Pewnie mogłabym pracować w polskiej gazecie. Na pierwszy rzut oka macie więcej wolności niż my. Tylko dlaczego tak tu ciasno?

Nie zareagował na tę uwagę.

- Jedyne rozmowy cię interesują? Niczego ponadto nie potrzebujesz?

Zajrzał jej w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy powiedziała prawdę. Bo może Karin już wie o roli, jaką miał do spełnienia Joachim Jungingen?

- Powinniśmy sobie pomagać - rzuciła krótko.

- Powinniśmy.

- Więc pomoc za pomoc - oświadczyła, starając się uśmiechem złagodzić obcesowość słowa. - Jesteś moim jedynym dłużnikiem.

- Ja? Od kiedy?

- Na razie nie przeszkadzaj sobie - powiedziała radośnie. - Później przypomnę okoliczności, w jakich udzieliłam ci kredytu. Zaufania - dodała ciszej.

Dokończenie artykułu zajęło Danielowi ponad pół godziny. W tym czasie Karin przejrzała ostatni numer „Gazety Lubuskiej”. Nie znając polskiego domyślała się, że dziennik nie tylko dużo pisze o nadziejach Polski związanych z rychłym wejściem do Unii Europejskiej, ale i drukuje nieprzychylnie tej sprawie listy. Dlaczego zatrzymała spojrzenie na tytule *Wreszcie policja ujęła mordercę Niemców*, nie wiedziała. Czuła jednak, że to jest coś, co ją zaabsorbuje.

- Piszesz wielotomową powieść czy artykuł do gazety codziennej? - spytała. Nie mogła się doczekać, kiedy Daniel wyłączy komputer. Na jej zegarku była 14.37. Bardzo pragnęła, żeby natychmiast przetłumaczył na niemiecki ten jeden tekst.

- Później - rzucił, dając jej odczuć, że od początku nie jest zadowolony z sytuacji, w jakiej go postawiła. - Skoro przyjechałeś z konkretną sprawą, trzeba ją załatwić. Najpierw więc powinniśmy przeprowadzić rozmowy z politykami i historykami.

- Na to mam aż dwa dni. Wynajmę pokój w hotelu - oznajmiła. Położyła gazetę na biurku przed Danielem, palcem pokazała artykuł i spytała: - Czy jesteś autorem tej notatki? Chyba ty tak sygnujesz swoje teksty?

Kiwnął głową, zły na siebie i sekretarza redakcji. Jeszcze wczoraj wieczorem prosił, aby redaktor prowadzący wydanie wstrzymał druk artykułu do czasu, aż Jungingen zacznie mówić. Na razie Niemiec do niczego się nie przyznaje, milczy albo domaga się skontaktowania go z ambasadą niemiecką w Warszawie. Co będzie, jeśli Karin zechce porozmawiać z Jungingenem? Jej Niemiec powie wszystko, przecież nie ma nic do stracenia. W środkowej i wschodniej części Europy ciągle zbrodnię zasłania się zbrodnią.

- Chcę tylko poznać treść tego artykułu. Poprosisz, abym o nim zapomniała, zapomnę - zapewniła Daniela. - Prawda nie lubi czekać.

Całe szczęście, cieszył się w duchu, że w tekście ani razu nie pada

nazwisko podejrzanego, że jest podana tylko jego narodowość i opisane są sfingowane okoliczności, w jakich został zatrzymany. Nie mam wyboru, muszę przetłumaczyć artykuł, pomyślał, ale zrobię to tak zręcznie, żeby Karin nie zadawała więcej pytań. Ale czy ją można oszukać?

*

Postanowił, że dopiero w noworocznym numerze gazety ogłosi reportaż o procesie majora Spechta, ojca Karin. To będzie sensacja. Z taką wiadomością jechał do Polanu, gdzie ona zatrzymała się na noc.

Umówił się z nią w restauracji na parterze. Gdy zegar w recepcji wybił 20.00, Daniel wszedł do hotelu, lecz nie spotkał Karin ani w restauracji, ani w kawiarni, gdzie wszystkie miejsca były zajęte. Pomyślał, że pewnie wybrała się na spacer po mieście, coś ją zachwycało i dlatego jeszcze nie wróciła do Polanu. Nie przejął się tym; usiadł w fotelu pod schodami, skąd obserwował grupkę podstarzałych turystek niemieckich. Co druga ma napisane w paszporcie, że urodziła się na dawnych terenach wschodnich Rzeszy, czyli w Głogowie, Nowej Soli, Zielonej Górze... One teraz często przyjeżdżają do miejsc swego urodzenia. Każdy człowiek na jesieni życia nie tylko we wspomnieniach lubi wracać do dzieciństwa i wtedy zachowuje się jak dziecko, dla którego najwyższą wartość mają jego podniszczone zabawki.

Portier z rękoma założonymi do tyłu jak dygnitarz spacerował po hallu, nawet nie zwrócił uwagi na Daniela, nikomu nie otwierał drzwi i nikomu nie pomagał, goście sami taszczyli swoje walizy. Tylko on nie chciał się zmienić, reszta już była inna, a recepcjonistki częściej musiały używać niemieckiego i angielskiego niż polskiego. Pomyślał o bokserze, już się nie dziwił, że nie umiał uciec z tego labiryntu. Za kilka lat wszystko będzie jeszcze bardziej poplątane, niewielu potrafi bez namysłu wskazać wążutką miedzę polsko-niemiecką; wtedy człowiek władający tylko jednym językiem stanie się kaleką.

Daniel spojrzał na swój zegarek, po czym odwrócił głowę w stronę recepcji, gdzie nad kontuarem wisiał duży zegar w plastikowej skrzynce. Oba wskazywały tę samą godzinę. Co najmniej kwadrans waruję pod tymi schodami, stwierdził, a Karin ciągle nie ma. Czyżby zapomniała o spotkaniu, które sama wyznaczyła? Zerknął to na drzwi,

to na zegar, to na portiera z rękoma założonymi do tyłu. Nie lubił takich sytuacji. A może Karin zmieniła decyzję i czeka w swoim pokoju?

Mimo wahania poszedł na drugie piętro i zapukał do drzwi oznaczonych numerem 200.

- Proszę - usłyszał wyraźnie. Już chwycił za klamkę, gdy drzwi się otworzyły. Stała w nich Karin.

- Umówiliśmy się w restauracji - przypomniał jej.

- Nie spodziewałam się takiego najazdu moich rodaczek. Jest tu ich nie mniej niż w pierwszym lepszym hotelu po stronie niemieckiej. I zachowują się jak u siebie... A ja nie lubię starych, gdczących bez powodu kwok - wyjaśniła, wskazując mu miejsce przy niewielkim stoliku. - Zamówiłam kolację do pokoju. Odpowiada ci takie rozwiązanie?

Przytaknął, choć wolałby być z nią w restauracji. Takie sam na sam żonatego mężczyzny z rozwódką może być miłe na bezludziu, ale nie w miejscu jego zamieszkania, gdzie łatwiej o spotkanie kogoś znajomego.

- Moja matka urodziła się w jakimś Crossen nad Odrą. Czy to jest to samo Krosno, przez które jedzie się z Frankfurtu do Zielonej Góry?

- zapytała i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Przywiozę ją do Polski, ale nie teraz, dopiero jak przejdzie na emeryturę. Do tego czasu na pewno wyjaśni się sprawa ojca. Będziesz naszym przewodnikiem?

Znowu przytaknął. Do czego ona zmierza?

Karin poprosiła, aby otworzył szampana i wzniosł toast za ich schadzkę. Tak powiedziała: „Za schadzkę”. A gdy jedli kolację, cały czas zagadkowo uśmiechała się i opowiadała nie o sprawach, które ją przywiodły do Zielonej Góry, lecz o swoich rodaczkach w ostatniej podróży do miejsc dzieciństwa.

- Ja jestem taka sama jak one. W nich i we mnie tkwi identyczna potrzeba poznawania prawdy i odświeżania pamięci. Potrafimy pogodzić się z najokrutniejszym losem, ale i chcemy poznać okoliczności. Kobiety nie dyskutują nad swoją przeszłością, zachowują ją w pamięci i wybaczą tym, którzy je skrzywdzili.

Daniel podniósł na nią oczy. Nie mógłby zaprzeczyć, sam również

wiele razy wybierał się nad Wartę, sprawdzał, ile dzieciństwa zachowała jego pamięć. Każdy jest zafascynowany swoim rodzinnym domem. Dorosłe życie polega między innymi na sprawdzaniu, jak daleko odeszliśmy od wzorców swoich lat pierwszych.

- Kim jest ten facet, którego zatrzymała wasza policja? - spytała Karin.

Udał, że nie zrozumiał pytania, więc powtórzyła je wolno i wyjaśniła tak precyzyjnie, że już nie mógł wykręcić się byle czym. Zwiływszy usta językiem, zaczął najogólniej, jak tylko potrafił:

- Sprawa jest mocno skomplikowana. Póki...

- Wiem, wiem - przerwała mu. - Możesz potraktować mnie jak wścibską babę, ale pamiętaj, że jestem twoim kumplem i partnerką. Zgodzę się na wiele ustępstw, Daniel, tylko, na miłość boską, nie oszukuj mnie.. Ta sprawa, czuję to, jest również ważna z mojego punktu widzenia. Mam rację?

- Nie mogę pisać słowem.

- Co ty pieprzysz, skurwielu? Nasz wywiad...

- Obiecałem milczenie - przyznał się i zaraz zmienił temat. - Czego dowiedziałas się o swoim ojcu?

- Najpierw ty - nie ustępowała. Wczorajszą gazetę, którą podarował jej w redakcji, wyjęła ze skoroszytu, położyła ją sobie na kolanach. - Nie trzeba dobrze znać języka, żeby zrozumieć tekst rasowego dziennikarza. Prawdziwa sztuka nie zna granic - powtórzyła to, co jest celem każdego artysty, a dobre dziennikarstwo ma w sobie więcej ze sztuki niż z rzemiosła, choć pisarze uważają, że to dwie różne sprawy i nie należy ich łączyć.

- Nie wolno mi powiedzieć ani słowa więcej, Karin. Muszę być lojalny wobec przyjaciół.

Wstała, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w ucho. Poczł zapach perfum Gabriela Sabatini.

- A czy ja nie jestem twoją przyjaciółką? - spytała szeptem. - Czyżbyś dzielił przyjaciół na Polaków i Niemców, lepszych i gorszych? Przyjaciele mogą być jedynie prawdziwi. Więc?...

- Każde moje słowo na łamach gazety jest tym, czym każda cegła ułożona przez murarza czy gwóźdź wbity ręką szewca w zelówkę buta. Słowo jest moją wizytówką. Jestem wyrobnikiem słowa pisanego, lecz

i niewolnikiem słowa mówionego. Tak rozumiem honor dziennikarski. Myślę, że akurat to, Karin, obejmuje również i ciebie.

- Może...

- Co słyszać u naszych wspólnych znajomych?

Znał odpowiedź na to pytanie, ale zadał je, bo był ciekaw, czy Karin naprawdę wie, co się stało z Jungingenem.

- Wolfmann pisze. Angelika płacze, bo zaginał Joachim - powiedziała i dotknęła jego ramienia.

- Jak zaginał? - Udał zaskoczonego. - Wyszedł z domu? Wyjechał bez pożegnania? Rzucił Angelikę dla innej Niemki? A może znalazł sobie Polkę?

- Nie wiem - odparła, przekrzywiając przekornie głowę i zaglądając mu w oczy. - Po prostu zaginał. Nie ma go. Za tydzień, za miesiąc pewnie się znajdzie.

Zapaliła nocną lampkę na stoliku przy łóżku, zgasiła kinkiety, zaczęła się powoli rozbierać.

- Teraz pewnie nie odmówisz mojej prośbie - powiedziała. - Mam na myśli przede wszystkim to, co napisałeś o mordercy Niemców.

- Jesteś ładna, mądra, a taka niepoprawna. Zachowujesz się jak...

- Czy go znam?

- O kim mówisz?

- Joachim.

- Co Joachim? - spytał po polsku, odwracając spojrzenie.

- Chodzi o Joachima Jungingena?

Stropił się jeszcze bardziej, bo nie miał zamiaru powiedzieć prawdy.

- Nie zaprzeczaj - ostrzegła, mimo że Daniel nawet nie otworzył ust.

Nagle ogarnęło go zwątpienie, czy powinien tu jeszcze siedzieć. Wszystko zmierzało ku temu, że zdradzi Karin nie tylko to, kto jest zabójcą Niemców, lecz i sposób, w jaki Jungingen został sprowadzony do Zielonej Góry.

- Nie mam na to żadnych dowodów, domyślam się jedynie, że we wschodnich Niemczech istnieje pewna przestępcza, ba! zbrodnicza organizacja... Daniel... Zdajesz sobie sprawę z tego, że Niemcy były i są krajem ludzi twardych, butnych. Z pokorą nie poddają się przeciwnościom losu. Przyzwyczajeni do pewnego porządku, długo walczą o jego

utrzymanie. Ocalali naziści utworzyli kilka stowarzyszeń, wspierających członków i ich rodziny, żeby przeżyć. Słyszałeś o sprzysiężeniu Odessa?

Zaprzeczył, co było kolejnym kłamstwem. Wiele razy czytał o podobnych organizacjach, które istniały nie tylko w Niemczech, lecz i w Hiszpanii, Włoszech, Jugosławii, a nawet w obu Amerykach.

- Jak pod koniec i zaraz po wojnie ekshtlerowcy tworzyli tajne sprzysiężenia, tak ekskomuniści po zwaleniu muru berlińskiego założyli swoje, często terrorystyczne organizacje. Ich celem nie jest powrót wschodnich Niemiec do poprzedniego systemu politycznego, lecz, tak mi się wydaje, chociaż nie mam żadnych dowodów, objęcie kierowniczych stanowisk w zjednoczonym państwie.

Daniel parsknął śmiechem. To, co Karin mu powiedziała z taką powagą, uznał za nonsens.

- Podejrzewam, że akcja „Miś” polega na zniszczeniu czegoś, do czego ludzie już się przyzwyczaili - kontynuowała Karin. - Chodzi o jakiś zamach... Ale na kogo?

Znowu się roześmiał.

- Nie wierzę.

- Niedługo przekonasz się, że mam rację.

Daniel zachowywał kamienny spokój. Co go obchodził jakiś zamach w Niemczech! Mimo to powiedział:

- Rosjanie przegrali środkową Europę. Pozostały po nich opustoszałe koszary i najgorsze wspomnienia. Kiedyś i to będzie znane jedynie z książek do nauczania historii.

- Naziści też przegrali - przypomniała. - Pół wieku po ich klęsce powstają związki nowych nazistów, wnuków tamtych, którzy wybiórce dzieje Trzeciej Rzeszy znają jedynie z podręczników szkolnych.

- Myślisz logicznie, Karin, ale mnie to nie przekonuje.

- Moim zdaniem Joachim należy do takiej organizacji.

- Tak?

- Człowiek, który mordował Niemców w Zielonej Górze - patrzyła na Daniela argusowym wzrokiem - również należy do takiej organizacji.

Z zimną krwią przyjął jej odkrycie. Był przekonany, że Karin powie więcej. A może ona wie wszystko, tylko udaje, sprawdza, czy jestem wobec niej uczciwy? Zamiast ją jeszcze badać, rzekł otwarcie:

- Za chwilę usłyszysz coś, o czym poza mną wie może pięć osób. Przysięgnij, że bez mojej zgody o tym, co ci za chwilę powiem, nie napiszesz nawet jednego zdania w żadnej niemieckiej gazecie.

- Muszę? Co mi zrobisz, jeśli nie dotrzymam słowa?

- Wobec innych możesz postępować, jak ci się podoba. Wobec mnie nie masz takiego prawa. Liczy się przyjaźń. Jesteśmy przyjaciółmi?

Położyła prawą rękę na lewej piersi i powiedziała wyraźnie:

- Przysięgam na wszystko, co nas łączy.

Daniel czekał chwilę.

- Jungingen jest mordercą - rzekł bardziej ruchem warg niż głosem.

- Tak przypuszczałam - powiedziała spokojnie.

- Niedługo będę mógł powiedzieć ci więcej.

- Tylko raz widziałam go w towarzystwie Kirscha, ale to mi wystarczyło, żeby wyciągnąć taki wniosek. Miałeś z nim do czynienia?

- Ja? Gdzie i kiedy? - spytał zaskoczony - I mówisz o Jungingenie czy Kirschu?

- O Joachimie. Kirscha przecież poznałeś. On zwabił mnie do leśniczówki pod Schwedt. Pamiętasz, jak się wymykaliśmy?

Uśmiechnął się.

- Pamiętam.

Karin chrząknęła wymownie.

- To Kirsch informował mnie o napadach na Niemców po waszej stronie. Dlaczego to robił policjant, nie wiem. Nie wiem też, dlaczego wybrał akurat mnie. Domyślam się, że otrzymał taki rozkaz. Od kogo? Wyglądało to tak, jakby ktoś przy mojej pomocy chciał udowodnić, że polityka rządu Schrödera wobec Polski jest błędna. Niemcy, strzeżcie się Polaków, bo to wasi odwieczni wrogowie. Z takimi nie możecie być we wspólnej Europie. Oni was będą ośmieszali.

- Ciekawe... Sama do tego doszłaś, czy jest ktoś, kto i to ci powiedział?

- Jest taki ktoś.

- Kto?

- Nie znam nazwiska. Zaprosił mnie do Berlina i oznajmił, że stanę sławną dziennikarką. Pytał o matkę, w ogóle wiele wiedział o mojej rodzinie, aż mnie to zaskoczyło. Zaznaczył, że udostępni mi

materiały dotyczące akcji „Miś”, nazywając ją jednak akcją „Niedziadek”, jeśli zgodzę się na współpracę z organizacją.

- I oczywiście zgodziłaś się natychmiast.

Pokręciła głową przecząco.

Nagle rozległ się wyraźny, choć niezbyt głośny huk w pobliżu hotelu. Oboje zerwali się, Daniel natychmiast stanął przy oknie, ostrożnie odsunął firankę. Niczego osobliwego nie dostrzegł, jednak wyraźnie usłyszał dobiegające z ulicy czyjeś wołanie o pomoc.

- Co to było?

- Jakby wystrzał z karabinu. - Odczekał jeszcze chwilę. - Pewnie czyjeś auto ma zepsuty tłumik - rzekł lekceważąco i wrócił na fotel.

- Przed chwilą mówiłaś, że to był wystrzał.

- Wydawało mi się.

Karin najpierw wzruszyła ramionami, później się roześmiała i spytała, czy wreszcie powie jej, co jest w artykule.

- Którym?

- Ten z twoim podpisem. O mordercy Niemców.

Milczał, a ona badawczo patrzyła w jego oczy, aż się spłonił.

- Kiedy byliśmy w zajeździe Zum Golden Stern, pamiętasz, powiedziałam ci, kto pisał informacje o morderstwach w Zielonej Górze, choć nie miałam takiego zamiaru - przypomniała. - Wtedy stwierdziłaś, że jesteś moim dłużnikiem. Więc teraz spłać ten dług.

- Już ci powiedziałem.

- Oczekuję zapłaty z napiwkiem - pokazała oczyma na łóżko.

*

Następnego dnia ledwie Daniel wszedł do swego pokoju w redakcji, rozdzwonił się telefon na jego biurku. Nikt o tej porze, a dochodziła ósma, nie dobija się do dziennikarzy; czytelnicy wiedzą, że redaktorzy zaczynają pracę późno i także późno wstają. Mimo to podniósł słuchawkę.

- Redakcja „Gazety Lubuskiej” - rzucił lekceważąco, gotowy wysłuchać nawet najgłupszej skargi.

- Chyba zwolnię Jungingena - usłyszał głos Syskiego. - Albo muszę zmienić taktykę. Albo mnie zmienia.

Usiadł na krześle, zaskoczony. Nie spodziewał się o tej porze tak

interesującej wiadomości. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że Syski nie ma mu nic więcej do przekazania, lecz oczekuje porady. Wstał, bo nie umiał rozmawiać zza biurka jak urzędnik.

- Interwencja ambasady czy brak dowodów winy Jungingena?

- Na razie to drugie. Ambasada nic nie wie, ale w końcu będę musiał dać jej znać. Wtedy wyda się, w jaki sposób Jungingen wpadł w nasze ręce... Żle jest... Dałem ci się wpakować, drogi przyjacielu...

- Powinieneś go przydusić do ściany i wycisnąć bebechy. Nie powie on, to powiedzą świadkowie: bokser, Koper, recepcjonistki, Niemiec zraniony w Creatorze. W ostateczności wykorzystasz mnie.

- Znowu mieliśmy napad na Niemca.

Daniel opadł ciężko na krzesło, aż pod nim zatrzeszczało.

- Jeśli powiesz, że przy pomocy noża...

- Późnym wieczorem został zastrzelony gość o nazwisku Hans-Joachim Herbst, przemysłowiec z Verden. Zdarzenie miało miejsce w pobliżu parkingu przy Polanie.

Jednak strzał. Wczoraj wieczorem się nie pomylił.

- Jungingen ma więc niezbite alibi - stwierdził bez wahania. - Nakryliście sprawcę? Kto zabił tego?

- Strzelec wyborowy. Posłużył się tradycyjnym karabinkiem snajperskim z noktowizorem. Strzał padł z dachu domu przy ulicy Staszica. Jeden... Prościutko w lewą komorę serca.

Kto ma takie oko? Daniel natychmiast pomyślał o Staszku Schmidcie.

- Przyskrzyniliście kogokolwiek?

- Mamy Kopera. Kręcił się w pobliżu hotelu.

- On strzelił? - spytał Daniel z niedowierzaniem.

- Koper nareszcie pękł. Po pierwsze, przyznał się do tego, że mazał palce w trzech napadach na cudzoziemców. Po drugie, potwierdził, czego się spodziewaliśmy, że inżynier Popławski w rzeczywistości nazywa się... Zgadnij.

- Sorge junior.

- Byłeś bardzo blisko. Inżynier Popławski to Makarenko, pułkownik wywiadu bratniego do niedawna mocarstwa. Koper był na jego usługach, dawniej i ostatnio.

- Uwierzyłeś?

W słuchawce rozległ się trzask i rozmowa została przerwana.

Gdyby ktokolwiek spytał Daniela, od czego zacząć usprawnianie polskiej gospodarki, bez wahania wskazałby na modernizację łączności. Wykręcił numer centrali komendy i poprosił telefonistkę o połączenie z Syskim.

- Przygłopoluj do mnie, a dowiesz się więcej niebywałych rzeczy. Pospiesz się, bo sprawę przejmuję UOP. Wpadliśmy na trop międzynarodowej pajęczyny. Aha, ani słowa tej twojej... - Komisarz umilkł na chwilkę. - Kiedy ona wyjeżdża?

- Kogo masz na myśli? - spytał Daniel szorstko.

- Wczorajszy wieczór spędziłeś miło w Polanie, w pokoju numer dwieście. Zgadza się? - Nastąpiła dłuższa cisza, którą przerwał Syski:

- Halo! Daniel, jesteś tam? Cholera, co za telefony!

- Kazałeś mnie śledzić, przyjacielu?

- Policja ma wszędzie swoich kapusiów. Ty nie jesteś pierwszym lepszym mieszkańcem tego miasta. A ta Karin... Masz gust, stary - pochwalił go policjant.

Daniel zrozumiał, że w pokoju numer 200 była ukryta kamera albo mikrofony zostały wciśnięte pod stół, w fotele, może nawet w poduszkę i pod prześcieradło. Albo to i to. Zupełnie wyleciało mu z głowy, a powinien pamiętać, że ten pokój, przyległy do atelier fotograficznego, recepcjonistki zawsze przydzielały gościom zagranicznym, co do których miały podejrzenie, iż zainteresują policję.

Rozdział XVI

Bielow od rana kłął na czym świat stoi i rwał sobie włosy z głowy. Wszystko działo się tak gwałtownie, że już nie umiał zapanować nad sytuacją. Dawno rozsypała się piramida totumfackich pułkowników Stasi, pozostało kilku najpewniejszych, którzy założyli organizację wzajemnej pomocy Karlshorst i za pieniądze są gotowi spełnić każde żądanie berlińskiej rezydentury SWR. Przewodził im Werner Grossmann, aresztowany na początku października ostatni szef wywiadu wschodnioniemieckiego; wprawdzie tylko jeden dzień przesiedział za kratkami i został uwolniony od zarzutów, ale jego czterech najbliższych współpracowników prokurator generalny oskarżył o szpiegostwo.

- Długo nie utrzymają języka za zębami. Znam ich, każdego Niemca znam. Oni służyli i służą. Jak nie Wilhelmowi, to Hitlerowi, jak nie Honeckerowi, to Kohlowi i Schröderowi. Irlandczyk, choćbyś mu obiecywał kontener kałasznikowów, wagon złota i beczkę piwa, nie zdradzi. Polak też nie sygnie, najwyżej cię orznie, okantuje, wyszodzi. Niemiec, im wyżej był postawiony w hierarchii urzędniczej, im więcej wiedział, tym bardziej trzeba go się wystrzegać. - Bielow mówił wolno, jakby był profesorem uniwersytetu w Moskwie i przed sobą miał studentów pierwszego roku europeistyki, a nie oficera SWR, który sam mógłby być profesorem. - Za ile można ich wydostać? Za milion, za dwieście tysięcy? Mówcie coś, Renacie Pawłowiczu! - rzucił wściekle.

- Nasz człowiek w Karlsruhe dotąd nie wkręcił się do siedziby prokuratury. Próbuje nadać, ale to będzie bardzo trudne. I niewiele o nim wiemy. Nie zdziwię się, jeśli wyjdzie na jaw, że pracuje w ich bezpiece.

- To co my tu jeszcze robimy?!

- Ja wykonuję wasze rozkazy - odparł Pticzkin zgryźliwie. Nie mógł powiedzieć, że rosyjski wywiad wojskowy chyba coś wie o akcji „Niedźwiadek” i robi wszystko, żeby nie dopuścić do jej powodzenia. Pticzkin zgadzał się z GRU i myślał, z jaką nadzieją cała armia potraktowała decyzję o przyjęciu Polski do NATO. Przecież to spowoduje zwiększenie wydatków Rosji na obronę, wojskowi będą mieli zajęcie przy opracowywaniu planów, ruszą biura konstrukcyjne i fa-

bryki uzbrojenia. Wojsko wróci na należne sobie miejsce, którego nie umiało odzyskać po zburzeniu muru berlińskiego.

Bielow, zdusiwszy stuyvesanta w kryształowej popielniczce, sięgnął po butelkę, nalał sobie więcej niż pół szklanki wódki, wypił, usta otarł wierzchem dłoni i chuchnął zadowolony. Pticzkin zerknął na niego kątem oka. Nikomu nie ufał do końca, nawet żonie, a tym bardziej swojemu partnerowi, z którym zna się od szkoły średniej. Gdzież oni razem nie byli!

- Makarenko też dał się nakryć za wcześniej.

- Na starość zgłupiał - stwierdził nie bez słuszności Bielow. - Ale on będzie milczał. Znam go jeszcze z Wiednia. Tam można było na nim polegać. Jeśli nie wypił za dużo.

- A mnie go szkoda. Jaki był, taki był, zawsze to człowiek na naszej służbie.

- Pies go trącał. Nie patrzcie na innych, brońcie się sami.

- Mamy jego towarzyszkę, Iwonę. Baba ho, ho! - Pticzkin zrobił oko do Bielowa, jakby tym jednym gestem chciał mu powiedzieć, że Iwona jest kobietą nie tylko mądrą, lecz i wytworną. Nie to, co jego Mawra Pietrowna. - I mamy tego...

- Polaczkom nie wolno ufać. Oni wiele narodów europejskich przewyższają nie tyle inteligencją, co sprytem i odwagą, jakby nie zależało im na uciechach życia. Gdyby dać im takie pieniądze, jakie dawaliśmy Afgańczykom czy tym w Wietnamie, w ciągu pięciu lat zrobiliby z Polski mocarstwo światowe. Byłaby, jak im się marzy, Polska od Morza Czarnego do Morza Bałtyckiego. Od Kijowa po Odrę albo i do Budziszyna. Jeszcze by się skumali z Czechami, Słowakami, Litwinami...

- Bez przesady. Owszem, są inteligentni, lecz i cholernie skłóćeni. U nich każdy chce być premierem, rządzić, nawet jeśli nie ma o tym najmniejszego pojęcia, bo dotąd pasał krowy w kołchozie albo uczył dzieci dodawania na liczydło. Chodząc w łapciach, chcą zostać Europejczykami. Chcą pić whisky z ostrygami zamiast wódki z ogórkami kiszonymi. Siadać przy pańskim stole. To się im nie może udać. Marzyciele rodem z tamtej strony świata. Nie powinniśmy, drogi kolego, ich się obawiać, ale nie my tu rządzimy. My wykonujemy rozkazy.

- A kto wywołał tę bezkrwawą rewolucję, która w najmniej spo-

dziewanym momencie zmieniła półwiekową mapę Europy? - spytał Biełow i sam sobie odpowiedział: - Polaczkii.

- Rzeczywiście, to im się udało. Gdyby Amerykanie nie postavili na Wałęsę...

- To takim ufać? Takim dawać wiarę? A później te umizgi do Kohla. Pogawędki z Clintonem. Chcieli do NATO. Są w NATO. Teraz marzą o Unii Europejskiej. - Strzelił śliną na dywan. - To małżeństwo Warszawy z Brukselą nie może zostać skonsumowane ani za rok, ani w tym pięcioleciu. Oni muszą czekać w kolejce tak długo, aż wyrównają się różnice między naszymi krajami. To jest nasze i naszych ludzi zadanie, Renacie Pawłowiczu. Trzeba je tak precyzyjnie wykonać, żeby nikt się nie domyślił udziału w nim SWR i GRU. Zresztą, komu ja to mówię.

Pticzkin nie lubił takich, którzy wszystko traktują z wyższością, ale nie miał innego wyjścia, jak tylko godzić się z każdym poleceniem. Jego kariera była przecież uzależniona od Biełowa.

- Wracając do poprzedniej kwestii, miałem na myśli mistrza sportu, który dostał się w nasze ręce. Sprawdzaliśmy go w różnych sytuacjach. Ostatnio w Zielonej Górze osiągnął cel z trzystu metrów, a już był zmrok i dość chłodno - tłumaczył przyciszonym głosem, jakby się kogoś bał. - Podobno jest jeszcze tak pewny, że trafia do tarczy szwajcarskiego zegarka z odległości pół kilometra. Ale i kosztuje tyle co szwajcarski zegarek.

- To znaczy... ile?

- Trzydzieści tysięcy marek.

Biełow najpierw parsknął długim śmiechem, później machnął ręką, jakby nie miał zamiaru zajmować się więcej tą sprawą, ale zaraz rozmyślił się i powiedział:

- Po pierwsze, to żadne pieniądze. Po drugie, nie my płacimy. Lee Oswald, zabójca Johna Kennedy'ego, za swoją robotę w Dallas dostał milion dolarów. Sirhan Sirhan, ten co zabił Roberta Kennedy'ego, wziął dwa razy tyle.

Pticzkin gwizdnął, zdumiony.

- Za taką forszę można znaleźć i wśród naszych...

- Bez przesady, takiego nie mamy. Nie mamy też tyle dolarów - zgasił go Biełow. - Ile jest ze stanowiska dwadzieścia trzy do punktu zero?

- Z niemieckich pomiarów wynika, że dokładnie sześćset sześćdziesiąt jeden metrów i trzydzieści cztery centymetry. Sprawdzaliśmy dwukrotnie. Obliczyli to precyzyjnie.

Pułkownik Bielów nigdy nie był we Frankfurcie nad Odrą, znał dzielnicę dyplomatyczną Frankfurtu nad Menem, ale to nie ta sama architektura. Jemu i innym oficerom GRU Pticzkin tłumaczył wiele razy, czym się różnią centra brandenburskie i saksońskie od nadreńskich, na tej podstawie pułkownik próbował sobie wyobrazić roztrzaśnięte miasto z przebiegającą w pobliżu szeroką rzeką, ale przychodziło mu to bardzo trudno. Trzeba nie mieć dobrze w głowie, żeby przy samej granicy państwowej postawić pięćdziesięciometrowy wieżowiec. Wiadomo, co to znaczy i jak jest oceniane przez drugą stronę. Nie powiedział tego głośno, bo od rozpadu imperium rosyjskiego obawiał się wszystkich swoich rodaków w berlińskiej rezydenturze SWR.

- Za nią czasem nie węszyć? - Pokazał na zdjęcie Iwony, które leżało przed nim. Podobała mu się. - Baba przecież, a nie każda baba ma umysł Marii Skłodowskiej-Curie.

- Ta jest ładna i postępuje jak Mata Hari. - Teraz Pticzkin sięgnął po butelkę. - Napijmy się, Igorze Stiepanowiczu, za powodzenie akcji.

Bielów machnął ręką lekceważąco, wstał; przygarbiony spacerował po pokoju i rozważał, w jaki sposób SWR powinna wywieść pułkownika Mallera w pole. Niemiec nie może świętować swego sukcesu, choćby był bezkrytycznym sprzymierzeńcem. Zresztą, jaki z niego sprzymierzeniec, skoro założył tajną organizację, o której istnieniu zwyczajni ludzie nie wiedzą, a i pewnie niemiecka bezpieka jeszcze nie wpadła na jej ślad? W tej sytuacji nie ma innego wyjścia, Pticzkin musi mu pozwolić na doprowadzenie akcji do finału, a zaraz potem, za pośrednictwem swoich już nielicznych pomagierów, ogłosi w gazetach, że we wschodnich Niemczech od wielu lat istnieje tajna organizacja postkomunistyczna, której celem jest ochrona dawnych dygnitarzy i wspomoczenie Partii Demokratycznego Socjalizmu w kolejnych wyborach parlamentarnych i krajowych. Poda kilkanaście nazwisk byłych członków SED i koniecznie wpłacze między nie paru urzędników federalnych. Przy okazji podsunie kilka niezbitych dowodów Aleksandrowi von Stahlowi, wskaże mu jakąś byłą kryjówkę terrory-

stek RAF, mieszkania służące za lokale konspiracyjne, wymyśli cele działania organizacji i poprze je stosownymi przykładami. Ludzie uwierzą i zaczną podejrzewać się nawzajem. A przecież o to chodzi.

- Co z Kirschem? - Bielew nie znał go osobiście, słyszał jedynie, że ma głowę większą niż brzuch i jest zachłanny. Takimi się brzydził, ale nigdy nie powiedział tego otwarcie. - Nosi go jeszcze niemiecka ziemia?

- Rozkaz został wykonany - zameldował bezbarwnym głosem Pticzkin. - Bondarin nigdy nie zawodzi.

- Pewnie gazety napisały, że kolejny policjant nadużywał alkoholu i dlatego nieszczęśliwie wpadł pod samochód?

- Kirsch nie pił.

- To co mu zaproponowaliście? Na co było was stać? - spytał agent GRU ze źle ukrywaną drwiną.

- W pobliżu Bielefeld są glinianki, o tej porze roku pełne wody wymieszanej z olejami, kwasami i innym świństwem.

Pticzkin zerknął na Bielewa z błyskiem w oku i roześmiał się bezdźwięcznie, otworzywszy szeroko usta.

- Źle - skarcił go rodak z GRU. - To już nie te czasy, żeby człowiek mógł zginąć bez śladu, w dodatku asystent szefa Prezydium Policji. Będą go szukali tak długo, aż odnajdą. Jeśli znajdą ciało...

Pticzkin nalał sobie trzecią szklankę wódki, smakowała mu wybornie.

- Musieliśmy właśnie tak zagrać. Glinianki są w lesie w pobliżu naszych dawnych koszar. Na razie nikt nie wie, co z nimi zrobić, to i policja tam nie bobruje. Jak znajdzie się kupiec z pomysłem, a to będzie za rok albo i później, może sobie wypompowywać wodę. Nikt nawet kostki nie znajdzie. On, mówię o Kirschu, i tak już miał zatrute życie. Wszyscy się go czepiali.

- Sierota, ale był niezły w tym, czego się podejmował. I przede wszystkim pewny.

- Została nam jeszcze ta mała w redakcji, bo Vogel pewnie nic nie rozumie. Zresztą pożytek z niego niewielki, lecz i niewiele kosztuje.

- Angelikę musimy chronić jak nasze największe bogactwo. Takiej pomagierki nigdzie nie znajdziemy. Kto pogmatwał w łepetynie pani Albrecht, że uwierzyła w te wszystkie historyjki? Po tym, co

naopowiadał jej Wolfmann, nie będzie miała do nas pretensji - cieszył się Bielów. - Która godzina?

Pticzkin podniósł się niechętnie; najpierw zerknął na swój zegarek, później uchylił drzwi do sekretariatu i powtórzył pytanie. Robił tak zawsze, gdy czuł się niepewnie.

- Pierwsza, możemy jechać.

- A ja nie ufam Mallerowi. Chytra z niego sztuka - powiedział w zadumie Bielów.

- Niedługo już i też będzie po nim - mruknął Pticzkin, jakby czytał w jego myślach.

- Także wieczny odpoczynek w gliniance?

- Pułkownik vel profesor zasługuje na coś bardziej godziwego. Jemu już w kołysce została wyznaczona kraksa na autostradzie między Frankfurtem a Berlinem, dokładnie na wysokości Briesen. Bondarin godzinami studiuje mapę samochodową i wybiera najlepsze miejsce w pobliżu zjazdu na parking.

- Ale błagam po starej znajomości, żeby to się odbyło bez huków i krwi. Podobała mi się ostatnia jazda profesora von Blitza: cichutko, spokojnie, przy pomocy służb drogowych, prosto na cmentarz. Zdaje się, że to było arcydzieło waszego Bondarina. Zatem...?

- Rozkaz, Igorze Stiepanowiczu. Chciałem powiedzieć: panie przewodniczący Rady Nadzorczej firmy konsultingowej Deutschland-bild 2000 - roześmiał się, zadowolony.

Stojąc w szerokim rozkroku, Bielów wziął głęboki oddech i założył ręce do tyłu, po czym spytał cicho, jakby nie wierzył, że wszystko dzieje się pod jego dyktando:

- Czy polowanie na „Niedźwiadka” zostało rozpoczęte, doktorze Gruber?

- Tak jest - stanąwszy na baczność, zaskłutował do gołej głowy Pticzkin.

- Z naganką?

- Oczywiście.

- Gdyby Maller o tym wiedział...

*

W tym samym czasie w mieszkaniu na pierwszym piętrze przy Parisienstrasse, oddalonym o co najmniej dziesięć kilometrów od dziel-

nicy Karlshorst, pułkownik Maller oglądał plany i fotografie przedstawiające centralne ulice Frankfurtu. Jednak najbardziej interesował go widok z ostatniego piętra wieżowca przy Karl Marx-Strasse, zwanego Oderturmem, na placu tuż za mostem granicznym, przy którym wyrósł gmach Collegium Polonicum. Po stronie polskiej biegły dwie wąskie drogi: jedna wzdłuż Odry poniżej wału przeciwpowodziowego, znikająca w gęstwinie wierzb, druga wpadała między domy w centrum Słubic. Na początku tej drugiej, pełnej samochodów, rowerzystów, przechodniów, Maller postawił czarnym flamastrem krzyżyk.

- Jaka to odległość? - zwrócił się do mężczyzny w przyciemnionych okularach, uprzednio przeciągnąwszy czarną linię od Oderturmu do skrzyżowania za mostem.

- Dokładnie sześćset sześćdziesiąt jeden metrów i trzydzieści cztery centymetry. Rosjanie potwierdzili nasze pomiary - wyrecytował Reschke.

- Dużo - rzekł Maller z przekąsem. - Nie słyszałem, aby ktokolwiek z tej odległości trafiał na pewniaka.

- Ja również. Ponoć jednak facet nie puźduje. Przez dwadzieścia jeden lat co roku był mistrzem świata w strzelaniu na duże odległości.

Maller pokręcił głową z niedowierzaniem, wolno wypuszczając powietrze przez nos. Pomyślne przeprowadzenie akcji przy pomocy zasłużonego sportowca wydawało mu się niemożliwe. Oficerowie służb bezpieczeństwa, szkoleni wyłącznie jako wyborowi snajperzy, w takich sytuacjach często się sypią, a sportowiec, człowiek z talentem, lecz bez doświadczenia, kiedy dowie się, do kogo ma strzelić, stchórzy, zwieje albo spuźduje. Lecz nie ma innego wyjścia. Kiedyś Maller nie zastanawiałby się nad tym, czy zadanie zostanie wykonane tak, jak to zaplanowali pułkownicy i zatwierdzili politycy. Wydawał tajne rozkazy i czekał na tajne raporty.

- Ile zażądał?

- Trzydzieści pięć tysięcy marek.

- Spytałem, ile zażądał ryzykant - wyjaśnił pułkownik, starając się panować nad swoim głosem. - Pańska prowizja, Reschke, na razie mnie nie interesuje.

- Trzydzieści tysięcy - powiedział Reschke i nie wiadomo który raz pomyślał o farmie na wysepce u wybrzeża Irlandii, gdzie hodując owce, w spokoju doczeka później starości.

- Połowę wypłacić przed akcją, resztę po wykonaniu zadania.
- A jeśli się potknie? - spytał okularnik.
- Mistrz świata zapewne nie pudłuje - powiedział Maller wbrew temu, o czym przed chwilą myślał. - Gdyby jednak... Zna pan przecież jakieś sposoby pozbywania się niewygodnych świadków, prawda, Reschke? Niech pan uzupełni nasz plan o ten punkt.

- Dodatkowy wydatek, co najmniej dwa tysiące marek. Rozumiem, że o tyle podrożeje „Niedźwiadek”.

Pułkownik ciągle myślał o generale Grossmanie, swoim dawnym zwierzchniku. Gdyby akcję we Frankfurcie organizowali wspólnie, wynajęliby najlepszych fachowców, z jakich korzystała Stasi w Syrii czy Nikaragui. Za trzydzieści tysięcy marek można przebierać wśród Amerykanów, Francuzów, Arabów, a kto wie, czy i Adelheida Schulz albo Ingrid Jakobsmeier lub Christa Ackens nie połąkomiłyby się na taką forszę. Ale Grossman musiał się wycofać, a Devaux, Fischer, Kern, Schorn pewnie są codziennie obserwowani przez agentów wywiadu zachodnioniemieckiego. Pozostał jedynie on, pułkownik w stanie spoczynku Ernst Maller.

- Czy po tamtej stronie granicy można umieścić jeszcze jednego rzykanta? Na wszelki wypadek.

- Chyba nie. Najwyższy budynek w Słubicach, czyli gmach Collegium Polonicum liczy bodaj pięć pięter. Stoi na wprost mostu. Na pewno zajmie go polskie Biuro Ochrony Rządu.

- Nasz wieżowiec także będzie strzeżony, a musimy zarzucić kowcę. Rzecz nie w pilnowaniu - stwierdził Maller i zmarszczył czoło. - Uważam, że z odległości prawie siedmiuset metrów nawet w warunkach idealnych, jakie występują na strzelnicy, nie zawsze trafia się w centralny punkt. My od rzykanta domagamy się strzału wyborowego o zmroku, przy bocznym wietrze i zmiennej wilgotności. Jest to zadanie nie do wykonania.

Reschke miał odmienny pogląd, wołał jednak nie przekonywać pułkownika, nic by to nie dało. Zresztą bierze pieniądze nie za doradzanie, lecz za sprowadzenie do Frankfurtu mistrza świata w strzelaniu.

Maller podniósł następne zdjęcie ze stołu, wykonane przez policyjnego fotografa z wieży od pół wieku nieczynnego Kościoła Pokoju przy Sali Koncertowej.

- Ile metrów jest stąd do wylotu mostu?
- Trzysta dwanaście - wyrecytował okularnik.
- Też za dużo. Trzeba wziąć poprawkę na wiatr i temperaturę powietrza nad rzeką. To będzie czwarty dzień grudnia.

- Za trzydzieści tysięcy marek mamy prawo wymagać od niego strzału idealnego.

- Zgoda, pozostajemy przy Oderturmie - zdecydował Maller natychmiast. - W jaki sposób umieścicie go wewnątrz budynku?

Reschke spodziewał się takiego pytania.

- Mamy klucze do wszystkich zamków - odparł spokojnie. - Wieczorem obsługa gmachu wyłączy windy. Ochroniarze sprawdzą pomieszczenia. Od tej pory za każdymi drzwiami będzie stał dyżurny policjant i małomówny facet z BND. Są więc dwa wyjścia: albo ryzykant zajmie miejsce jeszcze przed kontrolą wieżowca, albo ubierzemy go w mundur inspektora policji. Prawdę mówiąc, z tym będzie najmniejszy problem. Trudniej będzie wydostać się z budynku po wykonaniu zadania.

- Są również dwa wyjścia - rzekł jakby tylko do siebie pułkownik. - Albo mu się uda, a wtedy pan robi co należy i za co nasza organizacja panu płaci. W końcu chodzi o tysiące marek. Albo wpadnie, a wtedy niech pan Bielow rwie włosy z głowy pana Pticzki. - Na ascetycznej twarzy Mallera pojawił się krótkotrwały uśmiešek. - Co dalej?

Mężczyzna w okularach napił się piwa prosto z puszki.

- Obaj szefowie przyjeżdżają bezpośrednio do sali kameralnej w ratuszu. Marktplatz i przyległe do niego uliczki będą zamknięte dla ruchu kołowego. W pobliżu ratusza, kościoła Mariackiego, biblioteki miejskiej, Oderturmu należy się spodziewać zwielokrotnionej liczby gapiów. Karl Marx-Strasse będzie pulsowała normalnym rytmem.

Maller roześmiał się z uznaniem. Na takich jak Reschke nadal mógł polegać. Niewielu ich już pozostało, ale byli pewni i oddani.

- O dziesiątej do sali kameralnej wejdą dziennikarze, po pięciu minutach zostaną wyproszeni do poczekalni - ciągnął dalej okularnik. - Rozmowy oficjalne potrwać do trzeciej, potem będzie obiad, po czym nastąpi podróż na polską stronę. Od tej pory Frankfurt zacznie powracać do normalnego życia, oczywiście jeszcze nafaszerowanego bezpieką i dziennikarzami, ale już bez tych wszystkich przezorności.

- Tak - mruknął pułkownik w zamyśleniu.

- Gdyby wcześniej nie udało się wprowadzenie ryzykanta do Oderturmu, próbę ponowimy tuż przed czwartą. O wpół do piątej obaj politycy są spodziewani na podwieczorku w restauracji Odra w Słubicach. Później mają w planie konferencję prasową.

- Gdzie ona się odbędzie?

- W sali domu kultury, zwanej galerią prowincjonalną.

- A jeśli nie zdążą na podwieczorek?

- Wykluczone. Polak będzie się spieszył do Warszawy. O wpół do ósmej polska telewizja poinformuje o jego sukcesie politycznym we Frankfurcie. „Niedźwiadek” następnego dnia spotyka się z prezydentem Francji, dlatego też musi szybko wrócić do swojej gawry.

Mimo zapewnienia, jakie usłyszał, Maller miał wiele wątpliwości. Nie wszystko mu się podobało. Sprawozdanie Reschkego było zbyt ogólne, a pułkownik chciał znać szczegóły. W centrali Stasi nauczył się precyzyjnie analizować ruch po ruchu, wymyślać rozmaite ich warianty, misternie budować plany, które często powstawały jedynie po to, żeby podwładni mieli zajęcie. Gdyby nie obawiał się zdrady ze strony nowego pomocnika, zrezygnowałby z usług okularnika.

- Na drugą stronę granicy przejadą w samochodach czy zrobią sobie spacer? - pragnął wiedzieć pułkownik.

- Auta zatrzymają się przy wyjeździe z Frankfurtu. Drogę przez most, ponad sto metrów, obaj pokonają piechotą. Gdy zejść na polską ziemię, powita ich marszałek lubuski i burmistrz Słubic. Powstanie małe zamieszanie, co postaramy się wywołać. Ryzykant będzie miał akurat tyle czasu, aby dokładnie wycelować w „Niedźwiadka” i zrobić z tego użytek, o jakim pan myśli.

- To był wariant zasadniczy. Gdyby jednak nastąpiła zmiana planu i granicę przejechali w samochodach...?

- W każdej sytuacji muszą dotknąć ziemi, przyjąć kwiaty. W Polsce mają zwyczaj witania gości chlebem i solą. Trwa to minutę, może troszkę dłużej. A i wtedy obaj szefowie mogą wygłosić króciutkie mowy.

- Mogą czy wygłoszą? - spytał podniesionym głosem Maller.

- W protokole nie ma o tym ani słowa.

Pułkownik uniósł rękę, chciał coś powiedzieć, lecz tylko rozchylił usta i znieruchomiał. Reschke dodał:

- W naszym rozkładzie nie ma szczyrbiny. To się musi udać.

- Teoria...

- ... sprawdzona w Hiszpanii, zachodnich Niemczech, Palestynie - wpadł mu w zdanie okularnik. - Tyle lat postępowaliśmy zgodnie z tą teorią, że staliśmy się profesorami terroryzmu. Wschodnie Niemcy zadziwiły cały świat niebывałymi osiągnięciami w sporcie i pilnowaniem perfekcyjnym granicy niemiecko-niemieckiej. Ponad dziesięć lat minęło od ujawnienia metod pracy Stasi, a nadal niektóre rządy zachodnie biorą RAF za organizację nie mającą nic wspólnego z naszą była szkołą bezpieczeństwa i korzystają z jej metod.

- Kiedyś prawda wyjdzie na jaw - usiłował zgasić jego pewność siebie Maller. - Mnie już nie będzie między żywymi, ale pan powinien mieć się na baczności. Wątpię, aby Argentyna jeszcze raz zgodziła się udzielić schronienia niedobitkom niemieckiego socjalizmu. Rosja też was nie zechce.

- Jesteśmy tylko Niemcami - przypomniał oschle Reschke i poprawił okulary. - Po tym, co kiedyś zrobiliśmy panu Schaeublemu, żaden polityk federalny nie odważy się przeciw nam wystąpić. Łatwiej im było wynegocjować traktat zjednoczeniowy, niż zachować swoje zdrowie. - I dodał twardo: - Co do mnie należało, zrobiłem. Należy mi się, pułkowniku, jeszcze pewna sumka.

Maller nie zareagował na jego uwagę.

- Obiecałem sobie, że dziesiątego listopada wyjadę na wypoczynek. Zmieniłem decyzję - oświadczył. - Dziesiątego przystępujemy do akcji w Görlitz. Detlev Rohwedder musi zostać usunięty z BFV.

- Dlaczego? - udanie zdumiał się okularnik. - Czym Rohwedder zawinił? Przecież to nasz człowiek i bez żadnego znaczenia.

- Zginie każdy, kto stanie przeciw mnie i organizacji, choćby był nasz i grał drugie skrzypce, ale za moimi plecami.

Reschke pomyślał, że pułkownik już nie panuje nad sytuacją, na placu boju pozostał z ledwie kilkoma sobie podobnymi, lecz nie chce się do tego przyznać. Większość wyższych rangą oficerów Stasi usunęła się pod dachy swoich przytulnych domów, przy nim pozostali dłużnicy SWR. A ci, którzy wykonują rozkazy pułkownika, stawiają wysokie wymagania finansowe. Nikt już nie chce nadstawiać głowy za drobne sumy, chociaż te głowy są niewiele warte. Nawet na starość ryzyko musi się opłacać.

- Która godzina? - Maller odsunął rękaw koszuli. - Wpół do drugiej?
- Wpół do drugiej. Już powinni być. - Reschke wytarł szkła okularów chusteczką, przyglądał rzadkie włosy, jakby się spodziewał przyjazdu najpiękniejszej kobiety, z którą pójdzie na wykwintną kolację.

- Długo każą na siebie czekać - mruknął niezadowolony pułkownik.
- Jeszcze jest do załatwienia jedna sprawa, szefie.
- Jaka? - spytał bez zainteresowania.
- Dziennikarka z „Frankfurter Zeitung” wie więcej niż należy. Kirsch jej nie upilnował, ale krzyż z nim... Ona też powinna zniknąć.

- Co to znaczy?

Reschke przechylił głowę i powiedział niedbale:

- Jeździ szybkim golfem, może więc wyjąć klocki hamulcowe?
- Nigdy! - wrzasnął Maller. - Jej nie wolno skrzywdzić! Ona... - zaczął i umilkł. Krew uciekła mu z twarzy. - Na czas akcji... Trzeba ją zawiadomić, że... matka jest ciężko chora, leży w szpitalu. Telegram musi zostać wysłany z Konstancji dzień przed rozpoczęciem akcji.

- Nie przypuszczałem, że szefowi podobają się młode damy.

Maller podniósł się z fotela, ociężałym krokiem podszedł do okna, uchylił lufcik, pelargonie przesunął na środek parapetu, poprawił firankę. Po drugiej stronie Parisienstrasse stał mercedes.

- Już są - rzucił za siebie, krzywiąc usta w pogardliwym uśmiechu. - Niech pan zaczyna. A ryzykanta umieści pan, Reschke, nie w Oderturmie, lecz na wieży, tu - Maller wskazał palcem okno remontowanego kościoła przy Sali Koncertowej. - I zrobi pan to w ostatniej chwili.

Okularnik z ręką uniesioną do czoła znieruchomiał. Przecież dostanie się na dwudzieste trzecie piętro Oderturmu będzie łatwiejsze! Już otwierał usta, żeby spytać, dlaczego Maller dotąd akceptował pierwsze rozwiązanie i nagle zmienił decyzję, gdy sobie przypomniał, że nadal jest jego podwładnym.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Rozdział XVII

Na latarniach, kioskach, słupach, nawet na balkonach wzdłuż Karl Marx-Strasse furkotały flagi czarno-czerwono-żółte i biało-czerwone. Ludzie rozmawiali szeptem, jakby się kogoś obawiali, pewnie nie wszyscy, ale tak się wydawało fotoreporterowi zaraz po wyjściu spod dachu nad mostem granicznym.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat oni niewiele się zmienili - stwierdził, celując obiektywem nowiutkiej minolty w tunel kolorowej ulicy.

Ma rację; wschodni Niemcy, zwani przez tych z zachodu Ossi, w ciągu ostatnich dziesięciu lat niewiele się zmienili, powtórzył w myślach Daniel. Narodem, który nie rzuca jajami w swego prezydenta, nie dyskutuje, nie gawędzi przy byle okazji, nie sejmikuje, nie protestuje, lecz ślepo wykonuje polecenia przywódców, jest łatwiej kierować. Taki naród szybko się bogaci, lecz za żadne skarby nie chciałbym żyć wśród Niemców.

- Cyknę kilka ujęć z jakiegoś dachu - oznajmił Gubiel i nie czekając na akceptację pomysłu, odszedł w stronę czerwonego gmaszyska poczty, przed którym sterczał Oderturm.

- O dziesiątej bądź przed ratuszem! - zawołał za nim Daniel. - Wejście od strony Marktplatzu!

Fotoreporter wmieszał się w gęstniejący tłum i po chwili zniknął mu z oczu. Daniel nie obawiał się, że Gubiel zabłądzi w mieście, ale lubił decydować o wszystkich poczynaniach współpracowników. Do reporterskiej obsługi spotkania premiera z kanclerzem przygotowywał się pilnie, jeszcze wczoraj wieczorem przeglądał artykuły w czasopiśmie polskich i niemieckich na temat zwyczajów szefów rządów. Do żadnego zjazdu polityków, w których brał udział jako wysłannik gazety, nie przyłożył się aż tak dokładnie. W pewnym sensie robił to bowiem ze względu na Karin.

Wolfmann nie był zaskoczony wizytą Daniela w redakcji, ale gdy go zobaczył, rozciągnął ręce w geście bezsilności i oznajmił mu zbolalym głosem, że Karin wyjechała z Frankfurtu.

- Wyjechała? - zdziwił się. Po chwili zaś jakby z wyrzutem przypomniał: - Przecież to spotkanie miało być jej życiową szansą. Wiedziała o czymś, czego nie mogła wcześniej ujawnić.

- Dostała telegram, podobno aż z Konstancji. Niewiele więcej mogę powiedzieć - przyznał się Wolfmann, lekko zawstydzony, wszak był jej zwierzchnikiem w redakcji. - Przez telefon powiadomiła naczelnego, że natychmiast wyjeżdża na kilka dni.

- Musiał to być pilny telegram.

- Pewnie tak. - Wolfmann zmarszczył czoło, jakby dopiero teraz odkrył coś, czego wcześniej nie dostrzegł. - Ona jest nie z tego świata. Teksty, które pisze z taką zawziętością, czasem zupełnie nie pasują do naszej gazety. Myśmy w Brandenburgii jeszcze nie zdążyli uwolnić się od pewnego rodzaju myślenia. I chyba moje pokolenie nigdy się od niego nie uwolni.

- A może dostała jakieś wiadomości w sprawie ojca?

- Nic nie mówiła. Moim zdaniem, telegram dotyczył jej matki. Najprawdopodobniej Karin pojechała do Konstancji.

- Mieliśmy pewne plany - powiedział z nutą żalu Daniel.

- Jeśli idzie o obsługę spotkania, możesz na mnie liczyć. Już zdążyłem poznać kilku urzędników z kancelarii Schrödera, ułatwię kontakty z policją, pomogę, w razie gdybyś miał problemy z uzyskaniem informacji w urzędzie prasowym kanclerza.

- Dziękuję, na pewno skorzystam - odrzekł Daniel uprzejmie, a w myślach stwierdził, że teraz powinien liczyć wyłącznie na siebie. Wolfmannowi nigdy nie ufał, chociaż nic przeciw niemu nie miał. Jediną osobą, z którą chciałby pracować, jest Karin.

Angelika była przygnębiona, małomówna, mimo to zaproponowała mu filiżankę kawy. Podziękował, unikając jej wzroku. Wobec niej czuł się winny. Czy ona już wie, gdzie jest Joachim?

Szybko wyszedł z gmachu redakcji na ulicę. W rozpiętej kurtce stał przez chwilę z głową uniesioną ku koronom drzew, widział upudrowane szronem gałęzie klonów, lecz nie czuł chłodu, przeciwnie, było mu bardzo gorąco. Zamiast myśleć o tym, co jeszcze ma do zrobienia w związku ze spotkaniem polityków, rozmyślał o Karin. Nigdy, wyłączając Miśkę, żadna kobieta nie była mu tak bliska, a poznał ich kilka - urodziwszych, bogatszych, może i mądrzejszych, naiwnych, głupiutkich i całkiem zbzikowanych. Od uwięzienia w leśniczówce czuł związek z Karin, ale nie była to wspólnota, jaka się zdarza między kobietą i mężczyzną, to była raczej kwestia zbieżności podobnych

poglądów na nieprzekupność, prawdę, rzeczywistość; przynajmniej on tak uważał. Miśkę kochał i nigdy się nie zastanawiał nad tym, dlaczego została jego żoną, Karin zaś szanował jak brat młodszą siostrę... Coś niezwykłego musiało się zdarzyć, skoro wyjechała w takim momencie z Frankfurtu. Uważał, że kobiety z jej temperamentem łatwo nie poddają się przeciwnościom losu, a sytuację analizują starannie i na zimno.

Kiedy znalazł się w parku w pobliżu Gartenstrasse, przyszedł mu na myśl Joachim Jungingen. Na pierwszej stronie piątkowego wydania „Gazety Lubuskiej” będzie sprawozdanie ze spotkania polityków we Frankfurcie, co pewnie nie wzbudzi większego zainteresowania czytelników, bo o wynikach rozmów telewizja poinformuje wcześniej. Tego samego dnia, na stronie trzeciej, ukaze się artykuł Daniela, zawierający odpowiedź na pytanie, kto napadał na Niemców w Zielonej Górze. Z punktu widzenia codziennych czytelników akurat ten tekst będzie ważniejszy od następnego, zaplanowanego za tydzień na tej samej stronie, w którym powinna się znaleźć próba wyjaśnienia przyczyn owych napadów. Ale czy Daniel sam potrafi wszystko wytłumaczyć? Do tego jest potrzebna Karin.

Bez wyraźnie określonego celu schodził parkową uliczką do promenady. Docierały do niego dialogi starych Niemców, piski przedszkolaków zbierających kasztany i przemarznięte liście, przed sobą miał Oderturm, z dachu którego można sycić oczy panoramą okolicy Frankfurtu. W pobliżu rozebranego hotelu Stadt Frankfurt kręciło się sporo policjantów i cywilów ze słuchawkami na uszach, wypucowane radiowozy parkowały wzdłuż Karl Marx-Strasse, a przechodnie umykali na drugą stronę ulicy. Wszystkie samochody prywatne koczowały na parkingu przy targowisku. Tam też Daniel spotkał fotoreportera.

- Znasz Stacha Schmidta?

Zaskoczony pytaniem Daniel w pierwszej chwili nie odpowiedział, tylko wytrzeszczył oczy; zastanawiał się, dlaczego Gubiel akurat teraz pyta go o człowieka, którego nazwisko nie powinno być obce nikomu, kto choć troszkę interesuje się historią sportu. Dzięki Schmidtowi, żużlowcom i działowi winiarskiemu w Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz dorocznemu świętu Winobrania Zielona Góra stała się sławnym miastem, przynajmniej w Polsce.

- Znam, oczywiście - odrzekł po chwili, robiąc pytającą minę.
- A może wiesz też, czym się on zajmuje?
- Najczęściej niczym. Niekiedy bywa facetem do wynajęcia. Jesienią zagraniczni myśliwi wypożyczają go na polowania, później się chwala, jaki to mają wzrok, słuch i węch.
- Zdziwaczał. Zdziadział. Posiwiął.
- Jak każdy człowiek po pięćdziesiątce. Tyle, że on od wypadku starzeje się szybciej. Kiedyś był smukły, poruszał się tak, jakby w kręgosłupie miał nie rdzeń, lecz sprężynę.
- Powiadasz, że poluje na dziczyznę. Za pieniądze. A czy jest możliwe, żeby również polował na ludzi?
- Na ludzi? - Daniel nie zrozumiał pytania.
- Również za pieniądze?
- Co ci padło na mózg?
- Tak sobie tylko pomyślałem. - Gubiel umilkł na dłużej, łowiąc obiektywem twarz egzotycznych handlarzy, którzy umiejętnie wciśkali klientom tandetne towary. - Czy już wiadomo, kto ustrzelił Niemca przed Polanem?
- Strzelec wyborowy - odparł bez zainteresowania Daniel, pamiętając z tamtego wieczoru raczej to, co działo się w pokoju Karin. - Podobno posługiwał się noktowizorem laserowym, ale to jedynie przypuszczenie. Nikt nie nakrył mordercy, mimo to policjanci zatrzymali pewnego faceta - powiedział szczerze i zaraz pożałował tej szczerości. Przecież obiecywał Syskiemu, że będzie trzymał język za zębami.
- Tego nie zrobił pierwszy lepszy siepacz. Noktowizor laserowy kosztuje pewnie tyle co luksusowy samochód. - Gubiel nie potrafił ukryć swego zdumienia. Podniósł fotoaparat i powiedział: - Minolta jest droższa od mercedesa. Za noktowizor laserowy byłyby ze dwa mercedesy i jeszcze wystarczyłoby forsy na garaż z fotokomórką.
- Daniel wzruszył ramionami.
- Możliwe.
- Wydawało mi się...
- Tobie, artysto, zawsze coś się wydaje.
- Kiedy cykałem zdjęcia przed Viadriną i za hotelem Central, na parking wjechały dwa szare ople vectry. W pierwszym było dwóch gości. Każdemu dałbym po dwadzieścia pięć lat meliorowania bagien

jesienią na Spreewaldzie - westchnął i krótko się zaśmiał. - Oko fotoreportera ma to do siebie, że bezbłędnie ocenia charaktery ludzi. W drugim aucie też były dwie osoby.

- Bezpieka albo ochroniarze.

- Może. Spytałem cię, co robi Schmidt, bo, tak mi się wydawało, za kierownicą drugiego opla siedział facet w ciemnych okularach, a obok niego ktoś bardzo podobny do Schmidta.

- Sobowtór Staszka - roześmiał się otwarcie Daniel. - Gdy go spotkam przed moim sklepem na osiedlu to powiem, żeby miał się na baczności.

- Wyważone ruchy rąk, lekkie przechylenie w bok, ociężały chód, zamarte oczy to cechy człowieka niezwykle spokojnego, opanowanego, cierpliwego. Tak się zachowują szachiści i strzelcy. Cioteczny brat mojej żony należy do sekcji strzeleckiej Olimpii, mogę więc powiedzieć, że przynajmniej z obserwacji znam tę grupę sportowców. - Gubił nagle spoważniał. - Spytałem cię o Schmidta bo... Pewnie to był jego sobowtór, ale żeby aż tak podobny? Zresztą cyknąłem zdjęcie. Wieczorem wywołam film, sprawdzisz, czy się myliłem.

Daniel podniósł oczy na kolegę i uśmiechnął się lekceważąco.

- Już wypileś dwa piwa - ni to spytał, ni stwierdził. Gubił byłby mistrzem w swoim fachu, gdyby mniej pił. - I podwójnie widzisz?

- Kazałem podać sobie jednego grottena i małego sznapsa na rozgrzewkę. Stary, nie jestem pijany. Moje możliwości są znacznie większe, znasz je.

- Pomyśl logicznie, po co Schmidt by tu jechał? Jest zwyczajnym chłopem, który tę całą politykę ma głęboko w dupie. Jak ty i jak ja, tyle że my musimy udawać zainteresowanie, bo za to nam płacą. Bo mamy rodziny, które trzeba utrzymać.

- Dochodzi dziesiąta - fotoreporter pokazał na zegar ustawiony na czubku słupa ogłoszeniowego.

Ledwie zrobili kilka kroków, zatrzymał ich policjant i zdecydowanie poprosił o pokazanie dokumentów. Śmiechem skwitowali jego prośbę, ale kiedy kiwnął ręką do policjanta opartego o motocykl, wyjęli legitymacje prasowe i zawiesili na szyjach specjalne przepustki.

- Czy coś jest nie tak, panie władzo? - zapytał Gubił niegramatyczną niemiecczyzną. - O coś pan nas podejrzewa? Może przysto-

wujemy zamach na polityków?

- Przepraszam - powiedział policjant nie reagując na pytania. - Musimy być ostrożni. Dziś wszystkiego należy się spodziewać.

- Może dostaliście jakiś sygnał?

Policjant zrobił minę jakby coś wiedział i odszedł w kierunku postoju taksówek.

*

Rozwarły się ciężkie drzwi, horda dziennikarzy mówiących we wszystkich językach europejskich wtargnęła hałaśliwie do sali, usiłując się dostać jak najbliżej szefów rządów. Daniel spostrzegł, że polski premier czuje się nie za pewnie, wzrok to kładzie na dywanie, to przenosi go na sufit, jest skrępowany, co chwila kamienieje i wtedy wypada dobrze. Jego partner natomiast stara się siedzieć mocno, nogę założył na nogę, dłonie splótł na kolanach i ani mrugnie, jakby był z betonu. Elegant wciśnięty w dobrze skrojony garnitur, pewność siebie i obycie Schrödera dają mu wyraźną przewagę nad niepozornym Pola-kiem. Premier w niczym nie przypomina supermena, którego fotografia znajdzie się w encyklopediach i w podręcznikach historii obok Schrödera.

- Koniec! - zawołał mistrz ceremonii w granatowym garniturze ze złotymi guzikami i bez pardonowo pokazał dziennikarzom drzwi. Z pomocą przyszli mu dwaj ochroniarze, posturą zbliżeni do kancle-rza, tyle że młodszy i zwinniejsi. Mistrz popchnął Gubiela. - Dość! Reszta na popołudniowej konferencji.

W poczekalni, zamienionej na kawiarnię, zrobiło się gwarnie i tłoczno, niezadowoleni dziennikarze dawali upust swojej złości, zresztą robili to zawsze podczas takich spotkań; niektórzy przenieśli się do restauracji w piwnicy ratusza. Daniel i Gubieli zamówili kanapki w bufecie i zamierzali czekać. W każdej chwili politycy mogą prze-rwać rozmowy, wtedy na kilka minut otworzą się drzwi. Doświadcze-nie nakazywało im, żeby byli cierpliwi i spokojnie warowali do końca zgromadzenia.

- Nie lubię takiej roboty - przyznał się Wolfmann. - Cały dzień siedzę, notuję, łowię słówka, a gdy wieczorem przychodzi do pisanja, ledwie mogę naskrobać kilkanaście zdań. Gdyby redakcja płaciła mi

za warowanie, zarabiałbym jak minister. Panowie, przecież tu nic nie może się zdarzyć! Zapraszam na piwo.

- Myśli pan o rozmowach czy jakiejs aferze? - zaciekawiał się Gubiel. - W waszym niemieckim porządku nie ma miejsca na fantazję. Nic, co nie zostało zaplanowane i zatwierdzone, rzeczywiście nie może się zdarzyć. Jak to dobrze, że Stwórca nie był Niemcem.

Tę uwagę Wolfmann przyjął z aprobatą i zaraz dodał takim tonem, jakby usprawiedliwiał cały naród niemiecki od Odry do Renu:

- Zmiany następują, tyle że wolno. Jednak żyjemy na zachodzie, gdzie narodami rządzi ewolucja.

- Na początku lat dziewięćdziesiątych mieliście rewolucję.

- A skąd przyszła? - spytał Wolfmann i sam odpowiedział: - Ze Wschodu. Zachód buduje, Wschód niszczy.

- Miałem przyjaciela w Poczdamie - pochwalił się Gubiel. - Przed osiemdziesiątym pierwszym rokiem zaprosił mnie do siebie, ugościł, wieczorem, kiedyśmy mieli trochę w czubach, wdał się w dyskusję polityczną. Spytałem go, wtedy jeszcze żartobliwie, czy wierzy w to, że Niemcy się zjednoczą przed końcem stulecia. Przytaknął, ale nie omieszkiał zaznaczyć, że zachodnie Niemcy przyłączą się do wschodnich. Zwycięży socjalizm, powiedział. Byłem innego zdania i tak na wszelki wypadek założyłem się z nim o butelkę najdroższego koniaku.

- Gratuluję - odezwał się Wolfmann matowym głosem.

- Od tamtego czasu przyjaciel mnie unika. Podobno zapisał się do partii chadeckiej. A, chciałbym dodać, często przekonywał mnie o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem.

- Pomylił się. Jak wielu moich znajomych.

Daniel nie odzywał się, jego myśli krążyły wokół nieobecnej Karin. Ciągłe nie mógł zrozumieć, dlaczego wyjechała z Frankfurtu akurat wtedy, kiedy dzieją się rzeczy najważniejsze. Nie znał jej na wylot, jednak wierzył, że musiało się stać coś takiego, co usprawiedliwia nieobecność Karin. Skoro wyjechała do Konstancji, to może jej matka zachorowała?

Wstał i pochylony krążył po kawiarni z rękami założonymi do tyłu. Wyglądał jak mędrzec, który rozstrzyga problem początku lub końca świata. Gdy zerknął na Gubiela zawzięcie dyskutującego z Wolfmannem, przypomniał sobie o rozmowie na ulicy przed hotelem. Czy

rzeczywiście redakcyjny kolega widział Staszka Schmidta? Fotoreporterzy mają doskonałą pamięć wzrokową. Lecz co by Staszek robił we Frankfurcie jesienią? Latem mógł się wybrać na wycieczkę do znajomych. Pewnie zna niemieckich sportowców, z którymi kiedyś walczył o tytuły mistrza świata. Naraz przyszedł mu do głowy pomysł, aby nie czekać do wieczora, tylko zaraz wywołać film i sprawdzić, kogo Gubiel zatrzymał w kadrze.

- Czy można skorzystać z waszego laboratorium?

Wolfmann nie zrozumiał. Daniel powtórzył pytanie i wyjaśnił:

- Nam się cholernie spieszy. W Zielonej Górze będziemy dopiero późnym wieczorem, wywołanie filmu zajmie co najmniej godzinę, chciałbym, żeby kolega zrobił to teraz. - Nie powiedział, że zależy mu wyłącznie na jednym zdjęciu. Jeśli Gubiel się pomylił, nikt poza nimi nie pozna prawdy. Mrugnął znacząco do fotoreportera.

- Żaden problem - uznał Wolfmann. - Zadzwonię do atelier w redakcji, żeby laborantki nie robiły wam przeszkód. Przecież jestem tu też, żeby i wam pomagać, koledzy.

Po dwóch godzinach Gubiel wrócił do kawiarni przy sali kameralnej ratusza.

- Schmidt czy jego sobowtór? - spytał niepewnie, kładąc czarno-białe zdjęcie na stoliku. - Kogo poznajesz?

Daniel długo przypatrywał się fotografii. Mężczyzna na zdjęciu, chociaż podobny do Staszka, miał na sobie modną jesienkę, a jego zawsze kamienna twarz zdradzała niepokój. Nabrał powietrza do płuc i wypuścił je z sykiem. Staszek? Może kto inny? Nie wiedział, co odrzec.

- Sobowtór czy Schmidt? - powtórzył pytanie Gubiel i nie słysząc natychmiastowej odpowiedzi, podał Danielowi lupę w kościanej oprawie, którą zawsze nosił w torbie z obiektywami. - Powinienem wykadrować jego twarz.

- Zabiłeś mi klina. - Daniel wyraźnie widział brodawkę pod lewym okiem. Wydawało mu się, że żywy Schmidt także ma brodawkę, ale czy w tym właśnie miejscu?

- Sobowtór? Schmidt? - trzeci raz spytał fotoreporter.

Daniel znowu nabrał powietrza w płuca i długo wypuszczał je przez nos. Nie chciał powiedzieć tego, o czym był przekonany. Sta-

szek. Jeszcze się zastanawiał, po co Schmidt przyjechał do Frankfurtu. Kto mu kupił jesionkę? Dlaczego na zdjęciu wygląda tak dostojnie? I ta zastygła w skupieniu twarz... Gdyby Gubiel sfotografował ręce, a przede wszystkim prawą dłoń, na której Schmidt ma wytatuowaną tarczę strzelecką, Daniel byłby pewny. Bo może to jednak nie jest Staszek?

- Schmidt - potwierdził mimo wszystko.

Gubiel znieruchomiał. Jego niebieskie oczy zrobiły się szare, usta sine, a na skroniach wystąpił pot.

- Nie pomyliłeś się?

- Gdybym kilkanaście dni temu nie spotkał Staszka przed sklepem na moim osiedlu... - Jeszcze raz wziął lupę do ręki, pochylony nad zdjęciem dokładnie badał obraz twarzy. - Widzisz brodawkę na lewym policzku? Brwi są zrośnięte? I szczegóół najważniejszy - pokazał na kilka ciemnych plamek przyklejonych do czoła - ślad po wybuchu. Rozerwała się komora nabojoowa. Moja Miśka miała wtedy dyżur w pogotowiu. Nie wszystkie okruchy prochu mogła usunąć. Kazała mu przyjść do swego gabinetu w Zakładzie Medycyny Sądowej, ale on to zlekceważył.

Fotoreporter kiwnął głową.

*

Ktoś, kto by obserwował ruch na Karl Marx-Strasse mógłby pomyśleć, że Reschke i ryzykant są muzykami i podążają na próbę orkiestry symfonicznej do Sali Koncertowej. Rzeczywiście skręcili w boczną uliczkę, łączącą główną arterię miasta z placikiem otoczonym wianuszkami zabytkowych budowli, wśród których stała Szkoła Artystyczna i dwie gotyckie świątynie halowe. Jedna wiele lat temu została zamieniona na Salę Koncertową imienia Karola Filipa Emanuela Bacha, druga, kiedyś nazywana Kościołem Pokoju, była nieczynna od zakończenia wojny.

- Oto pański instrument - powiedział Reschke, gdy zatrzymali się przed bramą do sali i podał ryzykantowi czarną walizeczkę, w której był karabinek snajperski, naboje i celownik laserowy. - Proszę go dobrze nastroić, bo każdy fałszywy ton oznacza dyskwalifikację. Jeśli zagra pan perfekcyjnie, a tylko to wchodzi w rachubę, otrzyma pan solidne honorarium.

Ryzykant nie odzywał się. Najpierw podniósł wzrok na czubek wieży, potem wolno zsuwał go, jakby obliczał, ile czasu będzie potrzebował na ucieczkę po wykonaniu zadania. Później, przez dłuższą chwilę, przypatrywał się kłódce na sztabie opinającej drzwi, bramom kamieniczek wzdłuż Oderpromenade, ale myślami już był po drugiej stronie rzeki, gdzie za pięć godzin wynajmie taksówkę i każe się zawieźć do Zielonej Góry. Za jedno pociągnięcie języka spustu dostanie więcej pieniędzy niż za wszystkie medale, jakie zdobył na olimpiadach i mistrzostwach świata.

- Stamtąd będzie pan miał dobry widok na cały most - Reschke wskazał mu głową jedyne okienko w wieży, przysłonięte blaszanymi żaluzjami. - Kiedy on pojawi się w celowniku, a powinno to nastąpić około godziny szesnastej dziesięć, zresztą w odpowiednim momencie uprzedzę pana przez krótkofalówkę, odda pan ten jeden jedyny strzał: prosto w tył głowy. Pocisk nie przebije jej na wylot, rozpląsczy się na wewnętrznym czole. On upadnie, na moście powstanie zamieszanie. W tym czasie musi pan opuścić wieżę i możliwie najprędzej dostać się na parking przed hotelem Central, do szarego opla. Stamtąd pojedziemy do miejsca, gdzie czeka na pana saszetka z ostatnią ratą gotówki. - Reschke nie przyznał się, że te pieniądze już przesłał na konto firmy handlującej nieruchomościami. Resztę życia chce spokojnie spędzić na irlandzkiej wyspie Man w pobliżu Douglas i tam hodować owce. Ryzykant nie dostanie więc ani feniga i nikomu się nie poskarży. Maller, jeśli nawet o tym się dowie, nic mu nie zrobi, bo jeszcze dziś wieczorem Reschke odleci z lotniska Tempelhof w Berlinie do Dublina.

*

- Może w czymś panu pomóc? - Maller usłyszał za sobą ciepły głos kobiety. W pierwszej chwili znieruchomiał, ale zaraz pomyślał, że stoi za nim nauczycielka śpiewu, pewnie dyrektorka szkoły, nie odwrócił się, bo nie chciał, żeby zapamiętała jego twarz. Przecież po tym, co się tu dziś wydarzy, policja będzie rozmawiała z wszystkimi, będzie pytała o najdrobniejsze sprawy.

- Piękny kościół - powiedział, sztucznie przeciągając słowa - lecz i pewnie kosztowny w utrzymaniu. Ileż to pieniędzy niemieccy podatnicy będą musieli jeszcze wydać na jego restaurację.

- Proszę pana, na terenie szkoły mogą przebywać wyłącznie uczniowie i pedagodzy. Czy pan na kogoś czeka?

- Mój wnuczek chce być instrumentalistą. To taka rodzinna tradycja. Dawno go nie widziałem, nie mieszkam we Frankfurcie i jak chyba każdy dziadek... Pomiędzy wnuczką i dziadkiem istnieje jakaś osobliwa nić porozumienia... Przyjechałem, żeby... zrobić mu niespodziankę... - kłamał, nie dając poznać po sobie, że wszystko, co wie o wnuczkach i dziadkach, już powiedział. - Godzinami mogę tak stać i przypatrywać się starym budowlom. W Stuttgarcie nie mamy żadnych znaczących zabytków. W ostatnich miesiącach wojny Amerykanie zbombardowali miasto, zniszczyli całą jego przeszłość wykutą w kamieniach, przez wieki zachowaną w świątyniach. Na szczęście mogę przyjechać do Frankfurtu, gdzie tyle piękna. I gdzie mój kochany wnuczek.

Nauczycielka pomyślała, że oto jeszcze jeden zbzikowany dziadek układa świetlaną przyszłość swego wnuka i odeszła. Maller też ruszył w stronę drzwi, ale nie wyszedł na plac, lecz zatrzymał się na półpiętrze, skąd przez okno widział Reschkego, rozmawiającego z ryzykantem. Na razie wszystko odbywało się zgodnie z planem. Gdybyś, chłopie, wiedział, że daleko nie uciekniesz, bo przecież chodzi o to, aby policjanci czy ochroniarze złapali cię, wykręcili ci ręce aż do bólu w stawach, nie słuchałbyś Reschkego. Strzelisz do „Niedźwiadka”, zaczniesz schodzić po drabinie, może nawet już będziesz w połowie drogi z wieży na parter, a ja wtedy wysadzę dolne schody. Dwa dni temu podłożyłem tam niewielki ładunek wybuchowy z gazem łzawiącym, uruchamiany sygnałem dźwiękowym w trzydziestej sekundzie po wystrzale. Zeskoczysz, to połamiesz sobie nogi. Zresztą oni będą szybsi, złapią cię jeszcze w wieży i kiedy to się stanie, wszystkie agencje informacyjne ogłoszą całemu światu, kto upolował „Niedźwiadka”. Nawet jeśli się przyznasz, że zrobiłeś to za trzydzieści tysięcy marek, nic nie usprawiedliwi twojego czynu. Nikt nie powie, że kanclerz RFN został zastrzelony, wszyscy będą mówili: Polak zabił Schrödera albo: Polski bandyta zamordował kanclerza zjednoczonych Niemiec.

*

Daniel szedł szybko, nie zważając ani na policjantów, których gromady musiał wymijać, ani na czerwone światła nakazujące zatrzy-

manie się przed skrzyżowaniami. Nie słyszał gwaru tłumu, łopotu flag na wietrze, jazgotu tramwajów, pisku samochodów. Niczego! Prawie biegł, zastanawiając się jedynie nad tym, jak się dostać do wieżowca. Bo pewnie Staszek już jest na dachu najwyższego budynku we Frankfurcie. Nie miał żadnych dowodów na to, wydawało mu się, że człowiek skrzywdzony i skazany na samotność mści się na innych, bo nie umie pogodzić się z losem. Rówieśnicy Staszka są zamożni, wracają z pracy do domów, w których czekają na nich żony i dzieci. A on, wielokrotny mistrz świata, bohater filmów, reportaży, haseł w encyklopediach, nie ma niczego; dlatego wszedł na dach Oderturmu - żeby pomścić swoją samotność. Kto go do tego namówił?

A kto ma być jego ofiarą? Premier czy kanclerz? Tylko te dwie osoby przysłyły Danielowi na myśl. Co jakiś czas odzywają się psychopaci, czyhając na życie osobistości politycznych, które w swoich krajach cieszą się autorytetem. De Gaulle miał szczęście, ale zabrakło go Kennedy'emu w Dallas, Palmemu w Sztokholmie, Narutowiczowi w Warszawie. Są przecież w Niemczech potężne siły, którym zależy na poróżnieniu narodów polskiego i niemieckiego właśnie teraz, kiedy sytuacja polityczna w środkowej części Europy staje się normalna. Gdyby więc Schmidt strzelił do premiera...

Jezu, akcja „Niedźwiadek”! Daniel miał okazję przyjrzeć się Schröderowi z odległości czterech metrów; wrył mu się w pamięć obraz człowieka nie tyle zwalistego jak jego poprzednik Kohl, którego z powodu tuszy i temperamentu nazywano niedźwiedziem, ale również pewnego siebie, który niczego się nie lęka, ryknie i odstraszeni wrogowie uciekną. Dopiero teraz skojarzył sobie wyprawę do leśniczówki z akcją „Miś”. Miał już tylko nadzieję, że Karin pomyliła kryptonimy.

Kaśliwi dziennikarze często nadają przydomki politykom. Panią premier Wielkiej Brytanii nazwali „Żelazną damą”. Prezydent Regan w ich żargonie był „Kowbojem”, Michaił Gorbaczow - „Liskiem”, Francois Mitterand - „Kogutem”, Fidel Castro - „Partyzantem”, generał Jaruzelski - to „Kruk” albo „Cichociemny”. Po śmierci Breżniewa przezwisko „Niedźwiedź” przylgnęło do Helmuta Kohla, a gdy po wyborze na urząd kanclerza Gerhard Schröder obwieścił, że będzie kontynuował politykę zagraniczną swego wielkiego poprzednika, politycy chadecji nazwali go „Niedźwiadkiem”.

Spocony, zatrzymał się przed głównym wejściem do Oderturmu. Jak się dostać na dach wieżowca? Podejść do któregoś policjanta i wyłuszczyć to, czego się domyśla i co wie o Schmidcie? Zostanie zatrzymany. Przecież nikt mu nie uwierzy, że mówi prawdę i nie ma nic wspólnego z akcją „Niedźwiadek”.

Okrażył wieżowiec; wszystkie drzwi boczne, a naliczył ich czworo, były zamknięte, przed każdym spacerował zziębnięty policjant w kamizelce kuloodpornej, z pistoletem w kaburze, z telefonem komórkowym i innymi drobiazgami, których nie potrafiłby nawet nazwać.

- Czy dyskoteka dziś jest nieczynna? - spytał kioskarke.

Najpierw obrzuciła go potępiającym spojrzeniem, a później odzekała:

- Porządni ludzie, młody człowieku, o tej porze pracują.

Miał widok jedynie na okna. Za którymś musi stać Schmidt. Pomyślał, że może z tarasu domu towarowego dojrzy Staszka, dałby mu znak ręką. Lecz widział jedynie przeszkloną ścianę, pełną kolorowych reklam i napisów. Wycofał się na parking przed hotelem Central. Ale i stamtąd niczego nie było widać.

Czas pędził. Daniel zerknął na zegarek: minęła 14.10. Za godzinę rozpocznie się konferencja prasowa. Po obiedzie kanclerz i premier pojedą na polską stronę. Kolumna samochodów zatrzyma się u wylotu mostu, politycy wysiądą z limuzyn i przez minutę będą się witali z gospodarzami Ślubic. Strzelec wyborowy, a takim przecież jest Staszek, z wysokości ostatniego piętra wieżowca z łatwością trafi do każdego celu w promieniu kilometra. Na pewno ma karabinek z zestawem celowników elektronicznych lub laserowych. Danielowi już nie chodziło o to, że w jego obecności zostanie popełniona zbrodnia, ale że dokona jej Polak, jego dobry znajomy w dodatku. W opinii przeciętnych Niemców wszyscy Polacy staną się mordercami.

Zdecydował się na rozmowę z dowódcą pododdziału patrolowego policji.

- Kim pan jest?! - naskoczył na niego facet ubrany po cywilnemu, ze słuchawką przypiętą do ucha. - Nazwisko?!

Pokazał paszport i legitymację prasową, z wydrukowanym w trzech językach apelem: *Wszelkie władze są proszone o udzielenie okazicielowi niniejszej legitymacji pomocy w wykonywaniu obowiązków dziennikarskich.*

Mimo to został zatrzymany. W pokoju zamienionym na dyżurkę, dokąd zaprowadził go cywil, jeszcze raz usiłował spokojnie tłumaczyć, że teraz szkoda czasu na dyskusję, trzeba natychmiast sprawdzić, czy ktoś o wyglądzie Schmidta nie ukrył się w wieżowcu. Inny cywil, asystent szefa ochrony rządu, też mu nie wierzył; zamiast wysłać policjantów we wskazane miejsce, włączył magnetofon i rozpoczął przesłuchanie. Daniel mógł odmówić odpowiedzi na pytania zadawane po niemiecku, jako dziennikarz akredytowany w Niemczech miał prawo domagać się przyjazdu przedstawiciela polskiej ambasady w Berlinie, ale musiałby długo czekać, a jemu zależało na natychmiastowym przekonaniu policjantów, że ma rację.

- Nazwisko?

- Sateck.

- Imię, imię ojca i matki?

- Dajże, człowieku, spokój! - wrzasnął podekscytowany. - Czy pan rozumie, że jestem tylko dziennikarzem? Dziennikarzem z Polski. Jako dziennikarz i Polak proszę o jedno: żeby policjanci sprawdzili, czy ktoś z karabinkiem snajperskim ukrył się w wieżowcu.

- Po co ten ktoś miałby się ukrywać? - spytał flegmatycznie cywil.

- Po to, żeby tu, na pograniczu, zapolować na „Niedźwiadka”, waszego kanclerza.

Asystent szefa wytrzeszczył oczy, potrząsnął głową.

- Pan sobie kpi!

- Jeśli coś potwornego stanie się dziś we Frankfurcie, a wszystko ku temu zmierza, poinformuję cały świat, kto ponosi winę. Pan osobiście i policja niemiecka jako całość.

- Dowody?

- Jakich dowodów pan oczekuje?

- No, że do Oderturmu przedostał się zamachowiec, jak pan twierdzi.

- Niech pan to sprawdzi.

Cywil zmierzył go spoде łba.

- Błagam... sprawdźcie, czy on jest na dachu. - Daniel wstał, podniósł dwa palce jak rekrut. - Przysięgam, że mówię prawdę.

- Na słowo mam panu uwierzyć? - spytał cywil już spokojnie.

- Niech pan, na litość boską, każe sprawdzić - nie prosił ani nie rozkazywał, tylko tłumaczył starając się nie wybuchnąć krzykiem. -

Nie mam żadnych dowodów, ale wiem, że on tam jest.

- Kto?

- Facet z bronią.

- Jego nazwisko, adres, zawód.

- Stanisław Schmidt, na stałe zameldowany w Zielonej Górze, mistrz świata w strzelaniu do dalekich celów.

- Aha. - Tępy wyraz twarzy asystenta był nie do zniesienia. - Za wprowadzanie ochrony rządu w błąd...

- To jest ten człowiek. - Daniel wyjął z kieszeni kurtki fotografię zrobioną przed południem przez Gubiela, o której już zapomniał.

Cywil spojrzał z ukosa na zdjęcie.

- Czy pan zna tego mężczyznę?

- Czy go znam?! Pół świata wie, kim jest ten facet. W każdej encyklopedii sportowej... Olimpijczyk, dwudziestokrotny mistrz świata w strzelectwie kulowym z dużych odległości.

- Ja również byłem olimpijczykiem, zdobyłem srebrny medal na mistrzostwach świata w Wiedniu, w strzelaniu do sylwetki biegnącego dzika - pochwalił się dowódca pododdziału. Innym tonem, cały czas wpatrując się w osobę na zdjęciu, spytał: - Jego nazwisko?

- Schmidt... Stanisław Schmidt.

- Jak wygląda? Kiedy i gdzie zdobył mistrzostwo świata?

- Boże, dlaczego policjanci w każdym kraju są tacy tępi?... Mówiłem przed chwilą... Panie, teraz nie ma czasu na prowadzenie dochodzenia. Zgłosiłem się, przyniosłem fotografię... Jeśli dziś dojdzie do tragedii, pan... pan będzie winowajcą. Zrobię taki raban, że...

Cywil nacisnął niedbale klawisz telefonu bezprzewodowego, długo nikt się nie odzywał, nacisnął jeszcze raz i wtedy również Daniel usłyszał przerywany sygnał.

- Czy ktoś obcy wchodził do wieżowca?

- Kiedy?

- Kiedy ten zamachowiec miałby tu się dostać? - asystent zwrócił się do Daniela.

- Człowieku, nie wiem.

- Rano. Godzinę temu - rzucił asystent do słuchawki.

- Nikogo nie widziałem.

- Wszystkie drzwi są zamknięte, windy unieruchomione?

- Tak jest.

Daniel zagryzł wargi, zacisnął pięści i aż się skurczył na krześle. Jak go przekonać, że Schmidt z karabinkiem snajperskim składa się do strzału z dwudziestego trzeciego piętra?

- Cóż, zostanie pan z nami - powiedział cywil zimnym głosem.

- Pójdź po rozum do głowy, tępy człowieku! - wrzasnął Daniel po polsku, tracąc resztki opanowania.

- Na razie zostanie pan zatrzymany.

- Co takiego zrobiłem?!

- Wyjaśnimy później.

- Nie ma pan prawa! Nie popełniłem żadnego przewinienia. Jestem obcokrajowcem, dziennikarzem. - Sięgnął do kieszeni, lecz jego paszport leżał na biurku przed cywilem. - Oto akredytacja wydana przez federalne biuro prasowe rządu.

- Wszystko sprawdzimy w odpowiednim czasie.

- Wtedy będzie za późno - rzucił zrezygnowany.

*

Bondarin długo szukał wolnego miejsca na parkingu przed hotelem Central. Mógł postawić swego mercedesa zaraz przy budce dozorczy i byłaby to najpewniejsza przystań dla luksusowego auta, ale chciał zatrzymać się jak najbliżej dwóch szarych opli. Zresztą przyjechał do Frankfurtu nie na zakupy czy umówione spotkanie z kimś konkretnym. Dawniej przywoził do Centralu takich berlińczyków, którzy mieli coś do odebrania w recepcji hotelu. Nie pytał, kim są i ile żądają za swoje usługi. Po zjednoczeniu Niemiec wszystko się pozmieniało do tego stopnia, że nawet SWR zacierała ślady po większości starych agentów. Jeszcze niedawno Bondarin miał pełne ręce roboty w Lipsku, Dreźnie, Magdeburgu, dokąd rzucały go rozkazy Pticzkina. Jeśli pułkownik kazał złamać komuś grdykę, to Bondarin tak długo polował na skazańca, aż go odszukał i wtedy już bez pytania o nazwisko walił kantem dłoni w szyję. W poniedziałek miał postraszyć recepcjonistkę z hotelu Alt Stadt w Poczdamie, bo przestała składać meldunki, więc w biały dzień, w przebraniu montera telewizji przewodowej wszedł do jej mieszkania i wypalił pięć kropek na jej czole. Czy nauczyciel fizyki z frankfurckiego gimnazjum pracował dla Rosjan, czy dla Niemców,

czy może dla jeszcze innego wywiadu i dlaczego to robił, tego Bondarin nie dociekał. Nawet kiedy fizyk zorientował się, że milczący kierowca nie wiezie go w stronę Niederfinowa na spotkanie z pułkownikiem, nie odpowiedział na żadne pytanie, tylko wcisnął przycisk blokady zamków wewnętrznych. W lesie pachnącym żywicą nad Helensee, gdzie dawniej było centrum wypoczynkowe frankfurtczyków, udusił go w ułamku sekundy, a ciało wrzucił do wody. Tej wiosny Bondarin wywiózł jeszcze dwóch byłych współpracowników wywiadu radzieckiego nad jezioro i tam ich zadusił przy pomocy tej samej linki. Gdyby Pticzkin kazał mu podrzynać im gardła kosą albo łamać kręgosłupy na kolanie czy przebijać kindżalem na wylot, robiłby to bez zastanowienia. Bondarin zapamiętał jeszcze z Kujbyszewa, że każdy musi mieć swojego zwierchnika.

Nastawiwszy radio na 87,6 megaherza, słuchając rozgłośni Antenne Brandenburg i odpalając westa od westa co najmniej dobre pół godziny czekał, zanim wrócił właściciel zielonego volkswagena, bo chciał zająć jego miejsce. Gdy tylko volkswagen wyjechał na ulicę, Bondarin wprowadził swoje auto między ople i dalej słuchał radia, ale i powoli przygotowywał się do akcji. Na parkingu bez przerwy zatrzymywały się samochody, nikt jednak nie zwracał uwagi na Bondarina, który to ślamazarnie wycierał tylną szybę mercedesa, to zaglądał pod maskę. Nikt też nie zauważył, kiedy otworzył pokrywę wlewu paliwa szarego opla vectry i wetknął tam mikroładunek wybuchowy, zresztą zrobił to błyskawicznie. Więcej czasu zajęło mu mocowanie ssawki z rozpylaczem w zbiorniczku płynu hamulcowego drugiego opla. Obliczył, że po godzinie jazdy autostradą w kierunku Berlina, kiedy auto minie Briesen, w zbiorniczku nie powinno być kropki płynu.

- Czyżby pan już opuszczał parking? - dobiegło go pytanie kobiety, która szukała wolnego miejsca.

Bondarin kiwnął głową i zanim kobieta mu podziękowała, ruszył w stronę bramy.

* .

Z okna pokoju Daniel widział ozłocony jesiennym słońcem pusty Marktplatz, od pół wieku restaurowany kościół Mariacki i czerwony ratusz, zaliczany do najwspanialszych budowli ceglanych w Niem-

czech, ale dziś to go nie interesowało. Kilka kondygnacji nad nim czatuje Schmidt. Jak się tam dostać? Pamiętał, że kiedy w październiku Angelika zawiozła go windą na dwudzieste trzecie piętro, widział wszystko, co się działo wokół Collegium Polonicum w Słubicach, choć z daleka ludzie wyglądali jak punkciki przesuwające się po ekranie telewizora. Schmidt pewnie ma superlornetkę, przez którą przypatrzuje się tym punkcikom.

Dochodziła godzina 13.50; za chwilę rozpocznie się konferencja prasowa w ratuszu, po niej politycy zjedzą obiad i pojadą na polską stronę. Tam ma się stać to, do czego realności czy prawdopodobieństwa Daniel nie potrafił przekonać nikogo z niemieckiej ochrony spotkania. A może ochroniarze tak reagują na wszystkie sygnały? Udają, że nie są zainteresowani informacją, w rzeczywistości zaś przetrząsają każdy kąt?

Czuł się nie tyle uwięziony, co osaczony i bezradny. Więzień zawsze może liczyć na to, że wyjdzie na wolność wcześniej, niż zdecydował sąd, a on nawet nie miał się komu poskarżyć. Mógł walić pięściami w drzwi obciążnięte dermą, wołać, krzyczeć, płakać, lecz to by nic nie dało, po prostu był w matni. Z rękoma założonymi za plecy, przygarbiony ciężarem tego, co wiedział i czego nie mógł ogłosić, ciężko chodził po pokoiku i rozmyślał. A czy nie powinienem powiedzieć Gubielowi, że idzie do Oderturmu? Co on sobie o mnie pomyśli? Nagle zatrzymał się w pół kroku, bo przypomniał sobie, że przecież ma telefon komórkowy w kieszeni kurtki.

Jego grovana wskazywała 13.58; o tej porze Syski powinien być w swoim pokoju. Daniel szybko więc wybrał numer centrali Komendy Wojewódzkiej Policji i kiedy usłyszał głos telefonistki, poprosił o połączenie z komisarzem. Czekał długo, lecz nikt nie podnosił słuchawki, zdecydował więc, że zadzwoni do żony i jej przekaże wiadomość dla Syskiego.

- Dziś pani doktor wyszła wcześniej - poinformowała go pielęgniarka dyżurująca w Zakładzie Medycyny Sądowej. - Najpierw miała zajrzeć do biblioteki, później złożyć podanie o urlop w dziale kadr, bo podobno wybierają się państwo do Austrii. Jeśli pan sobie życzy, chętnie przełączę rozmowę do gmachu głównego.

Portier powiedział mu, że co najmniej kwadrans temu widział

Miśkę na szpitalnym parkingu, jak wsiadała do fiata. Czy pojechała do domu, czy po sprawunki, tego starowinka nie wiedział.

Była 14.10. Daniel wcisnął guziczki z cyframi 0-68 326 45 80 i po chwili zorientował się, że Miśka już jest w domu, lecz z kimś rozmawia przez telefon, rozłączył się więc, żeby po minucie znowu wybrać ten sam numer. Znowu słyszał krótki, urywany sygnał. Miśka jeszcze rozmawiała. Skończ, moja kochana, prosił w myślach. Mam ci coś bardzo ważnego do przekazania. Teraz od ciebie zależy tak wiele, jak nigdy dotąd i od nikogo. Zdecydował, że jeszcze raz spróbuje połączyć się z Miśką, jeśli telefon nadal będzie zajęty, zadzwoni wprost do komendanta wojewódzkiego. Za dwie minuty wyczerpie się bateria i wtedy już nikt go nie usłyszy. Trzeci raz wcisnął guziczki, na ekraniku pojawił się numer 68 326 45 80. Po chwili dotarł do niego głos żony.

- O nic nie pytaj - rzucił do słuchawki. - Czy pamiętasz Staszka Schmidta?

- Daniel, o co chodzi?

- Prosiłem, abyś nie pytała. Błagam, tylko odpowiadaj na moje pytania.

- Jakże miałabym go nie pamiętać? Kilka razy był przecież w naszym mieszkaniu, kiedyś w pogotowiu usuwałam mu proch ze skroni i czoła. Miał przyjść do mnie...

- Dziękuję - przerwał jej, bo na ekraniku telefonu pojawił się sygnał ostrzegawczy: bateria na wyczerpaniu. - Jak skończę, natychmiast zadzwonisz do Syskiego i powtórz mu to wszystko, co za moment usłyszysz.

- Gdzie jesteś, Daniel? Co się dzieje?

Nie odpowiedział, ze wzrokiem przylepionym do ekraniku telefonu szybko mówił o tym, co za dwie godziny ma się zdarzyć po polskiej stronie mostu.

*

Zniecierpliwienie wśród dziennikarzy narastało. Z programu, jaki otrzymali od sekretarza spotkania wynikało, że zaraz po obiedzie odbędzie się druga konferencja prasowa. Minęła 15.10, a drzwi do sali, w której toczyły się rozmowy, ciągle były zamknięte.

- Może Daniel zdąży? - Wolfmann cały czas miał wzrok wycelowany w kanał długiego korytarza.

- Nie jest stażystą w tym fachu - odrzekł flegmatycznie Gubiel.
- Pewnie coś go zatrzymało, ale co? Czy mówił, dokąd się wybiera?
- Na zakupy - skłamał fotoreporter, sam ciekawy, dlaczego Daniel nie wraca do ratusza.

- A wie pan, że on umizguje się do naszej Oriany Fallaci?
- Do kogo?
- Do naszej Karin, gwiazdki ostatnich miesięcy, co to na razie błyszczy, żeby niebawem zgasnąć na zawsze.

Uwagę Wolfmanna Gubiel zbył milczeniem. Daniel jest rasowym dziennikarzem i może tylko udaje, że czuje miętę do Karin. W końcu nic złego, gdy mężczyzna szuka przyjaźni poza granicami kraju. A jeśli Karin rzeczywiście potrafi tyle co Oriana Fallaci, to Daniel może nieźle na tym wyjść.

Bocznymi drzwiami wyszła z sali asystentka rzecznika rządu polskiego, zaraz obstąpili ją dziennikarze, wyciągając przed siebie mikrofony i dyktafony.

- Proszę o wybaczenie, że z takim opóźnieniem przekażę paniom i panom kilka pierwszych informacji. Dopiero jednak przed chwilą premier i kanclerz zakończyli pierwszą turę rozmów.

- Kiedy zostanie wydany oficjalny komunikat? - przerwała jej korespondentka telewizji. - Mnie się bardzo śpieszy. Najpóźniej za dziesięć minut muszę wyjechać do studia w Berlinie, skąd mam nadać komunikat do pierwszego wydania „Wiadomości”.

- Nastąpiły istotne zmiany w programie dzisiejszego spotkania. Krótką konferencję prasową zorganizujemy za paręnaście minut. Właściwe zadawanie pytań będzie miało miejsce po stronie polskiej.

- Dlaczego? - padło z kilku ust, lecz asystentka rzecznika nie podjęła wątku.

- Są również i inne zmiany w programie. Otóż samochody wiozące szefów rządów nie zatrzymają się tuż za mostem po polskiej stronie. Wynika to z opóźnienia, którego się nie spodziewaliśmy. Zamiast powitania przez marszałka lubuskiego i burmistrza Słubic oraz spaceru mężów stanu od mostu do kawiarni Odra, obaj rozmówcy zdecydowali się na kontynuowanie spotkania przy kawie lub herbacie, ale bez udziału prasy, radia i telewizji.

- Protestuję! - krzyknął sprawozdawca „Faktów Dnia”.

- Robi się ciemno, a sami państwo rozumieją, chodzi o bezpieczeństwo.

- Ile prawdy jest w pogłosce, że ochroniarze otrzymali sygnał o przygotowywanym zamachu na polityków?

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę okna, skąd padło pytanie i nikt nie zauważył, kiedy asystentka rzecznika wycofała się do sali.

Rozdział XVIII

Całą noc Daniel spędził pod jednym kocem na twardej pryczy w celi dla groźnych przestępców przy Halbe Stadt. Zanim został tam uwięziony, cywil o twarzy ascety oznajmił mu, że dostał polecenie spisania jego zeznania, nie powiedział jednak, kto wydał takie polecenie ani kogo reprezentuje. Zapewne był to ktoś z Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji.

Jaką drogą dotarła do pana informacja o przygotowaniach do akcji „Niedźwiadek”?

- Dość dobrze znam język niemiecki, mimo to będę odpowiadał na pytania wyłącznie za pośrednictwem tłumacza - oznajmił Daniel i pomyślał, że jednak coś ważnego musiało się wydarzyć, skoro Niemcy chcą go przesłuchać. - Poza tym zrobię to jedynie w obecności przedstawiciela polskiej ambasady. Takie jest moje prawo.

Cywil roześmiał się i mocno oparłszy się o poręcz krzesła, powtórzył pytanie. Daniel zrewanżował się ponowieniem prośby, wtedy Niemiec wyszedł z pokoju przesłuchań, a gdy po kwadransie wrócił, rzucił wściekle:

- Niech pan telefonuje.

O 21.15 sekretarza prasowego ambasady już nie było w gmachu przy Unter den Linden. Mężczyzna, który podniósł słuchawkę i przedstawił się jako dyżurny referent, nie chciał podać Danielowi numeru prywatnego telefonu sekretarza. Wysłuchał go i zapewnił, że prośbę przekaże swojemu zwierzchnikowi, a ten na pewno będzie wiedział, jak w takiej sytuacji postąpić. Żadne sygnały o przygotowywanym zamachu na życie kanclerza czy premiera nie dotarły do ambasady, zresztą gdyby coś takiego miało miejsce, byłoby głośno na całym świecie.

*

Gdy w poniedziałek rano Daniel został wprowadzony do gabinetu szefa Prezydium Policji, za biurkiem siedział szpakowaty gospodarz, a przy długim stole dwaj dobrze ubrani mężczyźni i kobieta. On, w nieświeżej koszuli i od soboty nieogolony, poczuł się nieswojo.

- Będzie pan uprzejmy zająć miejsce - powiedział ten zza biurka i się przedstawił jako doktor Schneider. - Na pańskie życzenie przyje-

chał sekretarz prasowy ambasady - wskazał głową ponurego faceta, który nie był obcy Danielowi. - Pani będzie tłumaczyła, a przedstawiciela BFV poznał pan wczoraj wieczorem - pokazał na cywila o ascetycznej twarzy.

- Rzecz jest poważna, redaktorze Sateck - rzekł sekretarz prasowy głosem nadzorcy więziennego. - Pan zapewne nie zdaje sobie sprawy z tego, ile zamieszania spowodował swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem.

- Zamach na szefa rządu niemieckiego pan nazywa zamieszaniem?

- Nie było żadnego zamachu ani nikt nie czynił takich przygotowań, panie Sateck. Proszę to przyjąć do wiadomości i nie rozpuszechniać bzdur. Nie było, jasne?

A jednak w sobotę po południu coś musiało się wydarzyć, w przeciwnym razie sekretarz by tu dziś rano nie pędził z Berlina, rozumował Daniel. I dlaczego od razu mnie zaatakował, nie domagając się jakiegokolwiek wyjaśnienia? Przecież powinien spytać, w jaki sposób dotarł do mnie sygnał o zamachu.

Wśród gazet rozłożonych na biurku Schneidera leżała świeża „Frankfurter Zeitung”, na pierwszej stronie było duże zdjęcie przedstawiające kanclerza i premiera, nad nim tytuł wybitny wielkimi literami wołał: *Potwierdzenie dobrego sąsiedztwa*. Daniel domyślał się, że nie ma tam ani słowa o zamachu. Gdyby Karin nie wyjechała do Konstancji, zapewne poszłaby tropem akcji „Niedźwiadek”.

- W stosunku do pana zostaną wyciągnięte surowe konsekwencje.

- Co to znaczy: surowe?

- Najprawdopodobniej Ministerstwo Spraw Zagranicznych skieruje sprawę do sądu, a urząd federalnego rzecznika prasowego pozbawi pana akredytacji przy spotkaniach międzynarodowych na terenie Niemiec.

- A jeśli się okaże, że miałem rację?

Sekretarz tylko pokręcił głową.

- Za chwilę policjant odwiezie pana na most graniczny. Tam strażnik zwróci panu paszport z adnotacją o zakazie wjazdu do Unii Europejskiej, tak zwanym misiem - powiedział Schneider. - Gdyby pan wymienił paszport, nic to nie da, bo informacja zostanie umieszczona w komputerowym wykazie osób niepożądanych w RFN przez najbliższe dwa lata i przekazana na wszystkie przejścia graniczne z Unią.

Bielow, z głową zwieszoną na piersi jak złamana gałąź starej jałbłoni, ciężko chodził po dywanie w gabinecie Pticzkin.

- Trudno, Igorze Stiepanowiczu - próbował go uspokoić pułkownik SWR, udając również wściekłego. - Wypijmy po kielichu - proponował i sięgnął po butelkę.

- Taka okazja, jaką mieliśmy we Frankfurcie, już nigdy się nie powtórzy.

- Nie udało się wczoraj, musi udać się za tydzień, za miesiąc, za rok...

- Spieprzyliśmy robotę!

- My? Kto może udowodnić, że cywilny czy wojskowy wywiad rosyjski maczał w tym palce? Są jacyś świadkowie? - Pticzkin zrobił naprawdę głupią minę. - Lepiej wypijmy za spokój dusz naszych sojuszników.

- I za naszą przyszłość, którą czarno widzę - dodał Bielow ponuro.

Pticzkin sięgnął po „Frankfurter Zeitung”, jeszcze raz przeczytał na głos notatkę:

- W sobotę na autostradzie Frankfurt nad Odrą – Berlin, na wysokości Briesen, doszło do tragicznego w skutkach wypadku drogowego. Szary opel vectra, prowadzony przez mieszkańca Berlina nagle zjechał na miękkie pobocze, przełamał metalową barierę i stoczył się z nasypu, uderzając w drzewo. Dwie osoby, kierowca i pasażer, profesor Ernst Maller, zginęły na miejscu. Policja przypuszcza, że samochód jechał z nadmierną szybkością.

Również w sobotę inny szary opel vectra z rejestracją berlińską, przy zjeździe na autostradę, wyleciał w powietrze. Policji udało się ustalić tożsamość kierowcy. Okazał się nim poszukiwany przez służby specjalne były agent Stasi i terrorysta Richard Reschke. Policja nie wyklucza uszkodzenia pojazdu przez osoby trzecie. Wskazuje na to element samoczynnego mechanizmu wybuchowego, znaleziony w pobliżu miejsca wypadku. Kim był pasażer, policja dotąd nie ustaliła. Mógł on mieć około 50 lat, 182 cm wzrostu, włosy ciemne, pod skórą na czole pozostałości po prochu, a pod lewym okiem brodawkę. Na zewnętrznej części prawej dłoni miał wytatuowaną tarczę strzelniczą wielkości monety jednomarkowej. Przy nadpalonych zwłokach nie znaleziono żadnego dokumentu osobistego.

- Co piszą inne gazety? - Biełow odstawił pusty kieliszek na biurko. Pticzkin zawahał się, zanim odpowiedział:

- Radio berlińskie od samego rana trąbi, że w Zielonej Górze jest przesłuchiwany Joachim Jungingen, członek tajnej grupy Karlshorst. I że na rozkaz organizacji zamordował pięciu przemysłowców niemieckich.

- Nie może być?!

Epilog

Miśka nie wszystko zrozumiała z tego, w co Daniel ją wtajemniczył przez telefon komórkowy, mimo to natychmiast wybrała numer centrali Komendy Wojewódzkiej Policji i poprosiła o połączenie z Syskim. Czekala może minutę, może dłużej, lecz nikt nie podnosił słuchawki, bowiem w tym czasie nadkomisarz przesłuchiwał Jungingena w areszcie śledczym, więc jeszcze raz wykręciła numer centrali, przedstawiła się jako kierowniczką Zakładu Medycyny Sądowej i głosem rozkazującym, aczkolwiek nie histerycznym zażądała rozmowy z komendantem. Na jej szczęście telefonistka nie zlekceważyła żądania, jak czasem czyniła w stosunku do osób natarczywych. Co się działo później, nie miała czasu spytać; dopiero po powrocie z Frankfurtu zrekonstruował to Daniel.

Gdy komendant usłyszał, że Schmidt znajduje się w Frankfurcie i pewnie jest tym, który ma zastrzelić kanclerza przy wylocie z mostu, bez słowa nacisnął klawisz linii specjalnej; po drugiej stronie odezwał się zastępca szefa Biura Ochrony Rządu. Była wtedy godzina 15.40.

Przed Collegium Polonicum w Słubicach już zebrał się nieprzeliczony tłum studentów i miejskich gapiów, ciekawych, jak wyglądają politycy na żywo, marszałek gaworzył z burmistrzem i organizatorami powitania, zziębnięte dziewczęta w strojach lubuskich rozgrzewały się, drepzcząc drobnymi kroczkami, ochroniarze z rękami założonymi do tyłu nasłuchiwali to tego, o czym rozmawiali ludzie, to poleceń zwierzchników. I nagle przez miniaturowe słuchawki, które mieli w uszach dotarła do nich wiadomość: samochody z kanclerzem i premierem nie zatrzymają się na placyku zaraz za mostem, szefowie rządów pojadą prosto do restauracji Odra, gdzie bez świadków, w sali bankietowej, dokończą rozmowę. Skąd ta zmiana i tak nagle, ochroniarze nie mieli odwagi spytać, domyślali się jedynie, że musiało się stać coś bardzo ważnego. Z błahego powodu w ostatniej chwili nikt nie zmieniał programu takiego spotkania.

Daniel nie liczył na to, że ktokolwiek w Biurze Ochrony Rządu zechce z nim rozmawiać na ten temat. Dostawszy się drogą okrężną do gabinetu zastępcy szefa spytał wprost:

- Czy zamach został udaremniony?
- Sygnał przekazany przez pana za pośrednictwem komendanta

wojewódzkiego lubuskiej policji potraktowaliśmy najpoważniej. Równie poważnie podeszła do tego strona niemiecka. Każdy sygnał, prawdziwy czy fałszywy, traktujemy jednakowo. I to są jedyne informacje, jakie wolno mi panu przekazać.

- Tym samym potwierdza pan, że istniał spisek na życie Schrödera.

Milcząc, zastępca szefa rozłożył ręce.

- Co pan wie o organizatorach zamachu? Kim oni są?

- Nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

- Czy oni są wschodnimi Niemcami, którzy wynajęli Polaka? - dopytywał się. - Zna pan jego nazwisko? Stanisław Schmidt, prawda?

Zastępca szefa BOR nawet nie mrugnął.

- Uważa pan, że istnieje jakiś związek między pięcioma morderstwami, popełnionymi jesienią w Zielonej Górze a tym zamachem? Niech pan przynajmniej zaprzeczy!

- Mój czas, przeznaczony na rozmowę z panem redaktorem, już się skończył.

- Przecież jeszcze niczego pan mi nie powiedział!

*

Poszukiwania Schmidta trwały blisko tydzień. Przy pomocy wytrycha Daniel dostał się do jego mieszkania, lecz poza rybkami pływającymi w akwarium nie było w nim żadnego śladu obecności żywej istoty. Rozmawiał z trenerem Olimpij, pytał sąsiadów, pijaczków z parku Tysiąclecia, zaglądał do restauracji i kawiarni. Nikt nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział Schmidta. O kimś takim zwykle się mówi, że zapadł się pod ziemię. Przejrzał kroniki policyjne, drukowane w gazetach, ale z żadnego rysopisu nie wynikał wizerunek Schmidta.

Zrezygnowany, sięgnął po „Frankfurter Zeitung” z ostatniego tygodnia i zaniemówił. W dolnej części drugiej strony była niewielka notatka o wypadku na autostradzie w pobliżu Briesen. Przeczytał ją dwa razy.

- Kim może być ten? Wiek około 50 lat, 182 centymetry wzrostu, na czole pozostałości prochu, pod lewym okiem brodawka, a na ręce wytatuowana tarcza strzelnicza, wielkości monety jednomarkowej?

- Już mnie pytałeś o Schmidta - przypomniała Miśka.

- Prawdopodobnie zginął na autostradzie berlińskiej w dniu spo-

tkania kancelarza Schrödera z naszym premierem.

- Staszek Schmidt?

- On jednak musiał tam być.

*

Jungingen drwił sobie z Syskiego. To składał zeznania i zapewniał, że są wiarygodne, to je odwoływał. Trwające ponad dwa tygodnie śledztwo nie posunęło się ani o krok, a komendant wojewódzki czekał na protokół przesłuchania, od którego zależała jego kariera w policji. Jeśli Jungingen przyzna się do popełnienia pięciu morderstw w Zielonej Górze, komendant uratuje siebie i Syskiego. W przeciwnym razie obaj nie tylko zostaną usunięci z policji, lecz i staną przed sądem jako ci, którzy zaakceptowali porwanie Niemca i przewiezienie go bez zgody prokuratorów na polską stronę.

Podczas konfrontacji bokser i Koper poznali Jungingena jako tego, który przysiadł się do ich stolika w Polanie, ale recepcjonistka z Creatora nie miała pewności, czy to on był wieczorem w hotelu, kiedy został zamordowany Franz Ehrspenger. Szatniarka z Sambuki zapamiętała blondyna znacznie starszego niż Jungingen, wyższego i ruchliwszego. Inne osoby, którym policjanci pokazywali Niemca na fotografii, też nie miały pewności, że kiedykolwiek go spotkały.

- Ten sam i jakby ktoś inny. Tamten był odrobinę starszy - powiedział portier z Leśnego.

I pewnie Syski zwolniłby Jungingena, bo przecież na podstawie kruchych dowodów, które zebrał, nie mógł go oskarżyć o pięciokrotne morderstwo, gdyby nie reakcja Niemca na notatkę w „Frankfurter Zeitung”.

- Dość tej ciuciubabki. Za chwilę przedstawię niezбитy dowód pana winy. - Niemiec przechylił głowę i pewny siebie założył ręce na piersiach. Jesteś jednak twardy albo rzeczywiście niewinny, pomyślał Syski. - Podczas próby zamachu na kancelarza został zatrzymany pewien facet. Pan go zna lepiej niż bardzo dobrze - blefował komisarz i położył przed Jungingenem poniedziałkową „Frankfurter Zeitung”. - Ze zdjęcia i tytułu na pierwszej stronie może się pan zorientować, że zamach się nie udał. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie pozna pan jutro i jutro zobaczy pan kogoś, kto pana sypnął.

- Chętnie, jeśli ktoś taki istnieje.
- Istnieje, istnieje...
- Jak się nazywa?
- Słyszał pan o byłym agencie Stasi Richardzie Reschkem? A o profesorze Erneście Mallerze?

Jungingen zacisnął usta aż do białości, nagle się przygarbił, ale nie uciekł wzrokiem za kraty, jak się tego spodziewał nadkomisarz. Dobrze wyszkolony twardziel, taki wykona każde zadanie, ocenił go policjant.

- Po zakończeniu przesłuchania w Polsce zostanie pan przekazany brandenburskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Najprawdopodobniej nastąpi to jutro, zaraz po konfrontacji z facetem, którego panu przedstawię. Do rana ma pan czas do namysłu. Przyznanie się do popełnienia morderstw może zostać uznane przez sąd za okoliczność łagodzącą - powiedział Syski. - I niech pan pamięta o swojej Angelice. Ona jest w ciąży.

*

Strażnik nocnej zmiany szedł wzdłuż korytarza i walił pięścią w drzwi każdej celi, później sprawdzał przez judasza, czy wszyscy aresztanci wstali. Lubił to zajęcie szczególnie wtedy, kiedy słyszał różnorodny gwar. Najgłośniejsze było w celach Bułgarów i Turków; mowy Azerów i Ormian nie rozumiał; Ukraińcy i Białorusini, zresztą podobnie jak Niemcy i Szwedzi, nigdy się nie odzywali. Większość to młodzi mężczyźni, zatrzymani na granicy za przemyt narkotyków i dzieł sztuki. Na podstawie zachowania, wyglądu, gestów o każdym mógł dużo powiedzieć, mimo doświadczenia jednak nie domyślał się, kim jest blondyn przetrzymywany w pojedynczej celi, przeznaczonej dla najgroźniejszych aresztantów. Zatrzymał się, nastawił ucho, lecz nie słyszał żadnego głosu zza drzwi, a była już 6.10, uniósł więc kłapkę judasza i zajrzał w głąb celi. Mężczyzna w mundurze nie znosi ludzi lekceważących jego polecenia, toteż strażnik ze zdwojoną siłą walił w drzwi i wołał w różnych językach, ale blondyn nawet się nie poruszył. Wbrew regulaminowi sam wszedł do środka, rozdrażniony chwycił obiema rękami koc i jednym mocnym ruchem ściągnął go z aresztanta, a gdy i to okazało się nieskuteczne, chwycił blondyna za

stopę, żeby go zrzucić na podłogę i nagle zdrętwiał. Noga była zimna. Na prześcieradle strażnik dostrzegł coś, co wyglądało jak za duży ząb.

*

Dwa razy Syski przeczytał protokół sekcji zwłok i ciągle nie wierzył, że Jungingen otruił się arszenikiem, ale przecież miał przed sobą oficjalny dokument, pod nim podpis i odcisk pieczęci kierowniczkii Zakładu Medycyny Sądowej anatomopatolg Marii Sateck. Zastanawiał się, skąd Niemiec wziął arszenik. Przecież poza strażnikiem nikt nie wszedł do jego celi.

- Czytałam, że to dość powszechna praktyka, stosowana w byłym wywiadzie wschodnioniemieckim - powiedziała Miśka przez telefon. - Każdemu agentowi zaufany dentysta zakładał koronkę na zębie trzonowym, pod nią umieszczał fiolkę z trucizną, najczęściej był to arszenik. Metoda wprawdzie średniowieczna, za to skuteczna w sytuacji takiej, w jakiej znalazł się Jungingen.

- Przecież powinienem wiedzieć, że w ten sposób popełniło samobójstwo wielu agentów Stasi, schwytanych na gorącym uczynku. Cholera, moja wina - zaklął Syski. - Jeszcze przed rozpoczęciem przesłuchania miałem obowiązek oddania Niemca w ręce lekarzy. Teraz miałbym przynajmniej czyste sumienie.

- A może lepiej, że tak się stało. W ten sposób Jungingen sam rozwiązał większość waszych problemów.

Wydano przy pomocy finansowej
Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego

oraz

Wydawnictwa „Lubpress“ Sp. z o. o.
wydawcy „*Gazety Lubuskiej*“

**GAZETA
LUBUSKA**

- Trudno, Igorze Stiepanowiczu - próbował go uspokoić pułkownik SWR, udając również wściekłego. - Wypijmy po kielichu - zaproponował i sięgnął po butelkę.

- Taka okazja, jaką mieliśmy we Frankfurcie, już nigdy się nie powtórzy.

- Nie udało się wczoraj, musi udać się za tydzień, za miesiąc, za rok...

- Spieprzyliśmy robotę!

- My? Kto może udowodnić, że cywilny i wojskowy wywiad rosyjski maczał w tym palce? - Pticzkin zrobił naprawdę głupią minę. - Lepiej wypijmy za spokój dusz naszych sojuszników.

- I za naszą przyszłość, którą czarno widzę - dodał Bielow ponuro.

Pticzkin sięgnął po „Frankfurter Zeitung”.

- Co piszą inne gazety? - Bielow odstawił kieliszek na biurko. Pticzkin zawahał się, zanim odpowiedział:

- Radio berlińskie od samego rana trąbi, że w Zielonej Górze jest przesłuchiwany Joachim Jungingen, członek tajnej grupy Karlshorst. I że na rozkaz organizacji zamordował pięciu przemysłowców niemieckich.

- Nie może być?!

(Fragment powieści)

ISBN 83-88336-05-3